

T H R I L L E R

Jonathan Nasaw

DZIEWCZYNY,  
KTÓRYCH POŻĄDAŁ



**Jonathan Nasaw**

**DZIEWCZYNY,  
KTÓRYCH POŻĄDAŁ**

*Tłumaczył Maksymilian Tumidajewicz*

*Tytuł oryginału The Girls He Adored*

## Dla Susan

1

- Zaoszczędzę pani zachodu - powiedział więzień w pomarańczowym kombinezonie, kiedy wprowadzano go do pomieszczenia. Ręce miał przykute do pasa, a między nogami dyndał mu łańcuch. Chmurny funkcjonariusz policji nie odstępował go na krok. - Jestem świadomy czasu, miejsca i osoby, moje myśli są klarowne, a zrozumienie swojego położenia - pełne.

- Widzę, że wie pan, co i jak - odparła psychiatra, szczupła blondynka ledwo po czterdziestce. Spoglądała na więźnia zza metalowego biurka, zupełnie pustego, nie licząc dyktafonu, notatnika i beżowej teczki na akta. - Proszę usiąść.

- Dałoby się może to zdjąć? - Więzień wymownie potrząsnął kajdanami. Był smukły, nieco niższy od przeciętnej i wyglądał na dwadzieścia kilka lat.

Psychiatra spojrzała na policjanta. Ten pokręcił głową.

- Nic z tego, jeśli chce pani zostać z nim sam na sam - powiedział.

- Poproszę. Przynajmniej na razie - odparła. - Później może trzeba będzie go rozkuć, żeby mógł napisać parę testów.

- Muszę być przy tym obecny. Zadzwoni pani po mnie.

Na ścianie za psychiatrą wisiał czarny telefon. Obok znajdował się niepozorny przycisk alarmowy; identyczny ukryto pod biurkiem po jej stronie.

- A pan, siadaj - dodał policjant.

Więzień wzruszył ramionami i siadł okrakiem na drewnianym krześle, trzymając skute dłonie na podolku, jakby dosiadał konia. Twarz osadzonego miała kształt serca i przy pewnej dozie dobrej woli mogła być nazwana piękną. Miał długie rzęsy i usta godne anioła Botticellego. Loczek orzechowych włosów uroczo opadał na oczy, co wydawało się mu przeszkadzać. Kiedy tylko strażnik opuścił pomieszczenie, psychiatra pochyliła się nad biurkiem i odsunęła niesforny kędzior na bok.

- Dziękuję - powiedział więzień, patrząc na nią spod wółprzymkniętych powiek. Błysk psotnego, pewnego siebie rozbawienia zniknął z jego brązowych, nakrapianych złotem oczu, ale tylko na moment. - Doceniam to. Jest pani kurwą adwokata czy może kurwą prokuratora?

- Żadną z nich - zignorowała obelgę. Sprawdza, jak się zachowam, pomyślała. Próbuje przejąć kontrolę nad rozmową, prowokując agresywną odpowiedź.

- No bez jaj, niech pani powie. Albo mój prawnik wynajął panią, by dowieść choroby psychicznej, albo prokurator, by dowieść jej braku. A może skierował tu panią sąd, by stwierdziła, czy nadaję się do wzięcia udziału w rozprawie? Jeśli tak, to spieszę poinformować, że jestem całkowicie zdolny do zrozumienia zarzutów oraz perfekcyjnie przygotowany do asystowania w swej obronie. Takie są kryteria, prawda?

- Mniej więcej.

- Nadal nie odpowiedziała pani na moje pytanie. Zadam je

inaczej, jeśli pani woli. Wynajęła panią obrona, oskarżenie, czy sąd?

- Czy to wpłynie na pańskie odpowiedzi na moje pytania?

Zachowanie więźnia przeszło dramatyczną zmianę. Opuścił ramiona, wygiął szyję i przekrzywił głowę na bok. Następne słowa wypowiedział z pietyzmem, niemal afektacją, samymi wargami, leciutko sepleniąc:

- Czy to wpłyje na pańskie odpowiedzi na moje pytania?

Psychiatra zdała sobie sprawę, że to nadzwyczaj celna imitacja jej własnego zachowania i sposobu mówienia. Przyparł ją do muru i obnażył dawne problemy z wysławianiem się, jej tragiczną mowę Kaczora Duffy'ego, której przewyciężenie kosztowało lata terapii. Jednak parodia odegrana została raczej dobrodusznie niż drwiąco, jakby był jej starym przyjacielem.

- Oczywiście, że wpłynie - kontynuował już własnym głosem.

- Niech pani nie będzie obłudna.

- Chyba ma pan rację.

Poprawiła się na krześle, próbując zachować profesjonalizm, choć czuła gorący rumieniec, który spowił jej policzki.

- Tak na marginesie, to było świetnie odegrane.

- Dziękuję! - Mimo kajdan, surowych murów i niewesołych okoliczności, uśmiech więźnia rozjaśnił całe pomieszczenie.

- Chce pani zobaczyć mojego Jacka Nicholsona?

- Może innym razem - odparła, ku swojej irytacji, z identyczną afektacją, jaką wcześniej odegrał jej rozmówca.

Złapała się na tym, że przejeżdża palcami po górnych guzikach swojej beżowej bluzki, niczym uczennica, która zauważyła, że jakiś chłopak ukradkiem zerka na jej biust. - Dziś mamy przed sobą mnóstwo roboty.

- Och! Jasne, zatem ruszajmy z tym. - Więzień zamachał skutymi dłońmi, jakby odganiał gołębie. Łańcuchy zabrzęczały dźwięcznie.

- Dziękuję bardzo.

Pochyliła się do przodu i włączyła swój aktywowany głosem dyktafon.

- Tak w ogóle, nazywam się doktor Cogan.

Psychiatra miała nadzieję, że więzień też się przedstawi - do tej pory uparcie odmawiał podania swojego nazwiska.

- Miło mi! - odparł wesoło, podkreślając to nonszalanckim, choć z konieczności krótkim uniesieniem ręki.

- A pan się nazywa...? - spróbowała ponownie, bardziej bezpośrednio.

- Po prostu Max.

- Nie do końca odpowiedział pan na moje pytanie.

- A pani nie do końca odpowiedziała na moje. Kto panią wynajął?

Miała nadzieję, że sobie odpuści. Teraz jednak musiała odpowiedzieć, inaczej narażałaby na szwank ich przyszłą współpracę.

- Sąd, pośrednio. Wynajęła mnie firma zakontraktowana

przez państwo.

Skinął głową, jakby potwierdziła coś, o czym wiedział. Psychiatra odczekała chwilę, po czym zapytała ponownie:

- Więc, jak się pan nazywa?

- Jak powiedziałem, po prostu Max.

Podniósł wzrok. To naprawdę wszystko, co mogę zrobić, mówił jego zawstydzony uśmiech. Wygrałem, mówiły jego oczy.

Psychiatra przyjęła to.

- Miło mi, Max. Jak zapewne wiesz, mamy parę standardowych testów do zrobienia...

- MMPI\*[\* Minnesota Multiphasic Personality Inventory - jeden z najczęściej używanych testów pisemnych, mający na celu zbadanie struktury osobowości pacjenta (przyp. tłum.)], Rorschach \*[\* Test Rorschacha (test plam atramentowych, test Ro) - używany w diagnozie klinicznej test projekcyjny, stworzony w 1921 roku przez szwajcarskiego psychoanalityka Hermana Rorschacha. Na podstawie testu wnioskuje się o nieświadomych treściach psychicznych, cechach osobowości i zaburzeniach (przyp. tłum.)], test skojarzeń, może jeszcze test dokończania zdań, jeśli chce pani sobie nabić godzin...

- ...ale najpierw porozmawiajmy sobie parę minut.

- Jeśli przez rozmowę rozumie pani przeprowadzenie wywiadu klinicznego, rozpoczętego otwartym pytaniem, zaprojektowanym tak, by wydobyć z pacjenta jego osobistą percepcję swoich problemów... - przerwał na chwilę, by

zacerpnąć oddechu - ...lub trudności, które doprowadziły go do poszukiwania leczenia, zaoszczędzę pani nieco czasu: zdiagnozowano u mnie prawdopodobną amnezję dysocjacyjną lub być może fugę dysocjacyjną\*[\* Rzadkie schorzenie umysłowe, polegające na czasowym wykształceniu się nowej osobowości pozbawionej wspomnień z wcześniejszego życia. Epizod fugi może trwać od kilku godzin do kilku miesięcy. Po jego zakończeniu wspomnienia wracają w pełni, ale pacjent zapomina o tym, co robił w trakcie epizodu (przyp. tłum.)].

Więc jednak nie jesteś całkowicie świadom miejsca, czasu i osoby, co? - pomyślała doktor Cogan, zrywając kontakt wzrokowy, by zajrzeć do teczek na akta.

- To ciekawe, Max. Wydajesz się niezłe zaznajomiony z psychiatrycznymi procedurami i terminami. Nie mogło tak być czasem, że pracowałeś w branży psychiatrycznej?

- Mogło - odparł. - Oczywiście, mogłem być też pacjentem zakładu zamkniętego - dodał po chwili zastanowienia. - No wie pani, biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich mnie znaleziono.

- To brzmi jak coś, od czego możemy zacząć. Opowiedz mi o okolicznościach, w jakich cię znaleziono.

- No cóż, doktor Cogan, to było tak...

Więzien pochylił się na krześle. Jego oddech stał się płytszy, a błysk w oku bardziej poważny. Psychiatra miała wrażenie, że po raz pierwszy, odkąd osadzony się tu pojawił, jego uwaga była w pełni skupiona.



- Pierwsza rzecz, jaką pamiętam, to taka, że siedziałem w samochodzie obok świeżo wyopatroszonej kobiety.

Wyopatroszonej. Irene Cogan wydało się dziwne, jak jedno proste słowo może działać na wyobraźnię - o wiele mocniej niż trzystronicowy raport koronera, opisujący wszystko w klinicznych szczegółach: „Półokrągłe rozcięcie po stronie brzusznej, rozpoczynające się półtora centymetra ponad prawym grzebieniem biodrowym, biegnące w dół do trzech centymetrów ponad spojeniem łonowym, a potem zataczające wznoszący łuk ku szczytowi lewego grzebienia biodrowego, czego rezultatem było wysunięcie się z ciała zarówno jelita cienkiego, jak i grubego...”.

Podniosła wzrok znad teczki. Więzień oczekiwał następnego pytania z uśmiechem. Jego nakrapiane złotem oczy lśniły. Nie sposób było oprzeć się wrażeniu, że siedzi przed nią mężczyzna, który właśnie świetnie się bawi na swojej pierwszej randce z dziewczyną. Chwilowo wyrwana ze swojego chłodnego profesjonalizmu, doktor Cogan przełączyła się na autopilota i, zamiast zadać prawdziwe pytanie, powtórzyła jedno z ostatnich słów swojego interlokutora.

- Świeżo? Jak bardzo świeżo?

Więzień wzruszył ramionami, z całą nonszalancją, na jaką pozwalały mu łańcuchy.

- Nie wiem, trzydzieści, czterdzieści sekund. Ciągle jeszcze siedziała prosto.

Biuro preferowało agentów, którzy byli młodzi i sprawni, nosili klasyczne garnitury oraz regulaminowe pistolety w tradycyjnych kaburach. W wieku pięćdziesięciu pięciu lat, jedynie dwa lata dzieliły agenta specjalnego E.L. Pendera od przymusowej emerytury. Był otyły i ubierał się w kraciastą marynarkę sportową, która, według słów jego szefa, „mogłaby spłoszyć nawet ślepego konia”. Swojego półautomatycznego SIGSauera P226 kaliber 9 mm nosił pod pachą, w kaburze z miękkiej jagnięcej skóry.

- Życzę miłego pobytu w San Jose, agencie Pender - młoda stewardessa pożegnała go standardową formułką, wypowiedaną w drzwiach samolotu. W dzisiejszych czasach nie dało się podróżować incognito, będąc agentem FBI, choćby przez te wszystkie formularze, które musiał człowiek wypełnić, by móc zabrać broń na pokład. - Dziękujemy za skorzystanie z usług United.

- To ja dziękuję, kochana. - Pender uchylił swojego charakterystycznego kapelusza w jodełkę, z wąskim rondem i wetkniętym za taśmę piórkiem. Pod nakryciem głowy był łysy jak kolano.

- Wie pani, był czas, kiedy poprosiłbym takie urocze dziewczę jak pani o numer telefonu.

- Na pewno. - Stewardessa uśmiechnęła się uprzejmie.

- Dostałbym?

Uśmiech nie zszedł z jej twarzy nawet na moment.

- Rodzice nie pozwalali mi za bardzo chodzić na randki, kiedy miałam siedem lat, agencie Pender.

Szczęście nie dopisało też Penderowi podczas wynajmowania samochodu. Urzędnik nie miał pojęcia o żadnym sedanie, który miał być zarezerwowany dla agenta, dlatego Pender zmuszony był wcisnąć swoje sto dziewięćdziesiąt centymetrów i sto dwadzieścia kilogramów za kierownicę Toyoty Corolli.

Wóz przynajmniej wyposażono w klimatyzację i porządny system nagłaśniający. Pender ustawił temperaturę na poziom niebieski, a głośność - na wysoki. Znalazł stację grającą stare przeboje. Śpiewał razem z radiem swoim zaskakująco ujmującym tenorem. Minęła godzina, nim zagrali pierwszą piosenkę, której nie znał na pamięć.

Technicznie rzecz biorąc - choćby z samej uprzejmości.

- Pender powinien był powiadomić lokalną rezydenturę FBI, że zamierza pojawić się w więzieniu w Salinas w celu przesłuchania podejrzanego o morderstwo. Jednak wieść gminna niosła, że miejscowi nadal pamiętali ostatnie lato, kiedy to dyrekcja FBI przysłała agentów z San Francisco, by odebrać im priorytetowe śledztwo w sprawie porwań. Nie zanosilo się na to, żeby mieli witać intruza, takiego jak Pender, z otwartymi ramionami.

Również technicznie rzecz biorąc, Pender powinien był od razu zameldować się w biurze szeryfa hrabstwa Monterey. Ale przed rozmową z osadzonym chciał porozmawiać z oficerem,

który dokonał aresztowania. Miejscowym gliniarzom zapewne by się to nie spodobało. Gliniarze zawsze stają murem za swoimi kumplami.

Według informacji, które dla Pendera zdobyła jedna z przepracowanych urzędniczek w Wydziale Łączności, funkcjonariusz Terry Jervis mieszkał - lub mieszkała, raport nie podawał płci - w miasteczku Prunedale. Zrobili sobie w Waszyngtonie na ten temat parę żartów, typu „Prunedale, miasteczko prawych, porządnych, prawdziwie pruderyjnych ludzi” i tak dalej.

Pender nie miał żadnego problemu ze znalezieniem miejscowości - jedną z zalet pracy dla rządu jest dostęp do porządnych map. Dom stał w małej zadbanej zagrodzie. Miał otynkowane na biało mury oraz kilka łuków tu i tam - dość, by można powiedzieć, że jest w stylu misjonarskim\*[\* Charakterystyczny dla Kalifornii styl architektoniczny, inspirowany pozostałym po hiszpańskich misjonarzach budownictwie sakralnym. Cechy szczególne to grube, kryte jasnym tynkiem mury o rzadko rozmieszczonych oknach, płaskie dachy kryte dachówką oraz wszechobecne łuki (przyp. tłum.).]. Stał na stoku wzgórza wznoszącym się nad swego rodzaju wiejską okolicą - jeśli wsią nazwie się osiedle, gdzie połowa z domów to przyczepy kempingowe, a połowa z przyczep zapewne kryje wytwórnie amfetaminy. Na środku kamienistego, lecz starannie przystrzyżonego trawnika rosło przywiązane do tyczki wiotkie

drzewko cytrynowe. Dwie zgrabne rabatki kwiatów ciągnęły się wzdłuż krótkiej ścieżki do drzwi wejściowych.

Pender nacisnął na dzwonek, po czym cofnął się parę kroków, by nie wystraszyć gospodarzy swoim wzrostem. Kobieta, która otworzyła drzwi na długość łańcucha, była czarna, przysadzista i szeroka w biodrach. Pender pomyślał, że może to właśnie jest funkcjonariusz Jervis, gliniarze zwykle mieli szerokie tyłki.

- Tak?

- Agent specjalny Pender, FBI. Funkcjonariusz Terry Jervis?

- Terry odpoczywa. Mogę zobaczyć pańską blachę?

Skoro nie jest gliną, musi być żoną gliny - tylko żona gliny powiedziała by „blacha” zamiast „odznaka”. Pender jednym ruchem dłoni otworzył portfel i zaprezentował swoją wysłużoną odznakę Ministerstwa Sprawiedliwości, z orłem i sylwetką wyposażoną w przepaskę na oczy, chłopięcą fryzurę, miecz oraz wagę szalkową.

- Ma pan jakiś dowód ze zdjęciem?

- Proszę.

Kobieta przesunęła kilka razy wzrokiem od zalaminowanego zdjęcia do twarzy agenta i z powrotem, po czym zamknęła drzwi. Rozległ się szcęk łańcucha i drzwi otworzono ponownie, szerzej.

- Niech pan wejdzie.

**Przestępując próg, Pender zdjął kapelusz.**

**- Dziękuję, pani Jervis.**

**Kobieta zmarszczyła brwi.**

**- Nazywam się Aletha Winkle.**

**Pender skrzywił się teatralnie.**

**- Przepraszam. Zboczenie zawodowe. Prowadzę śledztwo nawet we śnie.**

**Jego przeprosiny zostały zignorowane.**

**- Hej, Terry - krzyknęła przez ramię. - Jakiś facet z FBI do ciebie.**

**- Okej - odpowiedział stłumiony głos.**

**Winkle poprowadziła Pendera przez krótki korytarzyk i mały pokój dzienny, umeblowany głównie wikliną, do białoróżowej sypialni. Wszystko - od biurka i pościeli poczynając, a na chodniczku i lampach na suficie kończąc - było białe albo różowe.**

**Pender przestąpił próg i zamarł, widząc wymierzony w swój splot słoneczny półautomatyczny pistolet. Trzymała go blada kobieta, siedząca na łóżku. Agent natychmiast podniósł ręce do góry.**

**- FBI! Spokojnie, funkcjonariuszko!**

**- Przepraszam - wysyczała Jervis przez zaciśnięte zęby i opuściła broń. - Powiedzieli, że gość mi groził. Martwiłyśmy się, że przyśle tu kogoś.**

**Funkcjonariusz Jervis miała włosy przystrzyżone na jeża i**

oczy w kolorze wodnistego błękitu. Nosiła piżamę w różowe i czarne paski. Dolna część jej twarzy była konkretnie poowijana bandażami, a żuchwa unieruchomiona drucianym stelażem.

- Rozumiem. - Pender opuścił ręce. - Boli panią, kiedy pani mówi?

- Trochę.

- Od razu chciałbym przeprosić za najście. Nie byłoby mnie tu, gdyby to nie było takie ważne. Będę wdzięczny za cokolwiek, co zechce mi pani powiedzieć.

- To ja sobie idę - powiedziała Aletha Winkle. - Zawołaj mnie, jakbyś czegoś chciała, kochanie. - Schyliła się nad łóżkiem, poprawiła poduszki i pocałowała mniejszą kobietę w czoło. Wychodząc z pokoju, wycelowała jeszcze w Pendera palec.

- I niech pan nie waży się jej przemęczać!

- Słowo harcerza - odparł agent.

Jervis uśmiechnęła się słabo.

- Aletha jest trochę nadopiekuńcza.

- Zauważyłem... i chwala jej za to. - Pender uśmiechnął się w odpowiedzi. Z jego doświadczenia wynikało, że lesbijki - jak prawie każda mniejszość - miały tendencję do postrzegania neutralnego, a nawet stosunkowo życzliwego tonu jako zawołanej dezaprobaty. Jednak on sam był zwolennikiem tak zwanego

„wywiadu współczującego”, dlatego nie omieszkał zaprawić swoich słów odpowiednio sutą dozą miodu.

- Niech pan się rozgości - powiedziała funkcjonariusz Jervis, wskazując na mały różowy fotel przystawiony do białoróżowej toaletki. Pistolet odłożyła na szafkę nocną, obok oprawionej fotografii, która przedstawiała ją i Winkle razem. Obejmowały się w talii na tle domu. Zdjęcie zapewne zrobiono w dniu, kiedy się wprowadziły, bowiem przy alejce, obok zielonego Volvo kombi, stała żółta furgonetka przeprowadzkowa firmy „ZwieźToSam”.

- Naprawdę pani tego potrzebuje? - zapytał Pender, wskazując głową na pistolet. Znał dobrze ten model - Glock kaliber.40 cala był standardową bronią przydzielaną aktualnie rekrutom w Akademii.

Jervis skinęła głową z zawstydzeniem.

- Wiem, że to głupie. Wiem, że gość siedzi, ale dalej się go boję. Nie widział pan go, nie uwierzyłby pan, jaki ten skurwiel potrafi być szybki.

- Rozumiem.

Pender delikatnie ujął filigranowy fotel i postawił go w pobliżu łóżka pod kątem czterdziestu pięciu stopni - co było zalecaną pozycją przy prowadzeniu wywiadu - po czym ostrożnie na nim usiadł, kładąc kapelusz na kolanach.

- Dowiedzieliście się może czegoś o tym draniu?

Pender potrząsnął głową.

- Żadnego punktu zaczepienia. Nie miał żadnych dokumentów, nawet portfela, tylko zwitek banknotów. Odciski palców to też porażka, jego dłonie to jedna wielka blizna.



**Laboratorium nadal pracuje nad rekonstrukcją.**

**Pender przysunął się nieco z krzesłem do łóżka - znak, że czas zacząć poważną rozmowę.**

**- Proszę mi opowiedzieć o zatrzymaniu. Jak go pani dorwała?**

**- Rutynowe zatrzymanie za złamanie przepisów drogowych.**

**Orzechowy Chevrolet Celebrity na kalifornijskich numerach przejeżdża na czerwonym na autostradzie numer 68, niedaleko Laguna Seca. Mężczyzna za kierownicą, jedna pasażerka. Błyskam światłami, on wciska gaz. Rozpoczynam pościg. Po kilku sekundach się zatrzymuje. Kiedy zbliżam się do pojazdu, widzę, że kierowca nachyla się nad pasażerką. Uznaję, że zapina jej pasy. Po czym obraca się do mnie. Szeroki uśmiech: „O co chodzi, pani władzo?”. Nie mam nawet odpiętej napy na kaburze.**

**Typowe pogwałcenie przepisów ruchu, może jeszcze ostrzeżenie w sprawie pasów.**

**- Ale kiedy zaglądam do środka, widzę tę blondynkę, nie miała więcej niż osiemnaście lat. Siedzi wyprostowana i zaciska obie dłonie na brzuchu. Ma na sobie biały sweter, jego dolna część wygląda jak pofarbowana w zachodzące na siebie czerwone pasy. Na jej twarzy... zdziwienie. Wie pan, po prostu... jakby zdziwienie. Nigdy nie zapomnę tego wyrazu. Pytam ją, czy wszystko w porządku. Ona unosi sweter, a spod niego wypadają wnętrzności.**

**Jervis zamknęła oczy, jakby próbując odpędzić to wspomnienie. Pender nie zamierzał na to pozwolić.**

**- Co się stało później?**

**- On trzyma w lewej ręce nóż. Zanim zdążę zareagować, uderza tak szybko i mocno, że z początku myślę, że mnie postrzelił.**

**Czułam się, jakby coś mi wybuchło w ustach. Przewracam się do tyłu, pluję krwią i zębami, próbuję sięgnąć po broń. Jest na mnie, zanim dotknę ziemi. Nie mogę wydobyć broni, ale zaciskam palce na kaburze, jakby od tego zależało moje życie.**

**Jervis skrzywiła się ponownie. Uniosła dłoń do szczęki.**

**- To wszystko, co pamiętam. Powiedzieli mi, że kiedy przybyło wsparcie, gość próbował zdjąć ze mnie pas. Trzymałam kaburę tak mocno, że musieli podwazyć mi palce.**

**- Ale figuruje pani jako osoba, która dokonała aresztowania. Roześmiała się ponuro.**

**- Chyba w ramach zadośćuczynienia. To było dwudziestopięciocentymetrowe ostrze, nóż Bowie. Słyszałam, że pamiątka z Alamo. Wybił mi wszystkie dolne zęby trzonowe po prawej stronie i wszystkie górne po lewej. O włos chybił języka, inaczej byśmy sobie tu dziś nie pogadali.**

**Jej blada cera zaczęła przybierać kredowy odcień. Wzrok powędrował w kierunku fiolki Vicodinu, która stała na białym wiklinowym stoliku obok łóżka.**

**- A ja obiecałem pani Winkle, że nie będę pani przemęczać...**

**- powiedział Pender. Wiedział, że nie zostało mu już dużo czasu.**

Szybko przeszedł do najważniejszego pytania, na jakie potrzebował odpowiedzi od ostatniej osoby, która widziała ofiarę żywą.

- Jeszcze tylko jedna rzecz i dam pani spokój. Chodzi o dziewczynę. Mówi pani, że była blondynką?

- Tak jest.

- Mogłaby być pani nieco bardziej dokładna? Była to platynowa blondynka, mysia blondynka, może jakiś inny odcień?

- uważał, żeby nie podpowiedzieć jej tego, co chciał usłyszeć.

- Nie. Bardziej w kierunku rudego - odparła zgodnie z jego oczekiwaniami.

- Był to może odcień, który ludzie czasem nazywają truskawkowym blondem?

- Tak jest, dokładnie taki. - Było widać, że każde słowo sprawia jej ból.

Pender poklepał ją po bladej dłoni złożonej na różowej poduszce.

- W porządku. Wszystko w porządku, moja droga. To naprawdę było pomocne. Nie musi już pani nic mówić.

Do pokoju weszła Aletha Winkle i obrzuciła Pendera groźnym spojrzeniem.

- Sam znajdę wyjście - powiedział agent.

- A następnym razem niech pan zadzwoni.

- Tak, proszę pani. Nie zapomnę - odpowiedział pokornie Pender.

Powaga Pendera ulotniła się szybko, kiedy tylko wyszedł z domu. Już na okolonej kwiatami dróżce zaczął nucić *And The Band Played On*, kawałek skomponowany przez Charlesa B.

Wanda i Johna F. Plamera w 1899 roku. Mimo upływu stulecia, ciągle był na tyle rozpoznawalny, że w roku 1997, na inauguracyjnym zebraniu ekipy śledczej, która miała zająć się sprawą dziewięciu zaginionych kobiet z dziewięciu różnych części kraju na przestrzeni dziewięciu ostatnich lat, Steven P. McDougal, szef Wydziału Łączności FBI, był w stanie zanucić kilka pierwszych linijek utworu z pamięci - i wiedział, że wszyscy obecni w pomieszczeniu agencji go rozpoznają.

W truskawkowym blondzie były długie włosy tej małej, A orkiestra grała dalej.

Przemierzał z nią parkiet i pożądał jej całej, A orkiestra grała dalej.

Jedynym elementem łączącym wszystkie zaginione kobiety był ów kolor włosów, dlatego McDougal ochrzcił nieuchwytnego porywacza imieniem „Casey”. Ale to Ed Pender zaśpiewał swoim melodyjnym tenorem następne dwie linijki: Jego wzrok wnet zapłonął, umysł zapalił, Dziewczyna biedna zadrżała ze strachu.

W pokoju zapadła martwa cisza. Przerwał ją McDougal.

- Ed ma złe przeczucia, chłopcy i dziewczęta - oznajmij, odchylając się w skórzanym fotelu u szczytu stołu konferencyjnego i obrzucając ich profesjonalnym spojrzeniem ponad szklankami.

- Postarajmy się, aby się nie potwierdziły.

Od czasu tego spotkania zaginęły w niewyjaśnionych okolicznościach dwie kolejne truskawkowe blondynki, ale śledztwo nadal utrzymywano w tajemnicy - głównie dlatego, że nie znaleziono żadnych ciał. A później, w czerwcu 1999, policjantka z hrabstwa Monterey, Terry Jervis, zatrzymała pewnego kierowcę, który przejechał na czerwonym świetle i wszystko się zmieniło.

Casey, ty skurwysynie, myślał Pender, wciskając się za kierownicę niebieskiej Corolli. Ty skurwysynie, mamy cię w końcu.

3

Na grani, wysoko w Górach Kaskadowych południowego Oregonu, znajduje się kurza ferma, a pośrodku niej stoi kobieta po pięćdziesiątce, ubrana w zielony fartuch z wysokim kołnierzem i maskę chirurgiczną. Ma włosy w kolorze truskawkowego blond. Rozrzuca ziarno, karmiąc stado dużych złotych kur rasy Orpington.

Jej ruchy są niezdarne, kręgosłup wydaje się sztywny. Dłonie wystające spod długich rękawów fartucha są szkieletowe, to tylko kości obciążone gładką, błyszczącą skórą. Karma wysypuje się z palców kobiety na ziemię. Ptaki tłoczą się u jej kostek i wślizgują pod fartuch, usiłując dobrać się do ziarna.

- Spokojnie, dzieci, wystarczy dla wszystkich - karcąco mówi kobieta. Jej głos jest stłumiony przez maskę i ma nietypowy tembr, wysoki i bezdźwięczny, nosowy. - Vivian, bądź grzeczna,

nie rozpychaj się. A ty, Freddie, opanuj się trochę. Nie zapominaj o swojej pozycji.

Freddie Mercury to jedyny kogut na całym podwórku, wyniosły dandys o długich złotych piórach i dumnie sterczącym karmazynowym grzebieniu. Kiedy kobieta kuca w ciemnym kurniku, on podąża za nią, gulgotem uspokajając kury, że nikt nie zamierza odbierać im dzieci.

I faktycznie, kościste palce kobiety podnoszą z brudnego siana tylko bezpieczeństwa jajka. Wszystkie są brązowe, niektóre ciągle ciepłe. Kobieta wkłada je do płytkiego koszyka, który wisi w zgięciu łokcia, delikatnie, ostrożnie. Kiedy kończy, kogut odprowadza ją do bramy i zostaje tam na straży. Staje przodem do stada i pilnuje, żeby żadna z jego puszystych złotych żon nie skorzystała z okazji do ucieczki.

Od kurzej fermy trzeba przejść kilkaset metrów przez ciemny jodłowy zagajnik, żeby znaleźć się przy psiarni, która stoi obok ogrodzonego wyjazdu z farmy, zamkniętego dwoma bramami.

Kręci się tam pół tuzina złotookich, czarnobrazowych rottweilerów o beczkowatych ciałach i krzepkich, szerokich, płaskich głowach, obdarzonych przez matkę naturę potężnymi szczękami zdolnymi zmiażdżyć z równą łatwością czaszkę owcy, jak i ramę rowerową. Psy witają kobietę, kręcąc zadami i merdając krótkimi ogonami.

Nieziemsko cicho, nieziemsko cierpliwie, psy czekają w

napięciu, gdy kobieta otwiera drewnianą skrzynię z dwudziestopięciokilogramowym workiem psiej karmy w środku i rozsypuje ją do sześciu misek, podpisanych imionami właścicieli (Jack, Lizzie, Bundy, Piper, Kiss i dr Cream), po czym wbija do każdej świeże jajo. Kiedy ostatnie jajko ląduje w ostatniej misce, a właścicielka wydaje popartą gestem komendę, dopiero wtedy psy rzucają się do jedzenia.

Kiedy psy kończą jeść, kobieta wypuszcza je przez bramę na zewnątrz. Rozbiegają się w sześciu kierunkach, jakby każdy z nich chciał się znaleźć tak daleko od psiarni i swoich towarzyszy, jak to tylko możliwe. Po kilku minutach same wracają.

- Dobre psy - mówi kobieta. Zamyka za nimi bramę i wprowadza do psiarni. Drzwi od psiarni zostają otwarte. - A teraz czas na czułości.

Opada sztywno na kolana. Psy ustawiają się do niej w kolejce, niczym grzeczne dzieci. Kobieta głaszcze je kościstymi dłońmi i całuje przez chirurgiczną maskę, aż w końcu jej umysł się nieco uspokaja, a strach przed samotnością chwilowo znika.

Pozostaje jej jeszcze tylko jeden obowiązek do spełnienia, najmniej przyjemny. Wizyta w suszarni. Kobieta decyduje się zrobić to dopiero po obiedzie.

4

Doktor Irene Cogan do tej pory tylko dwa razy przesłuchiwała skutego pacjenta. Pierwszy z nich, dziewiętnastoletni Paul Silberman z Woodside, zamordował swoją

matkę. Poćwiartował ją w wannie, kiedy ta brała kąpiel. Gazety nazwały to „morderstwem jak z Psychozy”, chociaż w rzeczywistości nie było tam żadnego prysznicza. Paul utrzymywał, że nie wiedział, co się z nim dzieje, że wszystko wydawało się tak nierealne, jakby był to sen. Utrzymywał, iż nie potrafił się powstrzymać, że był pewien, że w rzeczywistości śni.

Irene, jako specjalistka od schorzeń dysocjacyjnych, została poproszona przez obronę, by potwierdziła, że Paul doznał zaburzeń w postaci depersonalizacji i derealizacji. Jej zeznanie przyniosło efekt, chłopak został uniewinniony na podstawie niepoczytalności. Obecnie znajdował się na leczeniu w prywatnej, zamkniętej klinice w Pało Alto.

Ale Irene Cogan nie była idiotką ani dziwką obrony. Jej inny pacjent - David Douglas Winslow, pedofil i morderca - utrzymywał, że cierpi na dysocjacyjne zaburzenie osobowości. Irene zeznała jednak przed sądem, że zarówno ruchy jego oczu, jak i przewodnictwo elektryczne skóry\*[\* Chodzi tu o tzw. GRS (Gahanic Skin Response) - mierzenie przewodnictwa elektrycznego skóry, które jest jednym z uznanych narzędzi badawczych różnice pomiędzy jego różnymi osobowościami, co dowodziło, że symuluje.] wykazywały niewielkie

Obecnym miejscem zamieszkania Winslowa była cela śmierci w San Quentin. Chociaż dr Cogan była przeciwna karze śmierci, nie uroniła ani jednej łzy nad losem Winslowa, kiedy skończyły mu się możliwości apelacji. Wyplakała je wszystkie,



myśląc o jego małych ofiarach.

Doktor Cogan nie była psychiatrą kryminalnym. Wezwano ją tylko dlatego, że podejrzany utrzymywał, iż cierpi na amnezję dysocjacyjną. Było jeszcze za wcześnie, by stwierdzić na pewno czy symuluje, ale podejrzewała, że tak. Leczyła wcześniej ofiary amnezji dysocjacyjnej i wyglądały one zupełnie inaczej niż ten więzień. Nie trzeba było mieć wykształcenia medycznego, by odczytać zagubienie i niepewność w ich oczach.

Ale po co symulować amnezję? Więzień wydawał się inteligentny i biegły w psychologii. Musiał wiedzieć, że na przykład schizofrenia paranoidalna byłaby o wiele łatwiejsza do udawania. Oraz stanowiłaby silniejszą linię obrony.

Doktor Cogan nagle zdała sobie sprawę, że zadano jej jakieś pytanie.

- Słucham?

- Odplynęła pani trochę, co? - Więzień zarechotał. - Zapytałem, czy może nie przeczesałaby mi pani znowu włosów.

- Dlaczego? Nie wpadają ci już do oczu.

Odpowiedział jej śmiałym spojrzeniem. Irene zastanawiała się, czy te lekko rozbawione, nakrapiane złotem oczy były ostatnim widokiem, jaki tamta biedna, wypatroszona dziewczyna zobaczyła na tym świecie.

- Dla samego dotyku. psychologii. Poziom przewodnictwa elektrycznego skóry jest różny u różnych osób; zmienia się też w zależności od stanu emocjonalnego badanego. Jednym z

najbardziej znanych zastosowań tego fenomenu są wykrywacze kłamstw (przyp. tłum.).

Doktor Cogan zaniemówiła na chwilę. Sposób, w jaki użył słowa „dotyk” wydawał się wkraczać w jej sferę intymną.

- Przykro mi, nie wydaje mi się to odpowiednie - wydusiła z siebie po chwili.

- Proszę. To ważne.

- Dlaczego? Dlaczego to jest ważne?

- Po prostu jest. Proszę, niech mi pani zaufa. Nie zrobię pani krzywdy, słowo.

Trudna sprawa. Była to niewielka prośba, ale należało wziąć pod uwagę fizyczne niebezpieczeństwo, jak również potencjalne zaburzenie relacji lekarzpacjent. Z drugiej strony, prosząc ją o zaufanie, de facto oferował jej swoje. Potrzebowała tego zaufania, jeśli miała zamiar przeprowadzić wiarygodną analizę.

A przynajmniej tak sobie mówiła, kiedy pochyliła się ponad stołem. Delikatnie odgarnęła kosmyk włosów z jego czoła, po czym szybko zabrała rękę, kiedy oczy więźnia uciekły w prawo i do góry, a powieki zaczęły szybko trzepotać. Zanim zdążyła się na powrót usadowić na krześle, cała pewność siebie mężczyzny, cała buta, błysk w oku, dumnie wysunięta szczeka - wszystko zniknęło, pozostawiając po sobie małą, skuloną, żalosalną sylwetkę z podkurczonymi kolanami, łkającą jak dziecko przy akompaniamencie brzęczenia łańcuchów.

Zaczyna się, pomyślała Irene. Bez wątplenia ma zamiar teraz

**pokazać zupełnie inne objawy. Ale nie będzie to schizofrenia. Poprawiła się, by ukryć podejrzliwość. Czekala cierpliwie, aż płacz ustanie.**

**I rzeczywiście, kiedy więzień podniósł wzrok był innym człowiekiem. Jego twarz w kształcie serca wyglądała bardziej owalnie. Zaciśnięta szczęka rozluźniła się. Oczy stały się większe, bardziej okrągłe, jaśniejsze. A jego głos, kiedy wydukał przeprosiny, okazał się drżący i o oktawę wyższy.**

**- Pszeplaszam.**

**Więc jednak miało to być dysocjacyjne zaburzenie osobowości, znane kiedyś pod nazwą osobowości wielokrotnej. I musiała przyznać, że jeśli udawał, to był w tym dobry. Bardziej niż dobry, zdecydowanie lepszy niż odrażający David Douglas Winslow.**

**Ale zapewne należało się tego spodziewać, biorąc pod uwagę oczywiste wykształcenie psychologiczne więźnia i jego talent naśladowczy. Wiedział, że ruchy oczu to klasyczny znak przejścia z jednej osobowości do drugiej, czy - jak kto woli - alter ego, stąd ich ucieczka w prawo i do góry oraz trzepotanie powiek. Wiedział, że należało się spodziewać ekstremalnych zmian twarzy i głosu, i że wiele alter ego było dziecinnych, dlatego podniósł głos, rozluźnił policzki i otworzył szerzej oczy.**

**Jednak Irene wiedziała też, że jeśli nie udawał, to mogła to być najważniejsza sprawa w jej całej karierze. Na razie postanowiła postępować, jakby choroba była prawdziwa. Jeśli**

symulował, mogło to opóźnić odkrycie prawdy, lecz jeśli nie symulował, odmienne podejście mogłoby być katastrofalne w skutkach.

- Cześć - powiedziała miękko. - Jak się nazywasz?

Panika, zagubienie. Spojrzenie uciekło, powieki zatrzepotały.

Dziecko zniknęło.

- Słucham? - znów pierwsze alter ego. Szybkie, czujne spojrzenie wokół. Skute ręce więźnia nerwowo klepiące po udach.

Oba te gesty, rozglądanie się i dotykanie własnego ciała, Irene rozpoznała jako zachowania gruntujące, czyli gesty służące samoorientacji po zmianie osobowości.

I rzeczywiście, więzień wydawał się nieświadomy, że jego opalona twarz przybrała szarawy odcień. Wyglądał na zaskoczonego, kiedy Irene podała mu chusteczkę, by wytarł ślady po łzach i błyszczącą stróżkę pod nosem.

Jednak szybko ogarnął zaistniałą sytuację.

- Wygląda, że się tu przed panią trochę rozkleiłem.

Podciągnął kolana, opuścił ramiona i pochylił głowę, by wysmarkać nos. Kiedy się wyprostował, jego głos zmienił się po raz kolejny. Wydawało się, że to trzecie alter ego, wiekiem i wyglądem zbliżone do pierwszego, jest wrażliwsze, mniej zaczepne.

- To po prostu... takie trudne. Trzymać tę maskę cały czas.

Irene czekała, nie dając po sobie poznać, czy się z nim zgadza, czy nie.

- Nie możesz pozwolić, żeby dostrzegli w tobie słabość. Jeśli zauważą słabość, rozerwą cię na strzępy. Nawet strażnicy - wypuścił chusteczkę na kolana - szczególnie strażnicy. To o co pani pytała?

- Pytałam, jak się nazywasz.

Tym razem ruchy oczu trwały tak krótko, że zauważyć mógł to tylko ktoś z dużym doświadczeniem w leczeniu chorych na dysocjacyjne zaburzenie osobowości.

- Tak szybko zapominają - powiedział więzień swoim oryginalnym głosem. - Nie ma pani czasem przy sobie papierosa?

Irene tym razem nie pytała o imię, z pewnością był to „po prostu Max”.

- Wydaje mi się, że nigdzie w tym budynku nie wolno palić. Więzień roześmiał się lekko.

- Realistycznie rzecz biorąc, co najgorszego może nas spotkać, jeśli nas złapią? Do diabła, ryzykujemy wyrok śmierci za każdym razem, kiedy bierzemy papierosa do ust.

- Słuszna uwaga.

Irene była zaintrygowana i... zadowolona. Niezależnie od tego, czy symulował, czy nie, użycie pierwszej osoby liczby mnogiej przez pacjenta - to jest, więźnia - było dobrym znakiem, podobnie jak jego w oczywisty sposób przyjazne nastawienie do niej. Wydawało się, iż zmierzają szybko ku relacji, której zbudowanie wymagało zwykle o wiele więcej czasu. Nie miała zamiaru tego zepsuć.

A poza tym, szczerze mówiąc, zapalenie papierosa nie wydawało się w tej chwili takim złym pomysłem. Irene pogrzebała w torebce i wyjęła stamtąd paczkę Bensonów oraz zapalniczkę, a następnie przejrzała szuflady stołu w poszukiwaniu popielniczki. Nie znalazłszy takowej, postawiła na blacie pustą butelkę po Sprite, wydobytą z kosza na śmieci. Następnie wsunęła w usta dwa papierosy, podpała je i podała jeden więźniowi, zdając sobie świetnie sprawę, że jej zachowanie przekroczyło właśnie dopuszczalną granicę intymności.

Więzień zaciągnął się głęboko, mrużąc oczy od dymu.

- Już mi lepiej.

Irene nie odpowiedziała, ale czuła się podobnie. Zaciągnęła się z pietyzmem i powoli wypuściła dym przez nozdrza. Było to tak wspaniale grzeszne i retro, znowu móc palić razem ze swoim pacjentem. Kiedy pochyliła się, by strzepnąć popiół do butelki, zauważyła przeciągłe spojrzenie więźnia. Ewidentnie podobało mu się to, co widział.

Irene wyprostowała się na krześle, zaciągnęła szczelniej poły marynarki i obciągnęła spódnicę poniżej kolan, chociaż jej nogi i tak nie były widoczne. Przyszło jej do głowy, że traci kontrolę nad rozmową.

- W porządku. Zaufałam ci - powiedziała. Aktywowany głosem dyktafon znów zaczął szumieć. - Czy ty mi też zaufasz?

- W czym dokładnie? - zapytał, wypuszczając przy krótkiej pauzie smużkę niebieskiego dymu.

- W powiedzeniu mi prawdy.

- Co chce pani wiedzieć?

- Na początek, czy kiedykolwiek czuleś się, jakbyś był więcej niż jedną osobą?

- Mówi pani, że chce usłyszeć prawdę?

- Tak, oczywiście.

Schylił głowę, by wyjąć papierosa z ust. Nagle wyprostował się z maniakałnym uśmiechem.

- Prawda? O nie, nie zniesiesz prawdy! - zadeklamował wypłaszczonym głosem. Jego brwi ściągnięte były tak mocno, że wyglądał jak diabeł.

Irene zaśmiała się nerwowo, lekko przestraszona.

- Więc jednak udało ci się w to wciągnąć Jacka Nicholsona.

- Niezłe, co? Chce pani może usłyszeć...

- Nie! - ucięła ostro. Czas wrócić do rzeczy. - Kiedy spytałam cię wcześniej o imię, powiedziałeś, żebym nazywała cię

„Max”. Czy to twoje prawdziwe imię?

- To zależy - odparł słodkim tonem.

- Zależy od czego?

- Tego nie powiem.

- Dlaczego?

- Tego też nie powiem.

Irene spróbowała innego podejścia.

- Kiedy tu wchodziłeś, powiedziałeś mi, że rozumiesz swoje położenie. Młoda dziewczyna zginęła okrutną śmiercią,

prawdopodobnie z twoich rąk. Co czujesz w związku z tym?

Pochylił głowę ponownie, by włożyć papierosa w usta. Kiedy ją wyprostował, padł na twarz błękitnawy poblask jarzeniówek.

- Zagubienie - powiedział miękko.

Irene miała wrażenie, że znów zmienił osobowości, kiedy nie mogła tego widzieć. To było trzecie alter ego - przystojny, wrażliwy młody mężczyzna.

- Czuję zagubienie. Strach. I samotność, przynajmniej tak było jeszcze dziś rano.

- A co się stało później?

- Spotkałem panią.

Jego papieros wypalił się niemal do filtra. Kiedy Irene sięgnęła, by go wyjąć, usta mężczyzny prześliznęły się po opuszkach jej palców, delikatnie niczym skrzydła motyla. Dotyk ten był tak lekki i efemeryczny, że Irene nie była pewna, czy faktycznie miał miejsce. A tym bardziej, czy był to pocałunek.

Jednak w głębi serca wiedziała, że właśnie tak było. Poczula ukłucie podekscytowania, zbliżone do strachu, ale tak ostre i silne, że prawie erotyczne - i zdecydowanie niewłaściwe. Pomyślała, że kiedy spotka się ze swoją własną terapeutką, będą miały do przedyskutowania kwestię bardziej pikantną niż cokolwiek w ciągu ostatnich tygodni. Miesiący. Lat. Zaciągnęła się mocno papierosem, wdychając smród przypalającego się filtra.

5

- Pender, masz więcej jaj niż Hoover miał lasek - powiedział



**Aurelio Bustamante. Długoletni szeryf hrabstwa Monterey siedział za gigantycznym biurkiem, gęsto zastawionym pamiątkami i nagrodami. - Najpierw przesłuchujesz pan...**

**- Robię wywiad.**

**Pender siedział zgarbiony, żeby nie górować nad szeryfem - niskim, okrągłym człowieczkiem w brązowym garniturze i olśniewająco białym stetsonie. Pender sięgnął, by zdjąć własny kapelusz (zwykle nie nosił go w pomieszczeniach), ale się rozmyślił. To była Kalifornia, a jeśli trafisz między wrony...**

**- Przesłuchujesz pan jedną z moich podkomendnych, i do tego ranną, pozwolę sobie dodać, bez mojej wiedzy ani zgody.**

**A teraz chcesz pan przesłuchać jednego z moich więźniów, nie mówiąc mi nawet, co i jak? Ee. Nie sądzę. Chcesz mnie wyruchać w dupsko, brachu, to mógłbyś mi chociaż pogłaskać ptaka.**

**W kontaktach z lokalnymi przedstawicielami prawa agencji FBI spotykali się z całą gamą reakcji na ich obecność - od czolobitnego uwielbienia aż po głęboką urazę, zależnie od tego, ile razy miejscowi mieli wcześniej do czynienia z Biurem. Od razu było widać, że dla sześćdziesięcioletniego Bustamante nie był to pierwszy raz.**

**Ale Pender też nie był dziewicą. Postanowił spróbować obrócić niechęć szeryfa na swoją korzyść.**

**- Proszę mi wierzyć, szeryfie, w pełni pana rozumiem. Zaczynałem karierę jako szeregowy glina w biurze szeryfa na**

peryferiach Nowego Jorku. Jeśli już się pan upiera, że pana rucham, to mamy tu, kurwa, przekładaniec, bo mój szef wjeżdża mi tak głęboko w dupę, że musi zakładać kask ze światełkiem.

Zmarszczki wokół oczu szeryfa pogłębiły się niemal niezauważalnie w reakcji na ten pikantny opis. Pender nie odpuszczał.

- Szeryfie Bustamante, jeśli wydaje się panu, że FBI jest aroganckie wobec was, to nie wie pan, jak traktuje swoich. Zwłaszcza takich dziadków, jak ja. Zostały mi dwa lata do przymusowej emerytury. Próbują mnie skłonić, żebym odszedł wcześniej.

W ostatnim podsumowaniu z testu sprawności fizycznej nazwano mnie „najgorzej ubranym agentem w historii Biura”, a moje akta personalne mają tyle wpisów o pogwałceniu różnych procedur biurokratycznych, że wyglądają, jakby należały do jakiegoś zatwardziałego recydywisty. Jeśli wniosę do sądu o pozwolenie na przesłuchanie pańskiego więźnia, jego prawnik przyczepi się do tych akt jak smród do dupy i odejdę z niczym.

- Więc chuj z pana, nie agent. Co, mam się z tego powodu rozplakać? - Bustamante parsknął. - Jak pozwolę panu przesłuchać tego gościa pod nieobecność jego prawnika, i to wyjdzie na jaw, dobiorą się i do mojej dupy.

- Szeryfie, daję panu słowo, że nie zadam żadnego pytania w związku z obecną sprawą.

- To nic pan od niego nie wyciągniesz. Gość twierdzi, że ma

amnezję. - Bustamante wymówił to ostatnie słowo z wyraźnym niesmakiem.

- Proszę tylko o szansę.

- A jeśli to zrobię, to co pan zrobisz dla mnie? - Bustamante rozłożył dłonie i zaczął machać palcami w swoją stronę w uniwersalnym geście, który oznaczał: „Wyskakuj z tego, co masz, koleś”.

Pender podniósł trzydziestocentymetrową mosiężną tabliczkę z napisem „AURELIO BUSTAMANTE, SZERYF” i ustawił ją na środku biurka, przodem do gliniarza. Następnie ułożył w półkolu za nią szereg przedmiotów: przyznany przez Klub Kiwanis dla „Człowieka roku” zestaw do pisania w grawerowanej marmurowej obojmu; piłeczkę baseballową podpisaną przez całą ostatnią drużynę nieistniejącego już zespołu Salinas Peppers; oprawioną w złoto fotografię pani Bustamante, uśmiechniętej, w typie latynoskim kobiety o upiętych do góry siwych włosach, przed którą stała cała banda jej dzieci i wnuków; oraz srebrną odznakę z napisem „WIELKI SZERYF RODEO W SALINAS”, zamocowaną na podniesionej, solidnej drewnianej podstawie.

- Oto pan na pańskiej następnej konferencji prasowej. - Pender poklepał tabliczkę, po czym zaczął po kolei wskazywać na pozostałe przedmioty. - Tu jest pańska dzielna oficer Jervis, tu jest burmistrz i prokurator okręgowy oraz jacyś pana ludzie, których zechce pan nagrodzić chwilą medialnej sławy. Tu jest

pańska żona i reszta rodziny, a tu - rezydent FBI w Monterey, w ciemnym garniturze i staromodnym krawacie.

- Panie i panowie... - Pender uniósł tabliczkę z nazwiskiem szeryfa, potrząsając nią przy każdej sylabie, jakby była to kukielka. - Nazywam się Szeryf Aurelio Bustamante. Zwołałem tę konferencję, aby obwieścić, że Departament Policji Hrabstwa Monterey schwytał jednego z najbardziej niebezpiecznych i poszukiwanych seryjnych morderców w historii.

Bustamante sięgnął ponad biurkiem i przewrócił odznakę szeryfa rodeo, która reprezentowała agenta FBI, po czym odchylił się w fotelu i ułożył dłonie na swym okrągłym brzuchu.

- Jeśli to on, to już go mam. Do czego jest mi pan niby potrzebny?

- Żeby nie wyglądało to tak... - Pender przewrócił tabliczkę i przesunął odznakę w centralne miejsce. - Panie i panowie, nazywam się Agent Specjalny Twarz Miesiąca z Federalnego Biura

Śledczego. Parę tygodni temu pewien gość brutalnie zadźgał młodą kobietę, praktycznie na oczach FUNKCJONARIUSZA POLICJI HRABSTWA MONTEREY, na deser robiąc jeszcze owemu ciamajdowatemu funkcjonariuszowi szaszłyk z bużki.

Podejrzanego udało się w końcu zatrzymać, ale, niestety, ludzie z DEPARTAMENTU POLICJI HRABSTWA MONTEREY nie mieli, kurwa, zielonego pojęcia, kogo udało im się złapać.

**Na całe szczęście FBI swoimi własnymi sposobami udało się...**

**- Odłóż pan wszystko na miejsca - uciął szeryf Bustamante.**

**- I poczekaj pan na zewnątrz.**

**Pender pospiesznie uporządkował biurko. Wychodząc, dostrzegł, że szeryf sięga po telefon. Następne czterdzieści pięć minut agent garował w korytarzu na krześle. Kiedy ponownie został zawezwany przez sekretarkę szeryfa przed jego oblicze, Bustamante siedział odchyłony w skórzanym fotelu. Nogi w kowbojskich butach miał wywalone na biurko.**

**- Właśnie skończyłem rozmawiać z prokuratorem okręgowym. Oba nasze departamenty zamierzają w pełni współpracować z FBI, jeśli tylko nie zagrozi to dobru śledztwa. Jednak powiedział mi, że nie ma szans, aby pozwolić panu wypytywać więźnia pod nieobecność jego prawnika.**

**- To...**

**- Pozwól mi pan skończyć. Nie możemy pozwolić panu go wypytywać, tak. Ale zgodnie z orzeczeniem Sądu Najwyższego, człowiek osadzony w więzieniu nie ma prawa do prywatności, pomijając spotkania ze swoim prawnikiem. Nie ma żadnego prawa, które zakazywałoby umieszczenie w jego celi tajniaka, aby, i tu zacytuję prokuratora okręgowego, „prowadził czynności śledcze w związku z przestępstwami niezwiązanymi z tym, o co więzień jest aktualnie oskarżony”.**

**- To muszę być ja. - Pender zaczął układać sobie w głowie argumenty. - Minie kilka dni, zanim ktoś z pańskich...**

- To będzie pan.

- ...ludzi będzie mógł... Och. Świetnie. Dzięki. Kiedy?

- Jutro po południu. Nie możemy pana wsadzić do jego celi.

To zbyt niebezpieczne, a poza tym gość dostał miesiąc izolacji - zacznie coś podejrzewać, jeśli nagle stamtąd wyjdzie. Ale jutro będzie składał zeznania przed sądem. Stary pierdel obok budynku sądu jest nieczynny od siedemdziesiątego pierwszego, ale nadal używamy wschodniego skrzydła do trzymania więźniów pomiędzy posiedzeniami sądu. Możemy pana tam wsadzić razem z nim bez nadmiernego ryzyka - będzie skutki. Oczywiście, pan również, ale na to nic nie da się poradzić. Dostarczymy tam pana, a później sprowadzimy gościa, nieco wcześniej, niż przewiduje plan, żebyście mieli trochę czasu sam na sam.

- Chciałbym podkreślić, jak bardzo jestem panu wdzięczny...

- Zanim zacznie mi pan dziękować - uciał szeryf - chcę, żeby pan coś przeczytał.

Bustamante zdjął buty z biurka, nachylił się do przodu i puścił po blacie ksero raportu medycznego. Opisywał on obrażenia, jakich doznał niejaki Refugio Cortes, były kolega z celi bohatera rozmowy, pierwszego dnia ich znajomości w więzieniu okręgowym.

Pender przejrzał pobieżnie. Wgłębienia na obu kościach oczodołowych, złamany nos, złamane żebra, zmiażdżona miednica. Lekarzom udało się uratować członek, ale nie będzie on już nigdy zdolny do niczego poza odprowadzaniem moczu. O losie

**jąder i reszty zawartości moszny nie było co wspominać.**

**- Chciałbym mieć do tego jakieś zdjęcia, brachu - powiedział Bustamante. - Tak żebyś dokładnie wiedział, w co się pakujesz.**

**6**

**Poranek minął Irene Cogan na teście skojarzeniowym i Rorschacha, oraz stupytaniowym teście doświadczeń dysocjacyjnych. Test struktury osobowości zostawiła na sesję popołudniową - przebiecie się przez pełne 567 pytań MMPI-2 zajmowało większości ludzi parę godzin. Jednak wywiad kliniczny poszedł tak kiepsko, że po obiedzie (więźnia zabrano do celi; psychiatra kupiła sobie jakąś podejrzaną sałatkę z furgonetki zaparkowanej przy Natividad Road obok więzienia) Irene postanowiła go powtórzyć przed następnym etapem badania.**

**- Jaka jest ostatnia rzecz, którą pamiętasz przed obudzeniem się obok... - Irene ugryzła się w język. Pragnęła powiedzieć**

**„martwej kobiety”, ale nie chciała denerwować więźnia żadnymi mocnymi słowami. - Przed obudzeniem się w samochodzie?**

**- Uprawiałem miłość.**

**Wyglądało na to, że to znowu trzecie alter ego - to wrażliwe.**

**Uprawiałem miłość. Irene zastanawiała się, czy słowa te kiedykolwiek wcześniej padły w tym bezdusznym pomieszczeniu, wypełnionym ostrym światłem jarzeniówek.**

**- Mów dalej.**

- Na tylnym siedzeniu samochodu. Zaparkowanego pod sekwojami. Długie, proste kolumny światła sączą się przez gałęzie.

Ona klęczy... - Oczy więźnia przybrały rozmarzony wyraz. - Klęczy na tylnym siedzeniu, opiera się dłońmi o półkę. Ja jestem za nią. Kiedy się pochyla, promień światła rozjarza jej włosy. Są takie piękne, w odcieniu truskawkowego blondu. Rozgarniam je na jej karku i całuję za każdym razem, kiedy...

Zamknął oczy. Naprężył mięśnie brzucha. Wyrzucił biodra do przodu.

- A za każdym razem, kiedy ją całuję, wymawia moje imię.

- Co mówi? - Irene nie mogła przepuścić takiej okazji. - Jak cię nazywa?

Oczy więźnia otwarły się. Rozmarzony wyraz zniknął, zastąpiony chłodną, błyszczącą inteligencją.

- Powiedz mi - zapytał „po prostu Max”, pierwsze alter ego.

- Dawno nie miałem okazji spojrzeć w lustro. Mam może wytatuowane na czole słowo „głupek” albo coś takiego?

Szlag.

- Przepraszam. Proszę, mów dalej.

- Dziękuję, postoję.

- Nie, naprawdę przepraszam. Nie powinnam ci przerywać.

- Za późno na to - odparł zimno.

Ale kiedy Irene właśnie zaczynała się zastanawiać, czy to nie na jej czole powinno być wytatuowane „głupek”, więzień zmienił zdanie.



- Christopher - wyszeptał, pochylając się tak bardzo, jak tylko pozwalały łańcuchy. - Tak mnie nazywała.

- Rozumiem. Zatem tak się właśnie nazywałeś?

- Wiem, ale nie powiem. Sama się dowiedz.

Była to dość typowa dziecinna odzywka, jednak było coś w sposobie, w jaki to powoli wypowiedział, w rozbawionym wyrazie jego oczu, co kazało Irene podejrzewać głębsze intencje.

Wyzwanie? Oferta? Szansa?

Aby móc wypełnić test MMPI, Max/Christopher potrzebował wolnej ręki do pisania. Policjant niechętnie zgodził się na odłączenie kajdanków od pasa, ale nie zamierzał rozkuwać więźniowi dłoni. Nie zamierzał też opuszczać pomieszczenia.

Chciał mieć więźnia na oku, z gazem pieprzowym i krótką pałą w pogotowiu.

- Test składa się z pięciuset sześćdziesięciu siedmiu zdań - wyjaśniała Irene. - Chciałabym, żebyś...

- Jak pani powiedziała wcześniej, wiem, co i jak - przerwał jej.

- Muszę się upewnić, że...

- Niech pani nie obraża mojej inteligencji, pani doktor - powiedział powoli, z naciskiem. - Niech pani nigdy nie śmie obrażać mojej inteligencji.

Irene podała mu tępy miękki ołówek. Po raz pierwszy zobaczyła okropne blizny na wewnętrznej stronie jego dłoni. Kiedy zauważył, że mu się przygląda, zacisnął je w pięści. Po

chwili jednak zmienił zdanie i otworzył je przed Irene. Z trudem udało się jej zachować kamienny wyraz twarzy. Końcówki palców były kościste, prawie szkieletowe. Całkiem wyraźnie widziała klepsydrowate kształty paliczków pod lśniąca tkanką. Całe dłonie poznaczone były przecinającymi się białymi żyłami zrostów.

- Co ci się stało? - zapytała.

- Miałem bardzo inteligentny pomysł, żeby spróbować zgasić ogień gołymi rękami.

- To przeszczepy?

- Z pośladków - odparł i zaśmiał się gorzko. - Chyba powinienem się cieszyć, że nie mam włochatego tyłka.

- Ile miałeś wtedy lat?

- Za dużo, żeby mnie to rozgrzeszało.

- To musiało bardzo boleć.

- Powitałem ból z radością.

- Tak?

- Poczucie winy... To pali mocniej od ognia. - Widząc zainteresowanie w oczach Irene, przerwał. - I to wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat - dokończył i ujął ołówek lewą ręką.

- Możemy zaczynać, pani doktor.

- Dobrze... zaczynajmy.

Irene spojrzała na zegarek i zapisała godzinę - była 13:04.

Nie przegapiła ponownych ruchów oczu więźnia i trzepotania jego powiek - ewidentnie test miało wypełnić któreś alter ego.

**A przynajmniej chciał, by tak pomyślała.**

**Miała ze sobą kilka czasopism, żeby mieć co robić - spodziewała się, że test zajmie przynajmniej dwie godziny. Jednak ledwie zdążyła skończyć najnowszy numer „American Journal of Psychiatry”, gdy więzień oznajmił, że skończył.**

**Irene ponownie sprawdziła czas - 14:02 - i potrząsnęła z niedowierzaniem głową.**

**- Wiesz przecież, że jeśli odpowiadałeś na chybił trafił, wyniki to wykażą.**

**- Skala F, jak sądzę. - Z dumą wyszczerzył zęby. - Poproszę następny.**

**- Że co proszę?**

**- Chciałbym napisać jeszcze jeden MMPI. Zabrała pani ze sobą więcej?**

**- Tak, ale...**

**- Proszę.**

**- Ale dlaczego?**

**Pochylił się do przodu. Policjant, który siedział za nim i trochę z boku, na wpół uniósł się z krzesła.**

**- Sama się dowiedz - odpowiedział szeptem więzień. Po czym powtórzył jeszcze raz, na wypadek, gdyby nie zrozumiała odniesienia: - Sama... się... dowiedz.**

**Wiem, ale nie powiem, sama się dowiedz. Irene sięgnęła do torebki i wyciągnęła czysty arkusz na odpowiedzi.**

**Więzień ukończył drugi MMPI w nieco ponad godzinę.**

Ponownie przełączył swoje alter ego przed i po teście, ale uważał cały czas, by ani na moment nie podnosić głowy, aby Irene nie mogła nic wyczytać z jego twarzy.

- Kiedy mogę się spodziewać wyników? - zapytał, kiedy policjant przykuł już jego dłonie do pasa i opuścił pomieszczenie, zabierając ze sobą swoje rozkładane krzesło.

- Spodziewać... wyników?

- Tak, wyników. Wysyła je pani do kogoś, prawda? Do oceny? Czy robi to pani sama?

Irene uchyliła się od odpowiedzi.

- Dlaczego pytasz?

- Po prostu zastanawiam się, kiedy znów się spotkamy.

- W tym momencie nie mogę nawet ci powiedzieć, czy będzie następne spotkanie. Być może nie będę potrzebować kolejnego spotkania, by dokonać oceny. To w dużej mierze zależy od wyników testu.

- O to się nie martwię - odparł pewnie. - Kiedy tylko dostanie pani wyniki, będzie pani chciała przeprowadzić kolejny wywiad. Ręczę za to.

- Doprawdy? A można wiedzieć, dlaczego?

- Ponieważ nie widziała pani nigdy wcześniej kogoś takiego, jak ja.

- W takim razie - odparła Irene - z pewnością zbadam sprawę ze szczególną uwagą.

- S pewnością zbadam sprawę se szczególną ufagą.

Jego imitacja była znów porażająco celna, jednak tym razem pobrzmiwał w niej ton rozdrażnienia.

- Niech pani mnie nie traktuje protekcyjnie, doktor Cogan - dodał już swoim głosem. - Nie zrobiłem nic, aby zasłużyć na taki ton z pani strony.

- Masz rację, i przepraszam - powiedziała Irene szybko. - Będę oceniała te testy dziś wieczorem i, jeśli uznam, że potrzebna jest kolejna rozmowa, odbędzie się ona zapewne jutro lub pojutrze.

- Będę na to czekać - odparł.

Po raz pierwszy tego dnia Irene odwróciła się tyłem do więźnia. Uniosła słuchawkę czarnego telefonu, który wisiał na ścianie.

- Już prawie skończyliśmy - powiedziała do policjantki, która odebrała połączenie. Ta odparła, że zaraz kogoś przyśle. Kiedy Irene obróciła się i spojrzała na więźnia ponownie, odniosła wrażenie, że widzi czwarte alter ego - jego postać zgarbiła się, jakby nagle ogarnęło go zmęczenie. W prawym oku pojawił się nerwowy tik.

- Jjjeszcze jedno. - Jąkanie się było czymś nowym. - Jj-

- jeśli to możliwe, jeśli oookoliczności się zmzmzmienia, czy byłoby możliwe... Żżżebyśmy zostali pppani pacjentami?

- Nie lubię za bardzo teoretyzować - odparła Irene.

Poczula narastającą podejrzliwość. Prawdziwe osobowości, wielokrotne przez całe życie ukrywając się przed sobą nawzajem,

**bardzo rzadko używały pierwszej osoby liczby mnogiej.**

**Działo się tak dopiero po miesiącach terapii, jeśli w ogóle. Psychiatra wciągnęła na biurko skórzaną teczkę i zaczęła zbierać swoje rzeczy.**

**- Nie mogę stwierdzić niczego na pewno, dopóki nie postawię pełnej diagnozy. Moja specjalizacja jest wąska, nie wiem jeszcze, czy spełniasz warunki wstępne. Jedno jednak mogę ci powiedzieć. Nie będę leczyć pacjenta, który nie ufa mi nawet na tyle, by podać swoje imię.**

**- Rrozumiem - odparł więzień. Ruch oczu, trzepotanie powiek, kiedy tylko do pomieszczenia wszedł policjant. - Atak przy okazji - dodał szeptem. - Przed następnym spotkaniem może mogłaby pani po drodze kupić Camele bez filtra? W Bensonach nie ma dość nikotyny, by uspokoić szczura laboratoryjnego.**

**- Może - odparła Irene. - Jeśli będzie następne spotkanie.**

**- Dzięki - powiedział szybko, czując już na ramieniu dłoń policjanta.**

**- Wstawaj, Doe\*[\* W Stanach Zjednoczonych mężczyznę o nieustalonej tożsamości określa się zwyczajowo „John Doe” (Jane Doe w przypadku kobiety). Określenie to zwykle stosowane jest w odniesieniu do zwłok (przyp. tłum.).]. Idziemy.**

**- Jasna sprawa, szefie. Kto ma pałkę, ten rządzi.**

**- Do widzenia, Christopher - powiedziała Irene, zatrzasnąwszy teczkę. Chciała zobaczyć, jak zareaguje na to imię.**

- Mów do mnie Max - odparł, mrugając, prowadzony do wyjścia za łokieć.

- Do widzenia, Max.

Irene nie była pewna, czego, jeśli czegokolwiek, dowiedziała się z tej ostatniej wymiany zdań.

Więzień obrócił się raz jeszcze i mrugnął ponownie, tym razem uśmiechając się szeroko.

- Dobranoc, Irene - zawołał, kiedy policjant wyprowadzał go za drzwi. - Do zobaczenia w moich snach.

7

Nawet bez ostrzeżenia ze strony szeryfa Bustamante, agent specjalny E.L. Pender miał całkiem niezłe pojęcie co do tego, w co się pakuje (inicjały E.L. pochodziły od Edgara Lee, ale żaden Edgar w FBI nie używał raczej swojego imienia publicznie\*[\* Bohater pije tutaj do J. Edgara Hoovera, człowieka legendy, który stworzył FBI, a następnie przewodził tej organizacji przez ponad czterdzieści lat (przyp. tłum.)]). Przystąpił do FBI w siedemdziesiątym drugim, w wieku dwudziestu ośmiu lat, po przepracowaniu sześciu lat w policji hrabstwa Cortland i zdobyciu dyplomu z kryminalistyki, którą studiował w wolnym czasie. Potem musiał odpękać swoje, pracując pięć lat w rezydenturze Biura w Arkansas, zanim przeniesiono go do Nowego Jorku. Jego żona, Pam, też musiała swoje odpękać, próbując związać koniec z końcem w Nowym Jorku w ramach takiej samej pensji, jaką Pender dostawał w Arkansas.

W tamtych czasach FBI nie modyfikowało wysokości wynagrodzenia w zależności od kosztów utrzymania.

W późnych latach siedemdziesiątych Pender został przeniesiony do Waszyngtonu, gdzie miał pomóc Steve'owi McDougalowi - swojemu staremu kumplowi z akademii FBI - przy tworzeniu specjalnej jednostki do walki z seryjnymi mordercami, która miała koordynować dochodzenia pomiędzy różnymi jurysdykcjami. Miano nadzieję, że już nigdy więcej żaden seryjny morderca nie będzie mógł skorzystać na różnicach w jurysdykcji pomiędzy stanami.

Przez następne mniej więcej dziesięć lat Pender był jednym z bohaterów Biura. Ścigał seryjnych morderców po całym kraju, przeskakując od jednego śledztwa do drugiego, używając swych umiejętności gdziekolwiek były akurat potrzebne, a w wolnych chwilach przesłuchując w więzieniach seryjnych morderców na potrzeby programu VICAP - Violent Crime Apprehension Program\*[\* Program Powstrzymywania Brutalnych Przepstw.].

Jednak kiedy na horyzoncie pojawiły się lata dziewięćdziesiąte, zarówno kariera, jak i małżeństwo Pendera leżały w gruzach.

Zbyt wiele podróży, zbyt wiele miłosnych przygód po obu stronach i zbyt wiele chlania. Gdyby McDougal nie wspomógł go wówczas całym swoim niemalym autorytetem, Pender straciłby nie tylko żonę, ale i pracę razem z widokami na emeryturę.



**Z czasem Penderowi udało się zebrać do kupy, ale nie uratowało to ani jego małżeństwa, ani kariery. Od czasów rozwodu i długiego urlopu odwykowego, spędzał większość czasu za biurkiem, przeglądając ogólnokrajowe bazy danych kryminalnych i szukając oznak działalności seryjnych morderców.**

**Od czasu do czasu McDougal wysyłał go na przesłuchanie tego czy innego więźnia, który podejrzewany był o przestępstwa dokonane pod różnymi jurysdykcjami. Jednak wszyscy zainteresowani wiedzieli, że Pender nigdy nie będzie już pracował w terenie jako śledczy. Nie po fiasku z Reeford w Pensylwanii w 1994. Biorąc pod uwagę, co wtedy nabroił, ogłaszając konferencję prasową mimo wyraźnego zakazu upublicznienia sprawy, wydanego przez szefa grupy operacyjnej, mógł się cieszyć z faktu, że w ogóle zachował swoją pracę.**

**Szef grupy argumentował, że kobieta miała ponad osiemnaście lat i zostawiła liścik, w którym napisała niezbyt składnie, że ucieka w siną dal z mężczyzną swoich marzeń. Nie było żadnych dowodów na porwanie, żadnych śladów przemocy - słowem nic, co mogłoby uzasadniać alarmowanie opinii publicznej wieściami o kolejnym seryjnym mordercy na wolności.**

**Pender jednak przedstawił szefowi informacje, które zdobył, przeszukując bazy danych. Wedle jego najlepszej wiedzy, dziewczyna - Gloria Whitworth - przypadkowo była już przynajmniej szóstą truskawkową blondynką, która „uciekła w**

siną dal z mężczyzną swoich marzeń” na przestrzeni ostatnich sześciu lat - by przepaść bez wieści.

- Cała ta sprawa śmierdzi, jak stąd do Murmańska - argumentował Pender. - Mamy dane tych kobiet, jedne są ładne, inne zupełnie przeciętne, ale wszystkie mają śliczne włosy w kolorze truskawkowego blond. Żadna z nich też nie miała przedtem życia towarzyskiego, żadnych chłopaków.

- Aż tu nagle zakochują się w tajemniczym nieznajomym.

Gość unika jak ognia ich rodzin i przyjaciół. Brak fotografii, brak odcisków, tylko kilka przypadkowych, ale zgodnych opisów: niski, szczupły, przystojny, oczy ciemne, włosy ciemne albo tlenione.

- Mija tydzień od poznania tajemniczego nieznajomego - maksymalnie dwa - i już ich nie ma, uciekają z nim w siną dal i znikają bez śladu. Na Boga, człowieku, czego ci więcej trzeba?

- Może na przykład ciała? - odparł szef grupy. - Albo śladów przemocy? Czegoś więcej niż niejasne opisy, co by pozwoliło stwierdzić, że to faktycznie ten sam gość? Najmniejszy dowód na to, że stała im się jakakolwiek krzywda, o zamordowaniu nie wspominając? Biuro ściga seryjnych morderców, nie seryjnych podrywaczy.

Pender był w FBI wystarczająco długo, by znać ten tok rozumowania. Biuro od zawsze koncentrowało się na ściganiu, nie na prewencji. Ambitny menedżer wspinał się po szczeblach kariery poprzez pompowanie statystyk, lokując swoje zasoby w

**sprawach takich jak międzystanowe kradzieże samochodów, sprawach dających łatwo policzalne wyniki. Przypadki beznadziejne zostawiało się lokalnym stróżom prawa.**

**Jednak instynkt Pendera - a ściagał on już wówczas seryjnych morderców od prawie dwóch dekad - mówił mu, że publiczne ostrzeżenie dla wszystkich truskawkowych blondynek, żeby uważały na niskich, ciemnych, uroczych uwodzicieli, może uratować niejedno życie.**

**Pender posłuchał swojego instynktu, a nie szefa grupy. Tylko jedna jedyna lokalna stacja TV zdążyła nadać pierwszą i ostatnią konferencję prasową, zanim zostało to zabronione przez FBI.**

**Pendera w trybie natychmiastowym zawezwano do stawienia się przed komisją dyscyplinarną OPR\*[\* OPR - Office of Professional Responsibility - Wydział Odpowiedzialności Zawodowej.]. I tym razem McDougal wyratował go z tarapatów, ale Pender miał odtąd spędzić spory wycinek swojej kariery, prowadząc rutynowe procedury sprawdzania przeszłości potencjalnych pracowników rządowych, co w FBI było klasycznym przydziałem karnym.**

**Przez lata, które minęły od Reeford, zaginęło więcej truskawkowych blondynek, ale nigdy nikomu nie udało się już choćby przelotnie dostrzec tajemniczego podrywacza. Wydawało się, że jedynym pokłosem niefortunnej konferencji było tylko to, że Casey wzmógł czujność - a to zabolalo Eda Pendera bardziej niż jakiegokolwiek oficjalne reprimendy.**

**Gdy McDougal zgodził się sformować grupę operacyjną do badania sprawy Caseya (czy też „komitet eksploracyjny”, jak wolał mówić - McDougal wiedział, jak chronić swój tyłek; nie zaszedłby tak wysoko w Biurze bez dyplomu doktora unikologii), Pendera wypuszczono już z kompanii karnej. W uznaniu pierwszeństwa w odkryciu istnienia Caseya, McDougal przyznał mu miejsce w „komitecie”.**

**Jednak, w miarę jak mijał czas i wciąż nie znajdowano żadnych ciał, podejrzenia Pendera ponownie zostały poddane w wątpliwość. Stopniowo grupa operacyjna zmieniła się w jednoosobową krucjatę. Co najmniej raz w tygodniu Pender przeszukiwał krajową bazę danych osób zaginionych i pół tuzina innych systemów, szukając wzmianki o nowych zaginięciach kobiet, które w rubryce koloru włosów miały zapisane rudy blond lub truskawkowy blond.**

**Kiedy w czerwcu 1998 w krajowej bazie danych pojawiło się nazwisko Donny Hughes, Pender z początku uznał, że jest zbyt dojrzała, zbyt atrakcyjna i do tego zamężna, żeby pasować do profilu ofiary. Ale im dłużej przeglądał raport, dostarczony z filii w Dallas, tym bardziej był przekonany, że Casey zaatakował ponownie. Penderowi nie udało się przekonać McDougala, aby ten wysłał go do Dallas, ale przynajmniej namówił, by pani Hughes została umieszczona na liście prawdopodobnych ofiar Caseya.**

**A teraz pojawiła się Paula Ann Wiśniewski, młoda kobieta z Santa Barbara, której śmierć zaowocowała ujęciem pierwszego**

konkretnego podejrzanego od początku śledztwa w sprawie Caseya. Jedyne człowiek ogarnięty taką obsesją jak Pender zmuszałby Thoma Daviesa, eksperta FBI od baz danych, do cotygodniowego przygotowywania listy wszystkich zaginionych lub zamordowanych kobiet o rudych lub blond włosach z terenu całego kraju. Jedyne ktoś taki zauważyłby przy analizie tej listy różnicę pomiędzy kolorem włosów, który figurował w raporcie policyjnym (blond), a tym wpisanym przez koronera (rudy).

Pender natychmiast zażądał, by wysłano mu kolorowym faksem zdjęcia z oględzin zwłok. Niestety, chociaż zrobione polaroidem z lampą błyskową zdjęcia były, tak jak się spodziewał, przerażające, nie sprostaly oczekiwaniom z chromatycznego punktu widzenia. Ale ze względu na fakt, że aresztowany pasował do rysopisu Caseya z tamtych siedmiu prawdopodobnych porwań i że użył noża zakupionego w Teksasie - gdzie miało miejsce ostatnie z nich - oraz, przede wszystkim, ponieważ McDougal nie miał nikogo innego pod ręką, z oporami zgodził się wysłać Pendera do Kalifornii w celu przesłuchania podejrzanego.

Po rozmowie z funkcjonariusz Jervis przeświadczenie Pendera co do tego, że mieli do czynienia z Caseyem było tak wielkie, że gdyby tylko można było z podobną dozą pewności powiedzieć, iż lista ofiar była kompletna, agent na pewno nie narażałby życia, aby powiązać aresztowanego z wcześniejszymi zbrodniami.

Zamiast tego, po procesie przeprowadziłby przesłuchanie dla

programu VICAP, wyciągnąłby z potwora, co by się dało, po czym wróciłby do stolicy, by przejść na emeryturę, na którą FBI tak bardzo chciało go wysłać. Caseyem niechby zajęła się Kalifornia. Mieli tam już zastrzyki z trucizną. Drań zasługiwał na coś gorszego, no ale cóż można zrobić.

Ale tu chodziło nie tylko o to, że liczba ofiar Caseyego mogła być większa niż to podejrzewano. Istniała też możliwość, że niektóre z truskawkowych blondynek ciągle żyły. Prawda, szanse na to były niewielkie, ale Pender miał na to cichą nadzieję. Nigdy o tym nie mówił, nawet bał się dopuszczać do siebie podobne myśli - poza pewnym obrazem, który czasem gościł w jego umyśle.

Wizją, w której otwierał drzwi od piwnicy i znajdował w środku wszystkie: Glorię, Donnę, Dolores i inne. Patrzyły na niego z ciemności, wycieńczone, zmalretowane, ale żywe. Żywe.

To właśnie ta wizja - oraz zdjęcia z autopsji - pomogły mu się zdecydować. Na całe szczęście, tak wytrawny gracz jak Pender znał pierwszą zasadę radzenia sobie z biurokracją: lepiej prosić o wybaczenie niż o pozwolenie. Zatem, kiedy po urządzeniu się w hotelu Travel Inn w Salinas zadzwonił do biura, zgłosił tylko, że zamierza przeprowadzić przesłuchanie następnego popołudnia, w środę siódmego lipca, i powinien być z powrotem najpóźniej w piątek.

Następnie wywiesił na drzwiach tabliczkę „Nie przeszkadzać”, wziął prysznic i walnął się do łóżka, ubrany jedynie w maskę na oczy i zatyczki do uszu. Zamierzał porządnie

odespać poprzednią noc.

Jednak gdy tylko zamknął oczy, w mroku pod maską zaczęły przepływać mu twarze. Biedna Paula Wiśniewski, patrząca w osłupieniu na własne wnętrze. Twarz Terry Jervis poharatana suwenirem z Alamo. Gloria Whitworth i inne truskawkowe blondynki, twarze, które Pender widział jedynie w aktach, albumach, stojące w ramkach na kominku rodzinnego domu.

Nieruchome zdjęcia, ożywione teraz przez jego wyobraźnię, błagały go z otchłani mroku. Nie zapomnij o nas... Nie zapomnij o nas... Nie zapomnij.

Najmniej przyjemny jednak był obraz zmasakrowanego ciała Refugio Cortesa, który nadal leżał na oddziale zamkniętym Natividad Hospital, z nosem rozsmarowanym po całej twarzy.

Pender zastanawiał się, jak to jest mieć przed sobą perspektywę życia z pustym workiem mosznowym i fiutem przypominającym rozdeptaną kielbasę.

8

Wszyscy znali kawałek Goodnight, Irene. Ojciec Irene Cogan, Ed McMullen (znany w straży pożarnej i towarzystwie Hibernian jako „Spoko Edek”) śpiewał jej to do snu, kiedy akurat nie miał nocnej zmiany w remizie.

Dlatego Irene nie była szczególnie zaskoczona, kiedy więzień zapowiedział, że zobaczy ją w snach. Zrozumiała, co się wydarzyło dopiero, kiedy dotarła do samochodu. Nie zdradziła mu swojego imienia. Wstrząśnięta pobiegła z powrotem do więzienia i

powiedziała dyżurnemu na recepcji, że chce jeszcze raz porozmawiać z więźniem.

- Przykro mi, już wrócił do celi.

- To ważne.

- Wierzę. Ale nie mamy dość ludzi, żeby ciągać więźniów tam i nazad na każde zawołanie.

- Więc proszę mnie wpuścić do środka. Prowadzę ocenę na zlecenie sądu i...

- Wykluczone. Ktoś musiałby panią przeszukać, potrzebna też byłaby eskorta, nie mamy...

- Dość ludzi. Wiem.

- Tak czy siak, musi pani poczekać do jutra. Proszę zadzwonić rano.

Ton głosu klawisza był ostateczny, pożegnalny. Irene pogodziła się z losem. Ale nie mogła pozbyć się uczucia niepokoju.

Wracając samochodem do domu, próbowała rozwikłać w głowie zagadkę. Najpierw wyjęła z torby dyktafon i przewinęła taśmę do początku. Odtworzyła pierwsze kilka minut rozmowy, aby upewnić się, że nie użyła swego imienia przy powitaniu. Ale nie.

Następnie zatrzymała się na poboczu autostrady numer 68, położyła teczkę na kolanach i zaczęła przeglądać wszystko, co więzień mógł zobaczyć: testy, dokumenty, odwrotne strony kart do testów Rorschacha i skojarzeń - czy czasem jej imię nie było gdzieś zapisane. Też nie.



Irene mieszkała w dwupiętrowym domu ze sklejki i desek w Pacific Grove, małym miasteczku pięćdziesiąt kilometrów na zachód od Salinas, tuż poniżej Monterey, w centralnej części wybrzeża Kalifornii. Miejscowość była znana również jako Miasto Motyli, ze względu na zimowisko pięknych pomarańczowoskrzydłych owadów. Inna jeszcze nazwa, Ostatnie Prawdziwe Miasteczko, oddawała świetnie klimat tego miejsca. Można je było kochać lub nienawidzić. Irene darzyła je oboma tymi uczuciami naraz. Za dużo wspomnień - zarówno dobrych, jak i złych.

Nie potrafiła jednak opuścić domu, gdzie była tak bardzo szczęśliwa z Frankiem Coganem, przez tak bardzo krótki czas.

Zaparkowała pod wiatą. Swojego Mustanga z rozkładanym dachem kupiła kiedyś jako prezent dla Franka na jego czterdzieste urodziny.

- To tak na zaś, uprzedzając twój kryzys wieku średniego - powiedziała mu.

- Super - odparł. - A nie było w zestawie dziewiętnastoletniej blondynki?

- Był blondyn - zażartowała.

Skrzynka pocztowa była wypełniona po brzegi, ale Irene, obchodząc dom dookoła, na próżno przeglądała foldery i ulotki w poszukiwaniu listów. Wtorek był dniem reklam.

Wrzuciła wszystko do kubła na śmieci za domem i weszła do gabinetu przez tylne drzwi. Zawiesiła marynarkę na oparciu

fotela, włączyła komputer i wczytała przez skaner wyniki testów więźnia do programu psychometrycznego, po czym udała się do kuchni.

Popijając Chablis, przygotowała sobie sałatkę z pomidorów i awokado. Gdy pecet zajął się skanowaniem i ocenianiem drugiego MMPI, Irene zasiadła do przeglądania pierwszego.

- A niech mnie... - mruknęła, chociaż wyniki nie były aż tak bardzo zaskakujące. Przeprowadzając Rorschacha i test skojarzeń, zauważyła, że odpowiedzi więźnia były bardzo stonowane, wręcz ocierające się o banał. Nie widział żadnych potworów w plamach tuszu ani też nie dorabiał do obrazków z kart testu skojarzeń żadnych historyjek, które nosiłyby jakiegokolwiek ślady nienormalnych procesów myślowych.

Ale socjopatycznemu pacjentowi łatwiej byłoby zmanipulować testy projekcyjne niż oszukać MMPI, który wyposażono w kilka skal kontrolnych, służących wykrywaniu rozbieżności w odpowiedziach. Irene nie dostrzegła żadnych rozbieżności na wykresach. Nic nie wskazywało na to, żeby więzień w jakikolwiek sposób kombinował przy odpowiedziach.

Co do skal diagnostycznych, żadna z nich nie wykazała symptomów choroby psychicznej. Poziom paranoi był niski, jak na kogoś o jego oczywistej inteligencji; podobnie niskie były wskazania na skalach dewiacji psychopatycznej, schizofrenii, hypomanii, depresji, hysterii, męskości/kobiecości, psychastenii oraz introwersji społecznej. Jedynie w skali hipochondrii osiągnął

dość wysoki wynik, ale któż jest od niej wolny?

Problem polegał na tym, że profil nie tylko zupełnie nie pasował do typowego profilu osoby o dysocjacyjnych zaburzeniach osobowości (które zwykle zbierały tak dużo punktów w skali F, że rezultaty były, z technicznego punktu widzenia, nieprawidłowe - ekstremalna depresja i wielosymptomowy wykres zaburzeń ze szczególnie uwypuklonym poziomem schizofrenii) ani osiągniętego przez więźnia wyniku 90 w skali DES\*[\* Dwudziestopytaniowy test, mierzący poziom doświadczeń dyspozycyjnych pacjenta. Nie pozwala stwierdzić z całą pewnością, że pacjent cierpi na dysocjacyjne zaburzenia osobowości - większość badanych, którzy uzyskują wysoki wynik, to ofiary syndromu stresu pourazowego (przyp. tłum.)], ale też do jego przeszłości - a przynajmniej tej niewielkiej jej części, która była Irene znana. Jej zdaniem gość, który wypatroszył młodą kobietę i zmasakrował policjantkę podczas epizodu fugi dysocjacyjnej, powinien wykazać choć cień symptomów choroby psychicznej. Ale leżąca przed nią komputerowa analiza mówiła jednoznacznie, że Max/Christopher był najnormalniejszym człowiekiem pod słońcem.

Irene odłożyła analizę wyników drugiego testu MMPI na później. Uruchomiła program RORSCAN i załadowała do niego odpowiedzi więźnia na test Rorschacha, po czym odniosła talerz do kuchni, umyła go i poszła na górę, aby wziąć prysznic. Kiedy wróciła w szlafroku kąpielowym i ręczniku na mokrej głowie,

**energicznie chwyciła wielostronicowy raport RORSCANA, wypluty tymczasem przez drukarkę. Udało się jej jedynie wyczytać, że niezidentyfikowany morderca, z którym spędziła dzień był w każdym calu dobrze ułożonym osobnikiem, posiadającym wielkie zdolności empatyczne i wyraźne tendencje altruistyczne. Żadnych skłonności do nieskoordynowanej dynamiki ani chwiejnych, kontrastowych kolorów, które zwykle charakteryzowały pacjentów z zaburzeniami dysocjacyjnymi.**

**W normalnych warunkach oznaczałoby to właściwie koniec pracy Irene. Sprawa załatwiona od ręki. Tak, proszę sądu, oskarżony nie tylko jest w pełni zdolny do zrozumienia stawianych mu zarzutów i asystowania w swojej obronie, a przy odrobinie wysiłku mógłby odnaleźć się na sali sądowej znacznie lepiej niż ten przepracowany obrońca z urzędu, który go reprezentuje. To będzie tysiąc osiemset dolarów, dziękuję bardzo.**

**Wtedy właśnie Irene wzięła do ręki wyniki drugiego MMPI...**

**Bum! Wszystko się zmieniło. Ostry szczyt krzywej skali Pd, mierzącej dewiację psychopatyczną, górował niczym samotny Everest nad okolicą. Słaba kontrola impulsów... Agresywny...**

**Noszący w sobie urazę... Skłonny do przemocy... Czuje się wykorzystywany... Pragnie natychmiastowej gratyfikacji... Nie umie uczyć się na błędach... Tendencje psychopatyczne ujawniają się w sytuacji stresu...**

**Innymi słowy, klasyczny socj opata Grupy B. Nie dość**

byłoby powiedzieć, że każdy z tych testów wydawał się napisany przez inną osobę. Nie, były to na dokładkę osoby mające ze sobą tyle wspólnego, co Matka Teresa z Kubą Rozpruwaczem.

Dysocjacyjne zaburzenie osobowości? Bardzo możliwe. Ale jeśli tak, była to zupełnie nowa postać schorzenia - taka, gdzie dysocjacja była na tyle silna, a rozdział głęboki, że przynajmniej jedna osobowość mieściła się w normie zdrowia psychicznego, podczas gdy cała psychopatologia zawarła się w jednym lub więcej alter ego.

Serce Irene zabiło mocniej. Była już osobą znaną w kraju, ale jedynie w gronie kolegów swojej wąskiej specjalności. Taki przypadek jak ten, nietypowy, potencjalnie bardzo medialny, mógł wynieść swojego odkrywcę i badacza do wyższej psychiatrycznej ligi.

Irene opanowała się, zakłopotana, że pozwoliła się porwać snom na jawie. Czekają ją jeszcze wiele pracy, żeby upewnić się co do poprawności diagnozy. A diagnoza musiała być poprawna.

O wiele za dużo było ostatnimi laty przypadków dysocjacyjnych zaburzeń wywołanych przez lekarzy, błędnie zdiagnozowanych lub wprost sprowokowanych przez szarlatanów i dyletantów.

Wytworzyło to istną epidemię syndromu fałszywych wspomnień, a przy okazji podważyło autorytet również i prawdziwych specjalistów od zaburzeń dysocjacyjnych, takich jak ona.

Niezależnie od wszystkiego, więzień nie mylił się w dwóch kwestiach. Doktor Cogan nigdy wcześniej nie widziała czegoś takiego i z całą pewnością miała zamiar ponownie złożyć mu wizytę.

I kiedy Irene naląła sobie kolejny kieliszek wina i zapaliła Bensaona, to pomyślała, że ten przypadek, ten człowiek stanowił punkt zwrotny w jej życiu. Wiedziała, nie wiadomo skąd, że kiedy cała ta sprawa skończy się w ten czy inny sposób, nic już nie będzie takie jak kiedyś. Ani dla niej, ani dla niego.

9

Leżąc na pryczy wśród nocnej ciszy w swojej izolatce, Max czuł zadowolenie z dobrze wykonanej pracy. Nie licząc niewielkiej wpadki, kiedy Lyssy, ten rozmazgajony niemowlak, na chwilę przejął kontrolę nad ciałem, wszystko tego dnia poszło po myśli Maxa.

Christopher rozpoczął flirt z panią doktor. Max własnoręcznie napisał test doświadczeń dysocjacyjnych. Do wypełnienia trzech następnych wysłał Isha, a drugi MMPI oddał w ręce Kincha.

W ten sposób mógł być niemal pewien, że doktor Cogan postawi właściwą diagnozę - diagnozę dysocjacyjnego zaburzenia osobowości - myśląc przy tym, że sama na to wpadła.

Gdyby mu na tym zależało, wiedział to, mógłby z łatwością zmanipulować ją tak, by orzekła go czasowo niezdolnym do stawienia się w sądzie, lub trwale niezdolnym do stawienia się w

sądzie, lub też zdolnym do stawienia się w sądzie, lecz niewinnym z powodu nieczytalności.

Ale system osobowości, zbiorczo znany jako Ulysses Christopher Maxwell junior, nie miał ochoty zatrzymać się w hrabstwie Monterey na tyle długo, by doczekać procesu. Zbyt wiele obowiązków wzywało go na Wzgardliwą Grań. tymczasem jednak, zanim zorganizuje ucieczkę, dlaczego nie miałby skorzystać z okazji do spotkań z utytułowaną i atrakcyjną psychiatrą. Która zapewne zastanawiała się nadal, skąd, u licha, znał jej imię.

Nie, żeby miał jej za złe, że nie chciała się spoufalać z kryminalistą. On też nie chciałby, gdyby był doktor Irene Cogan, sławną w pewnych kręgach specjalistką od zaburzeń dysocjacyjnych, autorką Zaburzeń derealizacyjnych u dorosłych mężczyzn („Journal of Abnormal Psychology”, 1993), Mówiąc językami: trans dysocjacyjny i chrześcijaństwo zielonoświątkowe („Psychology Today”, 1995), Dysocjacyjne zaburzenia osobowości, prawdziwe czy udawane? („Journal of Nervous and Mental Diseases”, 1997) i wielu innych artykułów.

Mosze, który pełnił w systemie rolę osobowości MTP\*[\* Memory Trace Personality.], czyli eksperta od mnemoniki, nie rozpoznał jej od razu (mocno się zmieniła w porównaniu z tamtym małym czarnobiałym zdjęciem ze spisu współpracowników w „Psychology Today”), ale gdy tylko podała nazwisko, Max zaraz dodał dwa do dwóch.

Nieco starsza, włosy nieco dłuższe, nadal atrakcyjna. Kto by pomyślał, że do tego okaże się tak namiętna pod tą maską zimnej blondynki. Max nie musiał nawet opuszczać wzroku poniżej jej twarzy, a dłoń Irene już zaczęła błędzić koło guzików. Kiedy Christopher pocałował ją w dłoń, zrobiła się mokra.

Tylko dlaczego tleniła włosy! Nie, nie, nie. Panna Miller na pewno by tego nie pochwaliła. Ten odcień w stylu księżnej Diany zupełnie nie pasował do jej karnacji. Max założyłby się, że naturalny kolor włosów Irene był dużo bardziej zbliżony do truskawkowego blond. Wystarczyłoby tylko trochę różu, by dodać rumieńca jej policzkom, i trochę czasu, by włosy odrosły.

To ciągle mogło jej się udać, co najmniej tak dobrze, jak Donnie Hughes.

Donna, którą rok temu Christopher odbił bogatemu i niewiernemu mężowi z Piano w Teksasie, miała czterdzieści pięć lat. Była najstarszą z truskawkowych blondynek. Paula Ann Wiśniewski - jedną z najmłodszych.

Max westchnął. Paula Ann Wiśniewski. Głupia jak but, brzydka jak noc - nie licząc, oczywiście, włosów. Z początku wszystko szło dobrze. Podryw poszedł raczej gładko. Pracowała jako kelnerka w restauracji „Carrows” w Santa Barbara. Samotna, przeciętna, gotowa, by ktoś zawrócił jej w głowie. Nie była dziewicą, ale nie poznała wcześniej nikogo, kto potrafilby erotycznie czcić jej ciało tak, jak Christopher. Nikogo, kto by się



w niej na zabój zakochał, tak jak on.

Ale to Max wymyślił historyjkę o tym, dlaczego ich związek musiał pozostać w sekrecie. Był „podstawionym klientem” z sieci barów „Carrows” i gdyby wyszło na jaw, że chodzi z kelnerką, oboje straciliby pracę.

W ciągu trzech dni Paula Ann była gotowa pójść za Christopherem w ogień. Nie był to rekordowy wynik, ale i tak cholernie dobry. Jak zwykle, Maxwell zgromadził na Wzgardliwej Grani zapasy na cały miesiąc, więc postanowił zrobić sobie małe wczasy z nową dziewczyną i wybrał okreśną drogę wzdłuż wybrzeża.

Kłopoty pojawiły się niemal od razu. Paula Ann zaczęła tęsknić za domem, zanim jeszcze dotarli do Pismo Beach, i marudziła do samej Cambrii. W końcu, nieco na południe od Lucii, wjechali na leśną drogę i zatrzymali się pod sekwojami, kilkaset metrów od szosy, niedaleko strumienia.

Tam Christopher zaczął ją adorować tak, jak tylko on potrafił. Wszystko szło dobrze, ale ta głupia krowa nagle rozmyśliła się w połowie. Uznał, że tylko udaje nieśmiałą, że pragnie, by był bardziej stanowczy. I wtedy ześwirowała na całego. To był błąd. Christopher nie umiał sobie poradzić ze strachem. Ale Max umiał. On kochał strach, podniecał go. A kiedy Max był podniecony, mogła go powstrzymać jedynie impotencja albo przedwczesna ejakulacja. Kiedy było już po wszystkim, zaczęła się zachowywać, jakby ją zgwałcił.

**„Jak cię zgwałcę naprawdę, to się dowiesz, co to znaczy”, chciał jej odpowiedzieć. Zabiłby ją od razu, ale miał kardynalną zasadę, by nigdy nie zostawiać ciała. Dlatego załadował ją na przednie siedzenie i ustąpił miejsca Ishowi (który pełnił w systemie rolę wyrozumiałego wobec siebie i innych, nielicencjonowanego mistrza psychoterapii), by ten radził sobie z rozhisteryzowaną dziewczyną przez następne sto kilometrów.**

**Gdyby Ish miał na to dość czasu, być może udałoby mu się spacyfikować Paulę Ann przynajmniej na tyle, by dostarczyć ją na Wzgardliwą Grań. Jednak niespieszne kontynuowanie miesiąca miodowego nie wchodziło już w grę. Ish wybrał skrót przez autostradę numer 68 na wschód, zamierzając wjechać na drogę 101 w Salinas, a później trasą numer 152 dotrzeć do międzystanowej numer 5, co pozwoliłoby znaleźć się w Oregonie. Niestety, kiedy akurat próbował przekonać Paulę, że Max popełnił głupi, ale zrozumiały błąd i nie miał nic złego na myśli, na chwilę przestał zwracać uwagę na drogę i nie zauważył tego feralnego czerwonego światła w okolicy Laguna Seca.**

**Kiedy tylko zabrzmiała syrena, a w lusterku pojawił się trzykolorowy kogut wozu policyjnego, Max przejął kontrolę nad ciałem i kierownicą. Zamiast od razu zahamować, wdusił gaz do dechy. Nie miał wcale zamiaru próbować ucieczki w swoim biednym Chevrolecie Celebrity przed podkręconym Fordem Crown Victoria. Chciał tylko zyskać trochę czasu, który potrzebny był Kinchowi do uciszenia dziewczyny (Max mógł**

zrobić to samodzielnie, ale dlaczego miałby pozbawiać Kincha jego jedynej przyjemności?).

Kiedy Kinch wbił w podbrzusze Pauli swój pamiątkowy nóż, który Max kupił mu rok wcześniej w Alamo, i przyciągnął go ku sobie w dół, a później w górę, dziewczyna wypowiedziała tylko jedno słowo. Jedno słowo - „Och!” - a później cisza.

Z początku Kinch myślał, że mu się uda. Kiedy twarz policjantki znalazła się w zasięgu noża, w okolicy nie było widać żadnych jej kolegów. Ale gdy wyskoczył z samochodu, by ją wykończyć, chwyciła go i trzymała w żelaznym uścisku, pomimo noża przebijającego jej oba policzki.

Kiedy pojawił się drugi radiowóz, Kinch oddał kontrolę Maxowi, który szybko zorientował się, że w tym momencie nie ma szans na ucieczkę. Zamiast tego skupił energię na przygotowaniu sobie okazji na przyszłość. Zanim go dopadli, udało mu się odczepić od paska policjantki kółko z kluczami i rozrzucić je tak bardzo, jak tylko się dało - by nikt nie zwrócił uwagi na to, że jednego brakuje. Trzycentymetrowego, pojedynczego, pustego w środku klucza od kajdanek, który Max połknął.

Później, w areszcie, trzech policjantów tłukło go na kwaśne jabłko przez dobre pół godziny. Dwóch trzymało, podczas gdy trzeci wymierzał razy pałką w brzuch.

Łup! „Terry, zapamiętaj to imię, bucu”. Łup! „Terry”. Łup!  
„Terry”.

- Kim, u diabła, jest ten Terry? - zapytał, gdy wyjęli mu z ust

**gumowy knebel.**

**Okazało się, że Terry to nie „on”, ale „ona”. Tak nazywała się ta wścibska policjantka, przez którą powstało całe to zamieszanie. Kiedy powiedzieli mu, że przeżyła, odparł, że szkoda i kiedyś naprawi to przeoczenie. Nie było to tylko kozaczenie.**

**Raczej obietnica.**

**Wysrał klucz po dwóch dniach. Na całe szczęście Max był już w izolatce, inaczej grzebanie we własnych odchodach byłoby cholernie upokarzające. Ale teraz jedyne, czego potrzebował, to okazja do użycia klucza. Podejrzewał, że takowa pojawi się jutro, w drodze do lub z sądu.**

**Kiedy tak leżał z rękami pod głową i patrzył na spód górnej, pustej pryczy, pomyślał nagle, że nie musi narażać się bardziej, szukając kolejnej truskawkowej blondynki do zabrania na Wzgardliwą Grań.**

**Przecież znalazł już następczynię Donny. I to taką, która posłuży nie tylko szczególnym wymaganiom panny Miller, ale i systemowi. Czasami szczęście uśmiechnie się do człowieka.**

**10**

**Irene Cogan często zabierała pracę do łóżka. Miała tam mnóstwo wolnego miejsca; druga strona ogromnego łóża BeautyRest była pusta. Wręcz przerażająco pusta, odkąd Frank trzy lata temu odszedł. Nietrudno byłoby znaleźć ciepłe męskie ciało do zapelnienia tego miejsca. Mimo czterdziestu jeden lat, Irene była atrakcyjną kobietą, ale znalezienie prawdziwego faceta**

zaczyna-ło wydawać się jej cholernie mało prawdopodobne. Takiego, jak Frank Cogan, w każdym razie.

Oboje studiowali pedagogikę na Stanford. Był ogromnym mężczyzną, miał metr dziewięćdziesiąt, długie, piękne, falujące blond włosy i atletyczną posturę. Pobrali się na studiach. Frank porzucił swoje marzenia o malarstwie i zrezygnował z ostatniego roku studiów, by móc utrzymać oboje. Zaczął pracować na budowie i przeszedł przez wszystkie szczeble - od noszenia cegieł aż do własnej firmy budowlanej w Sand City. Ani jego włosy, ani sylwetka nie wytrzymały próby czasu - za bardzo kochał piwo i pizzę - ale dobry humor nigdy go nie opuścił, podobnie jak jego najwyższej próby - chociaż niewyćwiczony wedle standardów Irene - intelekt.

Chociaż minęły już trzy lata od jego śmierci, Irene nadal potrafiła udawać, że Frank tylko wyszedł do łazienki się umyć, że za chwilę drzwi się otworzą i stanie w nich w tej swojej niedorzecznej piżamie, którą kupiła mu w ramach żartu, gdy...

Zmusiła się, by przestać. Myślenie o Franku i zasypianie wykluczały się. Irene poczuła nagły gniew - na Franka, bo umarł; na siebie, bo wciąż za nim tęskniła; na Boga, bo stworzył ten cały egzystencjalny bajzel. Po chwili jej przeszło. Wzięła akta więźnia i przejrzała je jeszcze raz, od kopii raportu z aresztowania na pierwszej stronie, do kopii raportu biura szeryfa z napaści na Cortesa na ostatniej.

Irene usiłowała sobie wyobrazić, jak ten nieduży chłopięcy

mężczyzna, z którym rozmawiała, dokonuje tych wszystkich okropieństw przypisywanych mu w raporcie, ale nie była w stanie. Czy to stres i poczucie zagrożenia wydobyły z Maxa jego zbrodnicze alter ego, tę osobę, która wypełniła drugi MMPI?

A jeśli tak, to czy byłaby w stanie je przywołać, wzbudzając w nim poczucie zagrożenia lub stawiając go w inny sposób w sytuacji stresu? Chyba warto by było spróbować - tak długo, jak będzie skutki.

Ostatecznie Irene zasnęła, co nie oznacza, że udało jej się wypocząć. Pierwszy sen toczył się w podziemnym pomieszczeniu, gdzie spotkała się z więźniem. Wprowadzono tam Maxa zakutego w łańcuchy. Dopiero, gdy strażnik wyszedł, Irene zorientowała się, że oboje są nadzy. Max wyjaśnił, że to taki nowy rodzaj terapii. Odparła, że to ona jest lekarzem i sama powinna decydować o takich rzeczach.

Tak było do teraz, odparł Max, obchodząc biurko dookoła.

Ręce trzymał przed sobą, wnętrzami dłoni skierowanymi do dołu i stykającymi się kciukami, w klasycznej pozie dusiciela.

Irene spojrzała w dół i dostrzegła, że jest przykuta do krzesła.

Otworzyła usta do krzyku, ale Max nie zamierzał jej dusić. Zamiast tego uklęknął i delikatnie zdjął z niej kajdanki, nie używając klucza. Pomógł jej wstać. Objęli się, naga pierś do nagiej piersi.

Wtedy usłyszała owację. Po raz pierwszy spojrzała w górę i

dostrzegła, że stali przed wypełnioną po brzegi aulą, rząd za rządem postaci w maskach i kitlach, które biły im brawo. Max - a może tym razem był to Christopher - ponownie opadł na kolana i pocałował jej brzuch, po czym zaczął powoli przesuwać się w dół, tak jak lubiła. Tak, jak robił to Frank. Aplauz nasilał się, był już ogłuszający, niczym ryk fal orgazmu, który zaczął w niej wzbierać...

Według artykułu, który Irene przeczytała w „Journal of Human Sexuality”, mokre sny nie były wśród kobiet rzadkością, jednak tylko niewielki procent doprowadzały one do szczytowania. Ale to nie sam orgazm zaprzętał teraz myśli Irene, chociaż ostatni - we śnie czy na jawie - miała trzy lata temu. Problemem była tożsamość partnera, którego jej podświadomość sobie wybrała.

Na całe szczęście Irene była umówiona na spotkanie z Barbarą Klopffman, swoją terapeutką (i przyjaciółką, co nie spodobałoby się Amerykańskiemu Stowarzyszeniu Psychiatrycznemu, ale im świetnie pasowało), na ścieżce joggingowej o siódmej rano.

Irene i Barbarze zawsze udawało się łączyć bieganie z odrobiną plotkowania czy terapii. Zapowiadało się, że jutro czekało ich i jedno, i drugie.

11

Jest już po kolacji (pięknie upierzone kury rasy Orpington są nie tylko świetnymi zimowymi nioskami, ale też doskonale

nadają się na stół, z ich białą skórą, wydatnymi piersiami i soczystym mięsem). Kobieta zasiada w salonie na bujanym fotelu z mirtu, biorąc na kolana koszyk z przyborami do szycia. Pracuje przy zachodnim oknie dopóty, dopóki nie zapadnie mrok.

Rzecz, nad którą dziś pracuje, jest prawie gotowa. Trzydzieści do czterdziestu tysięcy włókien koloru rudawego blond, wplecionych w przezroczystą siateczkę za pomocą igły przypominającej haczyk na ryby. Ale dłonie, które dziś rano karmiły złotopióre kurczęta, zbierały jajka i głaskały rottweilery, składają się głównie ze skóry przeszczepionej na nagą kość. Kobieta jest w stanie co wieczór wpleść najwyżej kilkaset włókien, zanim palce nie zaczną odmawiać jej posłuszeństwa.

Mimo to jej chirurdzy byliby mile zaskoczeni, że dłonie te są w ogóle zdolne do czegoś, co wymaga takiej zręczności. Co prawda mięśnie dłoni zachowały dość siły, by utrzymać nóż (albo szpikulec do lodu), jednak naprawa skomplikowanych mięśni glistowatych do stanu, w którym kciuk i opuszki pierwszych trzech palców mogły w ogóle się zetknąć (nie mówiąc o utrzymaniu maleńkiej igły), zajęła wiele godzin chirurgicznej rekonstrukcji.

Jednak, pomimo bólu, praca ta sprawia jej przyjemność.

Jest relaksująca, odrywa umysł od rzeczywistości, pozwala na zadumę. Wymaga też o wiele więcej kreatywności niż można przypuszczać. Włókna muszą być nie tylko ułożone wedle długości, ale ich odcienie muszą się zgadzać i łagodnie przechodzić



jeden w drugi tak, by ostateczny efekt, co było szczególnie ważne, wyglądał naturalnie.

Kiedy pracuje, nie myśli o swoich problemach. Chłopaka nie ma już w domu od prawie pięciu tygodni. Nawet zeszłoroczna wyprawa do Teksasu po materiał, którego teraz używała, zajęła poniżej miesiąca. A co, jeśli coś mu się stało? Jeśli nigdy nie wróci? Co się stanie z tym życiem, które udało im się zbudować tu, na grani, bez sąsiadów, bez telefonu, z dala od nieprzyjaznych oczu, od pełnych współczucia - lub odrazy - spojrzeń? Kobieta wie, że nie jest w stanie przeżyć tu sama. Wie też, że chociaż jest wystarczająco zamożna, by zatrudnić sobie pomoc albo zamieszkać w najwyższej klasy domu opieki, to nie wszystkie usługi, które chłopak jej świadczył, dałoby się kupić za pieniądze. Na pewno nie kobiecie w jej stanie.

No i oczywiście były dodatkowe komplikacje. Takie jak na przykład kwestia suszarni.

**Suszarnia!**

- Szlag - mówi na głos. Zupełnie o tym zapomniała. Co prawda nic złego się nie stało. Opuszczenie jednego dnia od czasu do czasu to jeszcze nie jakieś wielkie mecyje, mówi sobie, biorąc kolejne rudozłote włókno z koszyka i unosząc je do gasnącego światła. Ale włókno wyślizguje się z jej palców i opada z powrotem do koszyka, niczym kobra na puszczonej od tyłu filmie z zaklinaczem węży. Czas skończyć na dziś.

Wąskie, strome schody prowadzą do jej sypialni na piętrze.

Rozbiera się. Odwiesza zielony fartuch. Ma dwa takie i dwa czarne, nosi je na zmianę i pierze ręcznie. Maskę zdejmuje na końcu, dopiero w łazience. Nie ma tam żadnych luster. Czyści maskę w zlewie i odwiesza do wyschnięcia na stelaż, obok ręczników. Myje zęby. To idzie szybko. Mimo braku lustra nie jest to trudne dla kogoś, czyje wargi zostały spalone aż do linii dziąseł.

Dziś się nie kąpie. Nie ma dla kogo. Ochlapuje się tylko ciepłą wodą pod pachami i między nogami, po czym zakłada koszulę nocną z cieniutkiego jedwabiu. Jedwab to jedyny materiał, którego dotyk toleruje jej skóra. Jeśli można to nazwać skórą.

Z tego powodu pościel na jej podwójnym łóżku jest również jedwabna. Kobieta siada na brzegu łóżka i wyciąga z nocnej szafki strzykawkę i małą ampulkę siarczanu morfiny, którą rano wyciągnęła z lodówki. Unosi prawą nogę, aż jej pięta oprze się o łóżko, przeciąga brzeg koszuli nocnej przez kolano i pozwala jej opaść do samego biodra, po czym wbija igłę w tylną część uda. Jest tam dobra skóra i dużo mięsa. Zabieg wymaga użycia obu rąk. Jedna szkieletowa dłoń trzyma strzykawkę, podczas gdy druga naciska na tłok.

Nie ma pośpiechu. Domięśniowo wstrzyknięty narkotyk działa powoli. Kobieta wyciera kropelkę krwi kulką bawełny i opuszcza koszulę, po czym wydaje z siebie przyjemne westchnienie.

Wylacza nocną lampkę, wślizguje się do łóżka i przykrywa aż pod brodę. Przetrwala bez niego jeszcze jeden dzień, ale nie było łatwo. Tęskni za nim równie mocno, jak za swoimi piersiami.

12

Lewa ręka więźnia przykuta była do krzesła. Prawą wyciągnął ponad stołem. Irene ujęła ją automatycznie, ale kiedy próbowała zabrać dłoń, palce więźnia zacisnęły się na niej. Zanim mężczyzna rozluźnił uścisk zdążyła pomyśleć, że był o wiele silniejszy, niż zdawała się na to wskazywać jego niewielka postura.

- Widziałem.

- Co takiego?

- Widziałem cię we śnie.

Istniał z tuzin sposobów na radzenie sobie z nachalnością pacjenta. Z jakiegoś powodu Irene nie mogła sobie żadnego przypomnieć. Zamiast tego z przerażeniem usłyszała, że mówi:

- Co miałam na sobie?

- Niewiele - odpowiedział więzień i otworzył usta, jak do śmiechu. Jednak jego szczeka nie przestawała opadać, twarz stała się nienaturalnie rozciągnięta, a kiedy pokazał zęby, Irene po raz pierwszy zauważyła, że jest w nich coś nieludzkiego. Za małe, zbyt ostre, zbyt wiele. W panice sięgnęła pod biurko. Gdzieś tu powinien być przycisk alarmowy. Jednak zamiast niego wymacała stopę. Więzień wyprostował nogę pod biurkiem i właśnie wsuwał między jej uda.

Złapała go za stopę, by ją odepchnąć. Miękki czarny but

został jej w rękę. Stwierdziła, że stopa rozpychająca jej uda jest twarda, rozszczepiona i włochata. Kopyto. Z krzykiem zabrała rękę, uderzając przypadkowo w przycisk. Zabrział odległy brzęczyk.

Z początku ledwo go słyszała przez śmiech więźnia, ale sygnał stawał się głośniejszy i głośniejszy...

Irene otworzyła oczy i zobaczyła, że cały ten hałas był dziełem budzika. Wtoczyła się do łazienki, dokonała skróconej toalety, po czym wciągnęła na siebie sportowy stanik i majteczki.

Na wierzch założyła spodnie od dresu i Tshirt z logo uczelni Stanforda. Zawiązała na nogach nowe Reeboki i ruszyła pieszo w kierunku Przylądka Zakochanych.

Przylądek Zakochanych, dawniej znany jako Przylądek Zakochanych w Jezusie, to skalisty obszar w większości pokryty starannie skoszonym trawnikiem. Z jednej strony ogranicza go płytkie kąpielisko, z drugiej ogromne rumowisko kamieni schodzące ku Zatoce Monterey. Barbara Klopffman była już na miejscu. Rozciągała się na tle spiętrzonych skał, sterczących z wody niczym nieobrobione jeszcze kamienne postaci z Wyspy Wielkanocnej. Za skałami można było dostrzec wydrę, która pływała na grzbiecie między wodorostami, usiłując dobrać się do małża trzymanego na brzuchu. Jej łapki obracające skorupę przypominały rączki dziecka.

- Już myślałam, że cię nie będzie - zawołała Barbara. - Spaaś choć trochę tej nocy? - zapytała, zerkając na zbliżającą się Irene.

**- Nie bardzo.**

Irene rozciągała się razem ze swoją niższą, ciemniejszą, grubszą oraz nieskończenie bardziej żydowską przyjaciółką i terapeutką przez następne parę minut. Później ruszyły truchtem wzdłuż nabrzeża, biegnąc ramię w ramię, gdy tylko szerokość ścieżki na to pozwalała. Nad Moss Landing po drugiej stronie zatoki wschodziło słońce, rażąc oczy refleksami światła na falach.

**- Przebadalam tego faceta, który w zeszłym tygodniu zamordował tamtą dziewczynę w samochodzie - zaczęła Irene.**

Na lewo od nich widać było pokłady zielonych omszałych skał, odsłoniętych przez silny odpływ. Białe mewy skrzeczały i zataczały kręgi. Tłuste portowe foki wypelzały na nadbrzeżne kamienie, by zacząć kolejną zmianę wygrzewania się na słońcu.

**- I to nie dało ci spać? - Oddech Barbary stał się już ciężki.**

Obie biegały od niedawna. Zarówno nadwaga Barbary, jak i nikotynowy nałóg Irene wymuszały niespieszne tempo.

**- Mniej więcej. Całą noc miałam o nim sny erotyczne.**

**- Opowiadaj, opowiadaj!**

Zanim Irene skończyła, zdążyły okrążyć Przylądek Pinos, gdzie dwa lata wcześniej samolot Johna Denvera rozbił się na betonowym nabrzeżu.

**- No i jak, jaki werdykt? - zapytała Irene, gdy zdołała złapać oddech. Pod nimi spienione fale Pacyfiku, uderzając o skały, rozбивały się w wodną mgielkę. Tarczę słońca przeciął klucz pelikanów.**

- Werdykt? Dziwny dobór... słownictwa. Masz... poczucie winy? - spytała Barbara pomiędzy gwałtownymi wdechami.

- To tylko taka figura retoryczna.

- Tak, Irene. A papieros to tylko dym. - Barbara wytarła sobie twarz brzegiem niewymiarowej koszulki. - Słuchaj, kotuś, nie jest tak źle.

- Zaczynij od dobrych wieści.

- Ewidentnie zaczynasz ponownie odkrywać swoją seksualność. Najwyższy był po temu czas, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Ile to już, trzy lata?

- Trzy i pół. Ale akurat on? Dlaczego?

- Ponieważ, z jednej strony, promieniuje seksualnością, i to z nutą niebezpieczeństwa, a z drugiej jest twoim pacjentem i na dodatek siedzi w zamknięciu, co czyni go bezpiecznym obiektem fantazji.

- Zatem, w czym problem?

- Problem jest taki, że to wcale nie jest bezpieczne. Z tego, co opisywałeś, wydaje się czarującym, atrakcyjnym, inteligentnym i ekstremalnie skutecznym w manipulowaniu ludźmi socjopata, próbującym zrobić ci wodę z mózgu. Co ewidentnie świetnie mu idzie.

- Więc co, twoim zdaniem, powinnam zrobić?

Barbara poklepała ją po kolanie.

- Postaw psychiczną gardę. Zakończ te badania tak szybko,

**jak możesz, a później pozwól mi robić za szadchen 8[\* Szadchen (z jidisz) - zawodowy swat (przyp. red.)] i skołować ci jakiegoś faceta, który nie jest pacjentem, nie spędzi za kratkami reszty życia, ani, miejmy nadzieję, nie jest osobowością wielokrotną.**

**- Rany, jakie nudy - skomentowała Irene, ale poczuła się lepiej. Z jakiegoś powodu rozmowy z Barbarą zawsze poprawiały jej samopoczucie.**

**Kiedy tylko funkcjonariusz wprowadził Irene do pokoju przesłuchań przez drzwi dla odwiedzających, około jedenastej przed południem, od razu dokładnie przyjrzała się biurku. Ku swojej uldze stwierdziła, że miało zabudowany front tak, jak sobie niejasno przypominała. Przynajmniej nie będzie musiała się martwić przez całe spotkanie, że Max zacznie smyrać ją swoim kopytem.**

**Parę minut później drugim wejściem wprowadzono więźnia.**

**Wymienili zdawkowe powitania. Kiedy tylko policjant opuścił pomieszczenie, Irene wyjęła paczkę Cameli, którą kupiła dla więźnia. Rozcięła celofan paznokciem, wytrząsnęła jednego papierosa, zręcznie ubiła końcówkę, wsunęła go między oczekujące wargi mężczyzny i podpałiła zapalniczką ze srebra i jadeitu, którą Frank podarował jej na ich ostatnią rocznicę.**

**- Niech pani też spróbuje - zachęcił ją. Jego twarz pływała w chmurze dymu.**

**Irene postawiła przed nim brązową popielniczkę z wbudowanym odsysaczem dymu na baterie.**

**- Zobaczy pani, jak smakuje prawdziwy papieros.**

**- Może kiedy indziej. Mam kilka pytań.**

**- Tak właśnie myślałem.**

**Trzymał papierosa w kąciku ust. Wypluł okruch tytoniu na wargę, na chwilę pokazując wyjątkowo ostry koniuszek języka.**

**Jego język, podobnie jak wargi, był zaskakująco ciemny.**

**- Na początek, skąd znasz moje imię?**

**- Zgadywałem. Monogram na pani aktówce. Ile żeńskich imion zaczyna się na „i”? - zapytał, po czym dodał, z przesadnym irlandzkim akcentem: - Zwłaszcza noszonych przez dziewczyny z mapą Eire wyrytą na ich nadobnych obliczach.**

**Irene zastanowiła się. Prawda, użył jej imienia dopiero po tym, jak położyła na stole aktówkę, żeby się spakować. A jej korzenie faktycznie były nie mniej irlandzkie niż Guinness i Paddy Power.**

**Z uczuciem pewnej ulgi wyjęła z teczki dyktafon, po czym położyła na stole i włączyła. Zamiast od razu przejść do spraw związanych z zaburzeniami dysocjacyjnymi, wybrała podejście pośrednie.**

**- Następne pytanie: wczoraj powiedziałeś mi, że obudziłeś się w samochodzie obok ciała młodej kobiety. Czy zdarzyło ci się to kiedykolwiek wcześniej?**

**Powtarzające się epizody fugi i przeskoki czasu były klasycznymi objawami dysocjacyjnych zaburzeń osobowości.**

**Max przekrzywił głowę z rozbawieniem.**



- Nie.

Zatem socjopata z nietypowo rozwiniętą zdolnością do manipulowania wynikami ustandaryzowanych testów psychologicznych. Ku swojemu zdziwieniu, Irene poczuła rozczarowanie.

- Rozumiem.

- To znaczy: „Nie, nigdy nie zbudziłem się w samochodzie obok ciała młodej kobiety”. Na Boga, Irene, miałaś prawie dobę na opracowanie tego pytania, a tu coś takiego?

Niedokładnie wypłuty okruch tytoniu nadal tkwił przyklejony do jego wargi. Próbując się go pozbyć, niechcący wypchnął go językiem na policzek, poza jego zasięg. Irene wyjęła z torebki chusteczkę, sięgnęła ponad biurkiem (dziś miała na sobie granatową marynarkę, nałożoną na lekki golf) i usunęła problem.

Podziękował tryumfalnym uśmiechem. Irene zanotowała sobie w umyśle, że więzień nie tylko lubi czuć umysłową wyższość nad innymi, co potwierdził ostatnią wypowiedzią, ale też czuje się dobrze w roli dziecka.

- Przeformułuję pytanie. Czy...

- Odpowiedź brzmi: „tak”.

- Rozumiem. Czy kiedykolwiek słyszałeś głosy?

Znowu to rozbawione przekrzywienie głowy.

- To znaczy jakieś inne niż takie, jak, powiedzmy, twój teraz?

- Przeformułuję. Mam na myśli głosy, które tylko ty słyszysz,

**pochodzące z wnętrza lub zewnątrz twojej głowy.**

**- Tak. Z wnętrza. Ale wie pani, co jest gorsze nawet od tego, że słyszy się czyjś głos w swojej głowie?**

**Do tej pory mówił kącikiem ust, wykrzywiając twarz, by uniknąć dymu. Teraz pochylił się do przodu i delikatnie, samymi wargami, umieścił papierosa na popielniczce.**

**- Tak?**

**- Poczucie, że ten ktoś również słucha.**

**13**

**Pender nie miał żadnego problemu ze zlokalizowaniem kompleksu sądowego hrabstwa Monterey, który mieścił się przy ulicy West Alisal w Salinas. Trzy budynki otaczały dziedziniec, poprzecinany krętymi chodnikami i sięgającymi do pasa labiryntami z żywopłotu. Przeszkłone napowietrzne przejścia, wspierające się na łukowato sklepionych kolumnadach, łączyły stare skrzydła, wschodnie i zachodnie, z brzydkim podłużnym pudłem, które stanowiło skrzydło północne. Z gzymsów spoglądały w pustkę kamienne postaci z historii Kalifornii - konkwistadorzy w hełmach, przycięci na pazia Indianie, osadniczki w czepkach, farmerzy w kapeluszach. Okna wszystkich trzech budynków miały framugi wykończone zaskakująco radosnym azteckim błękitem. Na środku dziedzińca mieścił się staw z wyspągrodem, pełnym wysokich purpurowych kwiatów. Urzędował tam pojedynczy pomarańczowy rajski ptak.**

**Stare rozsypujące się więzienie - beżowożółta dwupiętrowa**

forteca, wyposażona w zakratowane łukowate okna i ozdobne blanki - wznosiło się obok, po drugiej stronie wąskiej alei, która dzieliła je od zachodniego skrzydła. Grube ściany i pionowa elewacja budynku skojarzyły się Penderowi z Alamo, ale ozdobne ciemnozielone kraty z żeliwa oraz kinkiety wbudowane we fronton więzienia przywoływały na myśl dawny Nowy Orlean.

Pender zaparkował Toyotę na parkingu dla pracowników za więzieniem. Za przednią szybę włożył papier, który dano mu w biurze szeryfa. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że ma parę godzin do zabicia, zanim będzie mógł się spotkać ze swoim łącznikiem, porucznikiem Gonzalesem. Wtedy przypomniał sobie, co zawsze mówiła mu matka, kiedy wspominał, że ma czas do zabicia. Nie zabijaj czasu, wykorzystaj go!

Słusznie, mamó, pomyślał Pender i wyruszył eksplorować kompleks. Od razu zauważył rażące braki w ochronie. Nie było żadnych wykrywaczy metalu - bez problemu przemierzył kompleks wzdłuż i wszerz z pistoletem pod pachą.

Nikt też do niego nie podszedł, gdy stanął sobie w alejce i obserwował skutych więźniów w czerwonych, żółtych i zielonych kombinezonach, konwojowanych w tę i nazad pomiędzy białymi furgonetkami GMC opatrzonymi mottem „Strzeżemy spokoju od 1850”, a więzieniem, lub maszerujących sobie przez dziedziniec pomiędzy więzieniem a sądem, bez barier ograniczających dostęp osób postronnych.

Pender potrząsnął głową ze smutkiem. Przy takiej

organizacji katastrofa była jedynie kwestią czasu. Ponownie skierował swe kroki ku zachodniemu skrzydłu i wjechał windą na pierwsze piętro do baru z przekąskami.

Tok jego myśli przerwało dopiero kłopotliwie, przeciągające się milczenie kasjera. Po dłuższej chwili Pender zorientował się, że gość jest ślepy jak kret.

- Mam tu kanapkę tuńczykową i kawę - powiedział, wręczając kasjerowi pięciodolarowy banknot. Kolejna przerwa. - To piątka.

- Pan to chyba jest ze wschodu - powiedział kasjer, licząc resztę.

- Stan Nowy Jork, spoza miasta - odparł Pender, zastanawiając się, ilu klientów dziennie wręczało kasjerowi jednodolarówkę, mówiąc, że to piątka. Lub dycha. Albo dwie. - Jak pan zgadł?

- Powiedział pan „kanapka tuńczykowa”, zamiast „z tuńczykiem”. My tutaj wiemy, że kanapka jest z natury chlebowa, a tuńczyka to można do niej najwyżej włożyć.

Pender zasiadł przy pustym stoliku w rogu. Z zaskoczeniem stwierdził, że jest wyjątkowo spokojny, jak na kogoś, kto ma zostać zamknięty w jednej celi z mordercą. Minęły lata, odkąd Pender prowadził ostatnie śledztwo pod przykrywką. Popijając kawę i obserwując przez okno przyjemny dla oka dziedziniec, zastanawiał się, jakie podejście wybrać.

Wiedział, że najlepiej byłoby, gdyby to tamten rozpoczął

rozmowę. Jeśli tak się nie stanie, Pender zamierzał albo zacząć narzekać na prawnika - nie było kryminalisty w Ameryce, który by nie miał jakichś pretensji do swojego adwokata - albo opowiadać o swoich podróżach. Nie ma nic podejrzanego w opowiadaniu o miejscach, które się widziało. Zamierzał rzucić wiele nazw miejscowości, w tym jedną czy dwie istotne - takie jak Piano w Teksasie, Sandusky w Ohio czy San Antonio, skąd pochodził nóż. Być może któraś z nich sprowokuje reakcję.

Kiedy już podejrzany poczuje się pewniej, Pender planował powoli skierować rozmowę w stronę seksu. Powie, że kogoś zgwałcił, albo przynajmniej poturbował, może to skłoni gościa do zwierzeń. Nie spodziewał się bynajmniej, że tamten mu się zaraz ze wszystkiego wypowiada, ale tego rodzaju więzienne przechwałki potrafią być bardzo pouczające. Być może Caseyowi - jeśli był to Casey - wymsknie się jakiś obciążający go detal albo dwa.

Nagle Penderowi przyszło do głowy, że nie przygotował się do tej akcji tak dobrze, jak mógł, że powinien był porozmawiać z jedyną osobą, która miała z więźniem więcej do czynienia niż ktokolwiek od czasu nieszczęsnego Refugio Cortesa. Ta psychiatra, która go badała.

Ale jak się z nią skontaktować? Nie wiedział nawet, jak się nazywa. Przysunął krzesło do okna - jakoś nigdy nie potrafił do końca zaufać telefonom komórkowym - i zadzwonił do porucznika Gonzalesa. Niestety, nie było go w biurze. Pozwolił poczcie

**głosowej wykopać go do operatora, a ten połączył go z recepcją dla gości więzienia przy Natividad Road.**

**- Tu agent specjalny Pender z FBI. Próbuję ustalić nazwisko psychiatry, która odwiedziła Cas... - ugryzł się w język - waszego Johna Doe, więźnia numer... - otworzył notatnik i odczytał na głos cyfry.**

**- Przykro mi, nie mogę panu podać takiej informacji przez telefon - odparła funkcjonariuszka, która odebrała telefon. - Ale w rejestrze mam zapisane, że ze sobą rozmawiają - dodała ku zaskoczeniu Pendera, który szykował się już do werbalnego tupnięcia nogą. - Przy wyjściu będzie musiała się podpisać, mogę wówczas podać jej pański numer i poprosić, żeby oddzwoniła.**

**- Spoko.**

**Pender nie był przesądny, ale doświadczenie nauczyło go, że szczęśliwe zbiegi okoliczności, podobnie jak nieszczęścia, chodzą parami. Być może właśnie zaczynał się dobry ciąg.**

**14**

**- Dobrze, kochanie. Cofnijmy się głębiej. To znowu twoje urodziny. Dostałeś tort?**

**Sesja regresji hipnotycznej trwała już od dziesięciu minut.**

**Hipnoza poszła łatwo. Max/Christopher, podobnie jak większość osobowości wielokrotnych, okazał się wyjątkowo podatny. Po krótkich ćwiczeniach relaksacyjnych (co nie było łatwe z pacjentem, który siedział na krześle, skuty łańcuchami, zwłaszcza w tym chłodnym, relatywnie pustym, jasno oświetlonym**

**pomieszczeniu, składającym się głównie z płaskich powierzchni i kątów prostych - ale jakoś się jej udało) Irene kazała mu koncentrować się na kropce, którą narysowała na czystej kartce z notatnika.**

**Spokojnym powolnym głosem mówiła, że robi się coraz bardziej senny, a jego powieki robią się ciężkie, po czym wysłała go do jego najbezpieczniejszego miejsca. Na końcu wprogramowała mu słowoklucz, które miało go obudzić. To wszystko, podręcznikowa hipnoza, żadnych wodotrysków.**

**Kiedy był już w pełni zahipnotyzowany, zaczęła prowadzić go wstecz, przez kolejne dni urodzin. Kiedy dotarła do piątych, dostrzegła, że wywraca oczy pod zamkniętymi, drgającymi powiekami. To był pierwszy raz od początku sesji, kiedy się przełączył.**

**- Ciekoladowe ciasto. Ciekoladowa polewa. Lubię ciekoladę.**

**Więzień mówił teraz cienkim głosikiem. Wiercił się na krześle.**

**- Są na nim świecezki?**

**- A pewno. To przecież tort, głupia!**

**- Możesz policzyć świecezki?**

**- Pięć świecezek, jeden, dwa, trzy, cztery, pięć.**

**- Potrafisz przeczytać napis?**

**- Moje imię. To moje imię, Lyssy, el yy es es yy.**

**- Wszystkiego najlepszego, Lyssy. Pięć lat to jest coś, no nie?**

**Rozpakowałeś już prezenty?**

**- Dopiero po torcie! Nie wiesz, że prezenty można otwierać dopiero po torcie?**

**- A co dostałeś od mamy i taty?**

**- Dostałem rower. Był w pokoju, kiedy się zbudziłem. To czerwony Schwinn. Taki, jak ma Walter z za ulicy, tylko czerwony.**

**Tato powiedział, że jestem już za duży na rowerek dla dzieci. I nie ma kółeczek. Tato mówi, że kółeczka są dla tych, wiesz, ciotów.**

**- Opowiedz mi o mamie i tacie. Robią ci czasem coś, czego nie lubisz? Dotykają cię tak, że boli albo jest nieprzyjemne?**

**Pytanie naprowadzające, na granicy sugestii. Ale Irene dysponowała ograniczonym czasem. Poza tym to miała być tylko diagnoza, nie leczenie, a każdy pacjent z potwierdzonymi zaburzeniami dysocjacyjnymi był okropnie krzywdzony jako dziecko, i nie mówimy tu o klapsie w tyłek od czasu do czasu, ale o poważnych patologicznych zachowaniach.**

**- Czasem tato, ale może tylko mi się śniło. Mama mówi, że tylko mi się śniło.**

**- Co ci się śniło? Opowiedz mi o tym, co zrobił tato, a mama później mówiła, że ci się to śniło.**

**- Aha, za pierwszym razem leżałem pod kołdrą, na boku, i patrzyłem na tapetę. Mam w pokoju tapetę w baloniki, różowe i niebieskie baloniki, bo nie wiedzieli, czy będę chłopcem czy dziewczynką. A tu nagle widzę przez ścianę do ich pokoju, do**



pokoju taty i mamy. Siedzą na łóżku i patrzą w telewizor jak zawsze, mama w halce, tato w koszulce.

- Ale ich buzie są zmienione. Wyglądają jak stwory z Gdzie mieszkają dzikie stwory. Tato ma buzię lwa, a buzia mamy jest straszna i ma futro, i przypomina lisa. A ich normalne buzie, te ludzkie, leżą obok na łóżku, puste, gumowe i pomarszczone, jakby to te pyski stworów były prawdziwe, a te buzie to maski, które zakładają w dzień.

- To naprawdę brzmi jak sen, nie uważasz?

- Wiem. Nawet przyśniło mi się, że się budzę. I patrzę znowu na tapetę, ale już nie widzę nic przez ścianę. Ciągle się boję.

Chcę wołać mamę. Ale też się boję. Bo co, jak to było naprawdę?

Założyliby sobie maski ludzi i w ogóle bym się nie dowiedział.

- Więc schodzę z łóżka, ćśśś, naprawdę po cichu, i otwieram drzwi. W domu jest całkiem ciemno w nocy, poza światelkiem w korytarzu, żebym widział, jak idę siusiu. Na paluszkach po korytarzu. Widzę światło pod ich drzwiami. Mam pukać, zawsze pukać przed wejściem do pokoju mamy i taty, ale wtedy sobie przypominam, jak szybko umieją nałożyć te ludzkie maski. Więc próbuję przekręcić gałkę. Ale drzwi są zamknięte. Ale ja wiem, jak to otworzyć, bo raz Walter zamknął się w łazience i mama wzięła z szuflady szpikulec do lodu i wsadziła go w dziurkę w

**gałce i się otwarło.**

**- Więc idę do kuchni i biorę szpikulec, i wracam do pokoju mamy i taty, i wsadzam, i słychać szcęk, i można już kręcić gałką, i otwieram drzwi, i widzę mamę i tatę, i mają swoje normalne buzie. Ale nie patrzą w telewizor. Mama siedzi na krześle i jest cała naga i związana, a tato stoi nad nią i też jest cały nagi i jego siusiak jest cały czerwony i sterczy, i tato trzyma taką czerwoną świecę i kapie z niej, i widzę czerwone kapki na cyćusiach mamy.**

**- Wtedy mama mnie widzi i mówi: „O kurwa, kotku, mały tu jest”. Tato się obraca. Jego siusiak celuje we mnie, a ja nie mogę się ruszyć, nie mogę krzyczeć, zupełnie jak we śnie, ale wiem, że teraz to jest naprawdę. Nagle stoi nade mną. Wyciąga szpikulec z drzwi i ogląda go sobie, a ja wiem, po prostu wiem, że zaraz będzie lup!, normalnie wbije mi go w głowę, ale nie, podnosi mnie i zanosz do łóżka, i rzuca mnie na łóżko, i ściąga mi spodnie od piżamy, i nie chcę już o tym mówić, i nic więcej nie powiem za żadne skarby.**

**Irene nie zamierzała go zmuszać. Już samo wykorzystanie hipnozy w tak wczesnym etapie leczenia dysocjacyjnych zaburzeń osobowości było niekonwencjonalnym posunięciem.**

**Przypieranie teraz pacjenta do muru mogłoby doprowadzić do katastrofy.**

**- Lyssy, kochanie - powiedziała miękko. - Nigdy nie powinno się mówić o czymś, gdy człowiek nie czuje się na to gotowy.**

**Ale kiedy poczujesz się gotowy, to możesz śmiało powiedzieć**

mi wszystko. To minęło i już tego nie ma, tato nie wyrządzi ci więcej krzywdy. Mówiłeś wcześniej, że twoja mama powiedziała, że to był tylko sen?

- Koszmary. Następnego dnia powiedziała, że miałem koszmary. Zapytałem ją, skąd to wie, a ona, że krzyczałem przez sen.

A później spytała, co mi się śniło. Mówiła, że muszę powiedzieć, bo inaczej to się powtórzy.

- Więc mówię, że widziałem przez ścianę, jak ty i tato zdjęliście buzie i oboje byliście stworami i się zbudziłem, i poszedłem do waszego pokoju, żeby zobaczyć, czy to prawda, a on robił ci krzywdę, a później zdjął mi spodnie i mi też zrobił krzywdę.

- A ona na to, że to dowód, że to był tylko zły sen, bo tato nigdy by nas nie skrzywdził. Przynręka, że to prawda. Ale, mimo to, i tak bolał mnie tyłek, więc wiesz, co sobie myślę?

- Co takiego, Lyssy?

- Myślę, że albo oba sny były prawdziwe - ten, gdzie widzę pyski stworów przez ścianę i ten, gdzie idę do ich sypialni, albo oba były snami. A czasem sobie tak myślę: a co, jeśli wszyscy noszą maski ludzi? A co, jeśli wszyscy mają pod skórą pyski zwierząt. A czasami w łazience stoję na moich starych schodkach od kibelka - z czasów, gdy byłem malutki - i spoglądam w lustro, spoglądam naprawdę mocno i próbuję dojrzeć, jakiego ja sam mam zwierzaka pod skórą.

Znowu zaczął się bardziej wiercić. Irene spojrzała na zegarek.

Właśnie minęła dwunasta czterdzieści. Wolno jej było tu zostać tylko do trzynastej, a było ważne, by dać pacjentowi co najmniej piętnaście minut na dojście do siebie i reorientację po zakończeniu sesji hipnoterapii.

- W porządku, Lyssy. Rozumiem. Dziękuję, że zechciałeś się ze mną tym podzielić.

- Dobrze jest się dzielić. Jezus kazał się dzielić.

- Dokładnie, kochanie. Możesz być z siebie dumny. Teraz chcę, żebyś pomyślał o najbezpieczniejszym miejscu na świecie, jakie znasz, nie musi być prawdziwe, możesz je sobie wymyślić, miejscu, gdzie czujesz się najlepiej i najbezpieczniej, i proszę cię, żebyś się tam udał... Już tam jesteś? Zuch. Dobrze, a teraz posłuchaj: pięć, cztery, trzy, dwa, jeden... jablecznik!

Po raz kolejny Irene obserwowała gwałtowną zmianę w języku ciała więźnia. Wiercenie się ustąpiło. Zastygł w napięciu. Jego kark zeszywniał. Pokryte bliznami dłonie, którymi żywiołowo gestykulował jako Lyssy (na tyle, na ile pozwalały łańcuchy), teraz zamknęły się defensywnie w pięści. Kiedy otworzył powieki, jego oczy nerwowo ogarnęły pomieszczenie, po czym zatrzymały się na Irene.

- Co się stało?

Znowu wykonywał gruntujące gesty. Pocierał pięściami pomarańczową szorstką tkaninę swojego kombinezonu.

**- Wszystko w porządku, właśnie wyszedłeś z hipnozy.**

**Jęknął.**

**- Z kim rozmawiałaś?**

**Tym razem była kolej Irene, by zastygnąć w pełnym uwagi napięciu. To był krytyczny moment ich relacji. Nigdy wcześniej Max - jako Max - nie był tak blisko przyznania się do natury swojego schorzenia.**

**- Nie wiem, czy rozumiem pytanie.**

**- Przestań pieprzyć, Irene.**

**Jego dłonie napięły się jeszcze bardziej. Siłował się z kajdankami.**

**- Oboje wiemy, że jestem wielokrotny. Więc z kim, kurwa, rozmawiałaś?**

**Z tego co Irene pamiętała, nigdy wcześniej nie używał wulgarnego słownictwa. Jego twarz pociemniała z gniewu.**

**Zrozumiała, że udawanie niezrozumienia było błędem. Spróbowała mu to wynagrodzić.**

**- Z chłopczykiem o imieniu Lyssy.**

**- Z tą oferma? Co ci powiedział ten maminsynek?**

**Irene musiała natężyć całą swoją samokontrolę, by nie odsunąć się w tył. Nie widziała nigdy w niczyjej twarzy równie czystej żądz mordy.**

**- Opowiedział mi o pierwszym razie, kiedy był molestowany przez ojca.**

**- Na pewno nie powiedział ci, że sam to sprowokował.**

**Powiedział ci to? Powiedział ci, że to wszystko, kurwa, jego wina?**

**- Nie, nie uważał tak. Pamiętasz to zdarzenie?**

**- Nie, oczywiście, że nie pamiętam - wycedził z nieukrywaną pogardą. - Nie było mnie tam. Ale wiem o tym. Mały chujek włamuje się do sypialni rodziców, kiedy akurat to robią. Czego się, kurwa, spodziewał?**

**- Dobrze, dobrze, zrozumiałam, że jesteś zły. Chciałabym móc się tym od razu zająć, ale kończy się nam czas. Dlatego dam ci za to coś do przemyślenia przed naszą następną sesją. Twoja złość na Lyssy'ego. Czy może być tak, że jest niewłaściwie ulokowana? Czy może być tak, że bierzesz na siebie winę ojca, bo to w końcu nie jest bezpieczne, złościć się na swojego ojca, Max?**

**Więzień obrócił głowę na bok i splunął głośno na linoleum.**

**Kiedy znów zwrócił się do Irene, był spokojny lub przynajmniej się kontrolował.**

**- Coś do przemyślenia, co? To ja dam pani coś do przemyślenia, doktor Cogan. Po pierwsze, nie jestem Lyssym, a Lyssy nie jest mną. Po drugie, nie mam żadnego ojca i nigdy nie miałem.**

**I po trzecie, nie jest pani moją terapeutką. Sąd zlecił pani moją ocenę i dobrze pani wie, że nie będzie żadnej następnej sesji.**

**Więc skoro nie będzie mnie pani leczyć, doktor Cogan, to proszę mi, kurwa, nie pierdolić w głowie. To nie jest, kurwa, pani sprawa.**

**Irene nie miała nic przeciwko przeproszaniu pacjentów.**

**Radzenie sobie z osobowościami wielokrotnymi zawsze wymagało prób i błędów.**

**- Masz rację. Przepraszam. Nie zamierzałam mieszać ci w głowie.**

**Spoglądał teraz w dół. Przytaknął powoli, nie podnosząc głowy.**

**- Ale co do tej ostatniej rzeczy, którą powiedziałaś. - Irene, mimo ekscytacji, usiłowała zachować neutralny ton głosu.**

**- Gdybym to mogła załatwić, to czy chciałbyś być przeze mnie leczony? Być moim pacjentem?**

**- Bbardzo - odparł miękko więzień.**

**Kiedy podniósł głowę, Irene zobaczyła, że znowu się przełączył. To było to zmęczone, smutne, sepleniące alter ego o opuszczonych ramionach i tiku w prawym oku.**

**- Aale on nnnigdy na to nie pppozwoli.**

**- Kto? Kto na to nie pozwoli?**

**- Max.**

**- A jeśli uda nam się przekonać Maxa, że terapia pomogłaby i jemu?**

**- Nnnie uda się. On, nie.**

**- Dlaczego?**

**- Bbbo on... jest...**

**Irene patrzyła w osłupieniu, jak osobowość, siedząca po drugiej stronie biurka, zaczyna się rozpadać. Tik pogłębił się do tego stopnia, że już oboje oczu mrugało jak opętane. Twarz**

zbiegła się niczym pięść. Głowa zaczęła gwałtownie podskakiwać, gdy z trudem wydobywał z siebie kolejne słowa.

- ...jest demonem. Nazywa... się... Car...

Więzień nagle zemdlął. Osunął się na krzesło i przewrócił do przodu, uderzając głową w blat biurka. Irene skoczyła na nogi i sięgnęła w jego stronę, jednak po chwili zreflektowała się i skierowała ku ścianie z telefonem.

15

Pender pił właśnie drugą kawę, kiedy w jego kieszeni zaćwierkał telefon.

- Pender.

- Tu doktor Cogan. Irene Cogan. Zdaje się, że próbował pan się ze mną skontaktować?

- Pani jest psychiatrą, badającą Johna Doe, który zamordował w czerwcu tę młodą kobietę?

- To ja. Co mogę dla pana zrobić?

- Badam serię porwań podobnych do niej kobiet. Byłbym zainteresowany wszystkim, co może mi pani powiedzieć na ten temat.

- Gdybym nawet miała na to czas, to nie wiem, agencje Pender, czy byłoby etyczne, gdybym...

Pender zmusił się do zachowania spokoju.

- Doktor Cogan, ten człowiek jest głównym podejrzanym w sprawie dwunastu porwań. Za niecałe pół godziny zostanę z nim zamknięty w celi. Zakładam, że wie pani, co zrobił Refugio



**Cortesowi?**

**Po drugiej stronie na chwilę zapadła cisza.**

**- Wiem.**

**- Tak, a zatem wszystko, co mi pani powie, może mi pomóc sobie z nim poradzić i oszczędzić podobnego losu.**

**Pender niemal słyszał, jak psychiatra się zastanawia. Skrzyżował swoje grube palce na szczęście i spróbował przycisnąć ją jeszcze bardziej.**

**- Daję pani słowo, że nic z tej rozmowy nie wyjdzie poza nas dwoje. On nigdy się o tym nie dowie.**

**Minęło jeszcze parę sekund.**

**- Agencie Pender, czy słyszał pan o dysocjacyjnych zaburzeniach osobowości?**

**- Nie, nie sędzę.**

**- A może o osobowości wielokrotnej?**

**- A, jasne. Tak jak w Sybilli albo Trzech obliczach Ewy.**

**- Dokładnie. A raczej niedokładnie. Niech pan zapomni, co pokazywali w tych filmach. Nazwę schorzenia zmieniono kilka lat temu, by wziąć pod uwagę fakt, że alter ego tak naprawdę nie są różnymi osobami, lecz aspektami jednej i tej samej, zdysocjowanej osobowości.**

**- Jak to działa?**

**- Każdy przypadek jest inny, oczywiście. Ale wszystkie łączy historia okropnej przemocy, której doznawali od bardzo wczesnego wieku, czasem od niemowlęctwa, przez wiele lat.**

**- Przemocy seksualnej?**

**- Seksualnej, fizycznej, emocjonalnej, nawet diabelskiej, dowolnie. - Irene, która wykladała i pisała o tym schorzeniu od 1989 roku, przełączyła się na autopilota. - Dziecko nie ma sposobu, by obronić się przed przemocą, więc jego umysł dysocjuje się w samoobronie, tworząc mniej lub bardziej spójny system alter ego, by poradzić sobie z traumą.**

**- Teraz, dlaczego używamy słowa „system”. Otóż dlatego, że pomimo pozorów chaosu, alter ego działają razem, by pomóc dziecku - a później dorosłemu - poradzić sobie z otaczającym go światem. W ciągu wielu lat udało nam się sklasyfikować tuziny różnych klas alter ego. Mamy na przykład osobowość-**

**- gospodarza, której nie można mylić z oryginalną osobowością.**

**Gospodarz jest tym, który próbuje utrzymać system w ryzach.**

**Mamy również osobowości dziecięce, zamrożone w wieku, w którym powstały, przechowujące w sobie wspomnienia oryginalnej traumy.**

**- Jednym z najlepszych przykładów na to, jak alter ego działają razem, jest interakcja pomiędzy osobowościami oskarżycielskimi bądź samobójczymi, które próbują ukarać swoją osobę dla złagodzenia poczucia winy, a osobowościami obrończymi, których zadaniem jest chronić ciało przed krzywdą lub zaniedbaniem ze strony tamtych. Zwykle przejmują kontrolę,**

gdy oskarżyciele posuwają się za daleko. Na przykład, gdy samobójcze lub uzależnione alter ego przedawkuje narkotyki, obrońca zadzwoni po karetkę.

- Istnieją też osobowości ISH\*[\* Interna! SelfHelper.], które pełnią rolę wewnętrznych terapeutów, zapewniające perspektywę i dające rady, oraz MTP - osobowości mnemoniczne, które przechowują koherentne wspomnienia z całego życia pacjenta, niezależnie od tego, która osobowość akurat go kontroluje.

- Dalej mamy osobowości transseksualne i/lub promiskwityczne, których zadaniem jest dawać upust wzajemnie sprzecznym impulsom seksualnym, oraz administratorów i osobowości obsesyjnokompulsywne, które zajmują się rzeczami takimi, jak praca. Są alter ego autystyczne i kalekie, ujawniające się w chwilach wysokiego stresu. Alter ego ze zdolnościami artystycznymi; analgesycy, którzy nie czują bólu; impostorzy, potrafiący imitować nie tylko inne osoby, ale też i pozostałe alter ego; narkomani, próbujący uśmierzyć swój ból za pomocą różnych substancji.

Niektóre uważają się nawet za demony lub duchy.

- Pacjent może przełączać się pomiędzy alter ego o całkowicie odmiennych głosach, poglądach czy zachowaniach. W ciągu dnia może zdarzyć się to sto razy, dziesięć razy, czasem ani razu. Ważne jest, by wiedzieć, że samopozstrzeganie się pacjenta naprawdę się zmienia. Kiedy męczyzna jest pod kontrolą kobiecego alter ego, będzie się rzeczywiście postrzegał jako

kobietę, a dziecięce alter ego będzie się zawsze postrzegało jako dziecko, niezależnie od biologicznego wieku pacjenta. I nie chodzi tu tylko o samo postrzeganie. Kiedyś leczyłam szesnastoletnią anorektyczkę, która miała alter ego w postaci dorosłego mężczyzny.

Przejął nad nią kontrolę, kiedy leżała w szpitalu i była karmiona przez rurkę. Trzeba było aż trzech silnych pielęgniarzy, by go - ją - obezwładnić.

- Twierdzi pani, że ta dziewczyna naprawdę zyskała siłę dorosłego mężczyzny?

- To nie jest wcale odosobniony przypadek.

- Te alter ego... Wiedzą o sobie nawzajem?

- Jest z tym różnie. Każdy system działa wedle swoich własnych zasad. Niektóre dzielą się na podsystemy alter ego o wspólnych wspomnieniach i świadomości, niektóre są odizolowane.

Jednym z pierwszych zadań terapeuty jest zbudowanie z pomocą pacjenta mapy systemu i podsystemów.

- Brzmi skomplikowanie.

- To jest skomplikowane.

- Co mi pani może powiedzieć o naszym przypadku?

- Po pierwsze, musi pan nauczyć się rozpoznawać, kiedy zmienia osobowości. Zobaczy pan wtedy, że jego oczy uciekają na prawo i do góry, a powieki trzepoczą. Czasami alter ego, które właśnie przejęło kontrolę, będzie rozglądać się po pomieszczeniu.

Może też na przykład macać się po udzie - nazywamy to zachowaniem gruntującym. Co do samych alter ego naszego więźnia, przez większość czasu kontrolę nad ciałem wydaje się sprawować osobowość, która przedstawia się jako „Max”.

- Czy to Max jest tym, no, gospodarzem?

- Nie jestem jeszcze pewna. Jego zachowanie zupełnie mi nie pasuje do schematu. Większość gospodarzy jest lękliwa, cierpi na depresję. Spotkałam inne alter ego, które wydaje się pasować.

Nawet poprosiło mnie o pomoc. Ale zdecydowanie nie było osobowością wiodącą. Nazwało Maxa demonem. Wydaje mi się, że Max ukarał je za rozmawianie ze mną. Nie wiem, jak się nazywa.

Rozpoznaje pan po jękanii się i tiku prawego oka. Jest jeszcze dziecko o imieniu Lyssy, przez igrek, oraz uwodziciel o imieniu Christopher. Myślę, że to właśnie Christopher mógł uprowadzić tą Wiśniewski.

- Jak rozpoznam Christophera?

- Nie ma nic, co by się od razu rzucało w oczy. Nieco większa skłonność do kontaktu wzrokowego, nieco bardziej łagodny ton niż u Maxa. Ale może to dlatego, że jestem kobietą. Pan może w ogóle nie spotkać Christophera, oczywiście, jeśli nie jest biseksualny. Może też istnieje żeńskie alter ego albo alter ego o orientacji homoseksualnej.

- Więc, podsumujmy: Max, gospodarz z tikiem, Lyssy i Christopher. Tylko tych czterech?

- Tylko ich do tej pory spotkałam. Wydaje mi się, że dwóch

następnych napisało niektóre z testów psychologicznych, którym poddałam go wczoraj. Jeden z nich był podręcznikowym okazem zdrowia psychicznego, wypadł lepiej ode mnie. Drugi osiągnął wyniki typowe dla klasycznego socjopaty. Na tego chyba właśnie należy uważać, to on mógł zamordować dziewczynę. Z drugiej strony, może pan spotkać zupełnie inny zestaw osobowości niż ja. Spodziewam się, że dynamika w stresującym otoczeniu może być zupełnie odmienna.

Pender zerknął na zegarek - 13:50.

- Dziękuję, pani doktor, bardzo mi pani pomogła. Mogę zadzwonić po wszystkim, jeśli będę miał więcej pytań?

- Oczywiście. Podam panu numer do biura...

Pender zapisał go w notatniku.

- Jeśli mnie akurat nie będzie, może pan zostawić swój numer komuś z obsługi. Będą wiedzieć, jak mnie złapać.

- Świetnie. Jeszcze raz dziękuję, doktor Cogan.

- Nie ma sprawy. Aha, jeszcze jedno, agencie Pender. Na pana miejscu powziąłabym wszelkie środki ostrożności. Ponieważ jedno mogę powiedzieć na pewno o tym pacjencie: jedna z jego osobowości jest urodzonym mordercą. Co najmniej jedna.

16

Ciało Ulyssesa Maxwella spoczywało nieruchomo na pryczy w więzieniu okręgowym hrabstwa Monterey przy Natividad Road. Na jego czole leżała torba z lodem. Skóra nie była naruszona, opuchlizna już zeszła, a więzienna pielęgniarka, po konsultacji z

doktor Cogan, ustaliła, że więzień nie doznał wstrząsu mózgu - gdyby tak było, przetransportowano by go do położonego po sąsiedzku szpitala. Powodem, dla którego ciało spoczywało jak nieprzytomne, było to, że nikt nim akurat nie zawiadywał.

We wnętrzu głowy za to szalała burza. Max krzyczał o zdrajcach, których należało spalić, wyrzucić z umysłu lub skazać na wieczną banicję w mrocznych obszarach niebytu. Lyssy Ciota płaczkliwie zapewniał, że to nie jego wina, że nie chciał wcale się ujawniać, że to doktor go do tego zmusiła, a Ulysses, zdetronizowany gospodarz, nazywany przez pozostałych Ulysesem Beznadziejnym\*[\* W tłumaczeniu uciekła bardzo ciekawa gra słów. W oryginale pojawia się Useless (dosł. bezużyteczny) zamiast Ulysses (przyp. tłum.).], błagał o życie - kiedy tylko udało mu się wtrącić jakieś słowo.

Ostatecznie to Ish załagodził sytuację, przypominając, że całe to fiasko było przynajmniej po części winą Maxa, który, - w fałszywym poczuciu, że będzie w stanie kontrolować sytuację - pozwolił się zahipnotyzować.

Ish był jedynym alter ego, któremu wolno było krytykować Maxa, a przynajmniej poddawać w wątpliwość jego działania lub decyzje. Dyplomatycznie przypominał, że chociaż ich system był nową i lepszą formą osobowości wielokrotnej, to dysocjacja jest dysocjacją i każda z powiązanych osobowości, nawet Max - alter ego inne niż wszystkie - była z natury ogromnie podatna na

sugestie.

**Na pewno w przyszłości weźmiesz to pod uwagę, pocieszał**

**Ish. Ale tu i teraz, zamiast oskarżać się nawzajem, może powinniśmy raczej nie tracić czasu i myśleć, jak zminimalizować straty.**

**A idź się jebać, odparł Max. Już wymyślił, jak ograniczyć straty.**

**W następnej chwili, na nowo ożywione ciało wzięło głęboki uspokajający oddech, długie rzęsy zatrzepotały, powieki powędrowały do góry. Max zdjął z głowy torbę z lodem i powoli usiadł. Słyszał kroki strażnika krążącego po bloku. Odczekał, aż minie jego celę, po czym podwinął rękaw i sięgnął do wypełnionej uryną toalety, która stała obok pryczy. Toaleta i zlew były jedną bryłą z nierdzewnej stali - zlew na górze, toaleta na dole.**

**Max wyłowił z muszli swój trzycentymetrowy klucz do kajdanek, wymył go w zlewie, wysuszył więziennym ręcznikiem wielkości znaczka pocztowego i włożył sobie do ust.**

**Max wcześniej odwiedził już raz sąd. Jak by to powiedziała dr Cogan: wiedział, co i jak. Więźniów, którzy opuszczali nowe więzienie przy Natividad Road nie badano wykrywaczem metali, nie przeprowadzano też rewizji osobistych przed wejściem i wyjściem z sądu. A w starym więzieniu przy West Alisal w ogóle nie było wykrywacza.**

**Co prawda więźniowie powracający do nowego więzienia przechodzili kontrolę za pomocą bardzo czulego, najwyższej klasy**



wykrywacza metali, jednak Max nie zamierzał wracać na Natividad Road, czy z kluczem Terry Jervis, czy bez niego. Zamierzał za to, przy najbliższej okazji, osobiście go zwrócić właścicielce.

17

Tej środy, zaraz po czternastej, Pender spotkał się z porucznikiem Rigoberto Gonzalesem z Biura Szeryfa Hrabstwa Monterey. Oficer był po czterdziestce, miał nienagannie wyprasowany mundur i starannie przystrzyżony czarny wąs. Spotkali się w alejce obok starego więzienia, całkowicie opuszczonego, nie licząc pojedynczego bloku cel na parterze wschodniego skrzydła. Gonzalez zabrał Pendera z jasnego światła kalifornijskiego popołudnia w ponury więzienny półmrok. Zagroziły im drogę suwane kraty, ale Gonzalez skrzył w prawo. Pender wszedł za nim do małego, zagraconego, klaustrofobicznego pokoiku, który wyglądał raczej na biuro starej stacji benzynowej niż centrum dowodzenia miejskiego więzienia.

- Ma pan spluwę? - zapytał Gonzalez, dobywając z kabury własną broń, standardowego dla lokalnej policji Glocka kaliber .40 cala.

Pender podał mu swojego SIGSauera, rękojeścią naprzód.

Oficer obejrzał go.

- Myślałem, że nosicie teraz Glocki.

- Czuję się pewniej z SIGiem.

- Dziewiątka nie ma takiej siły rażenia, jak czterdziestka.

- Ale za to SIG ma samonapinacz. Zawsze mogę od razu strzelić ponownie.

W rzeczywistości Pender nigdy do nikogo nie strzelał, odkąd opuścił policję hrabstwa Cortland, ale przechodził systematyczne treningi na strzelnicy - zarówno z pistoletem, jak i ze strzelbą.

Po zamknięciu obu pistoletów w szafce i przedstawieniu Pendera funkcjonariuszom Frankowi Twombley i Deenie Knapp, którzy akurat pełnili służbę, Gonzalez przeprowadził Pendera przez biuro na drugą stronę krat. Następnie udali się w lewo do starego pokoju odwiedzin, teraz pustego, nie licząc pojedynczego metalowego blatu, przymocowanego do ściany niczym półka.

Okna, które niegdyś oddzielały więźniów od ich bliskich, były zabite dyktą, telefony zniknęły, pozostawiając po sobie jedynie druty sterczące ze ściany w metrowych odstępach.

- Może się pan tu przebrać - powiedział Gonzalez, wręczając Penderowi papierową torbę. Wewnątrz znajdował się pomarańczowy kombinezon, szara koszulka, białe skarpety i gumowe sandały.

Pender spytał go, czy kolory kombinezonów mają jakieś specjalne znaczenie.

- Pomarańczowe są dla zamkniętych za przestępstwa z użyciem przemocy, czerwone za pozostałe. Zielone są za wykroczenia.

- Więc jestem niebezpiecznym bandytą?

- Inaczej nie moglibyśmy posadzić pana z Rozpruwaczem.

**Przestrzegamy ścisłej segregacji więźniów.**

**- Nazywacie go „Rozpruwacz”? - zapytał Pender, rozkładając kombinezon i sprawdzając rozmiar. XXL, powinno wystarczyć.**

**- Widział pan, co zrobił tej dziewczynie?**

**- Niestety, tak. Widziałem zdjęcia z autopsji.**

**Gonzalez zostawił Pendera samego i wrócił po kilku minutach z kajdanami na ręce i nogi, łańcuchami oraz zamykanym na klódkę pasem, który łączył to wszystko w jedną całość. Gdy już skończył zakuwać Pendera, odsunął się na krok i skinął z aprobatą głową. Łysy, ogromny facet o groźnym spojrzeniu - Pender śmiało mógł robić za egzekutora w jakimś fikcyjnym gangu wyjętych spod prawa motocyklistów.**

**- Agencie Pender, na pana widok sam diabeł przeszedłby na drugą stronę ulicy. Za co mamy pana zamknąć?**

**- A na kogo dla pana wyglądam?**

**Gonzalez zmrużył oczy i obejrzał go od stóp do głów z teatralnym pietyzmem.**

**- Może na gwałciciela? Bez urazy.**

**- Nie gniewam się. Ale kto uwierzy, że z moją twarzą mam kłopoty z wyrwaniem dziewczyny?**

**Policjant wyszczerzył zęby.**

**- Biorąc pod uwagę pana twarz - powiedział - to pewnie powinniśmy zmienić na „seryjnego gwałciciela”.**

**Cele znajdowały się na drugim końcu korytarza. Gonzalez**

otworzył metalową szafkę przy wejściu do bloku, która zawierała panel kontrolny. Były tam cztery pionowe suwaki, umieszczone ponad solidnym stalowym kołem półmetrowej średnicy. Wszystkie znajdowały się w czerwonej, czyli zamkniętej, pozycji.

Gonzalez przesunął czwarty aż ten znalazł się w pozycji żółtej, po czym obrócił koło zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

Bezgłośnie zapytał: „Gotów?”.

Pender przytaknął.

- NO TO RUSZAJ SIĘ, PENDEJOI

Gonzalez popchnął go w ciemność za drzwiami. Pender zatoczył się w głąb korytarza. Po lewej stronie zamajaczyła mu wysoka, pozbawiona okien ściana. Po prawej kątem oka wylapał tuziny skrytych w cieniach sylwetek za sięgającymi od podłogi do sufitu kratami, widocznych tylko w postaci zarysu i ruchu, niczym nocne zwierzęta w zoo, gdy wyłączy się podczerwień.

A później, zanim jeszcze oczy zdołały się przyzwyczaić do ciemności, Pender został popchnięty przez kolejne drzwi i stał się jednym z nich.

18

Czterdzieści pięć minut później drzwi celi otworzyły się ponownie. Max wszedł niespiesznie do środka i usiadł na przymocowanej do ściany żelaznej prycy, tak daleko od swojego tymczasowego współlokatora, jak to tylko możliwe. Kiedy oczy przywykły do słabego światła, emitowanego przez migocące, zabezpieczone gęstą siatką jarzeniówki na suficie, zobaczył, że

tamten to kolejny cholerny goryl, równie wielki, co niedoszły nieboszczyk Refugio Cortes i nie mniej od niego nieprzyjemny z gęby.

Max poczuł nacisk ze strony Alicei, by pozwolił przejąć jej kontrolę. Nie ma, kurwa, mowy, odparł. Nie będziemy znowu przez to przechodzić.

Ish zgodziłby się z tą decyzją, gdyby oczywiście ktoś go zapytał. To on przeanalizował katastrofalny rozwój wypadków, który miał miejsce ostatnim razem. Kiedy Max poczuł się seksualnie zagrożony ze strony brutalnego Cortesa, wysłał Aliceę, by sobie z nim poradziła. Jednak jej kobiecy czar tylko rozpalił żądze Cortesa, który odsiadywał trzymiesięczny wyrok za posiadanie amfetaminy. W swym czarującym Pachuco\*[\* Dawna subkultura Meksykanów z południowozachodnich Stanów Zjednoczonych, jak również slang, którego używali (przyp. tłum.).] Latynos powiedział jej, by „nie gadała tyle, puto, chyba, że lubi brać verga w suche culó”.

Ale kiedy Cortes wrócił do celi po zgaszeniu (a raczej przygaszeniu) światel, nie czekała tam na niego Alicea, tylko Lee. Lee był alter ego, które uczyło się karate i kungfu, w szkole średniej uprawiało zapasy w kategorii do sześćdziesięciu pięciu kilogramów, a w poprawczaku boks. Ale kiedy Lee patrzył w lustro, nie widział tam szczupłego juniora wagi lekkiej, lecz twardego zawodnika wagi półciężkiej, o byczym karku i piersiach

jak pancerz Batmana. A fakt, że wszyscy wokół postrzegali go jako małego facecika, dawał mu niebagatelny atut do ręki w walce z przeciwnikami z „jego” ligi.

Kiedy Lee stawał przeciwko takim gorylom, jak Cortes, jego szybkość i zwinność liczyły się nawet bardziej niż siła. Co jednak dawało mu prawdziwą przewagę, to pewna sztuczka, której nauczył go jego dawny przyjaciel Buckley. Sztuczka, która pomogła przetrwać brutalne bijatyki, stanowiące główne źródło wieczornej rozrywki w poprawczaku hrabstwa Umpqua.

Manewr Buckleya był w swej istocie bardzo prosty, ale wymagał cholernie ciężkiego treningu i silnej woli. Należało ustalić swój pierwszy ruch ofensywny, po czym zacząć odliczać w duchu od dziesięciu w dół. Trik polegał na tym, by zaatakować w dowolnym momencie przed dotarciem do jedynki.

Trzy, pięć, czy nawet dziewięć, moment nie miał znaczenia.

Nie mógł jedynie być z góry ustalony. W ten sposób przeciwnik nie mógł dojrzeć typowych sygnałów zagrożenia, takich jak napięcie mięśni czy ruchy oczu, które zwykle poprzedzały atak. To czyniło manewr wyjątkowo efektywnym przeciwko doświadczonym wojownikom, którzy wyrobili w sobie szczególną uwagę na dokładnie tego rodzaju wskazówki.

Oto więc Cortes, otacza go smród, jego wacek kiwa się w półmroku. Dla Lee granie w tę grę jest obrzydliwe, ale wciela się w rolę Alicei na tyle długo, by uśpić czujność bydlaka... dziesięć... klęka przed wielkim facetem... dziewięć... głaszcze mu ptaka, aż

ten stanie się twardy... osiem... pobudza go mocno, zaciskając na nim obie dłonie, poruszając je w tył i w przód, kręcąc kutasem w kółko... siedem... jakby przygotowywał go do seksu oralnego. Sześć... pięć...

Zaatakował przy czwórce. Wygiął członka Cortesa w połowie, jakby łamał badył. Cortesa na chwilę sparaliżował ból, który musiał być niewyobrażalny, co dało Lee dość czasu, by wyprostować się i wyprowadzić cios krawędzią lewej dłoni w jabłko Adama, a zaraz później drugi - podstawą prawej w nos.

Cortes stracił przytomność, zanim dotknął ziemi, co nie powstrzymało Lee od skakania po jego klatce piersiowej, ani od zdjęcia mu kombinezonu, przewrócenia na plecy, rozłożenia nóg na tyle, by części intymne opadły na podłogę i zmiżdżenia ich obcasem, jak miażdży się niedopalek papierosa.

Funkcjonariusze, którzy nadzorowali blok, zareagowali szybko, ale było już za późno, by uratować cokolwiek poza życiem Cortesa. Całe zdarzenie zajęło nie więcej niż trzy minuty {Naprawdę, tak szybko, Lee? No bez jaj, skomentował Max z właściwym sobie poczuciem humoru). Tym razem to Lee wziął na siebie razy od strażników. Nie miał nic przeciwko. Ból tylko czynił go silniejszym.

Ostatecznie, spotkanie z Cortesem zadziało na korzyść Maxwella. Zapewniło mu prywatną celę na resztę pobytu oraz otoczyło go złą sławą w oczach zarówno strażników, jak i więźniów. Tym niemniej drugi podobny epizod nie przedstawiałby

sobą już żadnych korzyści. Po pierwsze, Max przez lata nauczył się, by nie pozwalać sobie zbyt często na tak intensywne przeżycia, inaczej straciłyby one cały urok. Po drugie, zmasakrowanie jednego współwięźnia mogło ujść człowiekowi na sucho - recydywa zagwarantowałaby szczególne środki ostrożności ze strony strażników, a to była ostatnia rzecz, jakiej pragnął.

Tak więc tym razem trzymał Aliceę mocno w ryzach. Spróbuj tylko się ujawnić, poinformował ją Max, a poharatam ci buzię tak, że nawet panna Miller nie będzie chciała na nas patrzeć.

Następnie zawiązywał Mosze, swoją osobowość MTP, i podzielił się z nim świadomością. Opuścił powieki, ale nie całkowicie - gdyby jednak ten nowy goryl spróbował go zaatakować mimo łańcuchów - i kazał Mosze poczytać mu ostatni rozdział Ulissesa, monolog Molly Bloom, dla zabicia czasu w oczekiwaniu na transport do sądu, gdzie, jak mniemał, będzie miał największe szanse na ucieczkę.

Ulisses był ich ulubioną książką. Max pamiętał moment, kiedy po raz pierwszy zobaczyli tom na półce w salonie panny Miller.

- Zobacz! - krzyczał dziewięciolatek, wpatrując się w grzbiet książki. - Zobacz! To o mnie!

Kilka godzin później panna Miller, o piersiach wyperfumowanych jak piersi Molly, leżąc z nim - a raczej z Christopherem - w łóżku, czytała na głos ostatni rozdział. Chociaż



był za mały, by wiele z tego zrozumieć, to jego serce tłukło się jak szalone, tak jak serce Leopolda Blooma, i - podobnie jak on - powtarzał za nią, tak, tak zrobię. Tak.

19

Sztuka wywiadu współczującego, którą praktykował Ed Pender, nakazywała czasami naśladowanie języka ciała wypytywanej osoby. Biorąc pod uwagę fakt, że obaj byli zakuci w łańcuchy i siedzieli na twardych stalowych pryczach, cel został osiągnięty.

Dużo trudniejsze dla Pendera było kontrolowanie swojego podekscytowania, wywołanego faktem, że po tych wszystkich latach miał oto Casey nie dalej niż półtora metra od siebie. Niewiarygodne. Ale wiedział, że musi działać ostrożnie, posuwać się krok po kroku. Idealnie byłoby, gdyby to tamten zaczął rozmowę. Niestety, Casey najwyraźniej zamknął się w sobie i nie było sensu na to liczyć.

- Hej - zawołał w końcu po dobrych pięciu minutach.

Brak odpowiedzi.

- Hej. Głuchy jesteś?

- Do mnie ta mowa? - Casey powoli podniósł wzrok. Powieki miał sennie opuszczone, brwi ściągnięte. - Do mnie ta mowa?

- powtórzył.

Perfekcyjna imitacja Trávisa Bickle. Pender nie musiał się szczególnie zmuszać do śmiechu.

- Nieźle.

**- Nieźle? A widziałeś kiedyś zrobione to lepiej?**

**Imitowanie bohaterów filmowych. Cóż, nigdy nie wiadomo było, co pozwoli nawiązać nic porozumienia. Pender postanowił iść za ciosem - w kierunku, który wcześniej wybrał. W kierunku podróży.**

**- Widziałem De Niro w wykonaniu Małego Richa z Las Vegas... I, prawdę mówiąc, nie jesteś ani trochę od niego, kurwa, gorszy. Ale widziałem też De Niro Freda Travena w Dallas...**

**Ten koleś to geniusz!**

**- Lepiej mi wychodzi Nicholson.**

**- Dawaj.**

**Brwi uniosły się, usta rozwarły w obleśnym uśmiechu.**

**- Przed państwem Jooohnny!**

**- Lśnienie, co?**

**- Zgadza się. Potrafię też zrobić Christophera Walkena:**

**„Trzymałem ten zegarek w dupie przez dwa lata...”.**

**- Chłopie, faktycznie jesteś niezły. - Pender przysunął się nieco bliżej do Caseya. - Mów mi Parker.**

**- Taa, jak chcesz - odparł Casey.**

**Pender powiedział sobie, że w końcu nie mógł się ludzić, że gość zdradzi mu swoje prawdziwe imię, ale i tak czuł zawód. Nawet ksywka mogłaby być pomocna. Otrząsnął się z tego. Trzeba wracać do pracy.**

**- Próbowaleś kiedyś robić to profesjonalnie? Powinieneś spróbować.**

**- A, pierdolisz.**

**Pender nie mógł przeoczyć, że sprawiło to Caseyowi przyjemność. Opuścił też nieco gardę - jego zaciśnięte pięści rozluźniły się.**

**- Nie, poważnie. Powinieneś pójść na jeden z tych, jak im tam, otwartych mikrofonów. Jest taka impreza w jednym klubie w Dallas. Zaraz, to było Piano. Byłeś kiedyś w Piano?**

**Casey wzruszył ramionami. Pender, który zrobił doktorat ze wzruszeń ramionami, odczytał to jako pozytywną odpowiedź, bardziej: „Tak, i?”, niż: „Nie, i co z tego?”.**

**Oho, pomyślał Pender. „Oho” było jego wersją okrzyku „Bingo!” lub „Eureka!”, albo „Mam cię!”. Czas przejść do tematu numer dwa.**

**- Jak dla mnie, to Piano jest do dupy. Roi się tam od cnotek-  
- niewydymek. Nie znalazłbym tam nic do wydupczenia, choćby od tego zależało moje życie.**

**- Nie dałeś rady podupczyć w Piano? Chłopie, zaliczyłem tam więcej lasek niż w ASPCA[\* Amerykańskie Towarzystwo Opieki Nad Zwierzętami.]. Fakt, że jestem od ciebie przystojniejszy. Mogę wyrwać laskę w każdym miejscu. Kurwa, nawet w pace. Przysłali do mnie taką od wariatów, żeby mnie zbadała. Suka już na mnie leci. Poflirtowaliśmy sobie trochę w pokoju przesłuchań. Mamy się zejść, jak tylko wyjdę z pudła.**

**Oho. Kopiając na oślep, Pender trafił na żyłę złota. Casey mówił teraz otwarcie, w ogóle się nie pilnując. Pender przyjął**

postawę słuchacza. Rozsunął dłonie na tyle szeroko, na ile pozwalały kajdanki, rozluźnił ramiona i wysunął klatkę piersiową nieco do przodu, ale nie za daleko. Casey przysunął się bliżej, siedzieli teraz tylko metr od siebie.

- Ale, będąc takim przystojniakiem jak ty, to lepiej zrobisz, idąc do takiego motelu w Dallas o nazwie SleepTite. Wietnamskie dziwki. Zapytaj o Anh Trinh. Miała najciaśniej szą cipkę, w jakiej byłem. Wystarczy, że zadzwonisz na recepcję i powiesz facetowi, że chcesz dziewczynę numer jeden na małe barabara.

Pender postanowił nieco zawęzić krąg poszukiwań.

- Mają tam jakieś białe?

- Tylko Wietnamki.

I jeszcze bardziej.

- Eee tam, ja lubię tylko białe. Blondynki i rude - nie ma to, jak jasne krzaki na cipce.

- Odjechało ci, cipka to cipka - odparł szybko Casey. Po czym nagle się wyłączył, jego powieki zamknęły się, łup!, niczym azbestowa kurtyna, opadająca w pół sceny.

Cipka to cipka. Max od razu zrozumiał, że posunął się za daleko. Te uczniackie przechwałki na temat Irene Cogan. I dlaczego, do diaska, powiedział Parkerowi o SleepTite? Wiedział, co powiedziałby Ish. Że miało to coś wspólnego z potrzebą aprobaty ze strony starszych od siebie mężczyzn - ewidentnie dowolny starszy mężczyzna był w sam raz. A może nie tyle

aprobaty, co bycia zaakceptowanym - zaakceptowanym przez mężczyzn, jako mężczyzna. Max podejrzewał również, że jego kompulsywna ochota do seksualnych przechwałek miała wiele do czynienia z panem Kronkiem i Ulyssesem Maxwelllem seniorem. Warto byłoby zapytać o to doktor Cogan, kiedy już dotrą na Wzgardliwą Grań i rozpoczną terapię na poważnie.

Porwanie doktor Irene Cogan. Oto prawdziwe wyzwanie na miarę Maxa! Wiedział, że musi to zrobić, gdy tylko obudził się z hipnotycznego transu dziś po południu. Był taki pewny siebie, przecież nigdy by mu nie zrobiła pod pióro. Ale nie tylko zrobiła mu pod pióro, ale i nawiązała kontakt z małym Lyssym.

Lyssy Ciota. Jego - ich - oryginalna osobowość. Lyssy był jedyną osobowością, z którą Max nie dzielił wspomnień, więc nie miał pojęcia, czy ta mała papla nie podsunęła Irene jakiejś wskazówki co do jego tożsamości lub położenia Wzgardliwej Grani. Tak czy siak, nie zamierzał ryzykować.

Jednak instynkt samozachowawczy był tylko jednym z powodów, dla których Max zamierzał zabrać Irene ze sobą. Drugi wiązał się z jego unikalną strukturą psychiczną. Rozumiał co prawda, że dysocjacyjne zaburzenia osobowości były przez resztę świata postrzegane jako choroba. Osobiście jednak lubił o nich myśleć jako o wyższej formie istnienia. Mimo to, życie Maxa nie było łatwe. Po zdetronizowaniu Ulyssesa stał się de facto gospodarzem i musiał sobie radzić zarówno ze światem, jak i z utrzymaniem w ryzach skomplikowanej i skonfliktowanej ze

sobą wiązki osobowości, znanych jako Ulysses Maxwell.

Dlatego właśnie siedem lat temu Max postanowił odbyć studia psychologiczne. Oczywiście możliwości systemu sprawiały, że żadna formalna edukacja nie była potrzebna. Zwyczajnie zakupił małą bibliotekę książek o osobowościach wielokrotnych i zaburzeniach dysocjacyjnych. Zaprenumerował każde czasopismo psychologiczne, jakie przyszło mu do głowy. Max czytał, Mosze zapamiętywał, a Ish - który wówczas właśnie się narodził - integrował zdobytą mądrość z systemem.

Ale ostatnio Max zaczął dochodzić do wniosku, że nie są już w stanie osiągnąć w terapii niczego więcej na własną rękę. A ponieważ doktor Cogan była specjalistką - i do tego atrakcyjną specjalistką - w zaburzeniach dysocjacyjnych, nie mówiąc już o tym, że musiała zostać dla bezpieczeństwa jak najszybciej odseparowana od reszty społeczeństwa, dlaczego by nie zabrać jej na Wzgardliwą Grań, by mu pomogła w terapii?

Max zdawał sobie sprawę, że pomysł na pierwszy rzut oka wyglądał na szalony. Ale skoro Paula Ann Wiśniewski nie żyła, a Irene miała - a przynajmniej znowu mogła mieć - włosy w kolorze truskawkowego blond, pozwoliloby to upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

Truskawkowy blond! Nagle go olśniło. Ten bełkot Parkera o rudych i blondynkach - o co mu, kurwa, chodziło? I do tego wspomniał o Piano. Max spróbował sobie przypomnieć, czy w Piano były jakieś kluby kabaretowe? Albo jakiegokolwiek inne?

Mosze nie miał na to odpowiedzi. Pamiętał tylko to, co zostało przeczytane, zobaczone lub usłyszane przez pozostałe alter ego.

Ale Piano - wbrew temu, co mogłaby utrzymywać miejscowa Izba Handlowa - było w istocie jedynie sypialnią dla bogaczy, niewiele więcej niż fragmentem przedmieść Dallas. Jeśli ktoś chciał się zabawić, jechał do centrum.

Więc, czy to była pułapka? Czy Parker był gliną? Zdecydowanie, pod tą maską Bluto kryło się coś znajomego. Max nie mógł ustalić, co dokładnie, więc wysłał Mosze do archiwum z nakazem zameldowania, kiedy coś znajdzie.

Już po kilku sekundach wyczuł podekscytowanie swojej MTP.

Szybko podłączył Mosze z powrotem do świadomości. Zaowocowało to od razu wspomnieniem, w którym siedział na łóżku w pokoju hotelowym w Williamsworth w Pensylwanii w 1994 roku. W telewizji leciała konferencja prasowa agenta specjalnego E.L. Pendera, odbywająca się w pobliskim Reeford. Agent apelował do ludności o pomoc w odnalezieniu Glorii Whitworth, studentki Reeford College. Apelował też do wszystkich truskawkowych blondynek w okolicy o donoszenie o wszelkich podejrzanych spotkaniach z nieznajomymi.

Droga Gloria. Jej imię było tak trafne. Nie było w niej co prawda niczego, o czym warto by mówić, nie licząc włosów.

Wspaniałych, cudownych włosów w kolorze truskawkowego

blond, długich aż do pasa. Były jej dumą i radością. Jak bardzo płakała przy pierwszym strzyżeniu.

A teraz Penderowi udało się go namierzyć. I do tego wiedział nie tylko o Glorii, ale i o Donnie Hughes z Piano. Niech go jasny chuj strzeli. Czas się stąd zmywać. I nie było sensu czekać na wycieczkę do sądu - Max i Lee mieli sprawy do załatwienia tu i teraz.

Pender wiedział, że dał dupy. Wyczuł, jak Casey nagle zamyka się w sobie. Przeszarżował z tymi blondynkami zaraz po rozmowie o Piano.

- Taa, masz rację - próbował ratować, co się da. - Cipka to cipka.

Ale Casey już go nie słuchał. Odwrócił się plecami, sięgnął sobie do ust i zaczął majstrować przy kajdankach. Przez dłuższą chwilę nie robił nic więcej, co Pender poczytał za dobry znak.

Po czym jego uszu dobiegł niemożliwy do pomylenia z czymkolwiek szczęk otwieranego zamka.

Zanim Pender zdążył krzyknąć, Max odwrócił się ku niemu z lewą dłonią zaciśniętą w pięść wokół otwartych kajdanek, jakby był to kastet. Z przewracającym żołądek na drugą stronę zaskoczeniem agent zorientował się, co dokładnie miała na myśli Terry Jervis, mówiąc, że nie uwierzyłby, jaki ten skurwiel potrafi być szybki.



był kawalerem. Funkcjonariuszka Deena Knapp była niezamężna. Biorąc te fakty pod uwagę, Twombly nie mógł pojąć, dlaczego Knapp traktuje go jak powietrze.

Ciężka była dola faceta, który musiał pracować blisko kobiety tak atrakcyjnej i filigranowej, a przy tym tak bujnie i dumnie rozkwitłej pod jasnobrazowym mundurem, że inni policjanci lubili mówić - za jej plecami, oczywiście - że jest wyższa, kiedy leży niż kiedy stoi.

- Naprawdę, tylko mały drink, żeby się trochę wyluzować po szychcie - błagał ją tego środowego popołudnia. - Nie ma w tym nic złego, żeby dwoje... - chwilę szukał słowa - kolegów strzeliło sobie małego drinka po służbie.

- Daj mi spokój, Frank - odparła Knapp, siedząc przy biurku plecami do pokoju. Zakuwała do egzaminów z kryminologii.

- Nie piję ani nie umawiam się na randki z... kolegami.

- No cóż. Nie możesz winić faceta za to, że chce się z tobą umówić.

- Nie, jeśli zrobi to raz. Za setnym razem to już zaczyna ocierać się o mobbing, Frank.

- Przepraszam bardzo - odparł ironicznie.

- Nie mam czasu na te bzdury, Frank. Próbuję się tu czegoś nauczyć i...

- HEJ! OFICER DYŻURNY! PRZEPRASZAM! - poniosło się wołanie od strony cel.

- Brzmi jak nasz garniak - zauważyła Knapp.

**- NIE CZUJĘ SIĘ DOBRZE. MOŻECIE MNIE JUŻ WYPUŚCIĆ? MAM WSZYSTKO, CZEGO CHCIAŁEM.**

**- Jezu Chryste, co za profesjonalizm - powiedział Twombley.**

**- Lepiej go stamtąd zabiorę.**

**Sięgnął do panelu kontrolnego drzwi, przesunął czwarty suwak w górę, pokręcił kołem i wkroczył do ciemnego bloku.**

**Szybko minął dwie cele, jedną wypełnioną więźniami w czerwonych kombinezonach, drugą w pomarańczowych. Przeszedł obok trzeciej, którą pozostawiono pustą, by Pender mógł w spokoju przeprowadzić swój wywiad, po czym zajrzał do czwartej.**

**Agent leżał na boku, plecami do krat.**

**- Nie wiem, co się stało. Zaczął mówić, że głowa go boli - powiedział drugi z obecnych w celi, nazywany tu „Rozpruwaczem”. Siedział na pryczy z kolanami podciągniętymi tak bardzo, jak tylko pozwalały na to łańcuchy. - A potem po prostu się przewrócił. Walnął głową o cement.**

**Twombley przesunął drzwi na bok i wkroczył do celi.**

**- Nie ruszaj się stamtąd - ostrzegł Rozpruwacza.**

**- Nigdzie się nie wybieram - odparł więzień, wymownie potrząsając łańcuchami.**

**Twombley ukląkł obok Pendera i zobaczył wokół jego głowy kałużę krwi, w tym świetle czarnej niczym olej maszynowy.**

**Powieki Pendera zatrzepotały, jego usta otworzyły się, ale nie wydostał się z nich żaden dźwięk.**

- Spokojnie, tylko spokojnie - powiedział Twombley. -  
Wszystko będzie...

Ostatnim słowem miało być „dobrze”, ale Twombley nie zdążył go wypowiedzieć. Łańcuch owinał się wokół jego szyi od tyłu, ogniwa werżnęły głęboko w podgardle, odcinając dopływ powietrza. W uszach policjanta zaczął rozbrzmiewać ryk; a gdy próbował sięgnąć po gaz pieprzowy, rozległ się trzask, niby strzelających knykci, ale po stokroć głośniejszy.

Kiedy ciało zaczęło się pod nim osuwać - niczym marionetka, której ucięto sznurki - zrozumiał, że był to odgłos łamanego karku. Gdy umierał, leżąc na podłodze, dostrzegł jeszcze małe tęczki, które tańczyły w kałuży krwi Pendera.

Funkcjonariusz Deena Knapp też myślała o krwi, a dokładniej - o rozbryzgach krwi.

- Kiedy rozbryzg krwi na płaskiej powierzchni ma cztery milimetry szerokości i jedenaście długości, jaki był kąt uderzenia?  
- brzmiało pytanie z testu próbnego.

Wstukala w kalkulator cztery, podzielić, jedenaście, otrzymała wynik 0,363636 i właśnie była w trakcie przekształcania tego w sinus, kiedy poczuła za plecami obecność Franka Twombleya.

Pomyślała, że to dziwne, bo nie słyszała, kiedy wrócił. Zwykle nieustanne podzwanie jego kluczyków od samochodu doprowadzało ją do szału.

- Spadaj, Frank - powiedziała, nie odwracając się. -

**Wkraczasz w moją prywatną przestrzeń.**

**Zamiast tego chwycił za włosy, odgiął głowę do tyłu i z bliska wystrzelił strumień gazu pieprzowego prosto w jej twarz. Knapp przewróciła się razem z krzesłem i z ogromną siłą wyrzuciła potylicą o linoleum. Zobaczyła czerwony błysk na tle czerni, następnie kolejny, kiedy ponownie chwycił ją za włosy i uderzył jej głową o podłogę.**

**Pomimo bólu, ślepoty i braku powietrza, walczyła tak długo, jak tylko mogła. Machała rękami w poszukiwaniu jego twarzy, mając nadzieję, że przynajmniej go podrapie. W odpowiedzi na to zmienił pozycję, siadł okrakiem na jej klatce piersiowej i przycisnął ramiona kolanami. Zmusiła powieki do otwarcia i zobaczyła przez łzy pomarańczowy kształt. Zrozumiała, że to nie Frank, tylko jeden z więźniów. Próbowwała krzyknąć - wówczas wystrzelił kolejny strumień gazu, prosto w jej otwarte usta.**

**Druga dawka gazu wywołała konwulsje. Oczy uciekły do góry tak, że tęczęwki całkiem się schowały. Różowa piana zaczęła bulgotać jej w ustach. Chociaż Max zszedł z niej i pobiegł z powrotem w kierunku cel, gdy tylko straciła przytomność, ciało funkcjonariusz Knapp podrygiwało i szarpało się jeszcze dobre pięć minut, jakby nadal usiłowała z siebie zepchnąć napastnika.**

**21**

**Gdy Max, rozpinając kombinezon, wbiegł na blok, w celach zaczynał podnosić się już rwetes. Lee zrobił swoje i wycofał się w mroki ich umysłu. Wydostanie się stąd to zadanie dla Maxa.**

- Zamknąć mordy, kurwa - wrzasnął bez tchu w kierunku ubranych na pomarańczowo i czerwono więźniów.

Przeskoczył nad ciałem Twombleya, które leżało w poprzek Pendera, blokując wejście do celi.

- Pootwieram drzwi, ale macie być cicho.

W myślach liczył sekundy. Kiedy był tu ostatnio, nigdy nie mijало więcej niż piętnaście minut pomiędzy przyjazdem lub odjazdem uzbrojonego konwoju z więźniami. To oznaczało, że miał pięć, góra dziesięć minut na to, by uciec.

Rozebrawszy się do więziennej bielizny, zwałił ciało Twombleya z Pendera na posadzkę i zaczął ściągać zeń mundur. Jego umysł pracował jak w amoku. Zwykły człowiek po prostu wyszedłby z więzienia drzwiami od biura. Co oznaczałoby, że kiedy zaczęłyby brzęczeć alarmy i wyc syreny, ów hipotetyczny zwykły człowiek nadal byłby w zasięgu głosu od więzienia, sądu, ratusza i głównej komendy policji miejskiej w Salinas.

Jakie miałby wówczas opcje? Uciekać pieszo? Spróbować przedostać się fortelem przez kordon bezpieczeństwa, który z pewnością by utworzono, polegając na kamuflażu w postaci munduru policjanta - wobec ludzi, którzy znaliby jego twarz i zapewne wiedzieliby już też, że zniknął mundur Twombleya?

Ukraść lub porwać samochód w tej rojącej się od glin okolicy?

Nie ma co do tego wątpliwości, stwierdził Max, rozpinając ciężki pas Twombleya i zaciskając go na swym chudym brzuchu.

Zwykły człowiek, nawet gdyby jakimś cudem udało mu się wydostać z więzienia, zostałby złapany w piętnaście minut.

Ale Max nie był zwykłym człowiekiem. On był niezwykły.

Posiadał zarówno inteligencję, potrzebną do wymyślania niesztampowych rozwiązań, jak i dość odwagi, by umieć wcielić je w czyn. Jedyne, czego brakowało, to czas. Max pędem opuścił celę, omijając Pendera szerokim łukiem, by nie wdepnąć czasem w kałużę krwi i przez to nie zostawić za sobą czerwonego tropu.

Kierował się znowu do biura.

Więźniowie tłoczyli się przy kratkach, krzycząc do niego po angielsku i hiszpańsku. Max wrzucił klucz do kajdanek do pierwszej z brzegu celi, po czym szybko sprawdził resztę kluczy, w poszukiwaniu tego od szafki z bronią. Znalazł tam Glocka z pełnym magazynkiem. Włożył go do kabury Twombleya, zamknął szafkę i rozejrzał się za książką telefoniczną. Leżała na stole. Kiedy przeglądał ją w poszukiwaniu dwóch interesujących go adresów, coś zaczęło go niepokoić. O czymś zapomniał.

Niestety, nie było teraz czasu, by wołać Mosze. Ale w końcu sobie przypomniał. Zawsze tak było, pomyślał Max. Zlokalizował panel sterujący drzwiami od cel, przesunął wszystkie suwaki w żółte położenie i zakręcił kołem. Sekundę później co najmniej tuzin więźniów, ubranych przeważnie w pomarańczowe kombinezony kryminalistów, postanowiło wziąć przedterminowe zwolnienie i zaczęło rozpierzchać się po ulicach West Alisal.

Wszystko zgodnie z planem Maxa.

**Ale samego Maxa z nimi nie było. Wrócił do bloku i użył kolejnego z kluczy Twombleya, by otworzyć drzwi wiodące do dawno nieużywanej części więzienia.**

**Było tam ciemno jak w bezksiężycową noc. Max zamknął za sobą drzwi, po czym z pomocą światła wielkiej policyjnej latarki zaczął torować sobie drogę przez labirynt zwisających drutów i kabli, ostro zakończonych rur kanalizacyjnych, ceglanych rumowisk, poprzewracanych mebli, pobitego szkła, zardzewiałych krat, które zwisały smętnie na jednym zawiasie lub całkiem odpadły, blokując wąskie korytarze.**

**Kierując się ku klatce schodowej, prowadzącej na wyższe piętra, Max usłyszał podnoszący się wokół jęk syren. Właśnie gratulował sobie podjęcia właściwej decyzji, kiedy przypomniało mu się, co przegapił. Pender, gość z FBI. W tym całym pośpiechu i zamieszaniu zapomniał wykończyć go na dobre.**

**Nie zajęłoby to więcej niż chwilę lub dwie, wyrzucał sobie Max, uderzając się knykциями w czoło tak, jak robiła mu to kiedyś panna Miller, kiedy coś spieprzył. Halo? Jest tam kto? Mógł przyduścić go piętą, po cichu, aż gość by umarł - do diabła, mógł stanąć mu na grdyce, przebierając się w rzeczy Twombleya i nie stracić ani, kurwa, sekundy. Adrenalina zaczęła znów krążyć w żyłach Maxa, na skronie wystąpił pot.**

**Spokojnie. Tylko spokojnie. To nie jest dobry moment na panikę. Max spowolnił oddech, zrelaksował się i zaczął rozważać problem na zimno. Po pierwsze, nawet nie wiedział, czy Pender w**

ogóle żyje. Nie przypominał sobie, żeby tamten oddychał, a już na pewno gość za cholere się nie ruszał.

Po drugie, jeśli nawet Pender przeżył, to po trzech ciosach w łeb - z ręki Lee - jego mózg był zapewne tak obity, że jeśli gość będzie chociaż pamiętał swoje imię, to może mówić o szczęściu.

A po trzecie, jeśli Pender zachował nie tylko życie, ale i *compos mentis* [\* Z łaciny - zdrow na umyśle (przyp. tłum.)], to przecież nikt w FBI nie był samotnym szeryfem.

Jeżeli Pender coś wiedział, to inni agenci niemal na pewno też to wiedzieli. Jeśli mieliby jakąkolwiek poszlakę, by sprawdzić Wzgardliwą Grań, to by już dawno się tam zjawili.

Mała strata - krótki żal, powiedział sobie Max. Zostawienie Pendera własnemu losowi nie było zagrożeniem dla systemu.

Co oznaczało, że teraz musiał jedynie znaleźć bezpieczne miejsce, w którym mógłby się zadekować - aż całe zamieszanie się skończy.

Zatem tak cicho, jak tylko mógł w za dużych o dwa numery skórzanych butach Twombleya, Max wspiął się na pierwsze piętro. Cele zapelniały tam niemal każdy centymetr wolnej przestrzeni - od ściany do ściany, od podłogi do sufitu. Tu i tam leżały pudła z papierami sądowymi. Co było niepokojące, pudła nosiły ślady szczurzych zębów.

Max wzdrygnął się i oddalił stamtąd. Miał gdzieś gryzonie.

W końcu głęboko w trzewiach budynku odnalazł izolatkę bez okien. Drzwi zostały wyjęte z zawiasów i opierały się o ścianę. Tuż



za progiem promień latarki wyłowił zagrzebany w kurzu szkielet gołębia. Nietknięty przez gryzonia. Czaszka i klatka piersiowa były w całości, a długie kości skrzydeł, nadal opierzone, rozpościerały się w idealną deltę.

Miejsce doskonale dla jego celów. Jeśli szczury nie przyszły tu zjeść martwego gołębia, to z pewnością nie będą niepokoić żywego człowieka. Z ulicy dobiegały syreny, uderzenia butów o chodnik, podniesione głosy. Chińskie ćwiczenia przeciwpożarowe, pomyślał i zaśmiał się do siebie. Szukają go tu, szukają go tam.

Przepelniony ogromnym uczuciem samozadowolenia, wyłączył latarkę i usiadł, opierając się o ścianę, by przeczekać. Było tu ciemno jak w grobie. Max dosłownie nie widział nawet czubka swojego nosa, co mu zupełnie nie przeszkadzało. Nie bał się ciemności. Ale wiedział, kto się boi. Pomyślał sobie, że może to właściwy moment, by dać Lyssy'emu Ciocie raz i na zawsze nauczkę.

22

Trzy razy pięść Maxa, uzbrojona w metalowy kastet z kajdanek, opadała na czaszkę Pendera. Agent poczuł jedynie pierwsze uderzenie, jakby coś zazgrzytało mu w głowie, po czym ogarnęły go mdłości, podobne do uczucia, kiedy ktoś kopnie cię w jądra.

Oszolomiony, pozbawiony tchu i sparaliżowany mógł tylko patrzeć, jak pięść więźnia unosi się i opada, unosi i opada, ale bez zrozumienia dla tego, co widzi. Nie słyszał też już niczego, dopóki

nie zamknął oczu i nie zaczął spadać w ciemność. Kiedy tak spadał i spadał, uderzyły go, niby rycząca fala przyływu, odległe głuche odgłosy więzienia, fragmenty konwersacji po hiszpańsku, dźwięk spuszczonej wody w toalecie, podzwanianie kajdan i łańcuchów.

Otworzył oczy. Huk przyboju natychmiast zamilkł, a rzeczywistość pozbawiona była dźwięku. Zobaczył kraty, z jakiegoś niezrozumiałego powodu umieszczone poziomo. Dopiero, gdy stanął nad nim policjant, Pender zrozumiał, że leży na podłodze.

Gdy próbował skoncentrować wzrok na twarzy, która wypełniała całe pole widzenia, od razu poczuł mdłości. Obraz był zniekształcony, jak widziany przez obiektyw typu „żabie oko”. Po czym twarz się rozmyła. Pender poczuł potrzebę, niemożliwą do wyrażenia w słowach, by kogoś za coś przeprosić. Kiedy zamknął oczy i poddał się ciemności, przepelniał go żal.

Mijał czas. Jak wiele, tego Pender nie potrafił stwierdzić. Teraz, kiedy ból spowił głowę, jego myśli paradoksalnie stały się klarowne. Widział przed sobą odziane w bieliznę ciało Twombleya. Z kąta odchylenia jego głowy wywnioskował, że nie da się mu już pomóc.

Ale McDougal się wkurzy, pomyślał Pender. Musisz pomóc.

Pomóc mi to zrobić.

To ostatnie, to była modlitwa - a Pender nigdy się nie modlił.

Dlatego też z zaskoczeniem odnotował natychmiastowy efekt.

Czas zwolnił. Pomimo bólu udało mu się podnieść na

czworaki, ze zwieszoną głową. Widział, jak ze skroni kapie mu krew na cementową posadzkę, kropla za kroplą. Czasami w powietrzu znajdowały się naraz trzy lub cztery krople, niczym czarne paciorki nanizane na niewidzialną nić.

Razem z jasnością widzenia nadeszła rosnąca jasność umysłu. Myśli Pendera pędziły szybko, przejrzyste i nieważkie. Co z tego, czego się dowiedziałem, mogłoby im pomóc? Motel w Dallas? prostytutka? To wszystko przeszłość. Co dzieje się teraz? Babka od wariatów. Powiedział coś o tym, że mają się zejść.

Jak się nazywała, Hogan? Nie, Cogan.

Kiwając się na boki, z lewą dłonią przyciśniętą do rany, by spowolnić krwawienie, zanurzył wskazujący palec prawej dłoni w cieplej kałuży, w której niedawno jeszcze spoczywała jego głowa. Własną krwią nakreślił na cemencie napis: „Kogan wspulnisko?”.

Pod sam koniec opuściły go siły. Znak zapytania postawił, leżąc już na brzuchu. Nie zauważył nawet, że robi błędy ortograficzne. Jakiegokolwiek trybiki w mózgu za to odpowiadały, musiały być zepsute. Niepoprawność pisowni dostrzegł dopiero, patrząc na całą scenę z góry. Stwierdził nagle, że unosi się pod sufitem. Z tego dogodnego punktu obserwacyjnego widział wyraźnie dwa ciała rozciągnięte na posadzce - Twombleya i swoje własne. Widział kałużę krwi i koślawy napis.

Po chwili to wszystko zniknęło. W niebyt poszły też kraty i ściany. Był zawieszony w ciemności i widział jedynie malutką

sylwetkę, oświetloną od tyłu jasną poświatą, która szła w jego stronę.

Nie wierzę w te bzdury, pomyślał, spiesząc na spotkanie nieznanemu. To tylko sen. Jeden, ostatni sen.

Ale cóż to był za sen. Postać stała się większa. Był to ojciec Pendera - nie taki, jakim ten go zapamiętał przed śmiercią, zwiędły i stoczony rakiem, lecz silny, wysoki i szeroki w barach.

Ubrany w granatowy, pokryty medalami mundur, który zakładał na coroczną paradę w Cortland z okazji Dnia Weterana, kiedy Edgar dorastał. Jako dziecko potrafił rozpoznać każdy medal i wstążkę; wiedział, który to Purpurowe Serce, a który Srebrna Gwiazda. Pochowali starca razem z nimi wszystkimi.

- Tata?

- Na pewno nie Elvis, synu - powiedział starszy sierżant piechoty morskiej w stanie spoczynku, Robert Lee Pender. - Gotowy do drogi?

- No nie wiem.

- Co to znaczy „nie wiem”? Masz jakieś niedokończone sprawy?

- Gość, który mnie zabił. Uciekł.

- Ten, co zabił te wszystkie kobiety?

- Tak, on.

Ojciec Pendera roześmiał się.

- Do diabła, synku, wcale jeszcze cię nie zabił. Zawołaj mnie, jak mu się uda, wtedy po ciebie wrócę. I zapamiętaj: ten, kto się

poddaje, nigdy nie wygrywa, ale Penderowie nigdy się nie poddają.

Z tymi słowy sierżant R.L. Pender odwrócił się i odmaszerował z powrotem, puszczając jeszcze synowi oko na odchodne.

Ed został sam. Spojrzał w dół i zobaczył swoje ciało, leżące twarzą w dół, z prawą ręką wyciągniętą i wskazującą na słowa, które nakreślił krwią na podłodze celi. Nadal krwawiło, nadal oddychało i chwilę później Ed znowu się w nim znalazł.

Nadal nie wierzę w te bzdury, pomyślał. Po czym znowu nadszedł ból i odebrał mu przytomność.

23

Lyssy Ciota był przerażony. Nie lubił ciemności. A ta ciemność była gorsza niż we wnętrzu szafy, w której zamykał go kiedyś ojciec. Ponieważ, choć nie można było stamtąd wyjść, przynajmniej miało się pewność, że nic tam nie przyjdzie.

Ale ta ciemność bardziej przypominała piwnicę. W piwnicy działy się złe rzeczy. To było najgorsze miejsce, jakie znał.

Chociaż Lyssy miał na nadgarstku zegarek, taki dla dorosłych, to nie znał się na nim zupełnie, dlatego nie potrafił określić, jak długo tu już jest. Wiedział tylko, że nie wolno mu było płakać ani używać latarki. Pomimo to strach przed ciemnością wkrótce zwyciężył. Zaczął walczyć z ciężkim przełącznikiem, trudno było poruszyć go małymi paluszkami. W końcu poradził sobie, używając obu kciuków. Rozbłysło światło.

**Od razu pożałował, że mu się udało.**

**Ponieważ tam, nie dalej niż metr od niego, leżał w kurzu szkielet ptaka. Widok tych pustych oczodołów, tego głodnego dziobu był gorszy nawet od ciemności. Lyssy spróbował wyłączyć latarkę, ale przełącznik nie chciał współpracować. Próbował przykryć światło dłonią, ale przebijało przez nie. Jego dłoń jarzyła się na czerwono, widział swoje kości.**

**Proszę, powiedział, poruszając bezgłośnie wargami. Proszę, pomóż mi.**

**Lyssy?**

**Tak?**

**Chcesz mojej pomocy?**

**Tak.**

**Wiesz, że byłeś niegrzeczny. To nie było pytanie.**

**Tak.**

**Jeśli ci pomogę, to czy będziesz mnie od teraz słuchać?**

**Tak.**

**Żadnych rozmów z miłą panią doktor bez mojego pozwolenia?**

**Okej.**

**Żadnych rozmów z kimkolwiek bez mojego pozwolenia?**

**Okej.**

**Obiecujesz?**

**Obiecuję.**

**Jak Bożę kochasz?**

**Jak Bożę kocham.**

**Musisz mi też obiecać, że będziesz się ze mną dzielić tym, co wiesz.**

**Jezus kazał się dzielić.**

**Czasem tak trzeba. Powiedz mi, o czym mówiłeś dziś pani doktor.**

**Opowiedziałem jej o tym śnie, tym z maskami. I o tym, co zrobił tata.**

**Mówiłeś jej o innych ludziach albo o miejscu, gdzie teraz mieszkamy?**

**Nie.**

**A o mnie?**

**Nie.**

**Przyrzekasz?**

**Jak Bożę kocham.**

**Dobry chłopak.**

**Mogę już iść spać?**

**Tak. Ale kiedy się obudzisz, nie zapomnij, o czym rozmawialiśmy. Nie zapomnij swoich obietnic. Wiesz, co się stanie, jeśli je złamiesz?**

**Nie chcę o tym mówić.**

**Wsadzę cię z powrotem do ciemnicy, a martwy ptak ożyje, by wydziobać ci oczy. Albo podpalę. Pamiętasz, jak to bolało ostatnim razem?**

**Jesteś niedobry. Jesteś niedobry i mnie straszysz.**

Nieprawdaż, mały człowieczku? Jestem niedobry. I straszę cię. Ale to nic w porównaniu z tym, co mogę zrobić, jeśli złamiesz obietnicę.

Nie złamię. Powiedziałem, że nie złamię i nie złamię.

No to świetnie. Możesz iść.

Max otworzył oczy. Ciało nadal było napompowane adrenaliną. Wziął kilka głębokich wdechów, by je uspokoić i spowolnić puls, który walił mu w skroniach. Następnie wyłączył latarkę i zaczął w mroku nasłuchiwać. Żadnych syren, żadnych głosów z dołu. Nic poza odgłosami niewielkiego ruchu na Alisal Street.

Wcisnął guzik podświetlania cyferblatu na zegarku Indiglo Twombleya. Dziewiąta wieczór. Noc. Nagle poczuł się okropnie głodny. Głodny i napalony. Ziewnął, przeciągnął się i stanął na nogi. Czas stąd się wypisać na dobre. Odwiedzić parę miejsc, spotkać kilku ludzi.

Zrobił krok w bok, by ominąć szerokim łukiem gołębia, jednak dotarło do niego, że to zachowanie to tylko pozostałość po Lyssym. Wymierzył solidnego kopniaka butem Twombleya.

Szkielet rozleciał się, szurając po podłodze. Gdy uderzył w ścianę, był już tylko kupką kości i piór.

24

Wanna Irene Cogan mogła z łatwością pomieścić dwie osoby. Dopilnowali tego z Frankiem. Napelnianie jej trwało wieki.

Podczas gdy woda leniwie się lała, Irene postanowiła zająć



się wyskubywaniem brwi i prawie niewidzialnych włosków, które wyrastały z kącików jej ust. Nie licząc tych ostatnich, pomyślała sobie, ta twarz całkiem nieźle znosi czwarty krzyżyk - to pewno dzięki strukturze kostnej, podobnej jak u Greta Garbo. Tej młodszej Greta Garbo, z Królowej Krystyny.

Przed wejściem do wanny Irene upięła do góry długie do ramion włosy, położyła dyktafon na desce klozetowej, przewinęła taśmę jakieś trzydzieści sekund do przodu, po czym wdusiła start i wyregulowała głośność. Kiedy zanurzała się w parującej wodzie, usłyszała głos Maxa.

- ...ale wie pani, co jest gorsze nawet od tego, że słyszy się czyjś głos w swojej głowie? Poczucie, że ten ktoś również słucha.

Irene pokiwała głową; była to sentencja warta zapamiętania.

Podniosła rękę, osuszyła palce o dywanik i skokami przewinęła taśmę przez ćwiczenia relaksacyjne i większą część regresji, po czym wcisnęła start.

- Pięć świeczek, jeden, dwa, trzy, cztery, pięć.

Irene zamknęła oczy i na powrót zanurzyła się w wodzie.

Dwadzieścia minut później usłyszała własny głos.

- ...możesz śmiało powiedzieć mi wszystko. To minęło i już tego nie ma, tato nie wyrządzi ci więcej krzywdy.

Irene podniosła się, dygocąc, wyłączyła dyktafon, następnie wypuściła część chłodnej wody z wanny i w jej miejsce napuściła gorącej, cały czas myśląc o Lyssym. Wyobrażała go sobie jako pięciolatek - urocza twarz w kształcie serca, duże brązowe,

nakrapiane złotem oczy, zmierzwiona czupryna na czole. Gdyby tylko mogła cofnąć się w czasie. Jak bardzo chciałaby wziąć to biedne dziecko w ramiona, przytulić mocno i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, że to, co się stało, to nie jego wina, że nie wolno mu się obwiniać.

Ale oczywiście podróż w czasie to mżonki. Nie było też wcale dobrze. Ten chłopczyk wyrósł na mordercę. Właściwie to nie do końca, poprawiła się Irene w myślach. Jeśli Lyssy cierpiał na zaburzenia dysocjacyjne, to jedynie jego część wyrosła na mordercę, jako odpowiedź podświadomości na niewypowiedziany stres.

Irene westchnęła i zanurzyła się głębiej, aż woda sięgnęła jej podbródka. Może ciągle była w stanie pomóc temu chłopcu przepędzić kryjące się w nim zwierzę. Oczywiście pod warunkiem, że stan Kalifornia nie zamorduje go wcześniej.

Po przesłuchaniu taśmy z Lyssym, Irene obiecała sobie, że nie będzie już nic robić przez resztę wieczoru. Nie chciała popadać z powrotem w pracoholizm. Barbara Klopffman dałaby jej popalić.

Ale jeśli telewizję można przyrównać do pustyni, to program w środowy wieczór był istną Doliną Śmierci. Tak więc Irene zabrała do łóżka laptop i zaczęła przeglądać notatki z ostatnich sesji z Donaldem Barberem oraz Lily DeVries - dwójki pacjentów, z którymi miała się spotkać następnego dnia.

Okolo dwudziestej trzeciej trzydzieści Irene zeszła na dół, by

zrobić napad na lodówkę. Zaparzyła sobie herbatę Sleepytime, ucięła grubą jak jej kciuk pajdę ciasta marchewkowego i usiadła do późnego posiłku przed ekranem telewizora, przełączając co chwila pomiędzy Lettermanem, Leno a Politically Incorrect.

Mniej więcej w momencie, gdy Irene doszła do czysto paranoidalnego wniosku, że wszystkie trzy telewizje robiły przerwy na reklamę w zsynchronizowanych porach, wydało jej się też, że słyszy czyjeś kroki na podjeździe do domu. Kroki kogoś w skórzanych butach.

To dopiero było paranoidalne... Szybko wyłączyła dźwięk.

Nie było żadnych wątpliwości, teraz słyszała kroki za domem, niedaleko drzwi do biura. Gdyby oglądała tego wieczora wiadomości, niewątpliwie byłaby jeszcze bardziej przestraszona, ale i tak jej serce zaczęło bić szybciej, a gardło ścisnęło się. Irene musiała stawić czoło fizycznemu zagrożeniu jedynie kilka razy w życiu, a na pewno nigdy, odkąd wprowadziła się siedem lat temu do Pacific Grove. Telefon - gdzie, do diabła, położyła telefon bezprzewodowy?

W biurze. Ale jeśli ktoś miał zamiar się włamać, to włamie się przez tylne drzwi, drzwi do biura. I co teraz?

Nagle odezwał się dzwonek do drzwi. Zagrało pierwszych trzynaście taktów *The Caissons Go Rolling Around* \*[\* Pieśń amerykańskich artylerzystów (przyp. tłum.)].

Over hill, over dale... Dzwonek był spuścizną po wcześniejszym właścicielu domu, emerytowanym oficerze piechoty

**z Ford Ord. Irene nie znosiła tej melodii, ale Frankowi się podobała.**

**Po tym, jak umarł, nie potrafiła się zmusić, by wymienić dzwonek. Pospieszyła do drzwi i wyjrzała przez judasza. Na progu stał mężczyzna w mundurze szeryfa, nerwowo przestępując z nogi na nogę.**

**- Wszystko w porządku, doktor Cogan?**

**- Tak. Ale co...**

**- Mogłaby pani otworzyć nam drzwi?**

**Irene zaciągnęła szlafrok kąpielowy ciaśniej. Pod spodem miała tylko jedwabną halkę. Otworzyła drzwi.**

**- Mogłaby pani wyjść na ganek?**

**- Wolalabym... Co pan robi? - zaprotestowała, w chwili gdy policjant chwycił ją za łokieć i odciągnął na bok, robiąc miejsce dla ludzi z oddziału TAC\*[\* Inaczej SWAT, jednostka specjalna do działań antyterrorystycznych i zatrzymywania niebezpiecznych przestępców. Jednostkami tego rodzaju dysponuje większość organizacji policyjnych w USA (przyp. tłum.)]. Dwie postaci w pękatych kewlarowych kamizelkach i hełmach z przyciemnionymi szybami wbiegły do jej domu z bronią gotową do strzału.**

**Policjant pociągnął Irene po schodach na trawnik. Słyszała pokrzykiwania, dudniące kroki, trzaskanie drzwi, zmechanizowane głosy z policyjnego radia, pisk opon, uderzenia zamykanych drzwi od samochodów, odległe syreny, a wreszcie**

basowe wwupwwupwwup helikoptera. Chwilę później zalało ją oślepiające światło z góry, zmieniając noc w jasny dzień.

- Czy ktoś może mi wyjaśnić, co się dzieje? Proszę? - krzyknęła do policjanta, ale ten ją zignorował. Kiedy próbowała wyrwać się z jego uchwytu, wykręcił jej rękę do tyłu i zmusił do ukłęknięcia. Szlafrok i halka podjechały w górę i do tyłu, marszcząc się na plecach. Pod nagimi kolanami poczuła mokrą trawę.

Zaczęły nią targać gwałtowne emocje - wściekłość, bezsilność, wstyd. Opuściła głowę i zauważyła, że patrzy na parę czarnych, ostro zakończonych kowbojskich butów, wypolerowanych na taki połysk, że widziała w nich odbicia odległych reflektorów, tańczące po lśniącej skórze jak miniaturowe białe słońca.

- Dzięki, Jerry. Poradzę już sobie sam.

Gdy właściciel butów - starszy Latynos w białym kowbojskim kapeluszu - pomagał Irene wstać, do jej nozdrzy doleciał zapach wody kolońskiej.

- Domagam się wyjaśnień, co się tu dzieje.

Irene poruszała ramieniem, poprawiła halkę i zaciągnęła szlafrok na powrót.

- Nazywam się Bustamante. Szeryf Bustamante.

- Wiem, kim pan jest. Głosowałam na pana w ostatnich wyborach.

**- Miło mi. Gdzie jest mój więzień?**

**Chociaż Irene nie otrząsnęła się jeszcze całkiem z szoku, pytanie nie do końca ją zaskoczyło.**

**- O ile wiem, to u pana w więzieniu. Nie widziałam go od tamtej pory. Czy teraz może mi pan powiedzieć, dlaczego włamujecie się do mojego domu?**

**Bustamante wręczył jej kartkę papieru.**

**- Oto nakaz rewizji. Gość uciekł z więzienia kilka godzin temu.**

**- No cóż, tutaj go nie ma. Dlaczego zatem przestraszono mnie na śmierć, ciągnano za rękę, ponizono i wywleczono z domu w samym szlafroku?**

**- Ponieważ mieliśmy powód, by sądzić, że może się tu udać.**

**- Jaki niby powód mógł...**

**- Podczas ucieczki więzień zaatakował agenta FBI, który został potajemnie umieszczony w jego celi.**

**- Pender! - krzyknęła Irene. - Rozmawiałam z nim dziś po południu przez telefon.**

**- Pender, zanim stracił przytomność, napisał na podłodze celi własną krwią słowa „Cogan” i „wspólniczka”.**

**Bustamante nie wspomniał o znaku zapytania, który stał po drugim słowie, ani o tym, że ekipie dochodzeniowej zajęło parę godzin zrozumienie, co oznaczają nieporadnie napisane słowa.**

**Sam Pender nie mógł tego wyjaśnić, jako że ciągle był nieprzytomny.**

**- Jak pani myśli, dlaczego napisał coś takiego?**

**- Nie mam pojęcia.**

**Czując, że jej kolana miękły, Irene usiłowała wyobrazić sobie tę scenę. „Wspólniczka” to długie słowo. Musiało tam być dużo krwi.**

**- W środku czysto, szeryfie - zameldował od progu ninja z TAC.**

**- Dzięki. Proszę odwołać swoich ludzi. Przyjdę do was za minutkę.**

**Bustamante odwrócił się do Irene, obejrzał ją od stóp do głów i dokonał szybkiej oceny, tak jak przystało na doświadczonego gliniarza, którym był. Wiedział, ile zależy od tego, czy była trafna.**

**- Przepraszam panią za te wszystkie niewygody, doktor Cogan. Być może zaszło nieporozumienie. Ale, tak na wszelki wypadek, chciałbym, za pani pozwoleniem, umieścić w pani telefonie system namierzający połączenia, oraz zostawić w okolicy kilku ludzi, by obserwowali dom na wypadek, gdyby postanowił jednak złożyć pani wizytę.**

**- No nie wiem sama, czy chcę mieć pluskwę w telefonie...**

**- Mogę to też zrobić bez pani pozwolenia. Tak jest po prostu wygodniej i bardziej uprzejmie.**

**Irlandzkie geny Irene nadal nie chciały dać o sobie zapomnieć.**

**- O, to teraz zaczynamy być uprzejmi, co? Jasne, świetnie,**

żaden problem.

- Ja byłem dla pani uprzejmy, doktor Cogan. Widzi pani tego faceta? Tego w dresie, który rozmawia przez komórkę? On jest z Szeryfów Federalnych\*[\* US Marshals Service - agencja federalna, będąca zbrojonym ramieniem systemu sądowego. Jej główne zadania to ściganie poszukiwanych zbiegów, ochrona świadków i transportowanie więźniów (przyp. tłum.)]. Gdyby to on tu dowodził, otworzyliby pani drzwi taranem, zamiast do nich dzwonić. To ja go od tego odwiodłem.

Irene chciała klócić się dalej. Dotarło do niej jednak, że po prostu próbuje sobie odbić przeżyty stres i odzyskać choć częściową kontrolę nad sytuacją. Zaczęła się też trząść, i to wcale nie z zimna.

- Dziękuję, szeryfie - powiedziała pośpiesznie. - Niech pan robi, co trzeba. Mogę już wrócić do środka?

- Tak, oczywiście. Poproszę moich ludzi, by byli tak dyskretni, jak tylko się da.

- To miłe z pana strony, dziękuję - dodała Irene z całą godnością, na jaką było ją stać. Jednak gdy tylko znalazła się z powrotem w domu, nie tylko zamknęła frontowe i tylne drzwi, ale zatrzasnęła też zasuwy, nieużywane nigdy wcześniej w tym niemal wolnym od przestępstwa Ostatnim Prawdziwym Miasteczku, oraz sprawdziła wszystkie okna, nawet te na piętrze, czy aby na pewno są zamknięte.



Nie, żeby był jakiś powód, by podejrzewać, że Max po nią przyjdzie. To była zapewne ostatnia rzecz, o jakiej teraz mógł myśleć, powiedziała sobie Irene, kładąc się do łóżka i naciągając kołdrę na głowę.

25

Po małym domku w Prunedale rozbrzmiały tony dzwonka.

- Co jest...? - wymamrotała przez zadrutowaną szczękę silnie znieczulona funkcjonariusz Terry Jervis.

- Ciii, wszystko w porządku. Śpij. Zobaczę, kto to.

Aletha Winkle zarzuciła sztruksowy płaszcz kąpielowy na Tshirt i sennie podreptała ku frontowym drzwiom. Upewniła się, że łańcuch jest na miejscu, po czym uchyliła drzwi. Na progu stał policjant, którego nigdy wcześniej nie widziała. Jego twarz skrywał cień daszka od czapki. Wyglądał niegroźnie - niewysoki biały facet w źle dopasowanym uniformie.

- Co się stało?

- Przepraszam, że niepokoję. Czy ktoś już was poinformował?

- O czym?

- Gość, którego przyskrzyniła Terry, ten Doe. Nie oglądałyście wiadomości?

- Prawdę mówiąc, oglądałyśmy Simpsonów.

- Uciekł dziś po południu z więzienia. Szeryf pomyślał, że istnieje prawdopodobieństwo, że gość się tu skieruje. Nie zadzwonili do was?

**- Nikt nie dzwonił.**

**- Kurwa, typowe. Nie słyszeliście jakichś podejrzanych hałasów? Nie działo się nic niezwykłego?**

**- Nie, było spokojnie.**

**- Więc pewnie to fałszywy alarm. Terry jest w domu?**

**- Śpi jak zabita od tych wszystkich środków nasennych i przeciwbólowców.**

**- To dobrze... Mawiają, że nie ma to, jak odpoczynek. Jak się czuje?**

**- Z każdym dniem lepiej.**

**- To świetnie. Słuchaj, kiedy się obudzi, powiedz jej, że Frank Twombly ją pozdrawia i życzy szybkiego powrotu do zdrowia.**

**- Powiem jej.**

**Policjant zaczął iść, ale odwrócił się jeszcze.**

**- Hmm, skoro już tu jestem, to mogę się też trochę rozejrzeć za domem, tak na wszelki wypadek. Macie psy?**

**- Nie.**

**- Świetnie. Tylko się szybko rozejrzę. Sprawdzę, czy wszystko jest... ten... satysfakcjonujące, i już wam nie zawracam gitary.**

**- Cóż, lepiej dmuchać na zimne.**

**Przez szparę w drzwiach Aletha obserwowała, jak policjant znika za rogiem domu. Kilka sekund później usłyszała pukanie z tyłu mieszkania. Pospieszyła do kuchni i wyjrzała przez zasłonięte**

firanką okienko w tylnych drzwiach. Przykucnięty Twombley oglądał krawędź drzwi, świecąc sobie latarką.

- Co się stało?

- Są tu jakieś zadrapania. Wygląda na to, że ktoś próbował się włamać. Może pani tu zobaczyć i powiedzieć, czy były tu wcześniej?

Aletha otworzyła tylne drzwi i wyszła na betonowy chodnik.

- Gdzie?

- Tutaj, na dole, koło zawiasu - wstał i cofnął się, by zrobić jej miejsce.

Pochyliła się, by się przyjrzeć. Pierwszy cios pałki spadł na kark i powalił kobietę na kolana. Drugi, równie szybki i równie brutalny, trafił w głowę z siłą tak wielką, że spowodował pajęczynowe pęknięcie kości potylicznej, jednej z najmocniejszych kości w ludzkim ciele.

W krótkim momencie pomiędzy eksplozją tysiąca gwiazd a zapadnięciem ciemności Aletha Winkle zdążyła sformułować jeszcze tylko jedną, ostatnią myśl: Przepraszam, Terry.

- Czego ty się nażarłaś, stara! - mruknął Max, wciągając Alethę Winkle do kuchni. Choć w ubraniu wyglądał na szczupłego, to w rzeczywistości był tak silny, jak tylko silny może być ważący sześćdziesiąt kilogramów mężczyzna, nie tracąc przy tym ani szybkości, ani zwinności. Ale ciągnięcie stu dwudziestu kilogramów żywej wagi - no, trochę żywej - wymagało od niego zaangażowania wszystkich rezerw sił, potu i zręczności, jakie

posiadał. Kiedy skończył, ciężko dyszał.

Jednak grzesznikom nie dane jest zaznać odpoczynku. Zanim mógł przejść do rozrywkowej części wieczoru, musiał zmienić samochód. Kluczyki znalazł zawieszony na gwoździu w kuchni.

Drzwi z salonu zaprowadziły go prosto do garażu, gdzie mógł wybierać pomiędzy starą czarną Hondą Civic a równie starym Volvo kombi w nieoczekiwanym kolorze awokado. Otworzył bramę do garażu, wyprowadził Volvo na podjazd, zaparkował

Plymoutha na jego miejscu i zamknął bramę.

Po chwili był w kuchni. Wyłączył światło i na palcach zakradł się do sypialni. Drzwi były otwarte, pokój tonął w ciemnościach.

Przykleił się plecami do ściany, wstrzymał oddech i zaczął nasłuchiwać. Dobięł go regularny oddech, przerywany co jakiś czas nosowym parsknięciem. Dobył zza pasa puszkę gazu pieprzowego i ostrożnie wyjrzał zza framugi. Zabandażowana postać, leżąca na plecach po bliższej mu stronie łóżka z baldachimem, nie poruszała się. Terry Jervis albo spała, albo była znakomitą aktorką.

Max zacisnął pięść z kajdankami w mocny uścisk, by nie brzęczały, po czym zbliżył się do łóżka. To było za łatwe. Czuł, jak Kinch wierci się niespokojnie, żądny krwi. Ale świeża ofiara, jeszcze nie złamana? Nowa zabawka? To oznaczało godziny

rozrywki. A Kinch by chciał ją od razu zepsuć.

Później, powiedział mu Max. Na końcu i tak ją dostaniesz.

Jak zawsze. Zapalił lampkę przy łóżku i zadzwonił kajdankami.

- Pobudka, kotuś.

Jej oczy rozwarły się gwałtownie, błyskając bladym błękitem na tle białych bandaży. Max czekał na szok, kiedy zostanie rozpoznany. Upajał się jej przerażeniem. Było to cudowne, porywające, oszołamiające. Kinch nigdy nie potrafiłby tego docenić.

Kiedy dłoń Terry wystrzeliła ku spluwie, ukrytej pod poduszką, Max wduśił przycisk na pojemniku z gazem.

W ciągu długiej nocy każdy z nich miał swoją turę. Max był sadystą i sodomitą, Christopher zmysłowym marzycielem, a Kinch... cóż, Kinch był rzeźnikiem.

Christopher miał pierwszeństwo. Kiedy Terry Jervis doszła do siebie po gazie pieprzowym, już na nią czekał. Delikatnie przemył jej oczy i zdjął bandażę z głowy. Przyniósł z łazienki świece oraz kominek do aromaterapii wraz z wonnymi olejkami. Kochał się z nią czule w migotliwym świetle świec. Ubierał ją i rozbierał - całkowicie lub częściowo - w przeróżne stroje, korzystając z jej szafy i szuflady na bieliznę. Dziwka w stroju wesołej wdówki, córka farmera w ogrodniczkach, policjantka w samej koszuli, żoneczka w koszuli nocnej, nastoletnia nimfomanka w krótkiej koszulce, mała dziewczynka we flanelowej piżamie.

Układał ją w różnych pozycjach - na plecach, na boku, na brzuchu, opartą o poduszki, klęczącą przy łóżku, leżącą na dywanie, przerzuconą przez krzesło, pochyloną nad różowobiałą toaletką, przyciśniętą do lustra.

Ale niezależnie od pozycji, za każdym razem traktował ją tak delikatnie i z taką czułością, że stopniowo zaczęła budzić się w niej nadzieja, że może jednak jej nie zabije.

Wtedy właśnie Max zdecydował się przejąć kontrolę. Zgodnie z planem. Strach nie był nawet w połowie tak smaczny, jeżeli nie został wcześniej podlany sosem nadziei. Zapalone świece i gorący olejek szybko znalazły nowe zastosowania. Wonne olejki i kremy nie służyły już jej wygodzie, lecz tylko temu, by ułatwić mu dostęp. Max nie był jednak młodym Bachusem, jak Christopher. Prześladowały go czasami problemy ze wzwodem i przedwczesną ejakulacją, zatem zmuszony był do wspomagania się szerokim asortymentem zabawek seksualnych z szuflady Terry i Alethy.

Kiedy już z nią skończył, nadal żyła, ale zmieniła się w dygocący, poraniony wrak o szeroko otwartych oczach, zupełnie bezużyteczny tak dla Maxa, jak i Christophera. Jednak Aletha Winkle, choć nie odzyskała przytomności, też była żywa i nienaruszona, nie licząc rany na potylicy. Max nie miałby z niej żadnego pożytku, nie da się w końcu torturować nieprzytomnej ofiary.

Ale Christopher chciał się z nią pobawić, więc Max mu pozwolił.

Ciąganie Alethy po mieszkaniu było nie lada wysiłkiem, dlatego kiedy znalazła się na łóżku, tam już została. Nawet przebieranie jej kosztowało wiele energii. Zatem, by nie marnować sił, Christopher rozciął wzdłuż ubrania, które chciał na nią założyć. Próbował zachęcić Terry, by wzięła udział w zabawie, ale na próżno. Terry przepadła na dobre. Ostatecznie Christopher postanowił rozebrać obie kobiety i ułożyć je we wspólnej kompozycji.

Kontrast pomiędzy masywnym, nieruchomym brązowym ciałem Alethy a jasną, filigranową, dygocącą sylwetką Terry był zarówno intrygujący, jak i podniecający.

Ale wszystko, co dobre, kiedyś się kończy. Kiedy nadszedł świt, Christopher był nasycony, a Max znudzony. Nadeszła tura Kincha.

Po tej pełnej wrażeń nocy Max był wycieńczony i zlany potem. Wziął długi gorący prysznic i zrobił sobie sute śniadanie.

Kiedy jadł, zadzwonił telefon. Max odezwał się do słuchawki głosem Terry. Wysoki tembr, zaciśnięte zęby.

- Halo?

- O... cześć Terry. Z tej strony Marry Ann ze szkoły El Sasual. Brakuje mi dziś nauczycielki do czwartej klasy. Może Aletha chciałaby ją zastąpić?

- Jest chora. Przeziębila się.

- Dobra, to trzeba poszukać innej ofiary...

Święte słowa, siostrzyczko, pomyślał Max, odwieszając

sluchawkę. Nagle zrozumiał, że stawiało to sprawy w zupełnie nowym świetle. Skoro nie spodziewano się nigdzie żadnej z tych kobiet, skoro nikt nie miał powodu, by szukać go w tym domu, a Plymouth stał bezpiecznie ukryty w garażu, pozostanie tu przez jakiś czas wydawało się atrakcyjną opcją.

Po pierwsze, było już jasno. Ktoś z sąsiadów mógłby go zauważyć za kierownicą Volvo. Po drugie, jeśli policja zarządziła blokady dróg zeszłego wieczora, to powinny one zniknąć nie wcześniej niż następnej nocy.

Musiał też zmienić wygląd. Zadekowanie się tu dałoby mu na to czas. I choć jeszcze nie odczuwał senności, wiedział, że ta wkrótce nadejdzie. W wieku dwudziestu ośmiu lat nie mógł już bezkarnie zarywać nocek. Do tego następna część planu mogła okazać się nielatwa do wykonania. Jeśli teraz wypocznie, to później będzie z pewnością miał sprawniejszy umysł.

Po pierwsze jednak, włosy.

- Ale mieliśmy ubaw, co, dziewczyny? - rzucił do dwóch kobiet, kiedy przechodził przez sypialnię w drodze do łazienki, gdzie Terry trzymała akcesoria do wybielania włosów.

Nie było odpowiedzi. Nie, żeby się spodziewał jakąś usłyszeć.

26

Blokady drogowe, helikoptery, ściągnięcie z urlopów wszystkich policjantów z biura szeryfa Monterey oraz policji miejskiej Salinas, przeszukiwania domów w pobliżu kompleksu sądowego, rozpropagowanie komunikatu BOLO\*[\* Be On



**Lookout For - Uważajcie Na (przyp. tłum.)], który opisywał samego zbiega, jak i Plymoutha skradzionego z parkingu: wszystko na darmo - przynajmniej, jeśli chodziło o Rozpruwacza. Kiedy nadszedł czwartkowy poranek, stało się jasne, że chociaż na wolności pozostawało już tylko dwóch z pozostałych zbiegłych więźniów, sprawca całego zamieszania prześliznął się jakoś przez kordon bezpieczeństwa.**

**Oczywiście polowanie miało trwać nadal, ale od tej pory spoczywało już na barkach FBI, które przejęło dochodzenie, powołując się na fakt, że zbieg mógł wcześniej popełnić przestępstwa w innych stanach. Nie przeszkadzało to bynajmniej szeryfowi Bustamante, który nie przetrwałby trzech wyborów na swoje oblegane stanowisko, gdyby nie umiał się na czas zdystansować od tego rodzaju katastrof, na jaką zapowiadała się cała ta sprawa. Wypruto flaki obywatelce na oczach funkcjonariusz Jervis.**

**Funkcjonariuszki Jervis i Knapp były w stanie ciężkim, podobnie jak agent FBI, którego Bustamante osobiście wpuścił do celi mordercy. Martwy funkcjonariusz Twombly. A co najgorsze z punktu widzenia odpowiedzialności urzędowej, w końcu zdarzyła się masowa ucieczka ze starego więzienia, które sąd okręgowy hrabstwa Monterey zalecał zamknąć już ponad rok temu.**

**Kiedy wybiła dziesiąta rano, przed i za domem Irene Cogan nie było już policjantów. Zastąpiła ich profesjonalnie wyposażona,**

nie rzucająca się w oczy furgonetka wywiadowcza FBI z San Jose. Na jej drzwiach widniał napis „Ogrzewanie i Klimatyzacja Wybrzeża”. Irene doceniała ten brak ostentacji. Obecność uzbrojonych strażników nie byłaby zbyt pomocna w tworzeniu atmosfery relaksu i zaufania, koniecznej do sesji hipnoterapii.

Jej pierwszym pacjentem był inżynier budowlany w średnim wieku z Santa Cruz, który pewnego dnia obudził się w Reno, nie mając pojęcia, jak się tam znalazł. Był to klasyczny stan fugi dysocjacyjnej, który często towarzyszył fizycznej, umysłowej i emocjonalnej ucieczce (po łacinie fuga) od niemożliwych do zniesienia okoliczności.

W przypadku Donalda Barbera polegały one na tym, że otrzymał w pracy papiery rozwodowe. Do tego momentu był umiarkowanym hazardzistą i wiernym mężem. Opuścił biuro, nie mówiąc słowa swojej sekretarce, i obudził się po trzech dniach w kasynie Silver Legacy, w apartamencie dla graczy o wysokie stawki, u boku prostytutki.

Co było jeszcze dziwniejsze - bogatszy o piętnaście tysięcy dolarów. Irene zastanawiała się nad dowcipnym podtytułem („Sztuka fugi”) do artykułu, który zamierzała wysłać do czasopisma „Journal of American Clinical Psychology”.

Jednak w przypadku, którym Irene miała się zająć po południu, nie było już nic zabawnego. Lily DeVries była piętnastolatką, która, jako małe dziecko, przeszła przez nieopisane katusze ze strony obojga rodziców. Inaczej też niż

zwykle w podobnych przypadkach, jej cierpienia dobrze udokumentowano. Fotografie z sesji seksualnych tortur, które przeszła dziesięć lat temu, nadal pojawiały się w Internecie i archiwach pedofili.

Kiedy Lily przekazano pod opiekę dziadków ze strony ojca w Pebble Beach, jej świadomość od dawna była już podzielona.

Do tej pory Irene zidentyfikowała trzydzieści siedem odmiennych alter ego. Sesje z Lily były zawsze ciekawe, chociaż męczące.

Po zahipnotyzowaniu Lily, Irene zaczynała każdą sesję od rozmowy z Królowką, osobowością gospodarzem Lily. Następnie konsultowała się z Królowką, które osobowości przywołać.

Było to niekonwencjonalne podejście, ale Irene uważała, że wielu terapeutów czyni więcej szkody niż pomocy swoim podatnym na sugestie pacjentom, poprzez implantowanie im fałszywych wspomnień nadmiernie agresywną hipnoterapią, lub wzmacnianie destruktywnych osobowości przez nazbyt częste ich przywoływanie, niby niekompetentni egzorcyści.

Parada alter ego, która następowała później, wymagała od Irene zmieniania się w kobietę Renesansu. Niektóre z nich były dziećmi, inne mężczyznami, jeszcze inne miały psychozę maniakalnodepresyjną lub były schizoidalne. Niezależnie jednak od tego, kogo Irene „spotkała” w trakcie sesji, starała się zawsze na końcu porozmawiać z Lily - oryginalną, głęboko zagrzebaną osobowością. Lily była okropnie nieśmiałą trzylatką, ale tego

czwartkowego popołudnia udało się ją nie tylko przywołać, ale i po raz pierwszy namówić do opowiedzenia o piekle, które przeszła. Bez dystansującej techniki „podzielonego ekranu”, którą Irene stosowała wcześniej.

Dla pacjentki był to przełom, ale nagromadzenie okropnych szczegółów było tak wielkie, że terapeutka poczuła się po wszystkim wykończona. Po sesji Irene zadzwoniła do Barbary Klopffman i wprosiła się do niej na kolację, by doświadczyć nieco terapii przez *gemutlichkeit* ze strony jej rodziny.

- Musisz zabrać ze sobą jakiś poczęstunek. I żadnego żargonu psychologicznego przy stole - ostrzegła ją Barbara.

Co do tego ostatniego, to ryzyko praktycznie nie istniało. Jak zwykle, mąż Barbary i jej dwaj nastoletni synowie zmonopolizowali rozmowę gadką o baseballu. W trakcie rozmowy okazało się, że Giants trzymali się desperacko pierwszej pozycji, mając zaledwie jedną wygraną więcej niż zespół zwany Arizona Diamondbacks - co zaskoczyło Irene, która nie słyszała wcześniej, żeby Arizona miała w ogóle jakiś zespół. Jednak sama kolacja (zaserwowano pieczeń) oraz banalna normalność Sama Klopffmana i jego synów była dokładnie tym, czego Irene potrzebowała.

Po kolacji Barbara i chłopcy zajęli się zmywaniem naczyń, a Irene i Sam udali się na werandę. Znad zatoki nadciągnęła nocna mgła, pokrywając spokojne nadmorskie miasteczko różowawą poświatą. Klopffman nosił okulary i miał brzuch okrągły niczym

**Teletubiś. Zapalił dwudziestoletni importowany tytoń Kaywoodie, wyhodowany z najlepszego ziarna oraz nasycony specjalną mieszanką aromatu wanilii i rumu, który kupił w sklepie tytoniowym starego Hellama w Monterey.**

**- Ależ to pięknie pachnie - powiedziała Irene, szperając w torbie w poszukiwaniu papierosów. - Przywodzi mi na myśl dziadka.**

**Sam zaśmiał się cicho.**

**- Odkryłem, że kobiety mają dwa stadia reakcji na mężczyznę, który pali fajkę. Pierwsze stadium występuje, kiedy kobieta jest twoją narzeczoną: „Och, ależ to cudownie pachnie!”. Drugie, kiedy już zmieni się w żonę, brzmi: „Nie waź się palić w moim domu, draniu!”.**

**Zamiast swoich Bensonów, Irene znalazła paczkę Cameli, które kupiła dla więźnia. Kiedy je zobaczyła, pokiwała smutno głową.**

**- Nadal myślę, że dało się mu pomóc.**

**- Naprawdę? - zapytał Sam tylko po to, by zachęcić ją do mówienia. Był co prawda adwokatem, a nie psychiatrą, jak jego żona, ale też świetnie rozumiał, że Irene potrzebuje wygadać się na tematy, które nie były poruszane przy stole.**

**- Absolutnie.**

**Irene w zamyśleniu zapaliła Camela, po czym spojrzała z zaskoczeniem na papierosa, który nieoczekiwanie pobudził kubki smakowe, całkowicie znieczulone na smak Benson & Hedges**

**Light, które paliła od lat.**

**- Może nie integracja, ale przynajmniej fuzja.**

**- A jaka to różnica?**

**- Integracja oznacza kompletną i ostateczną przebudowę psychiczną. Fuzja to bardziej konsolidacja. Mapujesz alter ego, uczysz je komunikować się i współpracować, konsolidujesz niektóre podsystemy i, z pomocą innych alter ego, uczysz co bardziej ekstremalne osobowości, jak sobie radzić, nie uciekając się do zbyt radykalnych zachowań. Nie powoduje to spektakularnego wyzdrowienia w hollywoodzkim stylu, ale - jak zawsze powtarzał doktor Caul, jeden z pionierów leczenia zaburzeń dysocjacyjnych - leczenie powinno prowadzić do powstania efektywnej struktury. Nieważne, czy będzie to wielka korporacja, mała firma, czy spółka jednoosobowa.**

**- Więc będziemy mieć wtedy bardziej efektywnego maniakalnego mordercę? - zapytał Sam. - Cudnie. Gość już teraz wydaje się funkcjonować lepiej niż cały departament naszego szeryfa. A tak przy okazji, daj mi znać, jeśli chciałabyś pozwać tych drani za to, co zrobili wczoraj w nocy. Zrobiłbym to pro bono, dla samej satysfakcji zrzucenia starego Bustamante ze stołka.**

**Irene zastanowiła się nad tym przez chwilę, po czym przecząco pokręciła głową.**

**- Dzięki, Sam, ale po prostu chciałabym jak najszybciej zostawić to wszystko za sobą.**

W piątkowy poranek postanowienie Irene, by zapomnieć o całej sprawie, wydawało się być na dobrej drodze do zrealizowania.

Kiedy się obudziła, za oknem nie było już furgonetki FBI. Agent specjalny Thomas Pastor, który przyjechał z San Francisco w celu zarządzania całą tą nieszczęsną operacją, doszedł w końcu do podobnego wniosku, co Bustamante. Mimo słów, które napisał swoją krwią Pender na podłodze celi, Irene nie wyglądała ani na współniczkę, ani na potencjalną ofiarę. Opinie rannego agenta nie cieszyły się obecnie zbyt dużą estymą w oczach oficjalnych władz.

Jednak Pastor zadzwonił do Irene o dziesiątej rano, by umówić się na spotkanie po południu. Spytał ją też, czy mogłaby spisać dla niego notatki z badania więźnia. Ewidentnie nie miał pojęcia, że sesje były nagrywane. Irene nie miała zamiaru wyprowadzać go z błędu.

Doktor Cogan skończyła spisywać notatki o jedenastej trzydziści, ale kiedy spróbowała je wydrukować, odkryła, że kartridż z czarnym tuszem do jej drukarki HP był pusty. Nie było czasu na zakup nowego przed biegiem z Barbarą, dlatego wybrała się na Przylądek Zakochanych samochodem. Zamierzała po joggingu zahaczyć o sklep z artykułami biurowymi w Sand City.

Nad Ostatnim Prawdziwym Miasteczkiem wstał kolejny przepiękny dzień. Wkrótce miały się tu pojawić letnie mgły, by zalegać nad okolicą przez dzień i noc, ale na razie pogoda wciąż

była plażowa. Irene zatrzymała czerwony kabriolet na parkingu przyładka. Obsesyjnie punktualna Barbara Klopman czekała już na nią, widoczna na tle oceanu.

Pięć minut później obie panie skończyły rozciągać się i ruszyły truchtem po ścieżce, która wiała się przez schodzący ku morzu trawnik śródmiejskiego parku, upstrzony różowofiołkowymi pryszczyrnicami.

- To miejsce zawsze przywodzi mi na myśl pola makowe z Czarnoksiężnika z Oz - powiedziała Irene. Miała na sobie białe spodenki i niewymiarową bluzkę bez rękawów. Barbara ubrana była w Tshirt z logo Towarzystwa Przyjaciół Wydr Morskich i ciemnozielone szorty.

- Pryszczyrnice normalnie u nas nie rosną - stwierdziła krytycznie Barbara.

- Ale są bardzo ładne.

- Z tym się zgodzę. Widziałaś dzisiejszą gazetę?

- Nie.

- Twój Maksio zajmuje całą pierwszą stronę. FBI uważa, że może być on seryjnym zabójcą, którego szukają od lat.

- Nie dziwi mnie to - przyznała Irene. - Ale nadal wierzę w to, co powiedziałam wczoraj Samowi. Była dla niego szansa. Trzy spośród alter ego były autentycznie miłe - mały Lyssy, Christopher i ten biedny jakbygospodarz.

- Niestety, nie da się zamknąć do paki tylko tych, w których jest zło.



- Zło? Wiesz równie dobrze, jak ja, że zło - podobnie jak dobro - to nie jest poprawny termin psychologiczny. Mamy zdrowie i chorobę, i to tylko jako relatywne punkty na tym samym kontinuum. Kiedy zaczynasz nazywać osoby chore psychicznie złymi, to jakbyś sugerowała, że nie zasługują na opiekę ani leczenie.

- Fakt, że coś nie jest poprawnym terminem psychologicznym, nie oznacza jeszcze, że to coś nie istnieje, kotku - odparła Barbara. Została trochę z tyłu, ponieważ ścieżka zwężyła się do cienkiej dróżki, obłożonej z obu stron przez pryszczurnice.

Chwilę później oczom obu kobiet ukazał się widok tak żaloszny, że niemal zabawny. Przed nimi biegł blondyn w różowym dresie i zupełnie idiotycznych czarnych lakierkach. Biegł, a przynajmniej niezdarnie próbował, bo wydawał się cierpieć na poważny przypadek porażenia mózgowego lub epilepsji. Stopy miał rozstawione szeroko na boki, kolana ściśnięte razem, a tyłek wypięty do góry. Jego głowa podskakiwała na prawym ramieniu, a lewa dłoń wciśnięta była za gumę od różowych spodni. Prawą ręką wykonywał niezdarne machnięcia, odginając dłoń do góry niczym filmowy transwestyta. Zbiegł, a raczej zatoczył się na bok, by kobiety nie musiały dostosowywać się do jego tempa na zwężonym odcinku ścieżki. Podziękowały mu, nie patrząc, i pobiegly dalej.

Tego dnia Irene i Barbara pobiegly aż za Przylądek Pinos, podniesione na duchu kojącym szumem fal, ciepłymi promieniami

słońca i poczuciem wdzięczności za to, że są sprawne fizycznie.

Uczucie to wróciło ze zdwojoną siłą, gdy w drodze powrotnej ponownie zobaczyły nieszczęsnego blondyna. Nie był zbyt daleko od miejsca, gdzie zobaczyły go po raz pierwszy, ale zboczył dobre dziesięć metrów od ścieżki i z trudem brodził przez sięgające mu kostek pryszczyrnice, kierując się ku równoległej ulicy.

W końcu zmęczenie wzięło górę - upadł, a raczej przykucnął, i zanurzył się w kwiaty. Bez chwili wahania wyskoczyły z samochodu i pobiegły mu na pomoc. Gęste różowe poszycie szarpało je za skarpetki i chłostało po kostkach.

- Potrzebuje pan pomocy? - zapytała Barbara.

- Oooj, dziękuuujęęę - rozległ się pełny męki skowyt. Jego głowa była przekręcona na bok i oparta o ramię, a lewa dłoń nadal tkwiła za gumką od spodni.

Kobiety chwyciły go pod ramiona, pomogły wstać i wyprowadziły na ulicę.

- Tooo... mój... saaamooochód - wykrztusił z siebie z trudem, gdy zbliżyli się do zielonego Volvo kombi, zaparkowanego przy chodniku.

- Pan prowadzi? - zapytała z zaskoczeniem Irene. Od razu pożałowała tych nieprzemyślanych słów. Jednak, zanim zdążyła wydukać przeprosiny, mężczyzna wyprostował się i zmienił w Maxa. Transformacja była nagła i niespodziewana, niczym na pokazie magicznym. Sekundę temu nie było tu Maxa, a teraz już się pojawił. Brakowało tylko obłoku dymu i fanfar. Był za to

rewolwer o krótkiej lufie, który Max wydobył z za spodni i wbił Barbarze w bok.

- Czas na ważne decyzje, moje panie - powiedział, przystępując bliżej Barbary, by własnym ciałem zasłonić broń przed spojrzzeniami przechodniów. - Która z was chce żyć?

27

- Dotknij mnie tam jeszcze raz, a będziesz musiała za mnie wyjść. Albo przynajmniej pocałować.

Pomoc pielęgniarska Rosa Beltran odskoczyła od łóżka w pokoju numer 375, wypuszczając gąbkę i rozlewając ciepłą wodę z mydlinami na pacjenta, łóżko i siebie samą.

- Muy gracioso - powiedziała, co w popularnym w tych stronach dialekcie oznaczało „bardzo śmiesznie” i pobięła po pielęgniarkę, która natychmiast wysłała wiadomość na pager lekarza dyżurnego.

- Która godzina?

Było to pierwsze pytanie ze strony Pendera. Zadał je o połowę odeń młodszej lekarce o bengalskich rysach twarzy, która sprawdzała mu źrenice. Rosa tymczasem zakładała na łóżko nowe prześcieradło.

- Trzynasta - odparła lekarka ze śpiewnym, musicalowym indyjskim akcentem.

- Aż głupio mi pytać, ale jaki mamy dzień?

- Piątek. Był pan nieprzytomny od środy po południu. Jak się pan czuje?

**- Jakbym właśnie pobił rekord Guinnessa w kategorii kac.**

**- Nie jestem zaskoczona. Miał pan wstrząśnienie mózgu, a na dokładkę musieliśmy założyć aż dwadzieścia szwów. Na całe szczęście kość wytrzymała. Ma pan głowę z żelaza.**

**- Zgadza się, moja była mówiła zawsze, że mam zakuty łeb.**

**Dostanę coś przeciwbólowego?**

**- Proszę wytrzymać jeszcze kilka minut. Musi zbadać pana neurolog.**

**Tymczasem umysł Pendera poskładał wspomnienia sprzed spotkania z pięścią Caseya.**

**- Dorwali go? - zapytał.**

**- Słucham?**

**- Casey. Dorwali go?**

**- Może pan o wszystko wypytać swojego kolegę.**

**Pender nie był pewny, czy spojrzenie, którym lekarka obdarzyła go na odchodnym, wyrażało litość czy współczucie.**

**Każde z nich byłoby teraz na miejscu, bowiem do pokoju Pendera wkroczył agent specjalny Thomas Pastor. Miał na sobie błękitny garnitur z zalecanej przez Biuro listy, tradycyjny krawat i wypucowane lakierki od Florsheima. Jego twarz przybrała taki wyraz, jakby właśnie wchodził do sklepu z rybami. Do sklepu z rybami, w którym oszczędzano na prądzie dla lodówek.**

**- Dla porządku, chciałbym od razu wyjaśnić kilka spraw - poinformował Pendera zaraz po przedstawieniu się. - Z tego, co wiem, to zidentyfikowaliście się jako agent FBI, będąc ciągle w celi**

**z więźniem, prowokując go w ten sposób do ataku, co zaowocowało nie tylko jego ucieczką, ale i śmiercią funkcjonariusza oraz ciężkimi obrażeniami u drugiego...**

**- O czym pan mówi? W żadnym razie...**

**Pastor wyciągnął notatnik.**

**- Zgodnie z zeznaniami funkcjonariusz Knapp, zawołaliście do funkcjonariusza Twombleya, by wypuścił was z celi, ponieważ mieliście jakoby już „wszystko, co chcieliście”.**

**- Wtedy leżałem już nieprzytomny. To musiał być Casey. Jest genialnym aktorem.**

**- Jestem tego pewny - odparł Pastor oschle. - Ale to już i tak nieważne. Jak twierdzi Steve Maheu - znany w Wydziale**

**Łączności jako Drugi Steve, Maheu był głównym zastępcą Steve’a McDougala - nie otrzymaliście pozwolenia, żeby się tam w ogóle znaleźć.**

**- Bzdura. Szeryf Bustamante powiedział...**

**- A chuj mnie obchodzi, co powiedział wam szeryf Bustamante. Nikt z Biura nigdy nie dałby pozwolenia na prowadzenie tajnego dochodzenia w więzieniu takiemu znanemu zjebowi, jak E.L. Pender. Jak chcecie mydlić komuś oczy, to będziecie mieć okazję. Czekają na was chłopcy z dyscyplinarki. Ale im nie tacy już próbowali wciskać kit. Ja natomiast chcę tylko wiedzieć, czego dowiedzieliście się od Caseya, jeśli czegokolwiek, co by pomogło nam go złapać. Po raz drugi - dodał, patrząc wymownie.**

**Pender poczuł, jak ogarniają go mdłości. Zamknął oczy i zaczął walczyć z pulsowaniem w głowie, które utrudniało myślenie. Chociaż wciąż jeszcze był otumaniony, wyczuł już, skąd wieje wiatr. FBI rzadko przyznawało się do błędów. A kiedy to robiło, to odpowiedni kozioł ofiarny był już dawno związany i gotów do zarżnięcia.**

**Co oznaczało, jak Pender doskonale wiedział, że najlepsze, na co mógł liczyć, to honorowa oferta natychmiastowego przejścia na emeryturę. W innych okolicznościach mógłby to przyjąć, nawet się ucieszyć. Przynajmniej miałby czas na grę w golfa.**

**Kto wie, może z czasem udałoby mu się nawet zejść poniżej dwudziestu dodatkowych uderzeń na grę, co było uznawane za całkiem zacy wynik.**

**Jednak w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin wszystko się zmieniło. Teraz czuł się osobiście odpowiedzialny za złapanie Caseya, bardziej niż kiedykolwiek. Wiedział też, że kiedy ten potwór znowu umknie w siną dal z jakąś truskawkową blondynką - co było więcej niż pewne - i z kolejną, i kolejną, też będzie czuł się za to osobiście odpowiedzialny.**

**Nagle Pender zrozumiał, że gotów był zaryzykować wszystko - nawet swoją emeryturę. Poza tym, pomyślał, delikatnie macając się po obandażowanej głowie, teraz to już sprawa honoru.**

**- Pastor - powiedział, otwierając szeroko oczy i przestając powstrzymywać łzawienie.**

**- Tak?**

- Nie udało mi się z niego niczego wyciągnąć. Do cholery, niczego...

- Czemu nie czuję się zaskoczony?

Pastor schował do kieszeni notatnik i wręczył Penderowi wizytówkę.

- Ale i tak spiszcie całą rozmowę i wyślijcie mi raport. Najlepiej z sąsiedniego stanu.

Najgorzej ubrany agent w historii FBI opuścił szpital Natividad wbrew zaleceniom lekarzy, ale przynajmniej na odchodne dostał od nich mniejszy opatrunek na głowę i fiolkę Vicodinu do kieszeni. Ubrał się w tę samą krzykliwą sportową marynarkę, brązowe półbuty Sansabelt, srebrzystoszare polo Banlon i ten sam kapelusz w jodelkę, który miał na sobie w środowe popołudnie. Ubranie Pendera nie stało się ani trochę mniej pomięte po dwóch dniach spędzonych w papierowej torbie, a kapelusz leżał krzywo na jego obandażowanej głowie.

Pojechał taksówką na Alisal Street, a następnie - pobrawszy swój pistolet z więziennego biura i pożyczoną Toyotę z parkingu - skierował się do najbliższego McDonald'sa (nie licząc kroplówki, jego ostatnim posiłkiem była „tuńczykowa” kanapka, kupiona w budynku sądu), w którym zamówił Ekstra Duży Zestaw nr 1 na wynos, po czym zabrał go do swojego pokoju w Travel Inn, gdzie miał zamiar zastanowić się nad następnym ruchem.

Poważnych problemów będzie następczo pozyskiwanie informacji ze źródeł oficjalnych, osądził, popijając colą drugą

**pigułę Vicodinu. Miał ze sobą nie do końca legalną kopię akt Caseya (które i tak znał prawie na pamięć), ale brakowało mu danych o Pauli Ann Wiśniewski - młodej kobiecie, którą Casey wypatroszył. Tych danych nie było jeszcze nawet w NCIC\*[\* NCIC - National Crime Information Centre - krajowa baza danych FBI o popełnionych przestępstwach (przyp. tłum.)].**

**Żeby je zdobyć, potrzebny będzie ktoś z dostępem do akt tutejszego biura szeryfa.**

**Ale kto? Pender nie mógł tam liczyć na lepsze względy niż FBI. Wtedy pomyślał o Terry Jervis. Nie wiedział, czy to faktycznie coś da, nawet jeśli uda mu się przejść straszną panią Winkle, ale jeśli komuś zależało na złapaniu Caseya jeszcze bardziej niż jemu, była to Jervis. Albo Knapp, ale Knapp leżała teraz na oddziale intensywnej opieki w szpitalu Natividad, nafaszerowana środkami znieczulającymi.**

**Pender zadzwonił na małą farmę w Prunedale. Nikt nie podnosił słuchawki, ale po sześciu dzwonek odezwała się automatyczna sekretarka.**

**- Nie ma nas w domu - zabrzmiał niewyraźny głos Terry Jervis. - Wyjechałyśmy do Reno trochę się zabawić. Zostaw wiadomość po sygnale. Oddzwonimy po powrocie.**

**Pender odwiesił słuchawkę. Coś tu nie grało. A nawet wiele rzeczy. Po pierwsze, kobieta z którą rozmawiał we wtorek nie wyglądała na kogoś, kto już trzy dni później miałby siły na wyjazd. Po drugie, żaden glina nie zostawiłby na sekretarce takiej**



wiadomości. Po trzecie i najważniejsze - nawet jeśli Terry Jarvis byłaby na tyle zdrowa, by gdzieś wyjeżdżać, i na tyle głupia, by dawać znać potencjalnym włamywaczom, że dom będzie pusty, to przecież miała zadrutowaną szczękę i każde słowo sprawiało jej ból.

Policyjny radar Pendera aż zamigotał na czerwono. Problem następnego ruchu był rozwiązany. Agent połknął szybko Big Maca i wskoczył pod prysznic, zakładając wcześniej na głowę foliową torbę, by nie zamoczyć bandaży. Wychodząc z pokoju, wcisnął jeszcze kartonowe opakowanie z frytkami w kieszeń marynarki. Mógł zjeść je po drodze.

Na trawniku leżały dwie gazety. Skrzynka na listy pękała w szwach. Kwiaty w doniczkach zwieszały smętnie głowy, ewidentnie dawno ich nie podlewano. Pender sięgnął pod marynarkę i odpiął skórzaną napę kabury. Kobiety, które tak dbały o swój dom, w życiu nie wyjechałyby na wakacje, nie powiadamiając wcześniej gazeciarza ani poczty i nie prosząc sąsiada, by opróżniał skrzynkę i podlewał kwiaty.

Zgodnie z regulaminem w tym momencie Pender powinien był wezwać wsparcie. Oczywiście, zgodnie z regulaminem, to w ogóle nie powinno jego tutaj być. Nie ma sensu się zakradać, pomyślał. Jeśli ze środka ktoś go obserwował, to tylko zdwoiłby wtedy ostrożność. Tak więc Pender śmiało pomaszerował prosto do drzwi i wcisnął guzik dzwonka - długopisem, żeby nie zatrzeć żadnych odcisków palców. Nie było odpowiedzi.

- Terry, to ja, agent Pender - powiedział na tyle głośno, na ile mógł bez ryzykowania bólu głowy. - Chciałbym ci tylko zadać jeszcze kilka pytań.

Nadal nie było odpowiedzi. Przyłożył ucho do drzwi. Z wnętrza domu nie dochodziły żadne dźwięki. Obszedł budynek dookoła. Na cementowym chodniku przy tylnych drzwiach dostrzegł coś, co wyglądało na zaschnięte krople krwi. Na samym progu znajdowała się większa podłużna plama. Pender uklęknął i zaczął czytać ślady niczym myśliwy. Podobnie jak myśliwy wiedział, że każde ślady mają do opowiedzenia historię.

Otworzył zewnętrzne drzwi szerzej i, przestępując ostrożnie nad plamą krwi, zajrzał przez okienko w drzwiach wewnętrznych do kuchni, próbując coś dostrzec przez szparę w krzaciastych firankach. Z trudem dojrzał długą brązową smugę na kuchennym linoleum. Wyglądało to na więcej krwi; wyglądało, że ktoś tu kogoś ciągnął po ziemi.

Pender wiedział już, co czekało nań w środku. Uczucia, które go przepelniło, nie potrafiłby zrozumieć nikt, kto nie był doświadczonym detektywem. Uczucie to było niemal religijną mieszanką trwogi i uniesienia. Oto tam, za tymi drzwiami, oczekiwała go dziewicza scena zbrodni.

Dziewicza. Czy w ogóle ktokolwiek był w stanie zrozumieć, ile to dla Pendera znaczyło? Nawet agenci terenowi FBI rzadko przybywali na miejsce zbrodni jako pierwsi, niemal zawsze byli wzywani dopiero przez okolicznych stróżów prawa. Co do lotnych

specjalistów, takich jak twórcy profili z Oddziału Nauk Behawioralnych, czy detektywi z Wydziału Wsparcia Dochodzeniowego lub Wydziału Łączności - jak sam Pender - uważali się za szczęściarzy, jeśli w ogóle wzywano ich na miejsce zbrodni.

A kiedy już byli wzywani, to zwykle na długo po tym, jak lokalni partacze podeptali dywany i trawniki, zapakowali kluczowe dowody do toreb, zamiast zostawić je in situ, zbadali wszystkie przedmioty i odstawili na swoje miejsca - to znaczy, prawie dokładnie na swoje miejsca - przewracali ciała, by zrobić lepsze fotografie i tak dalej.

Tymczasem dobry detektyw oglądał miejsce zbrodni, jak dzieło sztuki. Nie chodziło tylko o to, by zwyczajnie zebrać odciski palców i sprawdzić biling w telefonie. W obrazie liczyło się wszystko - od pojedynczego ruchu pędzla, aż po ogólne wrażenie z całości, wszystko mówiło coś o twórcy. A we wnętrzu tego domu znajdowało się najnowsze arcydzieło Caseya. Pender za żadne skarby nie zamierzał od razu dzwonić po wsparcie.

Ostrożnie obejrzał tylne drzwi, zajrzał przez zasłonkę. Nie było zasuw. Tylko zamek, dziurka od klucza poniżej klamki.

Pender miał przy sobie wytrych, który od trzydziestu lat nosił w portfelu i którego od dwudziestu lat nie użył, ale nie chciał zadrapać miejsc, gdzie mogły znajdować się odciski palców.

Bez przekonania pociągnął za klamkę, chwytając ją przy nasadzie, gdzie zapewne nie było żadnych odcisków. Ku jego

zaskoczeniu klamka poddała się bez oporu. Rozległo się kliknięcie i drzwi otworzyły się na oścież. Pender wkroczył do środka, po czym zamknął je za sobą.

Wiedział już, w jaki sposób Casey się tu dostał. Plamy krwi na cemencie za domem były okrągłe, skupione i nieliczne. Musiały pochodzić od ofiary będącej blisko ziemi, inaczej pokrywałyby większy obszar i byłyby wydłużone. Ale krwawa smuga, pozostała po ciele ciągniętym od tylnych drzwi przez kuchnię, była szeroka. Ślad po wbitym w linoleum obcasie dowodził, że Casey zmagał się z dużym ciężarem.

A zatem zapewne była to Aletha, rozumował Pender (kiedy pracował nad jakąś sprawą, zawsze myślał o ofiarach personalnie). Casey wywabił ją jakoś na zewnątrz, a może coś usłyszała i wyszła to sprawdzić. Zaatakował od tyłu i powalił na ziemię; nie zaczęła krwawić, zanim upadła. Użył jakiegoś rodzaju pałki, zapewne tej po Twombleyu, bowiem nóż sprokurowałby więcej krwi, a broń palna powodowała zbyt wiele hałasu, by Casey zaryzykował jej użycie. Upadła na twarz. Casey zaczął wciągać ją do środka, po czym odkrył, że trudniej jest ciągnąć ciało, które leży na brzuchu, więc przewrócił ją, by poradzić sobie z progiem.

Tam, gdzie kończyły się ślady krwi, Pender odkrył kałużę posoki, zaschniętą i popękana niczym błoto. Tu Casey ją zostawił, ale na jak długo? Pender rejestrował kątem oka naczynia w zlewie, brudne garnki na kuchence i opakowania po mleku i jajkach na blacie, których z pewnością nie zostawiła tam żadna z

porządnych gospodyń. Musiała to być pamiątka po Casey. Jednak na razie Pender zignorował je, ponieważ pochodziły z innego miejsca w linii czasowej. Casey nie przyszedł tu przecież na kolację.

Więc po co? Po Terry. Dla zemsty. Aletha obchodziła go tyle, co zeszłoroczny śnieg, więc zostawił ją w kuchni. Ale w którymś momencie wdepnął w krew. Pender znalazł czerwone ślady butów prowadzące do salonu, gdzie stawały się coraz mniej wyraźne, aż wreszcie zniknęły całkowicie w drzwiach do garażu.

W samym garażu detektyw obejrzał starą Hondę i wysłużonego, ale dobrze utrzymanego Plymoutha. W tym ostatnim zobaczył zwisające luzem spod deski rozdzielczej kable zapłonu.

To zapewne był samochód, który Casey zwędził z więziennego parkingu. Nie było za to śladu po zielonym Volvo, które Pender pamiętał z fotografii na szafce nocnej Terry. Hipoteza robocza: Casey przyjechał Plymouthem, spędził tu dość czasu, by zjeść kilka posiłków, po czym odjechał w Volvo.

Kiedy Pender wrócił do domu i skierował się ku sypialni, w której trzy dni temu rozmawiał z Terry, jego podekscytowanie badaniem dziewiczej sceny zbrodni opadło, popsute świadomością tego, co czekało go za tymi na wpół otwartymi drzwiami.

Rozumiał, że kiedy je przestąpi, wszystko się zmieni. Nie będzie już tutaj sam.

Jesteś kamerą, mówił sobie, przechodząc bokiem przez

szparę. Jesteś narzędziem śledczym. Jesteś dublerem mordercy. Staraj się wejść w jego głowę, a nie w głowy ofiar.

W skrócie powiedział sobie to wszystko, czego nauczono go z myślą o takich chwilach. Nie pomogło mu to ni cholery, kiedy wszedł do pokoju i zobaczył dwa ciała, oparte o wezglowie łóżka i upozowane jedno obok drugiego.

28

- Przepraszam? - odezwała się Irene, po raz pierwszy od prawie godziny. - Kończy się nam paliwo.

Ciągle znajdowali się na autostradzie nr 1, nieco na południe od Big Sur. Barbara siedziała na tylnym siedzeniu, wciśnięta w kąt, na próżno usiłując uciec przed szpicem dwudziestocentymetrowego noża o nieprzyjemnym wyglądzie, ostrzu wygiętym w łuk i ostrym niczym brzytwa. Max podciągnął jej koszulkę do góry i wodził nim po jej zaokrąglonym boku. Czuł, jak Kinch rwie się do przejęcia kontroli.

Czekaj na swoją kolej, powiedział mu. Przecież zawsze przychodzi twoja kolej, nie?

Nie zdecydował jeszcze, co zrobić z Barbarą. Nie mógł jej zwyczajnie wypuścić, ale gdyby pozwolił Kinchowi ją posiekać, Irene pewnie by go już nie polubiła. Na swój sposób wydawało się mu to niesprawiedliwe. Tak czy siak, znajdzie jakieś rozwiązanie.

- Ile pokazuje licznik?

- Około jednej ósmej zbiornika.

- Ile pokazywał, kiedy wyruszyliśmy?

- Nie spojrzałam.

- Błąd - powiedział cicho. - Grzechy zaniechania będą karane równie surowo, jak czyny. Rozumiemy się?

- Rozumiemy się - Irene powtórzyła jego własne słowa, by go uspokoić. - Co mam robić?

Maxwell wyjrzał przez okno. Właśnie mijali bramę Biblioteki Henry'ego Millera. Zamknął oczy i aktywował niezwykłą pamięć Mosze.

- Następna stacja benzynowa jest w Lucia. Zatrzymaj się tam i zatankuj. Zrób to samodzielnie. Zapłać tą kartą - poinstruował i sięgnął do ozdobnej torebki, którą zabrał z domu Terry i Alethy. Wręczył Irene kartę Visa Terry. I tak przecież zamierzał zostawić ślad, który wiódłby na południe.

Nadbrzeżny odcinek autostrady, łączący Ben Sur i Lucię, należy do najbardziej malowniczych tras na kuli ziemskiej. Skaliste klify i rumowiska opadające dziesiątki metrów w dół, łoskot przyboju, błękitna tafla Pacyfiku rozciągająca się jak okiem sięgnąć aż po wygięty lekko horyzont, srebrne i złote refleksy słońca na wodzie... Nikt z pasażerów Volvo nie zwracał na to jednak najmniejszej uwagi. Irene ponuro prowadziła pojazd, trzymając obie dłonie na kierownicy. Barbara tuliła się do drzwi, dygocąc i zaciskając mocno powieki. Max zatopiony był w rozważaniu planów i środków ostrożności.

Kiedy mijali most Big Creek, sześć kilometrów przed Lucią, nachylił się do przodu i wyszeptał do ucha Irene - na tyle głośno,

by Barbara też usłyszała.

- Wiesz, co powiedziała Paula Ann przed śmiercią?

Irene spróbowała zmusić swój umysł do pracy. Nie mogła sobie więcej pozwolić na odruchowe odpowiedzi. A zatem: o co dokładnie mu chodziło w tym pytaniu? Jakiej odpowiedzi należało udzielić, by nie poczuł się ani zachęcony, ani obrażony?

- Nie, nie wiem.

- Powiedziała: „Och”. Tylko tyle. Och. Żalotne, co? Właśnie „och”, spośród tych wszystkich rzeczy, które mogła powiedzieć.

- Zapewne była w szoku.

- Coż, na Boga, czyż możesz jej mieć to za złe?

Robi sobie żarciki, pomyślała Irene. Przekomarza się z nią.

Miała w to pójść? Nie, lepiej nie prowokować. Postanowiła brać go dosłownie.

- Nie, nie mogę.

- Ani ja. Ale jeśli będę musiał zabić Barbarę, to spodziewam się po niej czegoś więcej. No wiesz, na stacji benzynowej. Jeśli spróbujesz czegoś głupiego, choćby dawać komuś znaki albo zostawić napis. Nawet o tym nie myśl.

- Nie zrobię nic takiego. Obiecuję.

- Pamiętaj, Irene, że nie mam nic do stracenia. Jeśli mnie złapią, to i tak dostanę karę śmierci za Paulę Ann. Więc co mogą mi zrobić? Dać dwa zastrzyki z trucizną, po jednym w każdą rękę?



**Coś mi się nie wydaje.**

**Max odsunął się od ucha Irene i nachylił w stronę Barbary.**

**- Tak na wszelki wypadek, jeśli Irene miałyby wykręcić jakiś numer, może przygotuj sobie ostatnie słowa. I niech to będzie coś lepszego, niż „och”.**

**Pogłaskał ją po boku płazem noża.**

**- Możesz choćby powiedzieć coś zabawnego, no wiesz, na przykład: „Teraz już wiem, co mi leżało na wątrobie”. Albo coś, po czym człowieka przechodzą ciarki. Wiesz, jakie są moje ulubione ostatnie słowa?**

**Żadna z kobiet nie odpowiedziała.**

**- Pochodzą od dziewczyny, którą niedźwiedź grizzly wywlókł z namiotu w parku Yellowstone. Dwadzieścia lat temu przeczytałem o tym w gazecie. Gdy byłem mały, fascynowały mnie takie rzeczy. Kiedy grizzly ciągnął ją w krzaki, by ją pożreć, krzyknęła: „Zaraz zginę”. Nie: „Na pomoc”, ani: „Oj”, tylko: „Zaraz zginę”. Jest w tym coś, nie?**

**I tym razem Max nie doczekał się odpowiedzi. Dźgnął Barbarę nożem, nie na tyle mocno, by rozciąć skórę.**

**- Powiedziałem: jest w tym coś. Nie sądzisz, Barbaro?**

**- Jest - Irene szybko odpowiedziała za przyjaciółkę, która ewidentnie znajdowała się w stanie szoku.**

**Postój minął bez przygód. Maxwell przeleżał go na tylnym siedzeniu, trzymając głowę na kolanach Barbary, a nóż pomiędzy jej nogami. Irene zapłaciła przy dystrybutorze kartą Terry.**

Nie rozległy się żadne dzwonki alarmowe, ale Max wiedział, że zapis transakcji znajdzie się na serwerach Visy.

Ale potrzebował jeszcze jednej kropki, którą gliniarze będą mogli połączyć z poprzednią i wywnioskować, że jedzie na południe - w przeciwną stronę niż znajdowała się Wzgardliwa Grań.

Kiedy po odjeździe ze stacji benzynowej Barbara znowu zaczęła szlochać, zdecydował, że upiecze dwie pieczenie na jednym ogniu. Trzeba będzie zostawić gdzieś tę niepotrzebną do niczego brunetkę. Gdzieś, gdzie zostanie odnaleziona - ale nie od razu.

Max spróbował sięgnąć pamięcią wstecz. Niestety, samochód prowadzili wtedy głównie Christopher i Ish, więc miał tylko mgliste pojęcie o przebytej trasie. Zamknął oczy i podzielił się świadomością z Mosze. Razem przestudiowali dokładnie drogę, którą przebyli miesiąc temu z Paulą Ann Wiśniewski, kierując się na północ.

Tamten zjazd. Co go wyróżniało?

Znak: płomień przecięty poprzeczką.

Ale teraz jedziemy od drugiej strony. Co było na północ od tego zjazdu?

Mosze opowiedział Maxowi całą scenę.

Dziewczyna na przednim siedzeniu płacze. Ish prowadzi. Na autostradę. Przepuścić białą furgonetkę, wjechać za nią. Po prawej oczyszczone osunięcie się ziemi, ślady buldożerów. Po prawej stromy kredowy klif. Po lewej, po drugiej stronie szosy,

**sławojki Caltransu.**

**Dobra robota, Mosze. To wystarczy. Max otworzył oczy i nachylił się do przodu.**

**- Irene, kiedy po prawej zobaczysz żółte sławojki, zwolnij i przygotuj się do zjazdu w lewo, ponad autostradą.**

**29**

**- Tu mówi agent specjalny Pender. Chciałbym rozmawiać z...**

**Tak, dobrze wiem, że szuka mnie pół kraju. Jest tam w okolicy ktoś od sprawy Caseya? Okej, więc poproszę agenta specjalnego Waltersa... Walters, Pender z tej strony... Tak, wiem. Poradzę sobie. Słuchaj, puściliście BOLO za Caseyem, nie? Okej, zapewne porusza się teraz zielonym Volvo kombi na kalifornijskich tablicach. Nie mam numerów tablic ani ubezpieczenia, ale jeśli w departamencie ruchu drogowego znajdą Volvo zarejestrowane na Alethę Winkle, Wuiienkaelee, albo na Terry Jervis, to będzie ten. Gość zmienił też kolor włosów, teraz jest blondynem...**

**Tak, poczekam tu, aż to wprowadzisz.**

**Jeśli system pracował tak, jak powinien, to w ciągu kilku minut dostęp do tego BOLO będzie miał każdy stróż prawa w Kalifornii. W przypadku radiowozów kalifornijskiej drogówki, będzie można go przeczytać bezpośrednio z ekranu komputera pokładowego.**

**- Tak, ciągle tu jestem. Ekipa od zabezpieczania śladów jeszcze sobie nie pojechała? Kto jest kryminologiem? Jest dobra?**

- Bo jestem na miejscu podwójnego morderstwa, oto, dlaczego. Jervis aresztowała Caseya, wygląda na to, że załatwił ją i jej współlokatorkę Winkle... Tak... Nie, jestem tu sam. Miejsce zbrodni jest dziewicze jak pierwszy śnieg... Pomyślałem sobie, że dla odmiany mogłaby się tym zająć nasza ekipa... Ależ nie przejmuj się jurysdykcją... Słuchaj, chcesz tu być, czy nie? Dobry wybór. Ale, do kurwy nędzy, nie dawaj tego w eter, bo inaczej zaraz wparuje tu połowa krawężników z hrabstwa i zادهpczą nasze śliczne nienaruszone miejsce... Tak, jasne, że tu będę. Nie odciągną mnie stąd nawet wołami.

Pender podał Waltersowi adres, po czym wcisnął guzik rozłączenia, a zaraz po nim drugi, szybkiego połączenia z bezpośrednim numerem do biura McDougala w kwaterze głównej FBI.

Telefon odebrała jego wierna i nieprzejednana sekretarka.

- Cześć, Cynthia. Tu mówi Ed. Jest tam Steve? Tak, ekstremalnie pilne... Hej, Steve, tu Ed. Mógłbyś zdjąć mi wszystkich z pleców? Chcę kontynuować to dochodzenie... Nie śmieję się, jestem śmiertelnie poważny. Mam tu kolejne dwa trupy - babka, która aresztowała Caseya i jej, echem, życiowa towarzysząca.

Tortury seksualne. Gość zaczął zabijać gliniarzy i ich rodziny, musimy go przy skrzynić...

- Tak, cóż, Pastor to dupek. Wiem, że odpowiadam za tę sprawę, dlatego chcę się nią zająć. Poza tym, z tego, co widziałem,

gość i tak by się stamtąd wydostał - miał przy sobie klucz do kajdanek, a ten pierdel to żart. Mieli go zamknąć lata temu...

- Steve... Steve... Steve, ja... Tak, ale... Już skończyłeś? Super. Teraz posłuchaj: co by się nie stało, to będę prowadził to śledztwo. Przysięgam, że to będzie ostatnie. Poślę ci rezygnację bez daty, będziesz mógł ją sam wpisać, jak już będzie po wszystkim. Ale teraz stawiam wszystko na szali. Naprawdę wszystko.

Ile, do cholery, lat siedzieliśmy w tej sprawie Caseya i nie kiwnęliśmy palcem, by podać ją do publicznej wiadomości? Chuja tam się nie ośmielę...

- Steve, szantaż to brzydkie słowo. Dobrze wiesz, że nigdy z własnej woli nie zrobiłbym nic, co postawiłoby w złym świetle ciebie lub Biuro. Oczywiście z wyjątkiem sytuacji, kiedy mam nóż na gardle... Przykro mi, że tak myślisz. Ale powinno ci to jasno dać do zrozumienia, jak bardzo jestem zdeterminowany.

Więc, czy dałbyś radę zdjąć mi z pleców Pastora i osłonić moją dupę przed komisją dyscyplinarną ten jeden, ostatni raz? Co ja mówię, przecież wiem, że dałbyś radę. Ale zrobisz to dla mnie?

- Wyśmienicie. Stevenie P. McDougal, jest pan olbrzymem pośród ludzi. Będę dawał znać, gdy tylko czegoś się dowiem.

Pender zamknął klapkę i schował telefon do kieszeni. Po spędzeniu godziny w tym domu, miał już jakieś pojęcie o tym, co te kobiety przeszły przed śmiercią. Casey zrobił sobie prawdziwy bal. I to bal kostiumowy. Po całej sypialni leżały rozrzucone części intymnej garderoby, bielizna w rozmiarach obu kobiet, halki,

staniki, majteczki, często poplamione krwią i/lub nasieniem.

Sądząc po rozlicznych ranach na nadgarstkach i kostkach Terry, kobieta była wielokrotnie wiązana, kuta i pętana, w różnorodnych pozycjach. Co innego Aletha - brak śladów krępowania, ilość krwi w kuchni i rozmiar obrażeń na jej potylicy kazał Penderowi wątpić, czy w ogóle odzyskała świadomość.

Nie, żeby oszczędziło jej to zapędów Casey'a. Z tego, co Pender mógł ustalić, nie ruszając ciała, obie kobiety były wielokrotnie gwałcone przez sprawcę, który z czasem stawał się coraz bardziej brutalny, niekiedy używając przy tym ich własnych zabawek seksualnych, których wiele wałało się po pokoju.

Nie oszczędzono im też ostatecznego upokorzenia - upozowanej sceny, w której Casey zostawił ciała dla tych, którzy je znajdą. Ułożył je w łóżku, jedna przy drugiej, nagie i przykryte prześcieradłem do pasa. Nachylały się ku sobie, obejmując jedna drugą czule ramieniem i obracając twarze na boki, jakby do ostatniego niekończącego się pocałunku.

Nie dość było mu torturować je, kiedy jeszcze żyły, pomyślał ze wściekłością Pender, musiał jeszcze upokorzyć je po śmierci.

Dorwę go za to, dziewczęta, dodał, słysząc za oknem pierwsze odgłosy hamujących samochodów Biura. Na wszystko co święte, przysięgam, że go dorwę.

30

Na polanie wśród sekwoi rozpościera się miękki dywan z opadłych igieł. Błękitne niebo prześwituje przez koronkową

mozaikę zielonych gałęzi. Z niedaleka dobiega wesoly szmer zasilonego wiosennymi deszczami strumyka. Przypomina ludzki głos. W tle slychać odlegly łoskot fal, uderzających o skalisty brzeg.

Irene i Barbara leżały na wznak, jedna obok drugiej. Max zarzucił na nie koc, by ukryć fakt, że lewa kostka Irene była przykuta do prawej Barbary. Następnie oczyścił sobie skrawek gruntu opodal i usiadł. Oddał kontrolę Mosze, by ten nauczył się na pamięć map drogowych centralnej i północnej Kalifornii, znalezionych w schowku Volvo. Gdy Mosze skończył, Max spalił mapy.

- Jak sobie radzisz? - spytała Irene szeptem. Maxwell zaopatrzył je w dwa jabłka i butelkę wody źródlanej do podziału, po czym pozwolił im się wysuszać pośród zapewniających względną prywatność niskich krzewów.

- „Zaraz zginę” - odparła szeptem Barbara, próbując chyba znaleźć pocieszenie w czarnym humorze. Jej atak paniki już minął. Dopóki noża nie było nigdzie w zasięgu wzroku i dopóki nie myślała o Samie i chłopakach, dopóty mogła jakoś to wytrzymać. Przynajmniej przez jakiś czas.

- Niekoniecznie.

Irene też czuła się już lepiej, zobaczyła wręcz pierwsze promyki nadziei.

- Zastanów się, tamtą dziewczynę zabił dopiero, kiedy mieli go złapać. Po co miałby się tak trudzić, żeby nas złapać, gdyby nie

**potrzebował nas żywych?**

**- Ciebie, nie nas. Ja jestem jak piąte koło u wozu.**

**- Możemy to wykorzystać. Na pewno będę potrafiła mu wytłumaczyć, że jeśli czegoś ode mnie chce, to niech lepiej nie robi ci krzywdy, bo wtedy tego na pewno nie dostanie.**

**Barbara próbowała przewrócić się na bok, ale łańcuch od kajdanek za bardzo krępował jej kostkę. Odwróciła więc tylko głowę.**

**- Mam wrażenie, że jeśli on czegoś chce, to sobie to bierze - wyszeptala do ucha Irene.**

**- A ja mam wrażenie, że to alter ego jest wystarczająco inteligentne i racjonalne, by pojąć, że nie wszystko da się samemu wziąć. Jeśli chce nas zabić, to niewiele możemy na to poradzić, ale jeśli pragnie mojej współpracy, będzie cię musiał najpierw wypuścić.**

**- Nie, za żadne skarby nie zostawię cię z nim samej.**

**- Oczywiście, że zostawisz. A kiedy dotrzesz do domu, ucałujesz ode mnie Sama i chłopaków. Nic mi nie będzie. Nie zadawał-by sobie przecież tyle trudu, gdyby chciał mnie po prostu zabić.**

**- Więc po co zadał sobie tyle trudu? Jak uważasz, czego od ciebie chce?**

**Irene obróciła głowę i spojrzała Barbarze w oczy. Były tak ciemne, że w leśnej mozaice światła i cienia zdawały się niemal czarne.**



- Pomocy - powiedziała miękko. - Myślę, że szuka pomocy.

- A co, jeśli się mylisz?

- Wtedy zmówisz za mnie kidusz.

- Chyba kadisz - odparła Barbara, uśmiechając się wbrew sobie. - Kidusz to pobłogosławienie wina.

- Więc jestem sziksa - odparła Irene. - Pozwij mnie za to.

Zapamiętywanie map nie było łatwe. Nie wystarczyło zwyczajnie spojrzeć, bowiem wtedy Mosze mógłby sobie co prawda zwizualizować, jak mapa wyglądała, ale nie wiedziałby, co na niej było. Musiał powoli, pracowicie skanować wielkie arkusze, od lewej do prawej, od góry do dołu. Kiedy już skończył, testował swoją wiedzę - informacje raz zapisane w jego pamięci będą mogły być przywołane w dowolnym momencie. Później palił mapę i sięgał po następną.

Kiedy ostatnia mapa zmieniła się w popiół, a popiół został wdeptany w ziemię i przykryty igliwem, kontrolę nad ciałem przejął Max, by rozważyć kolejny problem: jak pozbyć się Barbary, nie zrażając do siebie Irene?

Rozważył za i przeciw pozostawienia Barbary przy życiu.

Za: Irene będzie nie tylko wdzięczna, ale i bardziej chętna do współpracy w przyszłości. Przeciw: Barbara opowie glinom o różowym dresie, blond włosach i zielonym Volvo.

Jednak, żywa czy martwa, skieruje uwagę glin na południe.

A kiedy gliny w końcu odkryją ciała w Prunedale i przeszukają dom, to i tak będzie trzeba pozbyć się wozu, więc

**dlaczego nie zrobić tego zawczasu? Nie ma sensu ryzykować. Co do ubrania i jakiegoś nakrycia głowy, by zamaskować włosy, to zdobędzie je razem z nowym samochodem. I tak musi wyglądać bardziej neutralnie, kiedy już zawróci na północ.**

**Czuł, że zaczyna się przekonywać do pozostawienia puszystej brunetki przy życiu. Jedyłą czarną owcą w stadzie był Kinch.**

**O, to by go wkurzyło. Może na tyle, że spróbowałby wziąć sprawy w swoje ręce. A kiedy Kinch już zacznie, to nic go nie powstrzyma. Mogłoby to kosztować życie nie tylko Barbary, ale i Irene.**

**Zatem komu zrobić dobrze, Irene czy Kinchowi?**

**Czasami posiadanie wielokrotnej osobowości nie było łatwym kawałkiem chleba.**

**31**

**Popołudnie w Górach Kaskadowych. Niebo wznosi się nad granią jak gigantyczna, mieniąca się błękitem kopuła, a powietrze jest tak krystaliczne, że chciałoby się je pić niby wodę z górskiego strumienia.**

**Jednak dla kobiety w zielonym fartuchu i masce, górskie lato jest nieco za gorące. Delikatna równowaga jej stałocielnego, ssaczego organizmu została poważnie zakłócona przez utratę jednej trzeciej spośród dwóch do trzech milionów gruczołów potnych, które znajdują się w ludzkiej skórze. Nie może sobie pozwolić na przegrzanie organizmu.**

**Zatem po nakarmieniu kur i psów (wedle jej obliczeń karmy**

dla zwierząt nie wystarczy nawet na tydzień; później będzie można jeszcze jakiś czas przetrwać, karmiąc psy kurczętami) i spędzeniu godziny na pielenu ogródka, kobieta idzie się zdrzemnąć do klimatyzowanej sypialni.

Ale sen nie przychodzi. Przychodzą wizje. Kurczące się gwałtownie zapasy karmy. Suszarnia, której nie odwiedziła od tygodnia. A przede wszystkim ostatnie sześć ampulek morfiny w lodówce. Co prawda w dzień wystarcza jej Perdocan, ale noc to zupełnie inna sprawa. W ciągu najbliższego tygodnia będzie musiała zatem podjąć jakieś działania.

Kobieta rozważa swoje opcje. Na grani nie ma telefonu.

W garażu stoi pół tuzina samochodów, ale tylko dwa są sprawne - jej własny Grand Cherokee oraz Lexus Donny Hughes. Tego pierwszego nie potrafiła prowadzić, a drugiego nie miała zamiaru, ponieważ oznaczało to narażanie się na ryzyko wykrycia.

Więc, co pozostaje? Skrzynka pocztowa u stóp grani. To długa wędrówka. Jednak wieczorem, kiedy jest chłodniej, mogłaby się jej podjąć. Potem list do prawnika. Biorąc pod uwagę, ile sobie liczy za usługi, będzie zachwycony każdym zleceniem. Czymkolwiek, co kobieta uzna za konieczne.

Konieczne. To było słowoklucz. Jeśli zwróci się z prośbą o pomoc, uruchomiony zostanie łańcuch zdarzeń. Jej spokojne odosobnienie stanie się historią. Po raz pierwszy, odkąd uwolniła młodego z poprawczaka, na grani pojawią się obcy ludzie.

Ludzie, którzy będą się gapić. Litować się. Wściubiać

wszędzie nosy. Ludzie, których trzeba będzie trzymać z dala od suszarni i piwnicy. O nie, nie było sensu otwierać tej puszkii Pandory.

Tak więc czas gra teraz kluczową rolę. Kobieta spogląda ponad biurkiem na kalendarz, który dostała od apteki w Umpqua.

Dziś jest piątek. Da mu czas do końca weekendu, ale jeśli do poniedziałku nie da znaku życia, to trzeba będzie wysłać list do prawnika w Umpqua City. Prawnik dostanie list we wtorek.

Pomoc powinna nadejść w środę.

Ale raz otwartej puszkii Pandory nie da rady zamknąć ponownie.

Niech szlag trafi tego chłopaka! Gdzie on się może podziewać?

32

Michael Klopfmann spóźniał się na mecz baseballowy. Matka miała go odebrać z pola golfowego przy Pacific Grove o czternastej trzydzieści. Kiedy tak się nie stało, wysłał wiadomość do starszego brata Douga, który akurat wyruszał na plażę z przyjaciółmi, aby złapać wysoką falę.

Doug niechętnie zgodził się robić za szofera i zawieźć brata na Jack's Field w Monterey. W drodze powrotnej zahaczył jeszcze o dom, by zabrać deskę i piankę przed spotkaniem z przyjaciółmi w Asilomar. Zauważył, że samochód matki nadal stoi na podjeździe. Jej torebka leżała na stoliku przy drzwiach wejściowych.

Zaniepokoił się. Zajrzał do sypialni. Pomyślał, że może zachorowała, po czym zadzwonił do ojca do pracy. Sam, który wiedział o joggingu, zadzwonił też do Irene. Kiedy nie odpowiadała ani pod numerem prywatnym, ani biurowym, zostawił jej na sekretarce pilną wiadomość i zadzwonił na policję, powiadamiając ich o zaginięciu obu kobiet.

Policja Pacific Grove, gdy tylko skojarzyła nazwisko doktor Cogan z niedawnym zamieszanym w ich mieście, natychmiast skontaktowała się z FBI oraz biurem szeryfa. Po kilku minutach w obiegu pojawiła się uaktualniona wersja BOLO, a o szesnastej pościg za zbiegłym więźniem zyskał wyższą klasyfikację, to znaczy prawdopodobnego porwania/sytuacji z zakładnikami.

Dwie godziny później Fred Otto z oddziału motocyklowego kalifornijskiej drogówki zauważył coś podejrzane na jednej ze ścieżek na poboczu autostrady nr 1, prowadzących w Góry Lucia. W błocie na plecach leżał człowiek, owinięty w coś niczym mumia.

Kiedy policjant zatrzymał motor, by zbadać sprawę, ku jego zaskoczeniu mumia podniosła się na kolana i rzuciła do przodu, zyskując tym kolejne pół metra w kierunku autostrady. Policjant nadał przez radio swoją pozycję, wezwał karetkę i pospieszył na pomoc.

- Trzymaj się - powiedział, klękając przy mumii.

Była to kobieta, owinięta od stóp do głów w brudne bandażę i taśmę klejącą. Nogi i ręce miała całkowicie skrepowane, pomiędzy więzów wystawał jedynie czerwony nos i burza

ciemnych włosów.

- Trzymaj się, wszystko będzie w porządku.

Przy pomocy noża rozciął taśmę, która zabezpieczała od góry kokon z gazy. Następnie, trzymając głowę ofiary na ramieniu, zaczął odplątywać bandaż. Dwoje brązowych oczu otwarło się, zamrugało od słońca, po czym spojrzało nań czujnie.

- Przeżyłam - powiedziała, kiedy odsłonił jej usta. Było to w równym stopniu pytanie, jak i stwierdzenie.

- Odniosła pani jakieś obrażenia?

- Nie sędzę. Jestem tylko cała obolała, czołgałam się od kilku godzin.

- Co się stało?

- Porwał mnie zbieg z więzienia w Salinas. Ma moją przyjaciółkę Irene.

- Nadal są w zielonym Volvo? - Otto znał najnowszy BOLO z radia.

- Tak było, kiedy ich widziałam po raz ostatni.

- Zgłoszę to tylko i zaraz panią uwolnię. Karetka jest już w drodze.

- Niech zadzwonią do mojego męża.

- Oczywiście.

Tak oto BOLO został uaktualniony raz jeszcze: blondyn w różowym dresie i blondynka w białych spodenkach i bluzce bez rękawów kierujący się na południe w zielonym Volvo.

Niestety, poprawiony BOLO był błędny pod niemal każdym względem już w momencie wydania.

33

- Zadam ci kilka pytań, Bill - powiedział Max do staruszka, który siedział przywiązany do krzesła.

Znajdowali się teraz w kuchni dużej przyczepy kempingowej, zaparkowanej na krańcu stromego podjazdu w górach Big Sur.

Jeździli z Irene po okolicy prawie przez godzinę, szukając idealnego celu - odizolowanego podjazdu z pojedynczą skrzynką pocztową.

- Od tego, czy odpowiesz zgodnie z prawdą, zależy twoje życie. No nie, kochanie?

Irene zgodnie z poleceniem stała w otwartych drzwiach przyczepy i obserwowała podjazd. Obróciła się i napotkała niepewne spojrzenie zakneblowanego mężczyzny.

- Myślę, że tak właśnie jest - odparła, nie do końca zgodnie z prawdą. Odkąd udało jej się namówić Maxa na uwolnienie Barbary, zaczęła przychylić się do opinii, że to nie on był alter ego o morderczych skłonnościach, pomimo oczywistych objawów poważnych zaburzeń. Właściwie to musiała w to wierzyć.

Jej nerwy były napięte jak postronki, jednak wiedziała instynktownie, że jeśli podda się strachowi nawet na chwilę, to będzie zgubiona. Emocjonalnie balansowała teraz na wysoko rozpiętej linie. Gdyby spadła, nie byłoby już powrotu.

- Dobra, oto pierwsze pytanie, Bill - powiedział Max. -  
Spodziewasz się jakichś gości?

Max zaparkował Volvo pod markizą z zielonego falistego plastiku. Samochód Billa - poobijany biały furgon Dodge Tradesman - stał teraz u szczytu podjazdu, gotów do drogi w każdej chwili.

Bill przecząco pokręcił głową.

- Ktoś tu jeszcze mieszka prócz ciebie?

Ta sama reakcja.

- A czy kiedykolwiek ktoś tu mieszkał prócz ciebie?

Bill znów pokręcił głową.

- Kłamiesz, chłopcze. Coś nie wierzę, żebyś to ty powiesił te zasłony.

Irene spojrzała przez ramię. Zasłony były białe w niebieskie młyny, plisowane i zdecydowanie kobiece. Bystry gość z tego Maxa.

- Kochanie, miałaś uważać na drogę.

Szybko się odwróciła, zgodnie z poleceniem. Współpracując z Maxem, chciała obniżyć jego poziom stresu, co pomoże zachować mu dominację nad pozostałymi alter ego.

- Bill, dam ci drugą szansę - powiedział Max cichym, niemal miłym głosem. - Widzisz, obrabowaliśmy bank w Carmel.

Nie mamy interesu, żeby robić ci krzywdę, chcemy tylko stąd zniknąć. Ale sytuacja szybko robi się napięta. Od ciebie chcę, po pierwsze, szczerości, po drugie, furgonetki. W zamian zostawię ci



**kluczyki do Volvo. To chyba więcej niż uczciwa zamiana.**

**Nawet odzyskasz w końcu swój furgon, jak już nie będzie nam potrzebny. To co, dogadamy się?**

**Bill skinął głową.**

**- Wypas. To kto zawiesił zasłony?**

**- Moja żona. Zmarła rok temu. Rak.**

**- Cóż, przykro mi to słyszeć. Długo byliście małżeństwem?**

**- Trzydzieści lat.**

**- O ludzie, życie potrafi być okrutne, co? - Max pokręcił głową, cmokając. - Powiem ci, co zamierzam. Pożyczę sobie twoją furgonetkę, a ciebie zostawię tu związanego na parę godzin. Jeśli uda ci się samemu dotrzeć przez ten czas do telefonu, to cóż, moja strata. Ale jak nie, to zadzwonię do kogoś, żeby cię uwolnił.**

**Masz tu w pobliżu jakąś rodzinę? Sąsiadów?**

**Bill po raz wtóry przecząco pokręcił głową. Co prawda, w pobliżu mieszkała jego córka - była teraz na wieczornej zmianie w przydrożnej restauracji - ale niech go diabli wezmą, jeśli powiedziałby o niej tym bandytom.**

**- To może zadzwonię do jakiegoś okolicznego sklepu albo knajpy? Wolałbym nie dzwonić na gliny. Wiesz, jak to jest.**

**- Nepenthe, tak się to nazywa, Nepenthe. Restauracja. Będzie otwarta.**

**- Dobra, więc Nepenthe. Ruszamy, kochanie.**

**Max wyszedł za Irene z przyczepy, po czym - w akcie nieoczekiwanej rycerskości - pomógł jej wspiąć się na siedzenie**

furgonetki. Nagle walnął się dłonią w czoło.

- Prawie zapomniałem. Potrzebujemy nowych ubrań i prowiantu. Zaraz wracam.

Przykuł nadgarstek Irene do kierownicy. Nie protestowała nawet tak bardzo, jak się spodziewał. Prawdę mówiąc, akt ten przyniósł jej nawet pewną ulgę, nie musiała decydować już, czy próbować ucieczki, czy nie. Przez wsteczne lustro obserwowała, jak Max wchodzi do przyczepy. Nadal miał na sobie ten niedorzeczny różowy dres. Po kilku minutach pojawił się z powrotem, przebrany w dżinsy i niebieską flanelową koszulę. Na głowie miał czarną wełnianą czapkę. Przyniósł ze sobą kartonowe pudło, które wrzucił na tył wozu.

- Jest tam trochę ciuchów - powiedział, wspinając się na fotel kierowcy. Zdjął Irene kajdanki. - Wygląda na to, że będą na ciebie pasować, ale nawet jak nie, to i tak musisz je założyć. Jest tam też peruka, wygląda na to, że pani Billowa wyłysiała przed śmiercią.

Peruka po zmarłej. Irene poczuła, jak na samą myśl skóra na jej głowie się marszczy.

- Muszę?

- Musisz wszystko, co ci każe. Tak to działa.

Kiedy furgonetka zaczęła się toczyć w dół, podskakując na kamieniach, Irene przeszła na tył i sprawdziła zawartość pudła.

Jedzenie: masło orzechowe, dżem, kielbasa bolońska, chleb, sok jabłkowy. Ubrania: czerwone spodnie z poliestru; liliowa

bluza, też z poliestru, z plastikowymi zapięciami. Pani Billowa musiała być kiedyś niezłą rakieta.

Irene usiadła na metalowej podłodze, po czym wciągnęła obie rzeczy na spodenki i koszulkę. Sięgnęła po perukę - ta okazała się mieć szkarłatny kolor, który pasowałby do stroju klauna. Irene zacisnęła zęby, zwalczyła odruch wymiotny i założyła ją na głowę, dokładnie upychając pod spód własne włosy. W ustach czuła smak kwasu żołądkowego.

- Irene?

- Tak, Max?

- Powinien tam gdzieś być karton Cameli. Przynieś mi paczkę, co?

Ton głosu był lekki, przyjazny. Irene postanowiła go naśladować.

- Masz szczęście, że facet pali akurat Camele. Mam nadzieję, że zostawiłeś mu choć trochę?

W odpowiedzi zapadła cisza. Długa cisza. Irene zrozumiała, że mogła przeszarżować. Poczula, jak ogarniają ją nagle fala mdłości. Zauważyła, że wstrzymuje oddech.

- Nie, nie. Nie zostawiłem - powiedział w końcu. Ku uldze Irene, wydawał się bardziej rozbawiony niż zdenerwowany.

- Nie było takiej potrzeby. Tak się składa, że staruszek właśnie rzucił palenie.

34

Pender wyszedł z sypialni wkrótce po tym, gdy Harriet

Weldon, kryminolog z FBI, ściągnęła z kobiet prześcieradło, które przykrywało je do pasa. Okazało się, że Casey przygotował dla nich jeszcze jedną upiorną niespodziankę. Poniżej pasa oba ciała były kompletnie zmasakrowane. Niezliczone ciosy noża zmieniły ich części intymne w nierozpoznawalną masę krwawego mięsa i potrzaskanych kości.

Chwilę po zachodzie słońca, kiedy miejsce zbrodni opuściły już zarówno ofiary, jak i większość agentów FBI (w tej liczbie również szalenie podekscytowany Thomas Pastor, który nie zaszczylił Pendera żadnym słowem, ani nawet spojrzeniem), a pieczę nad nim przejęło biuro szeryfa Monterey, Weldon wyszła za dom. Na podwórku zobaczyła Pendera.

- Chciałabym panu coś pokazać - powiedziała. Zaprowadziła go do ciemnej sypialni, zamknęła drzwi i podłączyła do gniazdka ultrafioletowy laser. - Jurny ten pański Casey, że ho, ho.

- A niech mnie... - rzekł Pender. Na łóżku, na dywanie, na fotelu, na rozrzuconej po podłodze bieliźnie, nawet na ścianie - wszędzie światło lasera wydobywało z mroku blade plamy, opalizujące niczym odległe gwiazdy. - Aż ciężko uwierzyć, że to wszystko dzieło jednego faceta.

Każda z gwiazd niemal na pewno reprezentowała ejakulację; sperma, potraktowana ultrafioletem, świeci na biało. Obecność nasienia należało jeszcze zweryfikować za pomocą testów enzymu fosforylacji. Ale, zważywszy na okoliczności, pochodzenie plam było dla obojga detektywów raczej oczywiste.

- Nie będziemy wiedzieć, czy to wszystko pochodzi od Caseya, dopóki nie przyjdą wyniki testów DNA - powiedziała Weldon. Była niską, całkiem uroczą kobietą, której ciężkie okulary, bulwiasty nos i krzaczaste brwi nadawały podobieństwo do Groucho Manta. - Ale wszystkie inne poszlaki wskazują na pojedynczego sprawcę, więc jeśli żadna z kobiet nie miała chłopaka, który odwiedził ją po ostatnim praniu pościeli, to stawiam na to moje per diem. Ale wie pan co... Nie widziałam jeszcze czegoś takiego.

Pender kiwnął głową.

- Generalnie większość seryjnych zabójców gwałci swoje ofiary nie z zamiłowaniem do seksu, lecz z nienawiści do kobiet - dodał. - Bum, bum i dziękuję pani. Oczywiście, jeśli w ogóle im stanie.

- Nie powiedziałabym, że ten tutaj był miłośnikiem kobiet.

Weldon włączyła światła i przyklękła, by odłączyć laser od sieci.

Kiedy wychodzili, Pender po raz ostatni rozejrzał się po pokoju. Ślady po kredzie, znaczki, taśma, proszek do odcisków palców. Poczul nagłą nostalgię za tymi pierwszymi ekscytującymi chwilami, kiedy był tu sam.

- Zapewne nie znalazła pani żadnych poszlak, mówiących o tym, skąd gość pochodzi ani dokąd zamierza zabrać doktor Cogan?

- Pomarzyć dobra rzecz.

**- A ten Chevrolet, w którym go złapano?**

**Przeszli do kuchni, gdzie nadal znajdowały się pozostałości po kilku posiłkach, które przyrządził sobie Casey. Zjadł je w salonie, zapewne oglądając telewizję. Tam też spał na kanapie.**

**- Celebrity? Na razie nic. Tak samo z walizką, tak samo z pieniędzmi. Przebadam wszystko w laboratorium na wypadek mikrośladów, ale póki co... Gość jest jak duch.**

**- To by się zgadzało.**

**- Co ma pan na myśli?**

**- Jedna z wczesnych teorii na temat Caseya była taka, że to kameleon. Co pasuje do diagnozy doktor Cogan, do zaburzeń dysocjacyjnych. Kiedy gość rusza zapolować na kolejną truskawkową blondynkę, całkowicie zmienia osobowość. Staje się ich ideałem, by się w nim zakochiwały. Więcej niż zakochiwały - były gotowe uciec z nim w siną dal, porzucić dom, męża, mamę i tak dalej.**

**- Wytrawny uwodziciel. Ale co to ma wspólnego z tym...**

**- Byli teraz poza domem; Weldon zerknęła na okna do sypialni. - Z tym bajzlem tutaj?**

**- Zemsta. Funkcjonariusz Jervis zaaresztowała go. Myślę, że wcześniej miał się nie tylko za nadczłowieka, lecz uważał, że jest praktycznie nieśmiertelny. Musiał ją ukarać za przypomnienie mu, co to strach, za sprowadzenie go do naszego poziomu.**

**- Ale ta druga kobieta? I ten cały seks?**

**- Myślę, że po prostu skorzystał z okazji.**

- Nie ma co, skorzystał w pełni, a nawet bardziej - z okazji, mam na myśli.

- Myślę, że zawsze stara się tak robić. - Pender wręczył jej wizytówkę. - Zrobi mi pani przysługę? Jeśli znajdą się jakieś ślady, proszę mnie powiadomić. Przed innymi. Nawet, gdyby ktoś pani zabronił.

- Słyszałam, że siedzi pan w gównie - powiedziała Weldon.

- Ale nie wiedziałam, że tak głęboko.

- W gównie czy nie, nadal prowadzę to śledztwo.

- No cóż... - Wzięła wizytówkę. - Mam u pana dług. Nigdy wcześniej nie widziałam równie dziewiczego miejsca zbrodni.

Komórka? - spytała, oglądając karteczkę.

- Pager. Wibruje. - Pender poklepał się po kieszeni i aż podskoczył, kiedy w tym samym momencie urządzenie nagle się włączyło. - O wilku mowa.

Pender zakręcił swoimi grubymi palcami niczym Oliver Hardy, po czym sięgnął po komórkę, by oddzwonić.

- Pender... Dzięki, zaraz tam będę. - Wcisnął guzik zakończenia połączenia i zamknął klapkę. - Może mi ktoś powiedzieć, jak się dostać do Pacific Grove? - zawołał do policjantów, którzy stali przy tylnich drzwiach.

- Żaden problem - odpowiedział jeden z nich, czarny. - Po pierwsze, trzeba być białym i bogatym.

- Mówisz o Carmel - wtrącił się drugi.

- Nieee - odparł Murzyn. - Żeby dostać się do Carmel, trzeba

się tam urodzić.

35

Od latarni morskiej na przylądku Sur na autostradę numer 156 w Castroville, samozwańczej Światowej Stolicy Karczocha, następnie na autostradę numer 101 w Prunedale, i dalej, przez Gilroy, samozwańczą Światową Stolicę Czosnku, Irene udało się zachować maskę względnego spokoju. Palila jednego Camela za drugim, karmiła siedzącego obok kierowcę kanapkami z dżemem i masłem orzechowym, podpalała mu papierosy. Ale im bliżej byli San Jose, tym bardziej nerwowa się stawała, aż w końcu stwierdziła, że drży na całym ciele, niczym ofiara hipotermii.

Max nie mógł tego nie zauważyć. Kiedy należało uspokoić porwaną ofiarę, zwyczajowo wysyłał do roboty Isha. Zaczekał, aż droga przed nimi i po bokach będzie relatywnie pusta, po czym dokonał zmiany. Pozbawiony kierowcy samochód zaczął zjeżdżać na lewo, ale już po chwili Ish chwycił kierownicę i wyrównał tor jazdy.

- Co ci jest, Irene? - zapytał cicho.

Irene, która chowała twarz w drżących dłoniach, zupełnie przegapiła zmianę. Nie, żeby była teraz w stanie odbierać subtelne różnice w wymowie i zachowaniu pomiędzy alter ego. Mylnie zakładając, że wciąż rozmawia z Maxem, postanowiła podzielić się z nim paroma osobistymi informacjami. Miała nadzieję, że dzięki temu zacznie ją bardziej postrzegać jako osobę, a mniej jako przedmiot lub ofiarę.



- Zbliżamy się do mojego rodzinnego miasteczka - powiedziała, z trudem opanowując drżenie w głosie.

- San Jose?

- Tam się urodziłam i wychowałam.

- Masz tam jakąś rodzinę?

- Starszego brata. Młodszy mieszka w Campbell. Obaj są strażakami, jak ojciec.

- Twoi rodzice żyją?

- Mama zmarła pięć lat temu. Tata ożenił się powtórnie.

Mieszka z nową żoną w Sebastopol. Jest rok młodsza ode mnie.

- Uważasz, że dobrze zrobił?

- Tak, cieszę się, że jest szczęśliwy. Chciałabym tylko, żeby mieszkali bliżej.

- Tęsknisz za matką?

- Bardzo.

- Jesteście zżyłą rodziną?

- Tak, tak myślę. Ciągle się kłóciłam z braćmi, ale wiem, że zawsze mogę na nich liczyć. Prawdziwe z nich byki, w szkole średniej nikt z nimi nie zadzierał. Co to, to nie.

- Sielanka - stwierdził Ish zamyślonym głosem.

Dopiero teraz Irene przeszło przez myśl, że może rozmawiać z innym alter ego niż Max. Mniej zamkniętym w sobie. Może też bardziej skorym do wynurzeń.

- Może opowiedz mi o twojej rodzinie. Masz jakieś

**rodzeństwo?**

**- Nie jesteśmy tu, by rozmawiać o mojej rodzinie, Irene - padła odpowiedź godna wykształconego psychiatry.**

**Był to pierwszy znak, że może mieć do czynienia z osobowością terapeutyczną, typu ISH. Postanowiła zaryzykować i spróbować nawiązać z nim jakiś kontakt. Tego typu osobowości bardzo rzadko, jeśli w ogóle miały agresywne tendencje. W miarę jak zaczynała dochodzić do siebie, w jej głowie zaczął formować się plan. Przyjęcie na powrót roli terapeuty dawało jej największe szanse przeżycia. Tak czy siak, było to na pewno lepsze niż rola oczekującej na śmierć ofiary.**

**Irene wyjrzała przez okno. Przejeżdżali właśnie przez serce Doliny Krzemowej. Pamiętała czasy, gdy cały ten teren porastały drzewa śliwkowe. Teraz rosły tu tylko fortuny.**

**- Czy ciągle rozmawiam z Maxem? - zapytała tonem tak lekkim, na jaki mogła się tylko zdobyć.**

**- Nie - odparł Ish, niemal automatycznie, tonem profesjonalnej uprzejmości.**

**Zachęcona tym, Irene spróbowała zadać jeszcze jedno pytanie.**

**- Zatem z kim mam przyjemność?**

**Niewiele brakowało, a byłoby to jej ostatnie pytanie w życiu.**

**36**

**Nie było człowieka, który zdołałby umknąć przed gościnnością Klopmanów.**

**Międzyagencyjna konferencja w kwaterze głównej policji Pacific Grove, w której wzięli udział reprezentanci lokalnych stróżów prawa, policji stanowej, drogówki, Departamentu Sprawiedliwości stanu Kalifornia, biura szeryfa hrabstwa Monterey, Szeryfów Federalnych, oraz, oczywiście, agent Pastor z FBI (który robił, co mógł, by ignorować obecność Pendera) zmieniła się w prawdziwą rzeźnię. Dyskutowano na niej kwestie jurysdykcji, podnoszono głosy i wytykano się nawzajem palcami.**

**Dopiero o jedenastej w nocy Pender pojawił się pod drzwiami domu Sama i Barbary, z zamiarem naciągnięcia ich na wywiad.**

**Okazało się, że Barbara, po zażyciu podwójnej dawki Valium, poszła już do łóżka, ale kiedy Sam dowiedział się, że Pender spędził dwie poprzednie noce w szpitalu, zaczął nalegać, by agent zatrzymał się w pokoju dla gości.**

**Pender był zmęczony i obolały. Nie uśmiechał się mu powrót samochodem do Travel Inn tylko po to, by rano i tak znowu tu przyjechać, więc przystał na tę propozycję. Zakładając, że przez co najmniej sześć następnych godzin nie będzie musiał obsługiwać żadnych maszyn, wziął jeszcze dwie tabletki Vicodinu.**

**Było to co prawda wbrew zaleceniom dawkowania, ale uznał, że facet o jego masie może spokojnie sobie na to pozwolić. Zasnął w ciągu kilku minut. Jakiś czas później obudził się w ciemnościach, z przerażającą i jednocześnie rozkoszną pustką w głowie.**

**Ktoś pukał do drzwi - ale co to za drzwi? Co to za pokój?**

**Zrozumienie przyszło dopiero, gdy zapalił lampkę przy łóżku i dostrzegł abażur w krówki, prześcieradło w duże krowy, posążki krówek, malowidła z krowami i inne krowiokształtne akcesoria. Był w pokoju gościnnym Klopffmanów. Tymczasem pukanie rozległo się ponownie.**

**- Tak?**

**Otworzyły się drzwi. Stała w nich krągła kobieta o podwójnym podbródku, ciemnych oczach i równie ciemnych włosach.**

**- Agent Pender?**

**- Doktor Klopffman?**

**- Mogę wejść?**

**- Proszę.**

**Barbara zamknęła za sobą drzwi i ruszyła na palcach przez pokój. Miała na sobie o wiele za długi męski płaszcz kąpielowy, który ciągnął się za nią po podłodze. Pod płaszczem można było dostrzec grubą bawełnianą koszulę nocną, która wyglądała na bardzo wygodną.**

**- Nie mogłam zasnąć... Sam powiedział mi, że pan tu jest i chciałby ze mną porozmawiać tak szybko, jak to możliwe.**

**- Im szybciej, tym lepiej - powiedział Pender bez przekonania i usiadł na łóżku, otulając się w pasie prześcieradłem.**

**Lekko kręciło się mu w głowie, ale było to całkiem przyjemne.**

Czuł, jak wzbiera w nim fala ciepłych, tkliwych uczuć. Spojrzał na zegar. Z pewnym rozbawieniem zauważył, że nie ma on wskazówek, tylko dwie krowy. Mała krówka pasła się przy cyfrze jeden, a duża krowa przy szóstce. Wtedy przypomniał sobie o tabletkach. Była pierwsza trzydzieści w nocy, a on był naćpany Vicodinem.

Na całe szczęście doktor Klopffman też była pod wpływem leków. Nie zauważyła, w jakim stanie Pender się znajdował, albo się tym nie przejmowała. Nie minęło wiele czasu, nim zaczęli się do siebie zwracać po imieniu i żartobliwie flirtować, kiedy opowiadała mu swoją historię.

Pender nigdy jeszcze nie przeprowadzał wywiadu w samej bieliźnie, na łóżku, do tego naćpany, ale nie wydawało się to mieć negatywnego wpływu na jego umiejętności. Barbara czuła się bezpiecznie w jego prawie dwumetrowej obecności. Delikatnie nakłaniał ją do mówienia, wyciągał szczegóły, o których nawet nie wiedziała, że je pamięta, a nawet trzymał za rękę w trakcie co straszniejszych fragmentów.

Kiedy skończyła, Pender zapytał, czy Casey mógł symulować zaburzenia dysocjacyjne.

- Wątpię - odpowiedziała bez wahania. - Mógłby łatwo wywieść w pole mnie, ale jeśli chodzi o zaburzenia dysocjacyjne, to nie ma lepszego specjalisty od Irene. Ją byłoby ciężko oszukać.

Przeprowadziła całą baterię testów, wywiad kliniczny... Nawet regresję hipnotyczną.

- A niech mnie diabli, gdybym tylko przy tym był...
- Zawsze możesz przesłuchać taśmy - powiedziała Barbara.

Pender zrobił minę, jakby został na czymś złapany.

- Nagrywała te sesje?
- No pewno.
- A niech mnie.

Kiedy okazało się, że doktor Cogan została porwana, FBI włamało się do jej biura, ale nie było tam śladu po raporcie, który obiecała dla nich napisać. Prowadzący dochodzenie agent Pastor skonfiskował jej peceta i zawezwął z San Jose eksperta od zabezpieczeń elektronicznych, by ten złamał hasło, ale to musi potrwać przynajmniej do jutra. Pender znowu był o krok przed machiną śledczą.

- Gdzie Irene mogłaby schować te taśmy? - zapytał Barbarę.
- Pewnie w swoim biurze... Wiem, gdzie trzyma zapasowy klucz. Mogę cię tam zabrać jutro z samego rana.

- Do diabła z jutrem - powiedział Pender i zaczął się szybko wygrzebywać z pościeli. Wtedy dopiero przypomniał sobie, że jest w samej bieliźnie. - To nie wiesz, że FBI nigdy nie śpi?

- Ale ja śpię - odparła Barbara.
  - Irene za to sobie nie pośpi - powiedział Pender.
- To wystarczyło, by dobić targu.

37

Aby zwiększyć bezpieczeństwo systemu, Max już przed laty,

z pomocą Isha, wbudował weń coś, co można by nazwać awaryjną reakcją obronną. Kiedy jakiegokolwiek alter ego - poza Maxem - było pytane o imię, natychmiast wyłączało się na jego korzyść.

Tylko on mógł odpowiedzieć na takie pytanie.

Niestety, Max nie przewidział, że zostanie zapytany o imię, wówczas gdy będzie prowadził rozpędzony samochód po zatłoczonej autostradzie. Chociaż kierowca stracił kontakt z rzeczywistością tylko na kilka sekund, to wystarczyło, by furgonetka znowu skręciła ostro w lewo - ewidentnie Bill nie uważał za zasadne, by ładować pieniądze w ustawianie zbieżności kół. Kiedy Max zrozumiał, co się dzieje, zbyt mocno odbił w drugą stronę, szarpiąc kierownicę w prawo. Furgonetką zarzuciło tak gwałtownie, że przez chwilę jechała na dwóch kołach.

Irene krzyknęła i zamknęła oczy. Kiedy znów je otworzyła, furgonetka spokojnie jechała środkowym pasem przy akompaniamencie wycia klaksonów, a jej porywacz trzymał w ręce swój krótkolufy rewolwer - po raz pierwszy, od kiedy sterroryzował nim Billa.

- Irene, Irene, Irene... Co ja ci takiego zrobiłem, żeby zasłużyć na taki brak szacunku?

Głos był ledwie chrapliwym szeptem, akcent włoski lub hiszpański. Nowa fala strachu zalała umysł Irene. Głębsza, zimniejsza i w jakiś sposób bardziej nawet przerażająca niż czysto fizyczny strach, który poczuła kilka chwil temu. Czy to właśnie było to mordercze alter ego, którego tak bała się spotkać? Czując,

**jak jej serce pompuje czystą adrenalinę, Irene próbowała odzyskać kontrolę nad swoimi gwałtownymi emocjami. W gardle czuła metaliczny posmak. Wiedziała, że jej przetrwanie zależy od jasności umysłu. Od tego, czy nie zapomni swojego treningu. On jest psychicznie chory, powiedziała sobie w myślach, a ty jesteś psychiatrą. Na miłość boską, zacznij działać jak psychiatra. Użyj swojej wiedzy.**

**I, kiedy Irene zapanowała nad swoim przerażeniem, a przynajmniej na chwilę wzięła je w cugle, odpowiedź przyszła sama.**

**To nie było żadne nowe alter ego, tylko kolejna impresja Maxa.**

**- Ojciec Chrzestny, prawda? - zapytała drżącym głosem.**

**Max skinął głową i schował broń za pasek od spodni.**

**- Lepiej wyjaśnię, zanim wypierdolimy się do rowu. Irene, kiedy po raz pierwszy pojawiłem się na scenie, Ulysses Christopher Maxwell junior był w kompletnej rozsypce. Chaos, absolutny chaos. Alter ego włączające się losowo w najmniej odpowiednich momentach, rzadko porozumiewające się między sobą. Powiedziałaś, że Lyssy opowiadał o pierwszym razie, kiedy był molestowany. Cholera, on nie ma nawet pojęcia o pierwszym razie. To się zaczęło lata wcześniej. I, szczerze mówiąc, to, co się stało tamtej nocy to pikuś w porównaniu z wcześniejszymi razami. Kiedy skończył pięć lat, odszczepiło się od niego już z pół tuzina osobowości, by mógł to wytrzymać. A Ulysses, tak zwany**



gospodarz - nie żartujmy! Nazywam go Ulyssesem Beznadziejnym. Nie miał żadnej władzy. Nie miał nawet pojęcia o tym, że jest częścią osobowości wielokrotnej. System był na prostej drodze do wariackowa, Irene. Jeśli by tego w ogóle dożył. I tu pojawia się Max. Zaprowadziłem porządek, zbudowałem system komunikacji, ustaliłem kilka prostych zasad postępowania, jedną z których jest to, że tylko ja mogę odpowiadać na pytania dotyczące naszej tożsamości. Więc od tej pory nie chcę więcej słyszeć wypytywania o imiona, żadnego myszkowania, dopóki nie znajdziemy się w mniej lub bardziej dogodnych warunkach do rozpoczęcia terapii.

Rozpoczęcia terapii, pomyślała Irene. Więc jednak miała rację, mówiąc Barbarze, że Max szuka z jej strony pomocy. Jednak poczucie ulgi zakłócała jedna niepokojąca myśl. Wyjawiał swoją tożsamość. Co oznaczało, że nie zamierzał kiedykolwiek jej wypuścić.

Poczuła, że znowu wzbiera w niej fala zimnego przerażenia.

Oczywiście, nie zamierzał jej wypuścić. Mówiła sobie, że przecież na jakimś poziomie wiedziała to od samego początku. Ale to nie oznaczało jeszcze wyroku śmierci. Ucieczka, ratunek - to bardzo realne możliwości. Jeśli uda jej się zachować życie. Dzięki swojej inteligencji. Treningowi. Korzystaj z tego, powtórzyła sobie w myślach. Słuchaj.

- Kiedy już zaczniemy terapię, pozwolę ci rozmawiać, z kim tylko będziesz chciała - mówił dalej Max. - Przynajmniej dopóty,

**dopóki nie będziesz próbować tego wykorzystać do swoich celów. Pamiętaj, ja zawsze tam będę. Będę słuchał, będę wiedział, co ci powiedzą. Będę wiedział, co ty im powiesz. Każdemu z nich.**

**Nie każdemu, pomyślała Irene, przypominając sobie zagubienie Maxa po sesji hipnoterapii. Nie potrafisz przejrzeć Lyssy 'ego.**

**- A jeśli spróbujesz nakłonić którekolwiek do działania wbrew interesom systemu, przerwę terapię z ekstremalną bezwzględnością. Znasz to powiedzenie?**

**- Niezupełnie.**

**- To eufemizm. Pochodzi z Czasu Apokalipsy i nieodmiennie wiąże się z czyjąś śmiercią.**

**- Zapamiętam to - powiedziała Irene. - Ale, czy mogę mówić szczerze?**

**- Zawsze.**

**- Jeśli, twoim zdaniem, system działa bez zarzutu, to dlaczego chcesz się poddać terapii?**

**Spojrzał na nią bystro, po czym odwrócił wzrok z powrotem ku rozwijającej się przed nim wstędze szosy. Samochody przeredzały się. Furgonetka robiła ponad osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, co było jej maksymalną prędkością. Dlatego właśnie trzymał się ciągle autostrady numer 101, zamiast wjechać na międzystanową numer 5. Podobna szybkość mogłaby skończyć się tam mandatem za utrudnianie ruchu.**

- Nie był to aby przypadkiem sarkazm? Co, Irene?

- Nie. Myślę, że to sensowne pytanie.

- Zatem dam ci na nie sensowną odpowiedź. Bycie osobowością wielokrotną to niełatwy kawałek chleba. Zawsze dzieli cię tylko krok od ośmieszenia się. Ciężko nie wylecieć z pracy.

A jeśli chodzi o związki, to w ogóle zapomnij. Kto by chciał się wiązać z całą trupą teatralną? Człowiek nie wiedziałby nawet, z kim akurat uprawia miłość.

Irene zdecydowała, by nie podnosić kwestii, że literatura dotycząca zaburzeń dysocjacyjnych obfitowała w przykłady partnerów osobowości wielokrotnych (przeważnie bowiem dotyczyło to mężczyzn związanych z chorymi kobietami), którzy aktywnie przeciwdziałali terapii, ponieważ mieć osobowość wielokrotną za żonę to jak mieć osobisty, wymagany harem.

- Nadal nie do końca rozumiem - rzekła zamiast tego. - Powiedziałeś, że przywróciłeś porządek w systemie. Może zwyczajnie nigdy nie oddawaj kontroli innym alter ego?

- Cholera, pewnie, żebym tego chciał. Ale to tak nie działa. Jedyne sposoby, by zachować władzę, to regularnie pozwalać innym się wyszaleć. Jeśli tego nie robię, to próbują przejąć kontrolę siłą. Czasem i tak to robią, dzięki temu udało ci się spotkać z Ulyssesem.

Irene przypomniała sobie, co wówczas powiedział bezsilny gospodarz, że Max nigdy nie pozwoli na żadną terapię. Teraz

**zaczynała rozumieć.**

**- Więc nie chcesz przechodzić terapii po to, by się zintegrować, lecz by móc sprawować lepszą kontrolę nad pozostałymi.**

**Nie wiem, ile uda się nam osiągnąć przy tak postawionych założeniach.**

**- Małe dostrajanie, by system funkcjonował sprawniej? To podręcznikowa fuzja, Irene. Podręcznikowe rozwiązanie terapeutyczne. Uważam, że da się to zrobić, a na pewno warto spróbować. A ty, jak myślisz?**

**Irene wiedziała, że lepiej nie pytać o alternatywy. Powstrzymując dreszcz grozy, próbowała skupić myśli na oczekującej ją pracy. Fuzja była trudna do osiągnięcia nawet w najlepszych warunkach, wymagała też dużo czasu. Minimum trzy lata. Ale, kto to wie na pewno? Ta osobowość wielokrotna była inna od wszystkich, które wcześniej leczyła. Być może z taką silną osobowością u władzy, zamiast tradycyjnie nieefektywnego gospodarza, możliwość szybkiego rozwiązania nie była taką znowu mrzonką.**

**Tak czy siak, było to na pewno lepsze niż przerwanie terapii z ekstremalną bezwzględnością. Zatem: zacząć terapię, nie wkurzać Maxa, rozglądać się za śladami rozłamu czy słabości w systemie, które można byłoby wykorzystać - i, co najważniejsze, pozostać przy życiu.**

**- W takim razie chyba w to wchodzę, jeśli nie zamierzasz się**

rozmyślić - powiedziała, po czym nachyliła się w lewo, sięgnęła do czoła Maxa i delikatnie szesała wchodzący mu w oczy kosmyk włosów, tym razem jasnych, po czym schowała mu go pod czapkę.

30

Ed Pender w swoim czasie przeszukał dość domów, by stwierdzić, że nieraz najłatwiej jest znaleźć coś, co zostało ukryte specjalnie. Gliniarze, podobnie jak włamywacze, znali wszystkie typowe schowki - materace i spody szuflad, zamrażarki i spluczki, sejfy w ścianach i przejścia za ścianami.

Ale Irene Cogan nie próbowała wcale schować swojego dyktafonu. A to oznaczało, że mógł być wszędzie. Po dokładnym przeszukaniu biura, a później też salonu, kuchni, łazienki i sypialni, Pender dowiedział się o Irene Cogan prawie tyle, jakby się z nią spotkał osobiście. I na pewno więcej niż normalnie zechciałaby mu wyjawić.

Dowiedział się, że miała męża o imieniu Frank, który był budowniczym, golfistą i malarzem amatorem. Dowiedział się, że - albo ona, albo Frank - nie mogli albo nie chcieli mieć dzieci.

Choć ewidentnie nie brakowało im pieniędzy, kupili sobie mały dom z pojedynczą sypialnią.

Zauważył, że była porządną, choć nie pedantyczną gospodynią. Że lubiła się ubierać w zwyczajne rzeczy, częściej kupowane w supermarketach niż w butikach. Że była szczupła i miała mały biust, ale długie nogi, i że zwykle farbowała włosy u fryzjera, choć czasami używała farby L'Oreal własnoręcznie. Jej

zapachem był Rain, ulubionym kolorem niebieski, zapewne była też dumna z tych swoich długich nóg - miała więcej sukienek niż spodni, więcej krótkich spódniczek i spodenek, niż długich. Chociaż nosiła zwyczajne białe majteczki od Olgi, nie zawahała się władować furi szmalu w pończochy i rajstopy z najwyższej półki, rozumiała też wartość wysokich obcasów.

Z obfitości publikacji psychologicznych w każdym zakątku domu połączonych z niemal kompletnym brakiem beletrystyki na półkach, filmów przy telewizorze i niezwiązanych z psychologią czasopism w łazience - Pender wywnioskował, że była pracoholiczką. Wiedział też, że paliła Bensony, niedawno zaczęła biegać, żywiła się głównie sałatkami i zapewne nie przepadała za czekoladą.

Pender był również w stanie wysnuć pewne hipotezy odnośnie do jej zwyczajów seksualnych. Nie było śladów, żeby ostatnio ktoś u niej nocował, ani tym bardziej, żeby była w jakimś trwałym związku. W łazience znalazł tylko jedną szczoteczkę do zębów i jedną elegancką maszynkę Silk Effects. Żaden mężczyzna nie zostawił po sobie piżamy ani w szufladach, ani w szafach. Prawdę mówiąc, nic nie wskazywało na to, żeby ktoś w ogóle ostatnio wchodził do jej sypialni. Ani nawet dawniej niż ostatnio. Żadnej pikantnej bielizny w szufladzie, jedynie te majteczki od Olgi i beżowy praktyczny pas do jej ukochanych pończoch. Seksowna satynowa koszula nocna, którą Pender znalazł w szafie, nie była noszona od tak dawna, że wieszak odcisnął w niej

**głębokie ślady.**

**Co najważniejsze jednak, w łazience nie zauważył diafragmy ani maści plemnikobójczej, żadnych środków antykoncepcyjnych, pianki ani pigulek, w szufladzie szafki nocnej nie było prezerwatyw, olejków ani kremów. Brakowało nawet wibratora. Wszystko to w oczach agenta Pendera silnie przemawiało za wnioskiem, że doktor Irene Cogan, mówiąc prostacko, była mocno niewyżyta.**

**Aha, i jeszcze jedno. Z fotografii ślubnej, która stała nad małym kominkiem w salonie, dowiedział się, że Irene, zanim zaczęła farbować włosy, była truskawkową blondynką. Modlił się tylko, żeby Casey o tym nie wiedział.**

**Ale, pomimo wszystkiego, czego dowiedział się o doktor Cogan w ciągu dwugodzinnych poszukiwań, Pender dalej nie miał pojęcia, gdzie mogła położyć dyktafon. Ból głowy zaczynał go już doprowadzać do szału.**

**W sumie to mogę już sobie dać na dziś spokój, pomyślał, po raz drugi wchodząc do łazienki na piętrze. Tym razem nie szukał tam niczego, poza miejscem, gdzie mógłby sobie ulżyć. Kiedy pochylił się, by podnieść deskę (powoli, z powodu pulsowania pod czaszką), zauważył, że ozdobny ręcznik dla gości, który wisiał nad toaletą, został ściągnięty w dół na tyle, że opierał się o spluczkę. Nie wisiał jednak pionowo; opierał się ojej przód.**

**W tym momencie wiedział już, wiedział nawet zanim odsunął ręcznik na bok. Będąc od trzydziestu lat detektywem, specem od**

odtworzenia biegu wypadków, Pender automatycznie zaczął analizować sytuację od końca. Dyktafon na spluczce, ukryty pod ręcznikiem. Nie ukryty - zasłonięty. Przed czym? Przed wodą.

W końcu to była łazienka.

Ale dlaczego łazienka? No jasne. Doktor Cogan była pracoholiczką. Pender wiedział już, że pracowała przy jedzeniu. To może też w trakcie kąpieli? Dlaczego nie? Położyła zatem swój kosztowny dyktafon na toalecie, by był w zasięgu ręki, ale nie groziło mu wpadnięcie do wanny.

Kiedy Pender usadowił już doktor Cogan w wannie i kazał jej słuchać położonego na toalecie dyktafonu, pozwolił czasowi biec znowu naprzód. Chlap, chlap, Irene wychodzi z wanny.

Owija się ręcznikiem - nie tym dla gości, ale innym - po czym zapewne robi sobie turban z drugiego. Ale chce usiąść, żeby wytrzeć stopy czy coś. Przekłada dyktafon na spluczkę. Pociąga ręcznik dla gości, by zakryć urządzenie - inaczej mogłoby się zamoczyć, kiedy zdejmie z głowy turban.

Cały ten film rozegrał się przed oczyma wyobraźni Pendera w ciągu kilku sekund po tym, jak podniósł wyhaftowaną krawędź ręcznika i dostrzegł pod spodem perłowszary najnowszej generacji dyktafon wielkości małej książki. Obok urządzenia leżała mała kasetka, druga znajdowała się w środku. Pender rozumiał jednak, że - mimo całego swojego detektywistycznego geniuszu - znalazł dyktafon tylko dlatego, że poszedł się odlać.

Lepiej mieć farta niż rozum, powiedział sobie, nie po raz



**pierwszy w ciągu swojej długiej kariery.**

**39**

**W lusterku po stronie pasażera zabłysły migocące światła.**

**Proszę, chcę żyć, pomyślała Irene. Maxwell zjechał na pobocze, kierując furgonetką tylko prawą ręką. Lewą sięgnął za pasek spodni Billa i wyciągnął krótkolufą trzydziestkę ósemkę Terry Jervis.**

**- Co teraz będzie? - zapytała Irene.**

**Nie spuszczać wzroku z lusterka, zwiesił rękę z rewolwerem pomiędzy drzwi a brzeg fotela. Wiedział, co musi zrobić.**

**Wiedział też, że lepiej będzie dla stosunków pomiędzy nim a Irene, jeśli będzie udawał, że zrobiło to jedno z jego alter ego. Na szczęście potrafił naśladować je wszystkie.**

**Na początek jednak musiał zasymulować zmianę.**

**- Nie... nie wiem - wydukał, jakby walczył z wielkim stresem, po czym zamknął oczy i zamrugał gwałtownie kilka razy.**

**- ...bo i skąd mam, kurwa, wiedzieć? - kontynuował już chrapliwym, niechętnym głosem Kincha. - Pewnie na początek sprawdzi tablice. Szukają tej furgonetki, policjant zostaje w wozie, przez megafon każe podnieść ręce, trzymać je na widoku.**

**- Jak tak, to albo przykładam ci spluwę do głowy - zobaczymy, ile jesteś warta jako zakładnik - albo pakuję mu parę kul w szybę i gaz do dechy.**

**- A jeśli tylko chce wlepić ci mandat, czy coś?**

- Pyta mnie o prawo jazdy, muszę go zabić. Ciebie też zabiję, jak będę musiał. Nie chciałbym tego, bo Max będzie musiał wtedy poszukać sobie nowej terapeutki.

Przez następnych kilka sekund myśli Irene bezproduktywnie kręciły się w kółko. Jeśli policjant wysiądzie z wozu, zastrzeli go to nowe alter ego. Jeśli nie wysiądzie, to alter ego zabije ją. Nie potrafiłaby modlić się o to drugie, nie chciała modlić się o to pierwsze. Ale kiedy usłyszała, jak drzwi radiowozu otwierają się, jej pierwszą reakcją było ogromne uczucie ulgi. Dopiero po chwili pojawił się wstyd i narastające przerażenie. Zamknęła oczy.

Odgłosy kroków na żużlu. Następnie głos Maxwella. Jego nowy głos.

- W czym problem, panie władzo?

- Wie pan, że nie pali się panu tylne światło?

Głos brzmiał młodo. Irene jeszcze bardziej zacisnęła powieki.

Nie chciała widzieć jego twarzy.

- Nie, nie wiedziałem. Naprawię je w następnym mieście.

Mam...

- Mógłbym prosić o pana prawo jazdy i kartę wozu?

- Mam je tutaj.

Rewolwer odezwał się trzy razy. W zamkniętej przestrzeni furgonetki huk był nie do zniesienia. Irene zakryła uszy. Maxwell otworzył drzwi, wyszedł. Kolejny strzał. Irene ukryła twarz w dłoniach i zaczęła łkać.

- Kurwa, uspokój się - powiedział Maxwell, siadając za kółkiem. Walnął drzwiami, zapuścił silnik, oderwał się od pobocza i zakręcił kierownicą. Zatoczył szeroki łuk, przecinając trawiasty pas pośrodku autostrady. Popędzili autostradą numer 101 z powrotem na południe, mijając osierocony radiowóz. Jego kogut ciągle błyskał, radio wciąż nadawało komunikaty. Do lewego rękawa niebieskiej flanelowej koszuli Maxa przyklejony był krwisty, mokry, gąbczasty brązowawy kawałek mózgu, który opuścił głowę swojego właściciela po strzale z bliskiej odległości.

Max przelożył broń do prawej ręki i wcisnął krótką lufę w szyję Irene. Metal wciąż był gorący.

- Uspokój się, bo rozwalę ci łeb. Tu i teraz.

- Dobrze... - wymamrotała. - Dobrze, dobrze...

Dobrze, dobrze, dobrze... Uderzała pięścią w udo do rytmu.

Dobrze, dobrze, dobrze...

Kiedy przestała to robić, uda miała obolałe, ale atak paniki minął, oddając pole duchowemu i emocjonalnemu odrętwieniu.

Na swój sposób było to wspaniałe uczucie. Irene wyprostowała się i rozejrzała. Nie byli już na autostradzie, furgonetka wspinała się po stromej górskiej drodze, zdążając na wschód.

- Już dobrze - powiedziała.

- Tak, słyszałem - odparł. Pochylał się do przodu, koncentrował na drodze.

- Wiesz w ogóle dokąd prowadzi ta droga?

- Tak, chyba tak. A jak nie, to znajdę kogoś, kto będzie wiedział.

- I zabijesz ich?

- Kiedy nie będą mi już potrzebni.

- A mnie też zabijesz, kiedy nie będę ci już potrzebna?

Max obdarzył ją najlepszym spojrzeniem Kincha. Zwykle, jeśli jakaś kobieta je zobaczyła, była to ostatnia rzecz w jej życiu.

- Mówiąc szczerze, paniusiu, to ja, osobiście, nie potrzebuję cię nawet teraz.

Max miał ważniejsze sprawy na głowie niż zajmowanie się rozhisteryzowaną kobietą. Prawdę mówiąc, to spodziewał się czegoś więcej po doktor psychiatrii. Kalifornijskiej drogówce nie zajmie zbyt wiele czasu zorientowanie się, że stracili funkcjonariusza. Potrzebował nowego pojazdu, i to szybko. Wiedział, że ma mniej niż piętnaście minut na zjechanie z autostrady i znalezienie nowej trasy na północ, zanim pojawią się blokady drogowe.

W rzeczywistości już po dziesięciu minutach jakiś kierowca, który widział w życiu niejeden serial o policjantach, zauważył ciało funkcjonariusza Trudella niedaleko osieroczonego radiowozu.

- Mamy rannego! - krzyknął dumnie do mikrofonu w radiowozie. - Mamy rannego!

Ponieważ Trudell zachował się zgodnie z procedurami i podał opis oraz numery samochodu, który zatrzymał, w ciągu kilku minut od otrzymania wiadomości kalifornijska drogówka

skierowała do departamentu ruchu drogowego wniosek 28, czyli żądanie identyfikacji podejrzanego pojazdu. Okazało się, że był to biały Dodge, rocznik '72, należący do Williama Stieglitza z Bel Sur. W tym samym czasie autostrada numer 101 była już w obu kierunkach przegrodzona zaporami, policja poderwała też w powietrze samolot. Jednocześnie znajdujące się kilkaset mil na południe biuro szeryfa Monterey wysłało funkcjonariusza pod adres zamieszkania Stieglitza w Bel Sur.

Funkcjonariusz Gerald Burrell raczej nie był najostrzejszym narzędziem w szopie Aurelio Bustamante. Kiedy w końcu zlokalizował odpowiedni pojazd, ruszył swoim wozem z kopyta w górę stromego zbocza, zarzucając tyłem i wzbijając tumany kurzu.

- Nie ma tu żadnej furgonetki - zameldował koordynatorowi.

- Tylko zielone Volvo kombi.

- Pewno, że nie ma tam żadnej furgonetki - odparł koordynator, w pełni świadom ułomności Burrella. - Widziano ją na północ od Ukiah dwie godziny te... Zaraz, zaraz. Powtórzcie no, jaki samochód stoi na posesji?

- Volvo kombi w kolorze zielonym, numer rejestracyjny trzy dziewięć dziewięć...

Koordynator nie czekał nawet aż Burrell skończy.

- To przecież ten gość, co uciekł z okręgowego... Jezu Chryste, Gerry, czytasz w ogóle BOLO?

Burrell znalazł Billa Stieglitza kilka minut później na

podłodze przyczepy. Głowa starca była niemal odrąbana od ciała za pomocą kuchennego tasaka, który nadal tkwił w jego szyi. Ciało w stanie kompletnego stężenia pośmiertnego nadal zdawało się walczyć z więzami, które krępowały je za życia.

Po kolejnych kilku minutach BOLO zostało uaktualnione o odkrycia Burrella. Poszukiwania mordercy funkcjonariusza Trudella stały się częścią łowów na Caseya, które przesunięto na północ, do hrabstwa Mendocino.

Kiedy działo się to wszystko, Maxa nie było już na autostradzie numer 101. Kierował się na wschód w stronę Covelo. Gdy usłyszał warkot silników lotniczych i łopot wirników helikopterów, zjechał z głównej drogi na Covelo i udał się na północ pokręconą, jednopasmową górską drogą lokalną, po czym zjechał z niej i zaparkował Dodge'a za kępą drzew, gdzie - przy pewnej dozie szczęścia - powinno pozostać nie odkryte przynajmniej do rana.

Irene nadal była odrętwiała po śmierci policjanta i ataku paniki, który nastąpił później. Nie protestowała, kiedy Max wyciągnął ją z wozu i kazał wmaszerować na pobliskie wzgórze, po czym leżała potulnie w gęstym poszyciu na poboczu, podczas gdy Max czekał na odpowiedni samochód. Zdawało się to trwać całą wieczność. Już niemal świtało, kiedy wziął ją na ręce i wyszedł na drogę, by zamachać na błękitnego Cadillaca.

Osoba, która wyskoczyła z samochodu i zaczęła biec w ich stronę, okazała się być młodą dziewczyną. Młodą, śliczną

indiańską dziewczyną. O nie, mam już tego dość, pomyślała Irene.

Nie była to najpiękniejsza z myśli, za które zwykle decydowano się oddawać życie.

Kiedy Irene zaczęła się szarpać i krzyczeć, by ostrzec dziewczynę, wiedziała, że zapewne przyplaci to życiem. Nie żałowała jednak tego, iż będzie musiała umrzeć. Najbardziej żałowała, że nie zdobyła się na odwagę poprzednim razem, kiedy mogła ostrzec policjanta. Przynajmniej wówczas jej śmierć położyłaby kres zabijaniu.

Bernadette Sandoval, dwudziestotrzyletnia Indianka Pomo, prowadziła szaroblękitne Coupe de Ville rocznik '78, które jej matka ochrzciła Maybelline z powodu jakiejś starej rockowej piosenki z lat pięćdziesiątych. Osiem cylindrów, pięć i pół metra długości, a zamiast normalnych foteli - kanapy, zarówno z tyłu, jak i z przodu, wystarczająco szerokie, by móc się na nich wygodnie pieprzyć. To ostatnie było ważne, ponieważ narzeczony Bernadette mieszkał z ojcem na wzgórzach na wschód od Covelo, podczas gdy ona sama żyła w jednym domu z matką i babką w Willits.

Od momentu, gdy uzyskała pełnoletność, Bernadette pracowała na nocnej zmianie jako kelnerka w kasynie Pomo, usytuowanym w rezerwacie Indian Round Valley na północ od Covelo.

Po skończeniu zmiany w nocy z piątku na sobotę, dziesiątego lipca, zahaczyła o dom ojca Erniego. Wylączyła silnik i światła, po

czym cichutko podtoczyła samochód pod schody. Ernie już na nią czekał. Zaliczyli szybki numerek, a później drugi, powolny, na wygodnej tylnej kanapie Maybelline.

Dopiero tuż przed wschodem słońca Bernadette niechętnie wyrwała się z objęć kochanka. Była już blisko szosy na Covelo, kiedy zobaczyła, jak z krzaków na drogę wytacza się jakiś mężczyzna, trzymając na rękach kobietę. Zahamowała gwałtownie, zjechała na bok wąskiej drogi, jak tylko mogła, zapaliła światła awaryjne, po czym pobiegła im na pomoc.

Jej pierwszą myślą było, że musieli się zgubić w tej okolicy.

Te góry potrafiły być zdradliwe, jeśli się ich nie znało. Jednak, kiedy się zbliżyła, stwierdziła, że sytuacja jest bardziej skomplikowana. Kobieta usiłowała się wyrwać, jej czerwona peruka była przekrzywiona. Mężczyzna trzymał dłoń na jej ustach.

Zanim Bernadette zdążyła zdecydować się, co robić, mężczyzna zrzucił kobietę na ziemię i wyciągnął zza paska dzinsów krótkolufowy rewolwer.

- Dziękuję, że się zatrzymałaś - powiedział lekkim tonem, jakby wcale nie mierzył jej prosto w pierś. - W dzisiejszych czasach nie każdy by się zatrzymał.

40

Pender dość szybko zorientował się, że został odstawiony na boczny tor śledztwa. Nikt nie poinformował go o zamordowaniu policjanta z drogówki, ani o tym, że poszukiwania przeniosły się



na północ. Usłyszał o tym przypadkowo, kiedy pojawił się w rezydenturze FBI w Monterey, by przekazać im taśmy doktor Cogan do transkrypcji, dystrybucji i dalszej analizy (przez konsultanta od psycholingwistyki z oddziału badań nad zachowaniem w Maryland).

Kolejna aluzja nadeszła w formie odmowy przydzielenia mu miejsca na pokładzie samolotu Biura, który za godzinę miał odlecieć do Mendocino. Szef grupy operacyjnej, agent Pastor, powiedział mu, że wszystkie miejsca są już zajęte.

- Dobra, w porządku, to może dacie mi chociaż samochód?

- Przykro mi, Pender, nie mamy żadnego na zbyciu - odparł oschle Pastor.

- Co się, do diabła, dzieje? - domagał się odpowiedzi Pender.

- Sam chciałbym to wiedzieć. Przyjeżdżacie tu z Waszyngtonu jak na swoje. Nie meldujecie się w rezydenturze. Wkurzacie miejscowych, powodujecie bunt w więzieniu i doprowadzacie do śmierci funkcjonariusza. Wpadacie na miejsce zbrodni, której badanie nie należy do waszych obowiązków i robicie sobie małe prywatne dochodzenie, zamiast od razu zadzwonić w sprawie aktualizacji BOLO, co daje naszemu zbiegowi kolejną godzinę przewagi. Co być może przyczyniło się do śmierci policjanta z drogówki.

Pastor zrobił pauzę dla złapania oddechu. Brzmiało to, jakby odczytywał Penderowi oficjalną listę zarzutów.

- Ale kiedy szef grupy operacyjnej zadzwonił wczoraj do

**McDougala, by zabrał waszą dupę z powrotem do Waszyngtonu, to on - zamiast oddać was komisji dyscyplinarnej - każe znaleźć wam jakieś zajęcie. Więc to wy mi powiedzcie, co się, do diabła, dzieje. Macie zdjęcia, na których McDougal z dyrektorem zakopują jakieś zwłoki, czy co? Po namyśle, to lepiej mi nie mówcie. Chcę od was tylko pełnego raportu, zaraz, natychmiast, bezzwłocznie, pronto, immediamente. Ma tam być wszystko, co Casey powiedział i zrobił, kiedy z nim byliście, a w szczególności chcę dokładnego opisu okoliczności, które doprowadziły do jego ucieczki. Ma to być gotowe na dziś wieczór. I to jest absolutnie wszystko, czego od was oczekuję. Mam gdzieś, co mówi McDougal. Macie się, kurwa, trzymać z daleka od mojego śledztwa.**

**Wchodząc do biura, Pender zdjął kapelusz. Kiedy teraz spojrzął w dół, zobaczył, że mnie go nerwowo w dłoniach, niczym kmięć w obliczu króla.**

**Jestem PMWD, pomyślał. Nie muszę tego, kurwa, znosić.**

**PMWD w slangu Biura oznaczało agenta, który przeznaczony był już do pójścia na emeryturę. Skrót rozwijał się do „Pocałujcie Mnie W Dupę”. Pender wyprostował się na całą wysokość, górując nad młodszym mężczyzną, który mimowolnie cofnął się krok do tyłu.**

**- A chuj ci w dupę - powiedział Pender tonem, który, miał nadzieję, pozwolił mu zachować resztki godności. - A kiedy już przy tym jesteśmy, to chuj w dupę rezydenturze, chuj w dupę**

**szeffowi grupy operacyjnej i chuj w dupę miejscowym.**

**Następnie wręczył Pastorowi dwie minikasety do dyktafonu doktor Cogan, o których istnieniu młodszy agent do tej pory nie wiedział, po czym założył na głowę zmięty kapelusz, wyprostował rondo na tyle, na ile potrafił bez pomocy lustra, i odwrócił się plecami do Pastora i reszty Biura.**

**41**

**Bernadette siedziała za kierownicą błękitnego Cadillaca, obok niej Irene, a z tyłu Max, trzymając rewolwer przy głowie psychiatry. Stary krążownik szos zmagął się z bocznymi drogami Round Valley, płytkiej misy o średnicy dwudziestu mil, otoczonej kręgiem gór. Następnie przeciął róg Lasu Narodowego Mendocino i zagłębił się w hrabstwo Trinity, próbując się wymknąć krążącym coraz bliżej samolotom.**

**Max zaczynał czuć napięcie. Nie dość, że musiał uważać na samoloty i pilnować Irene, to miał jeszcze na głowie Bernadette.**

**Obiecała mu znaleźć drogę ucieczki po objazdach, których nie było na mapach, ale musiał pilnować, czy nie spróbuje wykręcić mu jakiegoś numeru. Jakby tego było mało, w jego głowie panował chaos i walka wszystkich ze wszystkimi. System znajdował się w stanie niemal niemożliwej do kontrolowania paniki; Max, zmuszony do podzielenia swojej uwagi na kilka spraw jednocześnie, nie był pewien, czy uda mu się zachować swoją dominację.**

**Wtedy pomyślał, że przecież jest sposób, by upiec dwie**

pieczenie na jednym ogniu i zredukować poziom napięcia w systemie, jednocześnie ukrywając się przed poszukiwaniami z powietrza.

Kazał Bernadette zjechać na leśny trakt pozostały po wyrębie drewna. Maybelline wspięła się aż na jej koniec, czasem szorując podwoziem o ziemię. Tutaj droga nikła w gęstym lesie. Gdy wóz zatrzymał się przy sosnowym młodniaku, pod osłoną drzew, Maxwell kazał Bernadette wysiąść.

Irene również sięgnęła do drzwi.

- Ty zostajesz tutaj - powiedział, mierząc do niej z rewolweru. Wolną ręką sięgnął do ozdobnej torebki Terry po kajdanki.

- To nie twój... Zaraz, czekaj, chyba jednak to jest twój interes.

Max nagle zdał sobie sprawę, że może upiec trzy pieczenie na jednym ogniu: ukryć się przed samolotami, zmniejszyć poziom stresu w systemie i do tego jeszcze dostarczyć Irene cholernie dobrej motywacji do przeprowadzenia terapii. Nachylił się ku niej przez otwarte drzwi od strony kierowcy.

- Tu panuje kompletny chaos - powiedział, dotykając swego czoła lufą trzydziestki ósemki. - Tracę kontrolę. Jeśli nie dam im tego, czego chcą, nie mogę zagwarantować ci bezpieczeństwa.

- Nie! - zaprotestowała Irene. - To nie jest właściwa droga!

- Oczywiście, że nie - odparł miękko, przykuwając jej lewy nadgarstek do kierownicy. - Ty znasz właściwą drogę. Terapia.

**Fuzja. Niestety, teraz nie mamy na to czasu.**

**Bernadette Sandoval stała obok samochodu, drżąc na całym ciele. Jej czarne włosy lśniły w świetle poranka, które sączyło się przez gałęzie sosen. Drżenie brało się nie tyle ze strachu, co stresu przed nieuniknioną konfrontacją. Zdecydowała już, że spróbuje wyrwać mu broń przy najbliższej okazji. Jeśli ten odrażający typ, Max, ją zabije, to trudno. Ale nie zamierzała dać się zgwałcić. Nie byłby pierwszym, który próbował. Jeden z jej wujków do dziś nosił na skroni szramę po jej paznokciu.**

**- Wybierz jakieś miękkie miejsce i się tam połóż. - Max zamachał rewolwerem, wskazując mniej więcej okolicę, którą miał na myśli - dywan z igliwia obok zaparkowanego samochodu.**

**Bernadette zrobiła, co jej kazał. Nie mogła wyrwać mu broni dopóty, dopóki się nie zbliżył.**

**- Zsuń majteczki i pokaż swoje skarby.**

**Powiedziała sobie, że to nic. Zabawy z przedszkola. Miała nadzieję, że nie będzie musiała się całkiem rozebrać, zanim broń znajdzie się w jej zasięgu, ale powiedziała sobie, że zrobi nawet to, jeśli będzie trzeba.**

**- Teraz rozepnij bluzkę, Bernadette. Zobaczmy, czy...**

**Drzwi od wozu otworzyły się. Maxwell obrócił się na pięcie, celując z rewolweru. Kiedy był odwrócony plecami, Bernadette próbowała uciekać, ale majteczki nadal znajdowały się u jej kostek. Upadła, próbowała się odczołgać. Kaszlnął rewolwer. Kula świsnęła nad jej głową i uderzyła w pień drzewa, wyzwalając**

eksplozję kawałków kory. Dziewczyna wcisnęła twarz w poszycie i zasłoniła głowę dłońmi, w daremnej próbie ratowania się przed następną kulą.

Kiedy kula nie nadleciała, Bernadette przewróciła się na plecy i zobaczyła wymierzony w siebie rewolwer Maxa. Za nim widać było Irene, która wychylała się z Maybelline na tyle, na ile pozwalały jej kajdanki. Poruszała ustami. Dopiero po kilku sekundach mózg Bernadette zaczął przetwarzać słowa.

- ...weź mnie, nie ją. Jeśli chcecie mojej pomocy, to wszyscy musicie współpracować. Zostaw dziewczynę w spokoju albo, na Boga, będziesz musiał zabić nas obie.

Bernadette obawiała się ponownie spojrzeć na Maxa. Nie spuszczała wzroku z twarzy kobiety. Zwykle potrafiła bez trudu odczytywać emocje białych - w przeciwieństwie do Indian, ich myśli odbijały się wyraźnie na ich twarzach - ale ta Irene nie była jakąś tam pierwszą lepszą. Przeżyła swoje. Bernadette uwierzyła w jej słowa. Ponownie przygotowała się na śmierć.

Na całe szczęście Max też jej uwierzył.

- A chuj, każdy sposób dobry - mruknął, tyle do nich, co do siebie, po czym gestem rewolweru nakazał Bernadette wstać.

42

Gniew Pendera trwał dobre czterdzieści pięć sekund. Ciągłe jeszcze był w windzie, kiedy przed jego oczami zaczęły przewijać się obrazy. Zobaczył Alethę Winkle i Terry Jervis, kiedy ciągle jeszcze żyły; zobaczył je na łóżku, upokorzone i zarżnięte, po czym

upozowane w chorą kompozycję. Zobaczył twarze zaginionych truskawkowych blondynek. Zobaczył twarz własnej matki. Jaka była dumna, kiedy został przyjęty do Biura. Zdjęcie, na którym jej Eddie wysłuchuje przemowy sędziego Sessionsa zabrała ze sobą do domu starców, gdzie zmarła.

A wreszcie na koniec zobaczył ojca, jak ten idzie ku niemu w swym paradnym granatowym mundurze, błyskając medalami. Ten, kto się poddaje, nigdy nie wygrywa, ale Penderowie nigdy się nie poddają. Kiedy drzwi od windy rozsunęły się, w przeszklonym wejściu do budynku Pender dostrzegł odbicie wielkiego łysego zakapiora w krzykliwej marynarce sportowej i pomiętym kapeluszu.

- Agent specjalny E.L. Pender melduje się na rozkaz, sir!

- powiedział na głos, salutując komicznej postaci tak, jak nauczył go ojciec: Dłoń prosta jak bagnet, przedramię równoległe do ziemi, a później opuść rękę, ale z życiem, chłopcze, z życiem!

Dokąd teraz?

To było pierwsze pytanie, jakie Pender sobie zadał. W Monterey już go nie lubili, więc pomyślał, żeby wskoczyć do wynajętej Toyoty i pojechać na północ do Mendocino. Ale co by tam robił?

Cokolwiek się dało tam zrobić, na pewno już ktoś się tym zajmował. Podobnie w Santa Barbara, skąd pochodziła poprzednia truskawkowa blondynka, Paula Ann Wiśniewski. Z pewnością roilo się tam teraz od agentów z filii w Los Angeles.

Więc następne pytanie, jakie sobie zadał, to: co takiego wie, czego nie wie nikt inny? Jak się może przysłużyć sprawie?

Po przesłuchaniu taśm wiedział, że morderca miał osobowość wielokrotną, że posługiwał się imionami Max, Christopher i Lyssy, oraz, że jako dziecko był molestowany. Ale w ciągu kilku godzin transkrypcje tych taśm dostanie każdy detektyw, który zajmuje się tą sprawą. Biuro zacznie sprawdzać listy pacjentów z zaburzeniami dysocjacyjnymi, akta szpitali, grupy wsparcia, zbada też krajowe bazy danych, poszukując zbieżności imion.

(Pender pomyślał, że Pastor niemal na pewno przypisze sobie znalezienie taśm; ku swemu zaskoczeniu, nawet się tym specjalnie nie przejmował).

Zatem, jakie jeszcze informacje znajdowały się w posiadaniu Pendera? Zastanowił się, jakie istotne fakty znalazłyby się w raporcie, którego zażądał Pastor (i na którego otrzymanie mógł teraz liczyć równie bardzo, jak na to, że prokurator generalny zrobi mu łaskę).

Proste: Dallas. Motel SleepTite, gdzie można zamówić dziewczynę numer jeden na małe barabara. Dziewczyna numer jeden nazywała się... Zaraz... Zastanów się... Nie, cofnij się w czasie...

Pojebało cię, cipka to cipka... zadzwonisz na recepcję... najciaśniejsza cipka, w jakiej... Annjakaśtam... Ann Tran!

Dokąd? Nagle Pender znalazł już odpowiedź na pierwsze



pytanie.

43

Biorąc pod uwagę czasy, w których Irene żyła - jak również jej zawód i zakątek świata, w którym mieszkała jej doświadczenie seksualne było cokolwiek ograniczone. Wiedziała wszystko, co się o tym wie, po prostu nie poznała większości z tych rzeczy w praktyce. A to, co poznała, poznała razem z Frankiem - przestała być dziewicą dopiero krótko po zaręczynach. Ich życie seksualne było udane, może czasami nawet trochę szalone.

Właściwie można to powiedzieć o ich wspólnym życiu w ogóle.

Po raz ostatni kochali się w noc przed jego śmiercią. Było cudownie. Następnego ranka znalazła obok siebie jego zimne ciało.

Od tamtego czasu nie kochała się z mężczyzną, nie licząc snów.

A teraz to. Kiedy Max przykuwał Bernadettę do kierownicy, Irene wyjęła z bagażnika koc, rozścieliła go na igliwiu, po czym stanęła obok. Z jakiegoś powodu wydało jej się ważne, by nie oczekiwać go na leżąco. Po chwili już przed nią stał, twarzą w twarz, tak, jakby znowu była w tamtej medycznej auli, gdzie oboje byli nadzy, a Max upadł na kolana i całował ją, aż osiągnęła orgazm.

Jeśli upadnie na kolana, pomyślała, to umrę. Zamiast tego ujął za czerwoną perukę i wyrzucił ją w krzaki, po czym nachylił

się do pocałunku. Zrozumiała, że chce, by otworzyła usta, by mu odpowiedziała. Powinna była tak zrobić, wiedziała to - w końcu tu chodziło o życie, jej i Bernadette - ale po prostu nie była w stanie. Odwróciła twarz, a raczej jej głowa sama uciekła w bok, Irene nie miała wrażenia, że to kontroluje.

- Tak nawet lepiej - wyszeptał do jej lewego ucha, które mimowolnie mu nadstawiła. Przy tak bliskim kontakcie nie dało się uciec od intymności. Uniósł rękę, rozczapierzając swoje kościste palce na jej policzku, i popchnął ją delikatnie, obrócił wokół własnej osi, aż znalazł się za jej plecami. Jedna z jego rąk owinęła się wokół jej klatki piersiowej. Druga majstrowała coś z tyłu; Irene usłyszała rozpinany zamek błyskawiczny.

Przyciskał się teraz do niej całym ciałem. Jeśli miał erekcję, nie czuła tego. Chwycił ją za gumkę od spodni i spodenek, po czym ściągnął je do pół uda, nie przestając na nią napierać.

Kiedy spodnie splątały jej kolana, przewróciła się do przodu; silne ramię, które oplatało jej piersi, nie pozwoliło upaść, opuściło ją powoli. Po chwili opierała się na dłoniach i kolanach, a Max spoczywał na niej, obejmując ją rękami. Wsunął dłonie pod poliestrową bluzę pani Billowej i podciągnął w górę sportowy stanik, by zająć się jej piersiami. Teraz czuła jego członka, jak opiera się o jej majteczki, jej niewinne białe majteczki od Olgi. Zaczął poruszać biodrami, pocierać członkiem o jej pośladki, ale nie próbował ich zsunąć, ani w nią wejść. Po chwili zabrał ręce z jej piersi i zaczął wymierzać jej razy w górną część pleców i tył

głowy.

Nie trwało to długo, może minutę, może dwie. Jęknął. Poczula, jak jego ciężar znika. Kiedy na czworakach podeszła do krawędzi koca, usłyszała, jak przeklina pod nosem. Kiedy nie podążył za nią, wstała, podciągnęła spodnie i spodenki, poprawiła stanik i zaczęła się obracać. Twarz Maxa była czerwona.

Wycierał dłoń o džinsy.

Przedwczesna ejakulacja, pomyślała Irene, szybko odwracając wzrok, by nie zauważył, że to widziała. Frotteryzm. Dysfunkcja wzrodu. W odruchu samoobrony, jej wewnętrzny głos stał się klinicznie zimny.

- Rozmyśliłem się - powiedział Max po kolejnej minucie.

- Zapewne spieprzyłoby to nasze relacje lekarzpacjent, no nie?

I tyle. To był koniec. Oczywiście, tak naprawdę to nie miało się nigdy skończyć. Plecy Irene nadal bolały od uderzeń, a jej piersi zachowały wspomnienie śliskich, gładkich palców. Ale przygotowywała się na coś o wiele gorszego, więc razem ze wstydem i gniewem poczula ogromną ulgę. Poza tym, nie wszedł w nią, nie był w niej - z jakiegoś powodu znaczyło to o wiele więcej niż mogła sobie wcześniej wyobrazić.

Kolejny powód do ulgi: po wszystkim udało się jej namówić Maxa, by zostawił tu Bernadette. Skutą i ze związanymi rękami, ale całą. Max nawet pomógł Irene zrobić posłanie z igliwia i położył na nim koc.

- Obiecuję, że zadzwonimy do kogoś, jak tylko nie będziemy już potrzebować Maybelline - powiedziała głośno Irene, kiedy Max poszedł do wozu po drugi koc. - Tu będziesz bezpieczniejsza - dodała szeptem.

- O mnie się nie martw, uwolnię się, wiem, że potrafię. Widziałam, jak to robią na filmach. Przeciągasz ręce pod stopami.

Pójdę do szosy, ktoś na pewno będzie przejeżdżał. Są też duże szanse na to, że mama zameldowała moje zaginięcie i że szukają już samochodu. Będę trzymać za ciebie kciuki.

- A ja za ciebie.

- Dzięki za tamto. Nigdy ci tego nie zapomnę.

- Nie ma sprawy. Żałuję tylko...

Wtedy wrócił Maxwell.

- Wsiadaj do wozu, Irene. Chcę sprawdzić kajdanki i powiedzieć Bernie parę słówek.

Teraz czekało go najtrudniejsze zadanie. W teorii wiedział, na czym polega bukaresztańskie pchnięcie - musiał stanąć za Bernadette i wbić jej nóż pomiędzy pierwszy a drugi krąg szyjny - jednak nigdy wcześniej nie czynił tego w praktyce. Ani on, ani żadne z alter ego. Należało też zrobić to dokładnie we właściwym momencie, kiedy Irene akurat będzie odwrócona tyłem.

Nie mógł też zlecić tego zadania Kinchowi, subtelność nie leżała w jego naturze.

Ale jeśli uda się zrobić to dobrze, to nie dość, że Irene nigdy się nie dowie, to Bernadette ledwie poczuje cios. Oczywiście, nawet

jeśli go poczuje, nie będzie mieć już ani czasu, ani połączeń nerwowych potrzebnych do wydania z siebie krzyku.

- Czekaj, pomogę ci się usadowić - powiedział, klękając za nią i popychając jej głowę do przodu, by ułatwić sobie dostęp do rdzenia kręgowego.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy.

44

Tym razem Penderowi sprzyjało w podróży szczęście. Niewielki mimo soboty ruch na drodze z Monterey do San Jose, stare przeboje w radio, na lotnisku żadnych problemów z oddaniem Toyoty, mnóstwo wolnych miejsc na pokładzie samolotu, czas na wypełnienie formularzy w sprawie zabrania broni na pokład.

Po międzylądowaniu w drodze na Love Field w Dallas Penderowi udało się nawet odchylić fotel i zdrzemnąć trochę - w ciągu ostatniej doby przespał może dwie czy trzy godziny.

Love Field. Czy człowiek z pokolenia Pendera mógł usłyszeć tę nazwę i nie pomyśleć o Jacku Kennedym? Pender miał dziewiętnaście lat, gdy go zabito. Pierwszy rok studiów. Nadal mieszkał z rodzicami, nadal jeździł Plymouthem rocznik '53, który kupili mu z okazji zdania matury (był to jedyny samochód, na jaki mogli sobie pozwolić), z trudem utrzymywał się, pracując na dwie zmiany (z rana mył gary w Dan's Deluxe Diner, wieczorem tankował samochody na stacji Flying A), ciągle

brakowało mu snu, czasu i pieniędzy - a mimo to wspominał teraz tamte czasy z wielką nostalgią. Gdzieś przeczytał, że przeszłość jest jak stara dziwka - im dalej jest od ciebie, tym lepiej wygląda.

W biurze Enterprise wynajął kolejną Corollę - w sobotni wieczór nie mieli już na zbyciu właściwie nic innego. Zapytał pracownicę, czy słyszała o motelu SleepTite. Nie słyszała, ale wyszukała w komputerze, po czym niechętnie podała Penderowi namiary. Ewidentnie motel nie mieścił się w szczególnie porządnej dzielnicy.

Pender odwiedził restaurację z bawolimi rogami nad wejściem, gdzie zjadł stek. Motel SleepTite zlokalizował chwilę po dwudziestej pierwszej. Pionowe zstępujące strzałki, dwa obskurne, pomalowane na zaszarzały róż skrzydła po dziesięć pokoiów każde, biuro pośrodku. „OLNE OLNE OLNE”, migał neon. Zardzewiała przemysłna konstrukcja w stylu postDeco, która wyglądałaby bardziej na miejscu, podtrzymując konstrukcję dachu jakiejś restauracji w latach pięćdziesiątych. „OKOJE” kosztowały 26 dolarów za noc. Nie było cienia wątpliwości, że dało się je też wynająć na godziny.

Pender zaparkował Corollę przed samym okienkiem tak, żeby recepcjonista ją dostrzegł. Skutkiem epidemii porwań samochodów, która zaczęła się we wczesnych latach dziewięćdziesiątych, samochody z wypożyczalni nie nosiły już jej oznaczeń, ale każdy, kto miał oko na takie sprawy, od razu potrafiłby rozpoznać proveniencję czystej, białej nowej Toyoty.

**Samotny facet, przyjeżdżający nocą samochodem z lotniskowej wypożyczalni, musiał być obwoźnym sprzedawcą - i taką dokładnie tożsamość Pender zamierzał przyjąć.**

**Obciachowy kapelusz i wymięta marynarka pasowały do wizerunku. Azjata w średnim wieku, który siedział za biurkiem, przywitał Pendera bez cienia podejrzliwości czy zainteresowania.**

**- Czym może służyć panu tego pinknego wieczora, ładny pokój dwadzieścia sześć dolary, telewizor, bez kabłówki, połączenia lokalne darmo - wyrecytował śpiewnie jednym oddechem, z akcentem, który dla Pendera brzmiał jak chiński.**

**- Słuchaj, kolego - powiedział, opierając się łokciami o ladę i nachylając konfidencjonalnie. - Kumpel z moich stron powiedział, że nikt w życiu mu tak dobrze nie obciągnął druta, jak pewna Wietnamka w motelu SleepTite w Dallas. A on ma doświadczenie w takich sprawach. Był tu rok temu, w czerwcu.**

**Więc pomyślałem sobie, skoro i ja tu jestem...**

**- Rok czasu. Dużo gości. Jak na imię?**

**- Nie wiem na pewno. Mógł się przedstawić jako Max albo Christopher, albo...**

**- Nie jemu, chłopie, jej. - Recepcjonista przewrócił oczami.**

**- Ann Tran, coś w tym stylu.**

**- Nie wie. Zapyta dziewczyn, może coś powiedzą. Za pokój dwadzieścia sześć dolary. Z góry.**

**- Zapłacę gotówką tylko niech to na pewno będzie tamta, co mówił mi kumpel. Inaczej przyjdzie tu na próżno.**

- Jasne, pewnie, tamta dziewczyna - odparł recepcjonista lekceważąco, ale w jego oczach pojawił się błysk czujności, którego wcześniej nie było.

Anh Trinh miała sto pięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i najwyżej czterdzieści pięć kilo wagi. Nosila na sobie ciężki makijaż, brzoskwiniowy top i krótką, obcisłą seledynową spódniczkę, która wyglądała jak zrobiona z winylu. Wtoczyła się do pokoju nr 17, nawijając jak sajgońska ulicznica.

- Hej, marynarz, twój kolega każdy kolega mój kolega. Zrobię ci super ekstra ssanko, jak jemu, pińcdziesiąt dolar, długo, sto dolar barabara, co powie, marynarz?

Pender zamknął za nią drzwi, sięgnął po portfel i pokazał odznakę.

- Proszę usiąść - powiedział i wskazał głową na łóżko.

- A niech mnie gęś kopnie - odparła dziewczyna z czystym teksańskim, nosowym akcentem. - W czym rzecz? Wong zapomniał zapłacić kryminalnym za ten miesiąc? A może chcesz się załapać na darmowy numerik?

- Nie jestem z kryminalnych, tylko z FBI, i potrzebuję twojej pomocy.

Pender miał w portfelu zdjęcie gęby Caseya. Pokazał je dziewczynie.

- Christy - odparła bez wahania, chociaż nie widziała go od ponad roku. Usiadła na łóżku. - Co zrobił, zabił kogoś? - zapytała, bardziej zaintrygowana niż zmartwiona.



- Wielu ktosiów.

Okazało się nagle, że pod krótką spódniczką Anh Tranh miała przezroczyście majteczki. Pender, który nie uprawiał seksu od wielu miesięcy, zmusił się do spojrzenia wyżej, ponad obnażony brzuch i maleńkie, ściśnięte topem piersi, na twarz, słodką i okrągłą jak lizak. Urocze małe stworzenie, przynajmniej jakby zdjąć jej połowę tej tapety z twarzy.

- Co to za gadka z tym ssankiem i barabara?

- Niezła, co? Nawet nie jestem z Wietnamu, tylko Kambodży. Ale wiesz, przychodzi tu wielu chłopów w twoim wieku.

To ten, tego, nostalgiczne takie. Hej, wiesz, że ci z głowy krew cieknie?

Pender sięgnął dłonią i delikatnie dotknął bandaży (zdjął kapelusz, kiedy wszedł do pokoju). Tkanina była mokra, a kiedy spojrzał na opuszki palców, były na nich ślady krwi.

- Skurwysyn - powiedział.

- Christy ci to zrobił?

- Kajdankami - odpowiedział Pender, markując prosty cios.

- Jasny gwint - zaklęła Anh Tranh. Chyba jej to zaimponowało.

45

Szarobłękitne Coupe de Ville zahaczyło kilkakrotnie rurą wydechową o ziemię, kiedy Max kierował je w dół drogi pozostałej po wyrębie lasów. Wąskie, kręte szosy hrabstwa też nie pasowały za bardzo do stylu Maybelline. I gdy tylko maszyna dotarła do

międzystanowej numer 5, znalazła się w swoim żywiole. Połykała milę za milą i niedługo po siódmej wieczorem przecięła czterdziesty drugi równoleżnik, który oddziela Kalifornię od Oregonu.

Nie, żeby Irene była świadoma równoleżników czy granic - kiedy mieli wjechać na międzystanową w Redding, Max kazał jej wejść do bagażnika. Tylko raz wypuścił ją na stacji benzynowej koło Weed, która miała wystarczająco odizolowane od budynku toalety, by mogła się wysiusiać. Przez resztę czasu psychiatra leżała w ciemności, przerywanej tylko sporadycznymi błyskami świateł stopu, a po zapadnięciu mroku - piekielnym czerwonym blaskiem świateł pozycyjnych.

Co dziwne, Irene zauważyła, że niemal z radością przyjmuje najgorsze odcinki drogi, najbardziej strome podjazdy i zjazdy, najostrzejsze zakręty. Przynajmniej konieczność ciągłej uwagi i wysiłku fizycznego - potrzebnego, by nie rzuciło ją po bagażniku jak niezabezpieczoną walizką - pomogły nie myśleć obsesyjnie o strasznych i upokarzających wydarzeniach ostatnich godzin, ani jeszcze straszniejszych, które miały nastąpić w dającej się przewidzieć przyszłości.

Po kilku godzinach spędzonych na międzystanowej, kolejnych czterdziestu pięciu minutach krętej szosy i finalnym, najgorszym odcinku pełnym wybojów, przyprawiających o mdłości serpentyn, ostrych zboczy, zakosów i nawrotów, które pokonywali z minimalną prędkością, Maybelline zatrzymała się

ostatecznie. Maxwell wysiadł z wozu, nie wyłączając silnika. Irene usłyszała skrzypienie otwieranej bramy i z poczuciem ulgi przemieszanej z trwogą pomyślała, że ich podróż dobiegła końca.

Ale zanim to nastąpiło, Maybelline musiała wspiąć się na jeszcze jedno wzgórze. Wzgórze tak strome, że Irene zmuszona była zaprzeć się obiema rękami, by nie uderzyć w tył bagażnika.

Wreszcie samochód zatrzymał się ponownie, a pokrywa bagażnika odskoczyła do góry. Stał tam Maxwell, z twarzą skąpaną w upiornym blasku świateł pozycyjnych. Zapytał Irene, czy wszystko z nią w porządku. Nie potrafiła odpowiedzieć - nie była w stanie wydusić z siebie żadnego słowa.

Max sięgnął do środka i pomógł jej wyjść. Była osłabiona, obolała i czuła mdłości, ale świeże powietrze uderzyło w nią jak objawienie, cudowne, upajające uczucie. Chciwie wciągała je w płuca, najpierw opierając się o samochód, później stojąc już o własnych siłach.

Kiedy jednak spróbowała iść, nogi ugięły się pod nią. Max objął ją ramieniem i na wpół zaniósł na przód samochodu, pomógł wsiąść i zatrzasnął drzwi. Irene wyjrzała nieprzytomnie przez przednią szybę i w świetle reflektorów Maybelline zobaczyła tajemniczy tunel, wysoki na pięć metrów i długi na sześć.

Zrobiony był z metalowej siatki, poprzerastanej pnączami winorośli i dzikiej róży. Z obu końców ograniczały go zamknięte bramy. Od tej swoistej podwójnej bramy odbiegało w obie strony ogrodzenie pod napięciem, by stopniowo zniknąć w ciemności.

**- Poczekaj tu - powiedział Max i wyszedł w blask reflektorów. - I pod żadnym pozorem nie otwieraj drzwi ani nie opuszczaj szyby.**

**Następnie otworzył bramę. W jednej chwili opadła go sfora krępych czarnobrazowych psów o morderczym wyglądzie. Irene pisnęła i zacisnęła powieki - pewna, że Maxwell zostanie za chwilę rozszarpany na strzępy.**

**Kiedy otworzyła oczy, Max leżał na ziemi, a psy tłoczyły się nad nim, poszturchując go, podskakując i cicho powarkując. Gdy usłyszała jego śmiech, zrozumiała, że to tylko zabawa.**

**Trwało to jeszcze kilka minut, po czym Max wstał i zagonił sforę z powrotem do psiarni. Następnie otworzył wewnętrzne wrota, wrócił do samochodu, przejechał na drugą stronę tunelu i zamknął obie bramy.**

**- Gdybyś kiedyś zamierzała opuścić to miejsce w pośpiechu, to raczej unikaj tego wyjścia - poinformował dyplomatycznie, ponownie uruchamiając silnik.**

**Za bramą asfaltowa droga rozdwajała się. Max wybrał lewą odnogę, krótki odcinek zawieszony ponad zboczem doliny, opadającym aż ku ciemnemu rumowisku skał daleko w dole. Droga kończyła się przy krawędzi lasu.**

**- O, rany - powiedziała Irene, gdy Max wyłączył światła.**

**Za doliną i rumowiskiem ku niebu pięła się postrzępiona góra o dwóch ostrych szczytach. Ponad nią rozciągało się najwspanialsze nocne niebo, jakie Irene kiedykolwiek widziała.**

Miriady srebrzystych gwiazd rozpiętych na nieprzeniknionej czerni. Kiedy skupiała wzrok na tej czerni, gwiazdy zaczynały migotać i pulsować jak powierzchnia ożywionego morza. Z kolei skupiając wzrok na gwiazdach, czerń zmieniała się w niewyobrażalną głębię, wzbudzając wrażenie, że było się zawieszonym na krawędzi wszechświata.

Maxwell wyłączył silnik i spędzili tak kilka chwil w głębokiej ciszy, podkreślonej tylko cichym stękanem stygnącej chłodnicy i głosami cykad, dochodzącymi spomiędzy wysokich traw. Wreszcie mężczyzna przekręcił ponownie kluczyk w stacyjce, zapalił światła, wrzucił wsteczny bieg, wycofał ostrożnie Maybelline do rozwidlenia i ruszył w drugą, prawą odnogę, drogą wijącą się po szczycie zalesionej grani.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił, gdy reflektory wyłowiły z mroku długi, wąski dwupiętrowy budynek, który stał na krawędzi lasu. - Witaj w domu, Irene.

Witaj w domu. Z jakiegoś powodu zabrzmiało to dla Irene okropnie. Miało w sobie coś ostatecznego. Gdyby tylko użył dowolnych innych słów, o ileż byłoby to łatwiejsze.

46

Anh Trinh nie miała zamiaru pozostawić rozbitej głowy Pendera własnemu losowi. Usadziła go na krawędzi łóżka i delikatnie odkleiła opatrunek, po czym oczyściła ranę wilgotną chusteczką.

Pender czuł wyraźnie ciepło jej ciała.

- Jest nienaj gorzej - zameldowała. - Jeden ze szwów puścił, ale nie wdała się chyba infekcja. Czekał, zaraz wróć.

Przyniosła z biura apteczkę pierwszej pomocy, posmarowała ranę czymś, co uznał za maść bakteriobójczą, umieściła kawałek gazy na ranie, która się otworzyła, po czym profesjonalnymi, sprawnymi ruchami nałożyła na głowę Pendera świeży bandaż.

Dopiero, kiedy zabezpieczała opatrunek plastrem, dostrzegł na szafce nocnej mały słoik z orientalnymi napisami.

- Co to jest? Czym mnie posmarowałaś? - zapytał nerwowo.

- Spokojnie, to takie zajebiste chińskie coś od Wonga. Weź to, nakładaj sobie codziennie na ranę.

- To na pewno bezpieczne?

- Rok temu jeden klient pocałował moją kumpelę. Wong kazał jej to codziennie nakładać. Po sześciu miesiącach normalnie prawie byś nie powiedział, że coś jej było.

Anh cofnęła się, by obejrzeć swoje dzieło, po czym zaczęła zdejmować spódniczkę.

- Czekał, stój - zaprotestował Pender.

- Dupa mi się w tym poci. Mamy ponoć rozmawiać prywatnie, co?

Rzeczywiście o to chodziło. Czekali ich coś na kształt sesji terapeutycznej. Pender bez pomocy hipnozy chciał przywołać jej wspomnienia i emocje sprzed roku. Ale, poza komfortem świadka, ważne było też, by prowadzący wywiad potrafił się skupić, dlatego Pender zaproponował dziewczynie kompromis, na który ta

przystąpiła.

I tak oto agent specjalny E.L. Pender rozpoczął wywiad współczujący, siedząc na łóżku w tanim motelu/burdelu w Dallas, naprzeciwko prostytutki ubranej w jedną z jego własnych białych koszul od garnituru, którą kazał jej nałożyć na obcisły topik i przezroczyste majteczki. Ponieważ poprzedniego dnia przeprowadzał wywiad, siedząc na łóżku w samej bieliźnie, sytuacja nie wydała mu się aż tak nietypowa, jak zapewne miałyby to miejsce normalnie.

Przynajmniej sam miał tym razem na sobie ubranie, poliestrowe spodnie Sansabelt i brązową koszulę Banlona. Pozbył się jedynie swej słynnej marynarki, zakrwawionego kapelusza z piórkami i butów Hush Puppies. W jedną dłoń ujął długopis, w drugą notatnik.

- Wygodnie ci? - spytał Anh.

- No.

- Dobra, chcę się cofnąć z tobą w czasie do tamtej nocy z Cas... zChristym.

- Chłopie, co to był za cudak. Wiesz, jeden z tych klientów, co to nie tylko chcą się pieprzyć, chciał jeszcze, żebym się w nim zakochała czy coś, wiesz, o co mi chodzi, nie? Ten facet...

- Czeka, czeka, Annie. Kiedy mówiłem, że mamy się cofnąć w czasie, to nie żartowałem. Widzisz, w mózgu są dwie części. Jedna podsumowuje zdarzenia i je ocenia, porównuje z innymi, a druga przechowuje same wspomnienia. Nie mają ze sobą nic

wspólnego. Nam dzisiaj potrzebna jest ta druga część, tam bowiem można znaleźć szczegóły. A diabeł, jak wiesz, tkwi właśnie w szczegółach. Pomogę ci zacząć. W jakim to było pokoju? W tym?

- Ee. Nie. W dwudziestce. Drugie skrzydło, na samym końcu.

- Dobra, podchodzisz do drzwi. Są zamknięte. Są tuż przed tobą. Wyobraź sobie cyfry na drzwiach. Dwójka i zero. Pukasz.

On mówi...

- „Otwarte”, mówi, „otwarte”...

- Czasem jak widzisz klienta, to myślisz sobie, co on tu robi, do kurwy nędzy, czemu wydaje na to kasę. Ten jest młody, uroczy, dobrze pachnie, świeżo, jak dopiero co rozcięta cytryna.

I widzę, że już mu stoi, zanim nawet dał mi siano. Niektóre chłopcy ociągają się z płaceniem, ale nie ten, dla niego to jak część zabawy.

- Za drugim razem, a, kurde, ledwie zdążyłam złapać oddech, minęła może minuta, nie zalewam, więc, za drugim razem, mam udawać dziewczynkę. Robiłam to nieraz, pewnie przez to, że jestem nieduża. I tam też nieduża, wiesz gdzie. Mówię mu, że za drugi raz płaci się ekstra, a za zabawę w udawanki podwójnie, i nikt, kurde, nie ma prawa mnie uderzyć. A on na to: „Zapuszczaj licznik, ukochana, jedziemy”. Różnie do mnie mówią, ale zwykle nie „ukochana”.

- I wtedy się, kurde, wystraszyłam trochę, bo za drugim razem zmienił się w zupełnie innego człowieka. Porusza się



**inaczej, inaczej mówi, nawet inaczej się pieprzy...**

**Oczywiście Pender nie musiał znać aż tak dokładnych szczegółów. Ale problem polegał na tym, że nie było wiadomo, które są istotne, dopóki nie znało się ich wszystkich. Casey był jurny, był kamelonem, lubił gry, nosił przy sobie gruby szmal. Nie było w tym nic nowego. Kiedy go aresztowano, miał przy sobie ponad dwa tysiące dolarów, setki zawinięte w dwudziestki.**

**Trzeci akt dramatu wniósł więcej - tym razem Casey był niegrzecznym chłopcem, a Anh nauczycielką...**

**- Nie wiem, za co mam go lać, ale on na pewno wie. „Przepraszam, przepraszam, przepraszam”. Leży na brzuchu, walę go po dupie jak należy, po czym nagle przewraca się na mnie i zaczyna pierdolić jak zwierzę. Nie mam na myśli, że na pieska, ale tak, że nie zgoniłbyś go ze mnie, wylewając kubek wody, musiałbyś wyjechać mu ze szlauchu. Ale to nie na mnie się wkurwił, zachowuje się, jakby mnie tam w ogóle nie było. Na początku przeprasza jakąś nauczycielkę, potem wali mnie, aż mi świeczki w oczach stają, a później chce jeszcze wyjechać mnie w tyłek, ale to nie moja branża. On, że mu przykro, ale ma to gdzieś, bo to nie ja, tylko jego nauczycielka. Daje mi w łeb, wsadza mi, mówi coś w stylu: „Poznaj Maxa. Jak ci się podoba Max?”, czy inne bzdury.**

**- Stary Wong może i jest kutasem, ale stara się o nas dbać.**

**Zaczynam krzyczeć, to przysyła Nigra - chłop ma na imię Ng, ale wszyscy mówią na niego Niger - żeby zobaczył, co jest**

**grane. Niger otwiera drzwi i zaczyna się szopka.**

**- Tak, żebyś wiedział, kim jest Niger. Jego mamę zgwałcił czarny żołnierz, więc chłop jest w połowie Wietnamczykiem, w połowie Murzynem i ciągle chodzi wkurwiony. Do tego jest dwa razy większy od Christy'ego i podobno w chuj dobrze się zna na karate i takich tam. Tak czy siak, wpada do pokoju zobaczyć, czy klient chce mnie zamordować, czy co. Dwie sekundy później leży już na plecach, a Christy siedzi na nim i napierdala mu głową o podłogę. Żeby ten dywan był choć trochę cieńszy, to ten świr zdążyłby go udekorować mózgiem Nigra, zanim pojawił się Wong ze swoim dupnym rewolwerem.**

**- Kiedy Christy słyszy, jak Wong odciąga kurek tego starego Colta, to złazi z Nigra. Mówi, że to było nieporozumienie. Ja na to, że nie sędzę. On na to bierze z krzesła portki, wyciąga siano i zaczyna odliczać frankliny\*[\* Portret prezydenta Franklina znajduje się na banknocie studolarowym (przyp. tłum.)]. Jak dolicza do pięciu, to mówię dobra, już widzę, że nie zrozumiałam.**

**- Ale później dzieje się coś, co naprawdę zjeżyło mi włosy na dupie. Jak się ubiera, zaczynają gadać z Nigrem. Niger pyta, co to, kurwa, był za ruch, że ma czarny pas, a nie miał pojęcia, co się dzieje. Zaczynają ze sobą rozmawiać, nie mija pięć minut, a już idą na piwo jak starzy kumple. Aja zostaję sama i nie mogę nawet sobie usiąść. Wiesz, co mam na myśli?**

**- Pewno! - odparł Pender entuzjastycznie, nie myśląc nawet o tym, co mówi. W głowie układał już plan następnego wywiadu.**

**Anh Trinh zachichotała jak uczennica, którą powinna być.**

**- No, no, agencie Pender, nie wiedziałam, że jesteś z tych.**

**47**

**Tego wieczora jedwabna sukienka jest czarna. Czarna jak jej maska, czarna jak jej myśli, czarna jak las, przez który idzie. Siedząc na ganku, obserwowała zachód słońca, ale widok ten nie przyniósł ukojenia. Nie potrafi wrócić do pustego domu, zarzuca więc na ramiona chustę i udaje się w kierunku położonej w dole psiarni.**

**Nie jest to daleka wędrówka, ale kiedy kobieta dociera na miejsce, jest zasapana. Jej płuca poważnie ucierpiały w pożarze.**

**Kiedy łapie oddech, psy zaczynają baraszkować, by pokazać, jak bardzo cieszą się z tej niespodziewanej wizyty (rzadko pokazywała się tu nocą). Jak zwykle zachowują przy tym kompletną, nienaturalną ciszę. Ustawiają się w kolejce po czułości. Dr Cream staje na przedzie u boku Lizzie. Lizzie jest najstarsza w sforze, Doktor - największy i najstraszniejszy z wyglądu, ale pod jego czarnobrązową sierścią bije najczulsze z serc. (Oczywiście pod warunkiem, że nie jesteś obcym, ponieważ wtedy Doktor, podobnie jak reszta, będzie zachwycony, mogąc rozerwać cię na zaskakująco małe i zaskakująco liczne kawałki, które następnie, za pozwoleniem swojej pani, pożre).**

**Kiedy kobieta klęka, Dr Cream siada na zadnich łapach i wysuwa łeb do pierwszych pieszczot. Lizzie tymczasem zachodzi kobietę od tyłu, wciska pysk pod czerwonożłote loki i zaczyna**

szturczać ją w kark. Kobieta opuszcza głowę na pierś. Wzdycha podobnie, jak kiedy aplikuje sobie conocną porcję morfiny.

Nagle sztywnieje i podnosi głowę.

- Ciii - mówi, choć psy zachowują ciszę. Wkrótce nie ma już wątpliwości, że słyszy odgłos silnika. Jakiś pojazd jedzie po asfaltowej drodze, która wspina się zygzakiem na południowe zbocze grani. Psy rzucają się w stronę umocnionej bramy, gotowe przywitać swego pana lub zaatakować z zaskoczenia intruza.

Promień reflektorów ślizga się pomiędzy drzewami, wskazując raz w jedną, raz w drugą stronę, zależnie, w którą wije się droga.

Kiedy wreszcie zza zakrętu wylania się szarobłękitny Cadillac, kobieta przykłęka za psiarnią. Wóz zatrzymuje się przed bramą. Otwierają się drzwi od strony kierowcy i z wnętrza wysiada Ulysses. Kobieta czuje gigantyczną ulgę, dziką, maniackalną radość. Oczyma duszy widzi już, jak biegnie ku bramie i rzuca się mu w ramiona.

Jednak jedno uderzenie serca później ulga zmienia się w furję.

- Jak śmiesz! - mruczy pod nosem, nie opuszczając ukrycia, gdy Ulysses otwiera bagażnik i pomaga z niego wyjść szczupłej, wyglądającej na oszłomioną kobiecie. - Jak śmiesz zostawiać mnie samą, skoro masz czas najeżdżenie sobie po kraju z jakąś szmatą.

Kiedy Ulysses pomaga szmacie przesiąść się na przód wozu,

kobieta w jedwabnej masce widzi blond włosy tamtej. Jasne, platynowe, w ogóle nawet niepodobne do truskawkowego blond.

- Jak śmiesz...! - szepcze jeszcze raz, wzburzona do granic możliwości. W jakimś atawistycznym odruchu jej dłonie usiłują zacisnąć się w pięści, lecz udaje im się tylko ułożyć w kształt zagiętych, kuriozalnych szponów.

48

W biurze motelu SleepTite Pender nie zastał nikogo. Usłyszał jednak głosy dobiegające z zaplecza. Gdy tylko uderzył w przycisk dzwonka, wypadł stamtąd Wong.

- FBI, co? - Pogroził palcem. - Nie mówi Wongowi prawdy.

- Panie Wong, dlaczego mam wrażenie, że mówi pan po angielsku lepiej ode mnie?

- Ha, ha, bardzo śmieszne, czym może służyć, chce pieniądze z powrotem? Odda panu pieniądze za pokój.

- Nie trzeba. Muszę porozmawiać z panem Ng.

- Nie zna, pierwszo słyszy - odparł Wong. Mimo że na jego twarzy nie drgnął nawet jeden mięsień, ciało Azjaty niemal niezauważalnie poruszyło się w stronę drzwi, przez które właśnie przeszedł.

- Zdaje się, że nazywacie go Niger - powiedział Pender, obchodząc kontuar i kierując się na zaplecze.

- Nie ja, ja go tak nie nazywam - odparł Wong, pospiesznie wciskając się przed agenta. Nie, aby go zatrzymać, lecz by wejść jako pierwszy. Złożenie niezapowiedzianej wizyty gościom Wonga

w trakcie conocnej partii pai gow było skutecznym sposobem na popelnienie samobójstwa. - Pan też go lepiej tak nie nazywa, jak nie chce pan kłopotów.

Drzwi otworzyły się, Wong wszedł jako pierwszy, zaraz za nim Pender. W pierwszym momencie poczuł zaskoczenie i dezorientację, miał wrażenie, jakby nagle przeniósł się w przestrzeni. Nie spodziewał się zobaczyć podobnego zgromadzenia w Dallas w Teksasie. Nie wiedział nawet wcześniej, że w Dallas w ogóle byli jacyś Chińczycy.

Sześciu chińskich dżentelmenów, zebranych wokół zielonego stolika do pokera, wydawało się równie zaskoczonych widokiem Pendera, który zmaterializował się w zadymionym półmroku.

Siódmy mężczyzna, ogromny ciemnoskóry Afroazjata w hawajskiej koszuli w lamparcie cętki, który dotąd drzemał na krzeselku w głębi pokoju, poderwał się na nogi i sięgnął za siebie po broń.

Wong zrobił gest, jakby kładł dłonie na niewidzialnym stole, dając czarnoskóremu znak, że wszystko gra.

Odbyli krótką rozmowę, którą Pender przeczekał, stojąc w drzwiach. Następnie Wong wrócił do gry, a Ng zabrał się z Penderem do biura. Tam agent przedstawił mu zdjęcie gęby Caseya.

Ng, który był niemal równie wysoki i szeroki co Pender, wzruszył ramionami.

- Nie znam go.

**Pender westchnął.**

**- Dobra odpowiedź. Na pewno przekażę wszystkim moim rozlicznym znajomym z półświatka, że na Ngu zawsze można polegać. A teraz powiedz mi wszystko, co wiesz o tym zasranym mordercy, albo zepchnę cię do zupy.**

**Nie był to może podręcznikowy przykład wywiadu współczującego, ale rozbita głowa Pendera zaczęła się znowu odzywać.**

**- Zupy? Jakiej znowu zupy?**

**- Zupy alfabetycznej. Wiesz, FBI, ATF, DEA, IRS, INS\*[\* Skróty: Alcohol, Tobacco and Firearms - agencja kontroli obrotu alkoholem, wyrobami tytoniowymi i bronią palną. Drug Enforcement Administration]... - agencja zajmująca się kontrolą obrotu lekami oraz walką z produkcją i dystrybucją narkotyków. Internat Rerenue Service - agencja zajmująca się ściąganiem podatków. Immigration and Naturalization Service - agencja zajmująca się przyznawaniem obywatelstwa i walką z nielegalną imigracją (od 2003 roku Ng rozważył swoje opcje. Nie zajęło mu to zbyt wiele czasu - garniak nie wyglądał na żartownisia, a zasrany morderca był tylko przypadkowym kumplem.**

**- Mówił, że nazywa się Lee. Sprawiał kłopoty jednej z dziew... mojej znajomej, więc obilem mu gębę. Skoczyliśmy na jednego, pogadaliśmy o sztukach walki. Nie pamiętam dobrze, to było rok temu.**

**- Tyle że wiem, iż nie obileś mu gęby - powiedział Pender.**

- Było odwrotnie. Powiesz jeszcze coś, co nie będzie stykało z moją wiedzą, a dowiesz się, w jakie gówno może cię wpuścić agent FBI na gorącym tropie.

Mięśnie ponad masywnymi łukami brwiowymi zbiegły się w wyrazie skupienia.

- Spytałem go, jak dał radę mi naciukać. Powiedział, że siła tkwi w zaskoczeniu.

- I co jeszcze?

- Że mógłby mieć czarny pas, ale nie miał zamiaru włożyć w dupę swojemu sensei.

- Gdzie miał dostać ten czarny pas? W czym?

- Karate. Powiedział też, że uprawiał zapasy w szkole średniej, a w poprawczaku się boksował.

Poprawczak, pomyślał Pender. Przeszłość w zakładzie zamkniętym. Takie odkrycie to czyste złoto.

- Gdzie to było? Mówił?

- Nie wiem... zaraz... Chyba gdzieś w Oregonie? Tak, w Oregonie. „Organie”, jak to wymawiał. Na ranczu. Mówił, że tam nauczył się jednego ruchu. Nawet mi go pokazał. Siedzimy przy barze. On mówi: „Powiedz, jak będziesz gotów, zrobię taki ruch, że go i tak nie wyczaisz”. w ramach zmian spowodowanych atakiem na World Trade Center, przestała być samodzielną agencją i została wcielona w struktury DHS, Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego) (przyp. tłum.).

- Więc patrzę na niego. Nie ma siły, żeby ktoś mnie ciuknął



**jak jestem gotowy. Ale dupa, nie wiem kiedy - sru!**

**Dłoń Nga, sztywne niczym szpadel, wystrzeliła ku gardłu Pendera i zatrzymała się tuż przed jego jabłkiem Adama.**

**Agent gwałtownie cofnął głowę, na próżno. Gdyby atak był prawdziwy, dusiłby się już własną krwią.**

**- Nie powiedział mi, jak to zrobił. Tylko, że nauczył go tego jakiś chłopak, Buckley, w poprawczaku.**

**Oho, pomyślał Pender.**

**- Buckley... To imię czy nazwisko?**

**- Nie wiem. Zapamiętałem tylko dlatego, że w szkole chodziłem z taką małą Chaniquą Buckley.**

**Pender w zasadzie nie potrzebował tej wiedzy. Bazy danych można było równie dobrze przeszukiwać po imieniu, jak i po nazwisku. Postanowił zadzwonić z samego rana do Thoma Daviesa, specja od baz danych. Po czym przypomniał sobie, że następnego dnia wypadła niedziela. Nie, żeby robiło to różnicę.**

**Musiał tylko zbudzić się na tyle wcześnie, by złapać Thoma, nim ten wypuści się na pole golfowe.**

**49**

**Tapeta pokryta była ciemnozielonym wzorem łagodnie wijących się winorośli na różowym, przypominającym kolorem ludzką skórę tle. Mosiężna stojąca lampa roztaczała łagodny, zabarwiony na różano blask. W kącie niedaleko kominka odliczał sekundy zabytkowy zegar z Filadelfii, który przyjechał tu kiedyś krytym wozem pioniera. Regularnie odzywało się skrzywienie**

bujanego, wykonanego ręcznie fotela z mirtu.

Po tych wszystkich godzinach spędzonych w bagażniku Maybelline Irene odkryła, że siedzenie w tym fotelu sprawia jej przyjemność. Przynajmniej miała nad nim kontrolę. Nadal jednak nie potrafiła przestać myśleć o słowach Maxwella. Witaj w domu.

- Zostań tutaj, rozgość się. Muszę się teraz czymś zająć, ale będę wiedział, jeśli stąd wyjdiesz - powiedział na odchodne, pół godziny temu. Nie wspomniał, co wtedy, ale Irene i tak zrobiło się zimno.

Tak więc siedziała tutaj, chociaż wyraźnie usłyszała odgłos zatraskiwanych drzwi frontowych. Posłuchała po części dlatego, że się go bała, po części dlatego, że była fizycznie i psychicznie wyczerpana, ale był też inny czynnik - pragnienie, by porywacz był z niej zadowolony, a przynajmniej, by się nie zdenerwował. Syndrom sztokholmski, wczesne stadium, powiedziała sobie. Jakże dziwne móc nazwać swoje zachowanie, zdiagnozować je, a mimo to nie potrafić nic z tym zrobić.

Siedziała zatem i kołysała się, a kiedy usłyszała czyjąś obecność w kuchni, pogratulowała sobie ostrożności. W jakiś sposób wrócił po cichu do domu, uznała. Gdyby wyszła z pokoju, na pewno by ją złapał.

Chyba że, oczywiście, był tu ktoś inny. O Boże. Irene natychmiast zatrzymała fotel w miejscu, wbijając stopy w podłogę.

Zaczęła nasłuchiwać odgłosów z kuchni, ale serce waliło jej

**tak mocno, że niemal je zagłuszało.**

**Ktoś tam chodził, bez dwóch zdań. Odgłosy ubijania jajek w misce, gotowania wody, gwizd czajnika, skwierczenie boczku - poczuła nawet zapach. Wkrótce potem usłyszała kroki - lekkie, szurające pociągnięcia stóp po ziemi, w kuchni, w korytarzu, przed jej pokojem. Irene siedziała twarzą do kominka. Wyczuła czyjąś obecność za sobą, chrapliwy, zbolący oddech dochodzący od drzwi, ale nie potrafiła, nie chciała się odwrócić.**

**Usłyszała szelest jedwabiu. Dzielnie wlepiała spojrzenie w dywanik o zaokrąglonych rogach, który leżał u jej stóp. W polu widzenia pojawiła się długa, sięgająca ziemi czarna suknia, a następnie taca z jedzeniem, trzymana przez kościste szpony, pokryte przeplatanką różowej niewygojonej tkanki i białych splachetków przeszczepionej skóry. Szpony ostrożnie położyły tacę na stoliku obok fotela.**

**Zbierając odwagę do spojrzenia w górę, Irene w jakiś sposób wiedziała, że tamta też zbiera odwagę na to, by pozwolić na siebie spojrzeć.**

**- Pomyślałam, że może jesteś głodna.**

**Dykcja była precyzyjna, nienaturalnie precyzyjna, głos wysoki i zniekształcony przez czarną chirurgiczną maskę, wykonaną z tego samego materiału, co suknia z wysokim kołnierzem. Nie dało się odgadnąć wieku kobiety. Skóra przy brzegach maski była jak zastygły wosk, pokryta zaciekami, bruzdami i żyłami, w kolorze niczym cętkowana kość słoniowa,**

gdzieniegdzie poznaczona sinym nalotem. Jej powieki ewidentnie wyglądały na zrekonstruowane chirurgicznie, a wspaniałe włosy w kolorze truskawkowego blond, choć były lśniące, gęste i bez wątpienia ludzkie, z pewnością nie należały do niej.

Jesteś lekarzem, upomniała się Irene, starając się, by odraza, którą czuła, nie odbiła się na jej twarzy. Widywałaś już oszpecone twarze.

- Dziękuję. Jestem Irene Cogan.

W odpowiedzi, zamiast też się przedstawić, kobieta wysunęła do przodu jeden ze swoich odrażających szponów, jakby do powitania. Jednak kiedy Irene odpowiedziała jej tym samym, ta poderwała rękę i chwyciła szkieletowymi palcami lok tlenionych włosów Irene. Szarpnęła, wrywając go.

- Au! - krzyknęła Irene i odskoczyła. - Za co?

Kobieta zignorowała ją.

- Mądry chłopak z tego Ulyssesa - mruknęła, spokojnie oglądając korzenie włosów Irene w różanym świetle lampy. - Szelma z niego, ale mądry. A teraz skończ kolację, zaprowadzę cię do pokoju.

Witaj w domu, pomyślała Irene, czując pieczenie w miejscu po wyrwanych włosach. W oczach stały jej łzy, zamazując obraz.

50

W pokojach numer 15 i 19 panował ciągły ruch. Dziwki oraz ich klienci wchodzili i wychodzili. W pokoju numer 17 Pender wcisnął w uszy piankowe zatyczki o gwarantowanej skuteczności

do trzydziestu dwóch decybeli, po czym zaczął układać plan komputerowych poszukiwań.

**Krok pierwszy:** co prawda czasami wymazywano z rejestrów nieletnich przestępców, ale nigdy nie działało się tak, jeśli kontynuowali łamanie prawa jako dorośli. Załóżmy, że tak właśnie było w przypadku Buckleya - założenie statystycznie uzasadnione. Następnie poszukajmy notowanych o nazwisku lub imieniu Buckley, którzy mieli za sobą pobyt w dowolnym poprawczaku w Oregonie pomiędzy rokiem... Casey wyglądał na mężczyznę tuż przed trzydziestką, więc pomiędzy osiemdziesiątym drugim a dziewięćdziesiątym drugim.

**Krok drugi:** módlmy się, żeby krok pierwszy nie zaowocował zbyt długą listą wyników. Tu bowiem kończyły się możliwości komputera. Krok trzeci wymagać będzie wywiadu twarzą w twarz z każdym Buckleyem - w nadziei, że któryś na zdjęciu dorosłego Caseya rozpozna chłopaka o imieniu Max lub Christy, lub Lyssy, lub Lee.

Pender wiedział, że wszystko to wymagało wiele czasu, pracy i szczęścia. Nawet gdyby zdołał ustalić tożsamość Caseya, stanąłby przed niełatwym zadaniem wytropienia go bez pomocy bogatych zasobów, którymi rozporządzało Biuro. Euforia, jaką poczuł po rozmowie z Ngim, nagle ulotniła się, pozostawiając jedynie zmęczenie, zniechęcenie i potworny ból głowy.

Jestem za stary na ten syf, pomyślał Pender. Udał się do łazienki, popił dwie tabletki Vicodinu letnią wodą z kranu, którą

zaczepnął w dłonie (na plastikowym kubeczku nie było informacji, że został wysterylizowany dla bezpieczeństwa), po czym zabrał do łóżka swoją niezarejestrowaną kopię akt Caseya, i - czekając, aż lek zacznie działać - otworzył ją na losowej stronie, niczym Powtórnie Narodzony Chrześcijanin, szukający inspiracji w Biblii.

Na Pendera spojrziała kolorowa odbitka twarzy Dolores Moon w formacie dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. Psozny uśmiech, kręcone włosy w kolorze truskawkowego blond.

Urodzona w Huntington, Long Island, 12 lutego 1969. Ostatnio widziana w Sandusky, Ohio, 17 kwietnia 1997. Kariera w show-

- biznesie, tuż poniżej linii, ponad którą człowiek zostaje zauważony. Ostatnio zagrała Snoopy'ego w Porządny z ciebie chłopak, Chanie Brown, produkcji teatru kawiarnianego Sandusky.

Pender cofnął się o parę stron. Tammy Brown. Urodzona w Pikeville, Kentucky, 22 września 1978. Ostatnio widziana w Pikeville, 3 lipca 1996. Studencka mistrzyni wagi ciężkiej w podnoszeniu ciężarów z uniwersytetu w Pikeville (bo i gdzieżby indziej?). Nie była jedną z tych napakowanych, umięśnionych, karmionych sterydami sportsmenek, lecz nieśmiałą, otyłą, dobroduszną, wolną od nałogów chrześcijanką o kilku podbródkach i okrągłej twarzy jakby wprost wziętej z obrazów Botero. Zupełne przeciwieństwo Dolores Moon. Krępa

**introwertyczka, niemal bez wątpienia dziewica. Nie łączyło ich nic poza truskawkowym blondem i pechem.**

**Vicodin zaczął działać. Pender zamknął oczy i znów zobaczył wizję, która, pod taką lub inną postacią, prześladowała go od kilku lat, jednak dawała mu siłę do działania. Tym razem były tam Dolores i Tammy. Wpatrywały się weń z ciemności, czekały na niego. Uniósł powieki. Zmusił się, by przekartkować do końca skoroszyt, do przedostatniej ofiary Caseya. Trzeciej od końca, jeśli liczyć doktor Cogan.**

**Donna Hughes. Urodzona w Stanford na Florydzie, 20 grudnia 1956. Ostatnio widziana w Piano w Teksasie, 17 czerwca 1998.**

**Casey najczęściej polował wiosną lub latem, co naprowadziło detektywów na hipotezę, że mieszkał w rejonie klimatycznym, gdzie zimy utrudniały podróżowanie. Pender zastanawiał się, czy Pastor był tego świadom. Pomogłoby to zawężyć obszar poszukiwań.**

**- Powinienem tam być - powiedział. Przez zatyczki w uszach jego głos zabrzmiał dziwnie odlegle. - Powinienem tam być!**

**Beze mnie nigdy go nie złapią.**

**Przywołał się do porządku. Nie było go tam. Był tu, w Dallas.**

**Które leży o rzut kamieniem od Piano. I nagle, chociaż był już tak zmiażdżony przez środki nasenne, że ledwie mógł myśleć, Ed Pender uświadomił sobie z absolutną jasnością, jaki musi być jego następny ruch.**

**Gniew. Zaprzeczenie. Rozpacz. Targowanie się. Akceptacja.**

Stadia, przez które przechodzi ludzki umysł w obliczu własnego unicestwienia. Przez ostatnie trzydzieści sześć godzin Irene przeskakiwała pomiędzy gniewem, zaprzeczaniem (a przynajmniej dysocjacją) a rozpaczą. Teraz, pozostawiona sama w małej sypialni dla gości na drugim piętrze, którą normalnie uznalaby za uroczą, wyposażonej w antyczne mosiężne łóżce, wielkie biurko z drewna klonowego, szafkę nocną, sekretarzyk i przyległą łazienkę, Irene dotarła do fazy targowania się.

Zaczęła od przeproszenia Maryi Dziewicy za te wszystkie rzeczy, które powiedziała o Jej Synu i Jego Ojcu po tym, jak umarł Frank. I za to, że od tamtej pory nie była na mszy, ale podkreśliła przy tym, że prowadziła porządne życie, nie grzeszyła zbyt wiele (przynajmniej uczynkiem) i pomogła niejednej potrzebującej duszy, wykonując swój zawód (choć musiała przyznać, że dobrze jej za to płacono). W zamian za wstawiennictwo obiecała Maryi, że będzie chodzić na mszę w każdą niedzielę, oraz zaoferuje swoje usługi jednej z darmowych klinik w Seaside, Wastonville lub Salinas.

Tak właśnie wyglądały targi, które Irene prowadziła w głowie po tym, jak kobieta zamknęła za nią drzwi od sypialni na klucz.

Nie przyniosły jej one spokoju ducha. Następnie przeszukała szafę i komodę, co popchnęło ją tylko głębiej w rozpacz. Ponieważ



w górnej szufladzie komody znalazła bieliznę różnorodnych rodzajów, staniki w rozmiarach od 32C do 40DD, miniaturowe majteczki od bikini i pojemne galoty, skarpetki, podkolanówki, pończochy. Wszystko wyglądało na używane. Podobny był przegląd rozmiarów w kolekcji porządnie poskładanych Tshirtów, koszulek i bluzek, która znajdowała się w drugiej szufladzie.

Mniejsze rozmiary po lewej, większe po prawej. W taki sam sposób ułożono swetry, spodnie i dzinsy w najniższej szufladzie.

We wnętrzu głębokiej wąskiej szafy wisiały spódniczki, sukienki i płaszcze w rozmiarach od 6 do 16. Na podłodze szafy - półbuty, adidas, sandały w pełnym spektrum numerów, wszystkie noszone. Irene zatrzasnęła drzwi od szafy, cofnęła się i usiadła ciężko na łóżku. Jak wiele kobiet wniosło swój wkład do tej kolekcji, zastanawiała się. Mój Boże, jak wiele?

Upadła na kolana i zaczęła się szczerze modlić. Tym razem nie umysłem, a sercem. Słodki Jezu, tak bardzo się boję. Pomóż mi, Maryjo, nie dam rady sama. Duchu Święty, dodaj mi sił. Daj mi skrzydła. Pomóż mi. Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię twoje, wierzę w ciebie z całego serca, nigdy już cię nie opuszczę. A nawet jeśli mnie nie ocalisz, jeśli moja śmierć tutaj to część Twego planu, proszę, proszę, proszę, bądź ze mną. Nie zostawiaj mnie samej. Jezu. Proszę.

Nie zorientowała się, że płacze, zanim pierwsze łzy nie uderzyły o deski podłogi. Ale wtedy najgorszy atak rozpacz miała już za sobą. Próbowwała sobie wmówić, że Jezus

odpowiedział na jej błagania, jednak nie mogła odpędzić słów, które kiedyś powiedział na ten temat jeden z jej profesorów. Pocieszenie, które niesie religia, nie wymaga istnienia żadnego Boga, poinformował klasę. Wystarczy do tego sama wiara.

- Tak czy siak, dzięki - powiedziała na głos, podnosząc się na nogi i ocierając łzy. - Dalej poradzę sobie sama - dodała z nagłą brawurą, tylko na wpół żartując.

Normalnie - to znaczy, wcześniej - Irene niespecjalnie wierzyła w skuteczność tak zwanych afirmacji, które propagowali wyznawcy New Age. Na przykład mówienia co rano do lustra:

„Jestem świetlistą istotą”. Jako psychiatra wiedziała doskonale, że kiedy mówisz: „Jestem świetlistą istotą”, to twoja podświadomość za każdym razem odpowiada: „Wcale nie”. Sto afirmacji dziennie, sto zaprzeczeń. Człowiek miał szczęście, jak wychodził na tym interesie na zero.

Desperackie sytuacje wymagają desperackich środków. Bez chwili namysłu ukuła własną afirmację.

- Przetrwam. Wszystko inne jest drugorzędne. Przetrwam.

I to zadziałało. Irene odległa była jeszcze od fazy akceptacji, ale przynajmniej mogła już w miarę normalnie funkcjonować.

Ponownie otworzyła drzwi od szafy. Wisiała tam sięgająca podłogi bawełniana koszula nocna w kolorze nagietków. Kiedy Irene po nią sięgała, coś w tyle głowy nie dawało jej spokoju. Coś było nie tak z tymi ubraniami. Tak więc, po rozebraniu się i

wsunięciu koszuli przez głowę, rozpoczęła małe dochodzenie. Zmusiła się, by jeszcze raz przejrzeć szuflady i szafę. Różne rozmiary, tak.

Różne style, tak. Małe i duże kobiety, młodsze i starsze, szykowne i zupełnie bez smaku.

Jednak jedna cecha była wspólna. Kolory. Wedle schematów sezonowych. Ciepła wiosna. Łagodne tony. Za tło robiły jasne brązy, szarości, kolory kremowe. Nieco głębokich zieleni i złocistych żółci, ale żadnych głębokich błękitów, jedynie turkusy i inne mieszanki z zielenią.

Nie była to jednak do końca paleta dla rudej. Rzeczy po czerwonej stronie widma nie były dość jaskrawe, by pasować do klasycznych rudych włosów. Nie, były tu kolory łososiowe, koralowe, dyniowe, brzoskwiniowe i różane, delikatniejsze pastele, które Irene sama nosiła, zanim zaczęła tlenić włosy.

Odskoczyła od szafy. Kręciło jej się w głowie. Kobiety, które pozostawiły po sobie te rzeczy... Czy wszystkie były truskawkowymi blondynkami, jak ona? To dlatego ta wiedźma w perfekcyjnej peruce w kolorze truskawkowego blond wyrwała jej lok włosów? By obejrzeć korzenie?

Implikacje były nie do pomyślenia. Nagle Irene poczuła trudny do wytrzymania atak klaustrofobii. Zatoczyła się do małego czwórdzielnego okna, rozwarła je, wystawiła głowę na zewnątrz. Kiedy łykała łapczywie górskie powietrze, zauważyła, jak w stronę domu niespiesznie idzie Maxwell. Miał opuszczoną

**głowę, jego blond włosy zdawały się białe w świetle księżyca.**

**Przetrwam, powiedziała sobie Irene, szybko chowając głowę do środka i zamykając okno. Cokolwiek by się tu nie działo, ja przetrwam.**

**Wcale nie, zabrzmiał w odpowiedzi mały głosik w jej głowie.**

**52**

**Jak na motel, który wynajmuje pokoje na godziny, SleepTite wyposażony był w całkiem wygodne łóżka. Budzik wyrwał Pendera ze snu o siódmej rano. Pół godziny później agent zadzwonił do Thoma Daviesa, pochodzącego z Wielkiej Brytanii specjalisty od baz danych.**

**- Dobry, T.D., mam nadzieję, że cię nie obudziłem.**

**- Pender? Na miłość boską, człowieku, jest niedziela, ósma trzydzieści rano.**

**- Tu jest dopiero siódma trzydzieści, a ja już wstałem.**

**- Czas centralny? Myślałem, że zamieszkałeś na stałe w Prunedale.**

**- Jestem w Dallas. Jak tam moje konto w banku przysług?**

**- Wydaje mi się, że jesteś mi jeszcze winien kilka obiadów i pierworodnego syna.**

**- Mógłbym zaciągnąć kredyt na poczet drugiego syna? - Pender wyjaśnił Daviesowi, czego szuka.**

**- Zajmę się tym jutro z samego rana - powiedział Davies.**

**- Nie na to liczyłem.**

**- Ed, jest niedziela rano.**

- Odkąd gość uciekł z paki, popełnia średnio dwa morderstwa dziennie. Policz sobie, Thom.

- A mogę chociaż się wysrać i wziąć prysznic? Znajdzie się na to czas?

- Prysznic to możesz chyba sobie odpuścić - odparł Pender.

- Wątpię, czy spotkasz kogokolwiek w biurze.

Piano było częścią północnowschodnich przedmieść Dallas, chociaż miasto o tak bogatej historii wolalo unikać podobnych określeń. „Pięćdziesiąt mamy stanów / Lecz nie ma, jak w Piano”, głosił znak na budynku Izby Handlowej.

Dom Hughesa był biały, ozdobiony kolumnadą i prawie można go było nazwać pałacem. Stał w drogiej dzielnicy Lakeside.

Pender, będąc do szpiku kości Jankesem, na wpeł spodziewał się, że drzwi otworzy Hattie McDaniels albo Butterfly McQueen\*[\* Czarnoskóre aktorki znane z ról pokojówek Scarlet O'Hary w Przemieńło z wiatrem (przyp. tłum.)].

Jednak pokojówka, która pojawiła się na dźwięk dzwonka, była Latynoską. Pender zastanawiał się, czy to oznaczało postęp.

Pokojówka poinformowała go, że senor Hughes jest nieobecny, ale Pender słyszał głosy dochodzące zza domu. Obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i ruszył chodnikiem, a następnie skręcił za róg budynku. I rzeczywiście, Horton Hughes zażywał odpoczynku przy swoim basenie. Miał na sobie białe polo, tkane spodnie i włoskie mokasyny, nie miał za to skarpet. Usadowiony

był na rozłożonym leżaku, czytał niedzielną gazetę. Za nim można było dostrzec opaloną dwudziestoparoletnią brunetkę w szczelnie wypełnionym białym bikini, która przepływała wzdłuż lazuru basen. Pomalowane na biało krzesła z kutego żelaza otaczały także stół, ocieniony żółtym parasolem.

Hughes podniósł wzrok.

- Kim pan, do diabła, jest?

- Agent specjalny Pender, FBI.

Machając dokumentami, Pender pomyślał, że musi wyglądać jak wczorajsze gówno w swojej pomiętej marynarce w kratę i z byle jak zawiązanym bandażem pod zakrwawionym kapeluszem.

- Chodzi o Donnę? - zapytał Hughes. - Znaleźli Donnę?

Penderowi zdawało się, że słyszy w jego głosie dziwną nutę ambiwalencji, jakby Hughes nie był do końca pewien, jaką odpowiedź chciałby usłyszeć - tak, nie, żyje, nie żyje. Pender postanowił przez chwilę poodgrywać Colombo.

- Tak, proszę pana, to znaczy nie, panie Hughes, chyba udało nam się zidentyfikować człowieka, z którym uciekła. Mogę zadać kilka pytań?

- Chyba tak - odparł z ociąganiem Hughes. - Ale już przez to przechodziliśmy.

- Nie przedstawi mnie pan tej młodej damie? - Pender wskazał ruchem głowy na dziewczynę w basenie.

- To Honey.

Dziewczyna odwróciła się na plecy i pomachała im, po czym wróciła do pływania wzdłuż basenu. Pender zapytał Hughesa, czy to jego córka.

- Nie - zabrzmiała oschła, lakoniczna odpowiedź.

Teraz Pender rozumiał już, skąd się wzięła ta ambiwalencja w stosunku do Donny. Hughes wymienił ją na nowszy model.

W odpowiedzi na wykrzyczane przez Hughesa polecenia, pokojówka przyniosła drugą chińską filiżankę na spodeczku i nalala Penderowi kawy. Agent usiadł plecami do basenu i poprosił, by Hughes opowiedział mu o zniknięciu Donny.

- Naprawdę jest jakiś sens, żeby jeszcze raz przez to wszystko przechodzić? Powiedziałem już to policji, nie było mnie wtedy przez tydzień w domu. Kiedy wróciłem, Donny już nie było. Podobnie jak jej walizki, złotej biżuterii i Lexusa. Od tamtej pory nie miałem od niej żadnych wieści.

- Wie pan, jakie ubrania ze sobą wzięła?

- Obawiam się, że nie przywiązywałem aż takiej uwagi do ubrań Donny. Pomijając fakt, że kupowała ich za dużo i zbyt wiele to kosztowało.

Póki co dwie agresywne wymijające odpowiedzi. Pender postanowił porzucić podejście współczujące i odplacić pięknym za nadobne. Co prawda potrafił postawić się na miejscu obrzydliwie bogatych, dla potrzeb wywiadu spojrzeć na świat ich oczami, ale jako biedny chłopak z Cortland nie miał też żadnego problemu z przyjęciem odwrotnej postawy.

- Ale jeśli chodzi o biżuterię, to już nie miał pan problemów z wyliczeniem. Co zginęło? - zapytał umyślnie prowokującym tonem.

- Oczywiście, że nie. Sam jej kupiłem większość z tych rzeczy. I muszę powiedzieć, że nie podoba mi się pański ton, agencie Pender.

Oho.

- Pender. Czy pani Hughes wydawała się zmartwiona albo nieszczęśliwa?

- Nie bardziej niż zwykle. - Hughes nachylił się do przodu, jakby chciał pokazać, że teraz mówi prywatnie. - Nigdy nie udawałem, że nasze małżeństwo jest idealne, agencie Pender, dobrze mówię? Ale, jeśli mam być szczery, to nie jest pański zakichany interes.

- A ta Honey? Znała panią Hughes?

Mężczyzna odsunął się z krzesłem od stołu, skrzypiąc o posadzkę metalowymi nogami. Wstał z zaciętym wyrazem twarzy.

- Ta rozmowa jest skończona, agencie Pender. Jeśli ma pan jeszcze jakieś pytania, proszę skontaktować się z...

Pender zignorował ten pokaz i upił łyk z chińskiej filiżanki.

Kawa była naprawdę dobra.

- Hej, Honey! - zawołał przez ramię. Nadal był odwrócony do basenu plecami.

- Hej, co tam, panie władzo?

- Znałaś panią Hughes?



**- No pewnie. Była przyjaciółką mamy.**

**Pender obrócił się na krześle, owijając ramię wokół oparcia.**

**- A mama wie, że sypiasz z mężem jej przyjaciółki?**

**- A czemu ma nie wiedzieć? - odparła Honey. - Sama to robiła.**

**- Sekundę, do cholery - wtrącił Hughes.**

**Pender obrócił się z powrotem ku niemu. Słyszał, jak Honey wychodzi z basenu i zaczerpuje głęboko powietrza. Woda ciekła z niej na kafelki.**

**- Rozmawianie z nią jest o wiele ciekawsze niż z panem, panie Hughes. Myśli pan, że jej rodzice byliby równie chętni do zwierzeń?**

**Dziewczyna przeszła po kafelkach, wycierając długie czarne włosy ręcznikiem. Kombinacja uniesionych ramion i energicznego wycierania włosów nadała jej biustowi interesującej trajektorii.**

**- Jak chce pan rozmawiać z mamą, to lepiej niech pan się pospieszy, zanim walnie sobie trzeciego drinka. A co do taty, to zniknął tak dawno temu, że mama zapomniałaby jego imię, gdyby nie było wypisane na czekach z alimentami.**

**- A zatem, co ty powiesz, Honey? Spotkałaś panią Hughes przed jej zniknięciem?**

**Honey owinęła włosy ręcznikiem, jak turbanem, po czym bezwiednie poprawiła górę od bikini. Usiadła obok Pendera i naląła sobie kawy. Przez cały ten czas agent wlepił wzrok w swoją filiżankę.**

- Pewnie - powiedziała. - Jakieś dwa tygodnie przed. I musi pan wiedzieć, że nie pieprzyłam się z Hortym do czasu, aż łóżko na dobre nie ostygło.

Mała, bogata, rozpieszczona dziwka, ale Pender jakoś ją polubił. Przynajmniej była szczerą. Do głowy przyszedł mu przypadkowy fakt ze statystyk policyjnych. Bogate Piano w Teksasie miało najwyższą w Stanach liczbę związanych z narkotykami zgonów nieletnich na głowę mieszkańca w 1996 lub 1997, nie był pewien.

- Czy coś wskazywało na to, że ma jakiś związek na boku?

- Nie potrafię sobie tego wyobrazić. To znaczy, nie potrafię jej nawet sobie wyobrazić, jak robi to z Hortym. Niespecjalnie kipiała erotyzmem. Oczywiście, wówczas jeszcze nie wiedziała o Hortym i mamie. Jakby złapała ich na gorącym uczynku, to mogłoby ją nieco podkurwić, a tutaj takie sprawy załatwia się przez zemstę.

- Czy to prawda, panie Hughes? Czy pani Hughes nakryła pana w łóżku z przyjaciółką?

Nie było odpowiedzi. Pender nie naciskał. Och, Donna, pomyślał na nutę starego szlagieru Richie Valensa. Jak tu się dziwić, że uciekłaś z tego domu. Część Pendera chciała wierzyć, że Donna uciekła z kimś innym, nie z Caseyem, ale nie wyglądało na to. Gdyby była biedna, jasne, mogłaby uciec w siną dal i nie odezwać się przez rok. Ale zdecydowanie nie należała do biednych, a Pender wiedział, że nikt nie porzuca pieniędzy.

**Najwyżej ucieka, zabrawszy je ze sobą.**

**- Panie Hughes, jak rozumiem konta bankowe pani Hughes były nietknięte? Nie zanotowano też, żeby ktoś używał jej kart kredytowych. Miała może jakieś inne, łatwo dostępne źródło gotówki?**

**- Odpowiedziałem już na to pytanie - odparł Hughes.**

**Oho. Nieprzemyślana odpowiedź. Odpowiedź winnego. Zapewnie nie miało to szczególnego znaczenia dla śledztwa, ale pozostałe truskawkowe blondynki zawsze znikwały z pieniędzmi proporcjonalnymi do ich bogactwa.**

**- Co to było, sejf ukryty w ścianie?**

**- Nie wiem, o czym pan...**

**- Jeśli powie mi pan tu i teraz, to obiecuję, że ta sprawa nie będzie mieć dalszego ciągu. Jeśli nie, cóż, IRS zawsze jest chętny do współpracy z FBI. I vice versa.**

**- Tak, sejf ukryty w ścianie.**

**- Znakomicie. Ile zabrała?**

**- Dwadzieścia tysięcy w setkach i dwudziestkach, na ile mogę być pewny.**

**- To mi wystarczy - powiedział Pender, który przez lata dorobił się szóstego zmysłu, który mówił mu, do czego może się posunąć przy wywiadzie, a do czego nie. - Dziękuję za współpracę. A teraz zostawię was już samych. Miłej niedzieli. Oto moja wizytówka, proszę dzwonić na pager, jak coś wam wpadnie do głowy. A, Honey, mógłbym poznać twoje nazwisko i adres?**

- Comb. Właśnie szłam do domu, może pan się zabrać ze mną.

- Honey Comb\*[\* Honey Comb (ang.) - plaster miodu (przyp. tłum.)] - powtórzył Pender, rozbawiony.

- Ani słowa - odparła. - Słyszałam na ten temat już każdy żart, jaki istnieje.

53

Postaraj się przetrwać...

Irene wstała z łóżka i podeszła do okna. To była ciężka noc.

Trudno powiedzieć, co było gorsze - szarpany, wypełniony koszmarami sen, czy poczucie dojmującego lęku na jawie o trzeciej nad ranem. Zapewne to drugie - z koszmarów przynajmniej można było się obudzić.

W końcu jednak Irene udało się zawrzeć chwiejny rozejm ze swoim strachem, ciągle powtarzając sobie, że póki co, większość słów, które powiedziała Barbarze, potwierdziła się. Maxwell potrzebował pomocy, więc nie miał zamiaru jej zabić. A póki życia, póty nadziei, czyż nie tak się mówiło? Może i banał, ale musiała nauczyć się w niego wierzyć na poziomie instynktu.

A tymczasem: postaraj się przetrwać. Irene rozsunęła białe, muślinowe zasłony, otworzyła okno, odetchnęła głęboko. Górskie powietrze, poranna rosa, wspaniałe zapach trawy i świątecznych choinek dolatujący od strony hali i jodłowego lasu.

Rozdwojony szczyt wznosił się na zachodzie, zielonobłękitny i skryty w chmurach. Łąka falowała w podmuchach wiatru,

bladozielona, mieniająca się tu i tam złotem.

W świetle dnia Irene dostrzegła też szczególną budowlę, na wpół ukrytą w wysokich trawach, jakieś sto metrów od domu, niedaleko miejsca, gdzie widziała w nocy Maxwella. Wychyliła się z okna, by lepiej się przyjrzeć. Budowla wyglądała na szklarnię wielkości basenu olimpijskiego, częściowo zakopaną w ziemi. Mlecznobiałe powierzchnie pleksiglasu wznosiły się jedynie na jakiś metr ponad powierzchnią gruntu.

Wtedy Irene zdała sobie sprawę, że okno, z którego się wychyla, jest niewiele węższe niż szerokość jej ramion, a dokładnie pod nim znajduje się dach werandy. Oceniała kilkumetrowy spadek i stwierdziła, że nic nie powstrzyma jej, by ewakuować się stąd przy użyciu zrobionej z prześcieradła liny.

Ale jeszcze nie teraz, powiedziała sobie. Najpierw musisz znaleźć sposób na te psy i ogrodzenie pod napięciem.

Wtem rozległo się pukanie do drzwi. Czując się, jakby przyłapano ją na gorącym uczynku, Irene cofnęła głowę i zamknęła okno tak cicho, jak tylko potrafiła.

- Sekundę!

Znalazła w szafie morelowy płaszcz kąpielowy z weluru i zarzuciła go na koszulę nocną, po czym otworzyła drzwi.

Stał tam Max, w kolorowej hawajskiej koszuli we wzór w kształcie kwiatów hibiskusa i modnych skaterskich szortach.

- Dzień dobry, Irene. Jak ci się spało?

Jak mi się spało? Po tym, jak zostałam porwana i niemal

**zgwałcona? O ty chamie!**

**- Dobrze, dziękuję. Pamiętałeś, żeby kogoś zawiadomić w sprawie Bernadette?**

**Max uśmiechnął się ciepło.**

**- W nocy zadzwoniłem z telefonu w Maybelline do biura szeryfa hrabstwa Trinity. Żeby złapać sygnał, musiałem wyjść aż na strych stodoły. Teraz Bernadette zapewne odpoczywa już na łonie rodziny. Masz ochotę na śniadanie?**

**- Owszem, mam.**

**Irene z zaskoczeniem stwierdziła, że jest strasznie głodna.**

**Dobre wieści o Bernadette przywróciły jej apetyt.**

**Kuchnię wyłożono panelami z drewna i zaopatrzone we wspaniałą piec z żeliwa, przerobiony na elektryczny, oraz starą lodówkę typu Alabama, o zaokrąglonych rogach. Na stole leżał ręcznie haftowany lniany obrus. Maxwell wskazał Irene krzesło u szczytu stołu, po czym otworzył piekarnik i wyciągnął stamtąd talerz z jajecznicą z boczkiem.**

**- Zrobię ci tosty - powiedział, stawiając przed nią talerz.**

**Irene miała teraz na sobie rdzawoczerwoną bawełnianą bluzkę i białe szorty, w które przebrała się po szybkim prysznicu.**

**- Mogę cię o coś spytać, Max?**

**- Spytać możesz.**

**Sięgnął w stronę pieca do staromodnego ekspresu do kawy z niebieską pokrywką, po czym napełnił dwie filiżanki gorącym napojem i usiadł naprzeciw Irene.**

- Kim jest ta kobieta, którą wczoraj tu widziałam?

- Oj, oj, wszystko w swoim czasie, moja pani.

Jimmy Stewart. Wydawało się, że był to mechanizm obronny.

Max zaczął odgrywać znane osoby za każdym razem, kiedy rozmowa wkraczała na drażliwy temat. Ewidentnie kobieta w masce była takim tematem. Irene postanowiła nie naciskać.

- Te jajka są wyśmienite - zmieniła temat.

- Nie znajdziesz świeższych, wziąłem je z kurnika dziś rano.

- A ty nie jesz?

- Już jedliśmy, wstajemy tu z kurami.

- Co tu uprawiacie?

- Pantofelki i muszelki, i... Nie, żartowałem tylko. Tylko warzywa, no i oczywiście kury.

Ale umysł Irene dokończył już rymowaną Babcie Gąski, którą Maxwell tak nagle przerwał. / śliczne panienki.

Maxwell zostawił Irene przy śniadaniu, a sam zaczął przygotowywać w lesie za domem prowizoryczny gabinet psychiatryczny. Z wysiłkiem przytargał tam meble z magazynu w piwnicy.

Od lat marzył o osiągnięciu fuzji, o prawdziwej władzy nad pozostałymi, a nie tylko sporadycznej kontroli. A teraz marzenia te były bliskie urzeczywistnienia.

Wiedział, że nie będzie to łatwe. Będzie wymagało pracy i poświęceń - zarówno od niego, jak i od Irene. Będzie musiał być

wobec niej szczerzy, a przynajmniej na tyle szczerzy, na ile pozwalały na to te nietypowe okoliczności. Będzie musiał pozwolić jej na dostęp do pozostałych. Ale jeśli terapia przyniesie efekt, cena ta warta była zapłacenia.

A jeśli się nie uda? Cóż, i tak będzie to przyjemne doświadczenie, dla niego i dla innych, móc chociaż raz w życiu opowiedzieć swoją historię życzliwemu, wyrozumiałemu profesjonalistcie.

A po wszystkim, niezależnie od wyniku, będą jeszcze mieć do podziału soczystą doktor Cogan - przynajmniej przez tak wiele czasu, jak długo wytrzyma.

To tylko terapia, usiłowała sobie wmówić Irene, gdy Maxwell prowadził ją cienistą ścieżką. Robiłaś to tysiące razy.

Mimo to, kiedy zobaczyła gabinet, który przygotował na małej polanie, doznała wstrząsu, chwilowej dezorientacji. Czekwały tam na nią bowiem wyściełane krzesło w stylu windsorskim oraz mały trójnożny stolik, na którym leżały notatnik, długopis, paczka chusteczek i popielniczka. Dla siebie Max przygotował wyściełaną leżankę z drewna sekwoi. Freudowski gabinet w Jungowskim lesie. Wspaniały zapach igliwia, piasku i grzybów od razu przywołał obrazy polany wśród sekwoi niedaleko Lucia, sosnowego gąszczu w Trinity - teraz wiedziała już, że las był azylem Maxwella.

- Czegoś brakuje? - zapytał.

- Może wody. Podczas terapii potrafi zaschnąć w gardle.



Przyniósłszy dzbanek i dwa plastikowe kubeczki, Maxwell położył się na leżance. Irene ustawiła swoje windsorskie krzesło przy jego lewym ramieniu, skrzyżowała nogi i zastygła z notatnikiem stenografisty w jednej ręce, a długopisem Uniball w drugiej.

Z początku nie wiedziała, od czego zacząć.

- Miałbyś może ochotę na kolejną regresję? - zapytała.

- NIE! - krzyk Maxa rozległ się echem po lesie, wyplaszając kruki i sójki z koron drzew. - Żadnej hipnozy - dodał Max cicho, ale stanowczo.

Irene poczuła, jak wzbiera w niej strach. Przypomniano jej właśnie, jak niebezpiecznie jest zajmować się niestabilną osobowością wielokrotną bez zwyczajowych środków ostrożności.

Spokojnie, tylko spokojnie.

- Oczywiście, nie musisz robić niczego, na co nie masz ochoty, Max. Ale jeśli nie włączymy w to pozostałych alter ego, nie będziemy mieć żadnej szansy na udaną terapię.

- To nie problem, poradzę sobie z tym.

- Dobrze. Jak mówiłam, nie musisz robić niczego, na co nie masz ochoty. Ale musisz wiedzieć, że hipnoza i regresja potrafią dać znakomite wyniki. Może z czasem uda nam się wypracować jakieś zasady, zabezpieczenia, które pozwolą ci poczuć się bardziej komfortowo z myślą o tej technice.

- Może - odparł Max, leciutko sepleniąc. Dokładnie tak, jak kiedyś sepleniła Irene. Zignorowała to.

**- O czymś właśnie pomyślałam, Max. Zachowywałam się dotąd, jakby ta sesja była kontynuacją wcześniejszej terapii. Ale w rzeczywistości to nasza pierwsza sesja. Co oznacza, że musimy jeszcze załatwić pewną bardzo ważną sprawę.**

**Po szybkiej konferencji z Ishem (wspólna świadomość, bez przełączania się) Max znalazł właściwą odpowiedź.**

**- Kontrakt?**

**- Kontrakt.**

**Kontrakty służyły nie tylko temu, by wziąć w karby niezdrowe zachowania, ale poprzez wprowadzenie systemu zobowiązań, nagród i kar, mogły pomóc w zbudowaniu wiary w przyczynę i skutek, której zwykle brakło osobowościom wielokrotnym, wychowanym prawie zawsze przez znęcających się nad nimi rodziców o kiepskich zdolnościach wychowawczych.**

**- Da się zrobić.**

**Max zamknął oczy i porozumiał się z Ishem oraz Mosze. Ten ostatni zaopatrzył go we wzór kontraktu, zwyczajowo używanego przy terapii dysocjacyjnych zaburzeń osobowości.**

**- Okej, idzie tak: Ja, Max Maxwell, w imieniu wszystkich alter ego, znanych i nieznanymi, które razem tworzą system zamieszkujący ciało, znane jako Ulysses Christopher Maxwell junior, niniejszym gwarantuję prawa i bezpieczeństwo naszego ciała, prawa i bezpieczeństwo doktor Irene Cogan, naszej terapeutki, nienaruszalność rzeczy, które do niej należą, a także rzeczy, które należą do innych alter ego, włączając w to nagrania i**

zapisy rozmów, które mogą prowadzić z doktor Cogan w trakcie terapii.

- Bardzo dobrze. Może zagwarantujesz też, że będziesz respektował prawa, bezpieczeństwo i godność wszystkich alter ego?

- W imieniu wszystkich alter ego, znanych i nieznanymi, obiecuję respektować prawa, bezpieczeństwo i godność wszystkich alter ego.

- Masz jakieś sugestie co do konsekwencji naruszenia kontraktu?

- Odpowiedzialne alter ego zostaną przepędzone ze świadomości na okres... czterdziestu ośmiu godzin?

- A jaka będzie nagroda za trzymanie się kontraktu?

Zamyślił się na chwilę.

- Może moglibyśmy później pójść popływać? Ty i ja?

Irene zastanowiła się. W porównaniu do niektórych rzeczy, o jakie mógł poprosić, pływanie brzmiało raczej niewinnie. A jeśli ta budowla wśród traw nie była krytym basenem, mogło to oznaczać, że zamierzają zabrać poza posiadłość.

- Zgoda. Chciałabym też, żebyś dziś wieczorem spisał kontrakt, który właśnie zawarliśmy. Rano go przejrzymy i podpiszemy. Do tego czasu, a mówię teraz do wszystkich alter ego, które mnie słyszą, jeśli któreś z was nie akceptuje warunków kontraktu, niech mówi teraz, ponieważ w innym wypadku od jutra rana będzie uznane za związane kontraktem.

Max zamknął oczy. Słyszał obecnie w głowie coś, co nazywał wrzawą tłumu. Zróbcie to dla niej, powiedział innym. Tylko, żeby się odczepiła. Otworzył oczy i spojrzał ponad ramieniem na Irene.

- Wygląda na to, że wszyscy się zgadzamy.

- Znakomicie. Zaczynamy więc. Powtórzę, że preferowałabym regresję hipnotyczną, ale jeśli to nadal wykluczone, to kiedy będziesz mi opowiadać swoją historię, chcę ją usłyszeć po kolei od każdego alter ego, które ją przeżyło. Nie chcę, by ich doświadczenia dotarły do mnie przefiltrowane przez ciebie. Czy to możliwe?

- Pod warunkiem, że nikogo bezpośrednio nie zapytasz o imię. Pamiętaj, jeśli to zrobisz, automatycznie przełączą się na mnie.

- Ale czy przedstawią mi się jakoś? Muszę wiedzieć, z kim rozmawiam.

Jakby w odpowiedzi, oczy Maxwella uciekły w prawo i do góry, powieki zatrzepotały. Kiedy otworzył oczy, jego wargi były lekko ściśnięte, a ruchy gałek ocznych szybsze.

- Dzień dobry, doktor Cogan - powiedział kobiecym głosem.

Nie był to falset, nie było to zmodyfikowane vibrato Julii Child, którym posługiwało się tak wielu transwestytów, ale głos prawdziwej kobiety.

- Nazywam się Alicea.

Alyssea.

- Max chce, żebym opowiedziała o czymś, co mi się

przydarzyło, kiedy byłam mała. Chcesz posłuchać?

- Jak najbardziej, Aliceo.

Tak oto rozpoczęła się jedna z najdziwniejszych i najbardziej przerażających historii w karierze doktor Irene Cogan, która zarabiała na życie, wysłuchując dziwnych i przerażających historii.

54

Rok 1980. Sobotnia noc. Dziewięcioletnia Alicea ukrywa się w swoim pokoju. A przynajmniej marzy o tym, by udało jej się ukryć. Wie, co ją czeka. Już przez to przechodziła. W pewnym sensie na tym polega jej praca. Więcej niż praca. To powód, dla którego istnieje.

Gdy zbliża się dwudziesta pierwsza, Alicea w samych majtkach wymyka się z pokoju i zakrada pod sypialnię rodziców.

Drzwi są otwarte. Wchodzi i zamyka je od środka. Czuje się bezpieczna. Wie, że drzwi nie da się otworzyć z zewnątrz. Tyle lat już minęło od snu Lyssy'ego, a otwór w gałce od drzwi nadal jest zalepiony Superglue.

Czując gęsią skórę na całym ciele, Alicea zdejmuje majtki (przy okazji nieświadomie wciskając niewidzialne dla niej męskie genitalia między uda) i staje na baczność przed wielkim lustrem, by przyjrzeć się swojemu ciału. Widzi coś zupełnie innego niż Christopher, który czasem robi to samo. Sylwetka jest bardziej zaokrąglona, jakby pod gładszą, bardziej miękką skórą znajdowała się dodatkowa warstwa tłuszczu. Ciemne włosy są

dłuższe, klatka piersiowa smuklejsza, sutki nieco bardziej wydatne. Najlepsza ze wszystkiego jest wspaniała gładkość pomiędzy mocno ściśniętymi udami.

Nie, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Może i Alicea jest chłopczycą, do tego stopnia, że ludzie nie zauważają jej prawdziwej płci, ale przecież jest stuprocentowo amerykańską, zesłaną przez niebiosy dziewczynką. To dobrze. Wie, że gdyby była chłopcem, nie zniosłaby tego, co przeżywa, zniszczyłoby ją to, rozdarło na strzępy.

Uspokojona wraca do swojego pokoju. Dorośli na dole robią się coraz bardziej hałaśliwi. Alkohol i amfetamina zaczynają działać. Alicea włącza radio, by ich nie słyszeć. Another One Bites the Dust Queen. Alicea ubóstwia Freddiego Mercury'ego.

Jak zwykle, matka otwiera drzwi bez pytania. Jej oczy nie patrzą wprost. Zawsze tak robi, kiedy jest naćpana. Wygląda to, jakby jej tęczówki stały się prostokątne, a źrenice owalne.

- Jednak czasem, kurwa, umiesz się przygotować - mówi z pogardą, choć przecież Alicea jest niemal zawsze gotowa, gdy po nią przychodzą. Czasami dzięki temu nie dostaje lania.

Dorośli czekają na nią w piwnicy. Jest ich dziś czworo lub pięcioro, wszyscy kryją się w cieniu, poza Carniveanem, który siedzi na swym czarnym tronie, pod czerwoną lampą, ubrany jedynie w szeroko rozstawione, krótkie koźle rogi na czole.

Kiedy Alicea i jej matka docierają do dołu schodów, dołącza do nich tata. Podobnie jak cała reszta, nie licząc Carniveana, mają

na sobie luźne szaty. Podprowadzają Alicę przed tron Carniveana. Ten królewskim gestem, niby Księżna z Alicji w Krainie Czarów, nakazuje jej uchylić szaty. Alicea jest posłuszna. Carnivean ogląda ją dokładnie z góry na dół, jakby nie robił tego dziesiątki razy wcześniej. Kiwa głową z aprobatą, po czym schodzi z tronu i ujmuje ją za dłoń.

Rodzice odsuwają się na bok. Carnivean wiedzie Alicę na dywan, który leży pod ścianą. Dziewczynka klęka, opada na czworaki. Carnivean podnosi jej czerwoną szatę i zarzuca na głowę, pograżając Alicę w miękkim, różowym, obleśnym półmroku. Dziewczynka opiera podbródek na dłoniach i próbuje nie myśleć o bólu.

Alicea oczywiście wie, że poza tą piwnicą Carnivean to tak naprawdę pan Wandmaker, właściciel sklepu Harleja, gdzie pracuje tata. Wie też, że nie wolno jej tego mówić na głos. Pan Wandmaker zaopiekował się tatą, kiedy ten został sierotą, nauczył go zawodu mechanika. Gdzie bez niego byśmy teraz byli?

Kiedy jest ubrany, wygląda na dużego i silnego, ale kiedy jest nagi, staje się po prostu monstrualnym grubasem o włochatym brzuchu i obwisłych jak u starej kobiety piersiach.

Mężczyzna zaczyna stękać. Alicea wie, że to ostatni, ale jednocześnie najgorszy etap. Mężczyzna opada na nią całym ciężarem i zaczyna uderzać po pośladkach, udach, ramionach i skrytej pod szatą głowie. Pchnięcia jego bioder stają się szybsze i coraz bardziej gorączkowe.

Tej nocy ta ostatnia faza zdaje się przeciągać w nieskończoność. Alicea zaczyna odczuwać dziwne klucie w głowie, kiedy ciężar męczyzny pozbawiają oddechu. Kiedy ma już zemdleć z braku powietrza, słyszy w ciemności głos. Nie dobiega z ciemności pod jej szatą, ale z wnętrza głowy. Głos męczyzny, ale nie Carniveana, nie pana Wandmakera. Głos zdaje się brzmieć znajomo, choć nie słyszała go nigdy wcześniej.

Alicea?

Tak?

Jestem przy tobie. Odtąd będę się nami opiekował. Nigdy już nie zrobią nam krzywdy.

Kim jesteś? ~ pyta Alicea.

Mów do mnie Max - odpowiada głos.

55

- I dotrzymałem słowa - powiedział Max, pocierając pięściami o uda. - Nigdy więcej już jej tego nie zrobili.

Irene rozpoznała jego głos. Przegapiła przejście, ale zauważyła zachowanie gruntujące. Z czysto zawodowego punktu widzenia czuła się zafascynowana. Narodziny alter ego, terra incognita annałów dysocjacyjnych zaburzeń osobowości.

- Masz jakieś pojęcie, skąd się wziąłeś? Gdzie byłeś, zanim odezwałeś się do Alicei?

Obrócił się w jej stronę na leżance, rozbawiony, trochę nieobecny.

- A ty, Irene? Wiesz, skąd się wzięłaś, gdzie byłaś, zanim



**zaczęłaś być sobą?**

**- Nie, aleja nie jestem alter ego.**

**- Podobnie jak żadne z nas, przynajmniej z naszego punktu widzenia.**

**- Chyba nie nadążam.**

**- Więc pozwól, że cię oświecę.**

**Max podniósł się i przerzucił lekko nogi ponad podłokietnik.**

**- Jak definiujesz alter ego, Irene?**

**- Zdysocjowany stan świadomości, który ma trwale poczucie własnej tożsamości oraz charakterystyczny wzór zachowań i uczuć - wyklepała.**

**- Bardzo dobrze. A teraz podam ci moją definicję. Alter ego to wszyscy poza mną. Wszystkie osobowości, tożsamości czy jak je nazwiesz, które zamieszkują to ciało, to alter ego. Ja to po prostu ja, tak samo jak ty to po prostu ty.**

**- A gdybym zapytała o to inne z twoich alter ego?**

**- Odpowiedziałyby ci to samo: ja to ja, alter ego to wszyscy pozostali.**

**- Fascynujące.**

**- No nie? - odparł Max i na powrót położył się na leżance.**

**- Aha, a tak przy okazji, Irene...**

**- Tak?**

**- Doskonale zdaję sobie sprawę z faktu, że Ulysses Beznadziejny i jeszcze kilku uważa mnie za demona.**

**- Jak myślisz, dlaczego?**

- Ponieważ przedstawiłem się Alicei, kiedy rznął ją facet z rogami na głowie, który kazał nazywać się Carniveanem.

- Nie znam tego imienia.

- W demonologii Carnivean to piekielny patron rozpusty, którego główną rozrywką jest kuszenie ludzi do obscenicznych zachowań.

Chociaż poranek był ciepły, Irene poczuła chłód. Z rosnącym przerażeniem zrozumiała, że zachowanie Maxa, kiedy wczoraj próbował ją zgwałcić, niepokojąco przypominało zachowanie Carniveana, tak jak opisała je Alicea. Osobowości wielokrotne często internalizowały swoich oprawców, by zyskać wrażenie kontroli nad czymś, czego kontrolować się nie dało.

Co oznaczało, że na jakimś poziomie Max mógł identyfikować się z Carniveanem lub wręcz czuć się jego wcieleniem do tego stopnia, że sam siebie uważał za piekielnego patrona rozpusty i obscenicznych zachowań.

Podobnie niepokojący był zakres kontroli, jaki posiadał nad zmianami alter ego. Irene nie przypominała sobie, by kiedykolwiek spotkała osobowość wielokrotną, która potrafiłaby przełączać alter ego z taką łatwością i pewnością, że wydawało się to niemal nadnaturalne. Nie wiedziała jednak, co to mogło oznaczać i jak wróżyło na przyszłość. W tym momencie była pewna jedynie tego, że Ulysses Christopher Maxwell junior był inny niż wszystkie osobowości wielokrotne, które znała.

- Irene? Doktor Cogan?

**- Co? Uch, przepraszam.**

**- Potrzebujesz przerwy, czy coś?**

**- Nie, kontynuuj, proszę.**

**- Okej, ale spróbuj więcej nie odpływać, dobra? Nie mam zamiaru strześć języka po próżnicy.**

**Pierwsze, co Max zrobił po przejęciu ciała od Alicei, to odrzucił do tyłu głowę z całą siłą, na jaką było go stać. Rozległo się chrupnięcie, później jęk. Ciężar zniknął z jego pleców. Max ściągnął szatę z głowy i obejrzał się przez ramię. Wandmaker zataczał się do tyłu, trzymając się oburącz za rozkwaszony nos.**

**Jeden z jego rogów był przekrzywiony, ciemna krew leciała pomiędzy palców.**

**Max wówczas nie wiedział jeszcze, jak samodzielnie przełączyć się na inne alter ego, przez co na własnej skórze doświadczył najgorszego lania, jakie system kiedykolwiek otrzymał z ręki Ulyssesa seniora, po czym spędził następne dwadzieścia cztery godziny zamknięty w szafie, obolały, bez jedzenia i picia. Posiedziałby tam dłużej, ale w poniedziałek musiał iść do szkoły.**

**Max jednak wiedział, jak zmieniać negatywy w pozytywy.**

**Wykorzystał pobyt w szafie, by przekonać pozostałych, że dotychczasowy chaos i anarchia należą do przeszłości i wszyscy niepomernie skorzystają na tej zmianie. A potem, w poniedziałek rano, zrobił wszystko, by jego ukochana nauczycielka z czwartej klasy zauważyła siniaki pozostałe po laniu.**

- Panna Miller była aniołem, prawdziwym aniołem. Jedną z tych nauczycielek, w której każdy chłopiec się zakochuje, a każda dziewczynka stawia sobie za wzór. Ja oczywiście (ja, w sensie cały system) już dawno byłem znany jako genialne dziecko. Kazali mi trzy razy pisać test IQ, bo nie potrafili uwierzyć w wyniki. Później musieli też przyznać, że mam pamięć absolutną. Hipermnezja, tak to określił jeden specjalista.

- Ta hipermnezja, czy odpowiada za nią szczególne alter ego?

- Nasza osobowość MTP nosi imię Mosze. To świr. Wszystko pamięta, niczego nie rozumie.

- Dziękuję. Kontynuuj.

- Pomyślałabyś, że z racji takiego umysłu ktoś zwróci na mnie uwagę, jednak aż do czwartej klasy nauczyciele oczekiwali ode mnie tylko tego, że będę się uczył materiału i trzymał gębę na kłódkę. Ale co innego panna Miller. Nie dość, że przygotowała dla mnie specjalny program, to jeszcze dawała mi po szkole korepetycje.

- Czy, ja” oznacza w tym wypadku Maxa, czy któreś z pozostałych alter ego?

- Głównie Christophera.

- Mogę porozmawiać z Christopherem?

- Jasne, czemu nie... Dzień dobry, Irene.

Przejsście dokonało się w mgnieniu oka.

- Dzień dobry, Christopher. Miło mi cię poznać.

- Och, poznaliśmy się już. W więzieniu.
- Tak, pamiętam... To chyba ty pocałowałaś mnie w rękę.

Uśmiechnął się do niej przez ramię, wstydliwie, uroczo.

- Pozwoliłem sobie. Nie mogłem się oprzeć.

- Nie ma sprawy. Więc co sądzisz o naszej terapii?

- Terapii? Co jest dobre dla General Motors, jest też dobre dla USA.

- Nie nadążam.

- Co jest dobre dla Maxa, jest też dobre dla nas wszystkich.

- Rozumiem - odpowiedziała. Jeden z jej profesorów nazywał słowo „rozumieć” tikiem psychiatry. - Opowiedz mi o panie Miller.

Westchnął. Było to westchnienie kochanka.

- Kiedy się poznaliśmy, była tuż przed trzydziestką. Delikatne kości. Błada piegowata skóra. Zabawny zadarty nosek.

Świetliste - tak, świetliste! - rudoblond włosy, które nosiła upięte szpilkami na czubku głowy, jak to robiono sto lat temu. Bardzo nieśmiała, bardzo empatyczna. Wszystko, co czuła, można było od razu wyczytać z tych jej wielkich zielonych oczu. Kiedy pokazałem jej siniaki po laniu, jakie Max dostał za złamanie nosa Wandmakerowi, te ciepłe oczy wypełniły się łzami. Osobiście zaprowadziła mnie do szkolnej pielęgniarki. Wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko. Wezwano policję, moi rodzice zostali aresztowani w pracy, a mnie zabrała panna Miller. Alternatywą byłaby tymczasowa grupa lub rodzina zastępcza, lub

uprzywilejowany pobyt w poprawczaku, co - ich zadaniem - odebrałbym jako karę.

- To zrozumiałe.

- Zrozumiałe. Tak czy siak, panna Miller mieszkała w starym wiktoriańskim domu, położonym niedaleko szkoły. Przygotowała mi pokój. Powiedziała, że nie muszę nic mówić, jeśli nie chcę.

Odparłem: pewnie, że nie chcę. Pamiętam, że na podwieczorek zjedliśmy Twinkies\*[\* Miękkie ciastka z kremem (przyp. tłum.)]. Kupiła je specjalnie dla mnie, a później oglądaliśmy w telewizji stare filmy. Uwielbiała stare filmy. Odgrywałem dla niej aktorów. W końcu nauczyłem się odgrywać wszystkich klasyków, Bogarta, Cagneya, Stewarta. Jej sypialnia była na górze, naprzeciwko wolnego pokoju. Urządziła go dla mnie, ale oczywiście tej pierwszej nocy nie mogłem zasnąć.

Więc pozwoliła mi spać ze sobą. Siedzieliśmy w jej wielkim łóżku, oglądając telewizję i pijąc kakao. Pamiętam, jak rozpuszczała włosy. Siedziała przed toaletką w długiej białej koszuli. Powiedziała mi przez ramię, że co wieczór musi przeczesać je sto pięćdziesiąt razy. Poprosiła, bym pomógł jej liczyć. Przez okno wpadał blask księżyca i lśnił na jej wspaniałych włosach w kolorze truskawkowego blond. Kiedy pozwoliła mi dokończyć czesanie własnoręcznie, myślałem, że umrę ze szczęścia...

Zapadła długa cisza. Zbyt długa.

**- Co się stało później, Christopher?**

**Teraz zaczął mówić pospiesznie, gorączkowo.**

**- To nie była jej wina, to nie była wina panny Miller. Nie miała z tego żadnej przyjemności, z tego, co zdarzyło się w łóżku. To ja chciałem ją obejmować. Chwyciłem się jej z całych sił, jak małpka, a kiedy próbowała mnie odpychać, płakałem i przyciskałem się jeszcze mocniej.**

**Zamilkł. Irene odczekała kilka taktów.**

**- Byłeś podniecony?**

**- Tak.**

**- Doświadczyłeś orgazmu?**

**- Suchego. Miałem tylko dziewięć lat.**

**- Przez frott... Przez ocieranie się o nią?**

**- Wiem, co to jest froterizm. A odpowiedź brzmi: tak.**

**- Była tego świadoma?**

**- Oczywiście, że nie!**

**Irene nie mogła przegapić defensywnego tonu, ale postanowiła na razie nie naciskać. Opisywał zdarzenia tak, jak je odebrał jako dziewięciolatek. To dobry znak, nie chciała tego psuć. Przy normalnej terapii nadszedłby w końcu czas, kiedy kazałaby mu spojrzeć na te wydarzenia oczami dorosłego, by zrozumiał, że jako dziecko nie ponosił żadnej winy. Że kobieta, która pozwoliła dziewięciolatkowi współżyć z nią seksualnie, szczególnie w tak delikatnym momencie, była w tym samym stopniu potworem, co rodzice Maxwella. Kiedy by już to**

zrozumiał, Irene pomogłaby mu poradzić sobie z gniewem i zaprzeczaniem, najlepiej nie budząc przy tym alter ego o morderczych skłonnościach.

Ale ta terapia nie była normalna. Nie miało to z nią nic wspólnego. Jeśli szczęście dopisze, pomyślała, uda jej się uciec, albo ktoś ją uratuje, zanim przyjdzie czas na budzenie demonów. Tymczasem powinna postępować ostrożnie i unikać konfrontacji.

- Jak na to wszystko zareagowali twoi rodzice?

- Cóż, paniusiu, tatko chyba trochę się zawstydził. Jak tylko wyszli za kaucją, wziął swoją dwururkę i rozpaćkał mózg mamuśki po całej ścianie nabojem zero zero sześć. Drugi wpakował sobie w łeb.

John Wayne. Irene wyczuwała, że Maxwell jest bliski złamania się. Mimo to musiała zadać kolejne pytanie.

- A jak ty na to zareagowałeś? Na to, że zmieniło się całe twoje życie, że straciłeś rodziców? To musiało być bardzo trudne.

Obrócił głowę i spojrzał jej w oczy.

- Czuję się winny, tak myślę - powiedział własnym głosem.

- I cieszyłem się. I czuję się winny, bo się cieszyłem.

Zabiłem ich. Tak samo, jakbym sam pociągnął za cyngiel. Ale skończyło się bicie, skończyły się gwałty, zamykanie w szafie, straszenie w piwnicy. Miałem też pannę Miller. Możemy już pójść popływać? To jest trudniejsze niż myślałem.

- Oczywiście. Ale właśnie sobie pomyślałam, że nie mam stroju.



- Nie przejmuj się - odparł Maxwell. - Jestem pewny, że coś ci znajdziemy.

56

Pierwszymi mieszkańcami grani byli farmerzy marihuany, wyjaśniał Christopher, gdy wracali z Irene do domu. Wprowadzili się tu w latach sześćdziesiątych. Na początku hippisi mieszkali w autobusach pomalowanych w psychodeliczne kolory, ale po pierwszych kilku zbiorach było ich stać na wykopanie studni i zapłacenie firmie energetycznej, by podciągnęła tu kable z Charbonneau Road.

Mając teraz forsy jak lodu, rozmiłowani w naturze hippisi z oporami ścięli kilka jodeł i zbudowali w ich miejscu dom.

W dolinie kupili starą stodołę, rozebrali na części i przenieśli na grań, gdzie miała służyć jako suszarnia. Niestety lata w hrabstwie Umpqua były zbyt krótkie, a jesień zbyt mokre, by zapewnić odpowiednie warunki. W końcu wykopali dół, głęboki na trzy metry, wylali tam beton i przykryli całość grubymi szybami z pleksiglasu.

Tajemnica rozwiązana, pomyślała Irene. To była właśnie ta dziwna konstrukcja, którą widziała rano z okna.

- A co się stało z nimi? Z farmerami?

To był wielki interes, wyjaśnił Christopher. Zbyt wielki, by mogły nań przymknąć oko nawet liberalne pod względem narkotyków władze Oregonu. W późnych latach siedemdziesiątych nad posiadłością zawisły helikoptery. Hippisom

udało się zbiec, ale władze spaliły plantację i zarekwirowały teren. Kilka lat później posiadłość została sprzedana na aukcji. Reprezentantowi panny Miller udało się o włos przelicytować kompanie drzewne.

Dom, który stał na skraju lasu, był wysoki i wąski, niczym szwajcarska chatka. Miał szpiczasty, kryty kamieniem dach z szerokim okapem. Gdy się doń zbliżali, Irene zauważyła, że wiele z pociemniałych desek było wygiętych, skręconych, czasem nawet rozszczepionych na dwoje.

Christopher podążył wzrokiem za jej spojrzeniem, odczytał jej myśli.

- Przybili je, zanim wyschły - wyjaśnił. - Któregoś dnia będę musiał postawić tę całą cholerną chałupę na nowo.

Tylne, kuchenne drzwi wychodziły na las. Christopher poprowadził Irene dookoła domu, na zachodnią jego stronę, ku wychodzącej na werandę łące.

- Widziałem stąd niejedną niesamowitą zachód słońca - powiedział, przytrzymując jej zewnętrzne drzwi.

- Potrafię to sobie wyobrazić.

Christopher zamknął zewnętrzne drzwi i pospieszył, by otworzyć dużo bardziej masywne wewnętrzne, które prowadziły z werandy do wnętrza domu. Mroczny, wąski korytarz - z jadalnią i salonem po prawej, a stromymi schodami na górę po lewej - biegł stąd w stronę kuchni.

- Przygotuję jedzenie na piknik - oznajmił Christopher.

- Wydaje mi się, że znajdziesz stroje kąpielowe na górnej półce szafy. Spotkamy się tu za pół godziny?

Irene spojrzała na zegarek, jedyny osobisty przedmiot w jej posiadaniu, nie licząc ubrania, w którym biegała dwa dni temu.

- Zatem o trzynastej.

Zaczęła drżeć, gdy tylko weszła na schody. Kiedy znalazła się w pokoju, dygotała już tak gwałtownie, że łóżko, na którym usiadła, zaczęło brzęczeć. Przypomniała sobie ofiary długotrwałej traumy, które widziała. Puste spojrzenia, długie okresy milczenia, nagle i niesprovokowane niczym ataki lęku przed ludźmi. Prawda, przeżyli, ale nie o czymś takim myślała, układając swoją afirmację, swoją mantrę.

Irene zawsze ceniła w sobie racjonalność. Czasami wręcz oskarżano ją o przesadne tłumienie uczuć. Ale w głębi duszy nigdy nie mogła pozbyć się wrażenia, że gdyby choć raz popuściła wodze, rozpadłaby się na kawałki niczym zegarek z kreskówki.

Była silna swoim strachem przed słabością, w ryzach trzymała ją lęk przed rozpadnięciem się.

Usiadła zatem na skraju łóżka i objęła się mocno ramionami, kołysząc w tył i w przód, walcząc o zachowanie kontroli. Nie chodziło tu tylko o nią i jej strach o własną przyszłość. Czula też żal z powodu straszliwych rzeczy, które przeszedł ten chłopiec, oraz gniew na jego oprawców. Najłatwiej było poradzić sobie z żalem, dobry psychiatra musiał umieć przyjąć w siebie traumę pacjenta, nie biorąc jej przy tym do siebie, ale gniew było trudniej

opanować. Irene musiała ciągle sobie przypominać, że rodzice Lyssy'ego i ta Miller zapewne też byli molestowani jako dzieci, było to niemal żelazną regułą.

Kiedy atak drgawek w końcu minął, Irene zajrzała do szafy. Wybrała jednoczęściowy brzoskwiniowy strój z metką firmy NiemanMarcus. By nie oszaleć, usiłowała nie zastanawiać się, kim była poprzednia właścicielka i jaki los ją spotkał.

Irene rozebrała się w małej łazience, która przylegała do jej pokoju, po czym przymierzyła strój. Był trochę za duży i luźny w biuście, ale podobało jej się, jak jest wysoko wycięty, aż do bioder. Zawsze była dumna ze swoich nóg. A kiedy założyła jeszcze białe sandały, musiała przyznać, że jej łydki wyglądają cholernie dobrze jak na jej czterdzieści jeden lat. Po chwili jednak dotarło do niej, że w obecnej sytuacji pociągający wygląd nie był raczej najmądrzejszym pomysłem. Kręcąc głową, zmieniła obuwie na gumowe klapki.

Christopher miał na sobie liliowy Tshirt i wyblakłe dżinsy.

Jakże dobrze kolory te współgrały z jego wybieloną czupryną. Gdy Irene zeszła z werandy, obejrzał ją od stóp do głów i gwizdnął z uznaniem. Podążyła za nim przez łąkę, do furki w południowozachodnim narożniku posiadłości. Zarówno furka, jak i ogrodzenie miały tabliczki z ostrzeżeniem przed wysokim napięciem. Irene drgnęła, gdy Christopher śmiało sięgnął do zamka. Widząc to, uspokoił ją, że wyłączył zasilanie z domu.

Zapamiętała tę informację na później. Taka wiedza mogła

się przydać którejś nocy.

Po drugiej stronie płotu zaczynała się stroma ścieżka, biegnąca w dół skalnego osypiska. Christopher zarzucił na ramiona plecak, który dotąd niósł w rękach, i pomógł Irene zejść po pochyłości, która kończyła się korytem wartkiego strumienia.

Następnie pomaszerowali wzdłuż brzegu, aż zza ostrego zakrętu wyłoniło się przed nimi szerokie rozlewisko, ocienione gałęziami wierzb. Klasyczna dzika plaża. Christopher powiesił plecak na gałęzi i rozebrał się do purpurowych kąpielówek marki Speedo.

Irene po raz pierwszy widziała jego ciało - podczas próby gwałtu nie kłopotał się zdejmowaniem koszuli. Kiedy był ubrany, wydawał się szczupły, niemal filigranowy. Teraz Irene widziała niewielkiego, lecz żyłastego i dobrze umięśnionego mężczyznę.

Wąskie, ale silne ramiona, gładkie, wypukłe piersi, kaloryfer na brzuchu, nieduży, jak wykuty z kamienia tyłek, pięknie wyrzeźbione uda i łydki. Jeśli miał na sobie choć gram tłuszczu, nie było tego widać.

- Kto ostatni, ten trąba - powiedział i puścił się sprężystym biegiem wzdłuż brzegu aż do zakrętu strumienia, po czym z gracją weń wskoczył i pozwolił, by prąd sam zaniósł go do rozlewiska.

Irene podążyła za nim, zrzuciła klapki i ostrożnie weszła do wody. Nigdy nie była specjalnie odważną pływaczką, nawet w przydomowych basenach. Prąd okazał się jednak zbyt bystry, by

dało się brodzić. Gdy weszła po kolana, wymył spod niej nogi. Przewróciła się do tyłu, krzycząc i machając rękami, bardziej wesola niż przestraszona, a strumień poniósł ją w dół, jak rynna w parku wodnym przy Santa Cruz Boardwalk.

Po kilku chwilach unosiła się już na plecach w spokojnej wodzie, patrząc na aksamitnie zielone, kołyszące się leniwie konary wierzb na tle nieba ponad rumowiskiem.

- Podobało ci się? - zapytał miękki głos z tyłu.

Irene obróciła się. Christopher stał po pierś w wodzie. Jego chłopięca twarz znajdowała się tylko centymetry od twarzy Irene.

Skóra Christophera była wilgotna i lśniła lekko w rozproszonym świetle, które odbijało się od zielonkawej powierzchni rozlewiska. Jego tlenione włosy przykleiły się do tyłu głowy, ciemne oczy spoglądały ciepło i wrażliwie, nienaturalnie czerwone usta rozchyliły się lekko. Dyszał.

- Tak, bardzo.

Irene również oddychała szybko. Czowała na skórze dreszcze, a w krwi adrenalinę. Wiedziała, że zaraz ją pocałuje. Jakże łatwo byłoby mu na to pozwolić. I na pewno byłoby to mniej niebezpieczne niż obracanie się tyłem.

Kiedy zaczął przybliżać do niej usta, powtarzała w myślach swoją nową mantrę: Przetrwam, przetrwam, przetrwam, ale gdy nadszedł krytyczny moment, głowa Irene sama obróciła się w bok. Usta Christophera trafiły w jej policzek.

- Muszę jeszcze raz spróbować stamtąd zjechać - powiedziała

lekkim tonem, przewracając się na bok i ruszając wplaw do brzegu strumienia. Modliła się, by nie podążył za nią, bo wtedy zaczęłyby walczyć, nawet jeśli miałyby ją to kosztować życie.

Nigdy już też nie powtórzyła swojej mantry.

57

Po rozmowie z panią Edwina Comb, Pender odwiedził jeszcze trzy „przyjaciółki” Donny Hughes, z miernym efektem. Nie, żeby spodziewał się po nich zbyt wiele - generalnie zabijał tylko czas do nadejścia wieści od Thoma Daviesa.

Pager odezwał się około osiemnastej trzydzieści. Pender zameldował się w Holiday Inn w Piano, niedaleko szosy 75, już jakiś czas temu i wziął prysznic w foliowej torbie na głowie, by nie zamoczyć opatrunku. Jedno popołudnie wśród zdegenerowanych bogaczy z Piano sprawiło, że poczuł się bardziej brudny, niż po nocy spędzonej w SleepTite. Akurat siedział w barze i przysłuchiwał się, jak lokalny pianista gra Michelle, kiedy poczuł w kieszeni wibracje. Pender od razu rozpoznał numer i pospieszył do pokoju, by oddzwonić.

- Co dla mnie masz, T.D.?

- Dżem - odparł Thom Davies. - Dżemisty dżemowaty dżem.

- Przypomnij mi, czy w slangu Daviesa dżem oznacza „źle” czy „dobrze”?

- Dżem jest dobry. Dżem jest smaczniusi. W Oregonie jest czterdziestu trzech Buckleyówbandziorów, z których dziewiętnastu zaczynało kariery w poprawczaku. Z tych

**dziewiętnastu, jedenastu - z pięciu różnych ośrodków - spełnia kryteria wiekowe.**

**- Ilu z nich było notowanych za przestępstwa z użyciem przemocy? Napady, pobicia i tym podobne.**

**Nastąpiła chwila ciszy, gdy Davies liczył.**

**- Sześciu.**

**- Ilu z nich siedzi albo jest na warunkowym?**

**Tych najłatwiej będzie znaleźć.**

**- Pięciu z tych sześciu. Trzech w więzieniu, dwóch na warunkowym. Masz tam faks? Prześlę ci wydruk.**

**Pender odczytał mu numer faksu Holiday Inn z ulotki przy aparacie.**

**- Dobra, to zaraz ci to puszczę.**

**- Dzięki, T.D. Dzięki za wszystko. Zasłużyłeś na medal.**

**Mam u ciebie wielki dług. Przepraszam za zrujnowanie niedzieli.**

**- Nieważne, sam jestem sobie, kurde, winien. Po dziesięciu latach w Biurze powinienem był wiedzieć, że w wolny dzień nie odbiera się telefonów.**

**50**

**Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy w Teksasie Pender odbierał wydruki z faksu, w Oregonie Irene i Christopher zaczynali popołudniową sesję terapeutyczną. Wiszące nisko słońce zalewało leśny gabinet złotym światłem. Poszycie zachowało wciąż ciepło dnia, ale z zachodu zaczęła już wiać chłodna bryza.**



- Rano skończyliśmy na tym - mówiła Irene - jak opowiedziałeś mi o swojej pierwszej nocy u panny Miller. Czy to trwało nadal? Mam na myśli ten aspekt waszych wzajemnych stosunków?

- Przez siedem lat. Oczywiście, zmieniło się to nieco, kiedy podrosłem. Gdy osiągnąłem dojrzałość płciową, zaczęliśmy uprawiać seks. Miałem około dwunastu lat. Sprawiało to przyjemność nam obojgu i żadne z nas nie myślało o tym jako o molestowaniu. Wiedziałem jednak, aby nie mówić o tym w szkole.

Nie chciałem, żeby się to kiedykolwiek skończyło. Nie chodziłem z nikim, nie byłem zainteresowany dziewczynami, bo miałem już kobietę. A co do panny Miller...

- Przepraszam, Christopher. Jak panna Miller ma na imię?

- Julia. Ale nigdy do niej tak nie mówiłem.

- Jak myślisz, dlaczego?

- Nie wiem, nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

- W porządku. Przepraszam, że ci przerwałam. Kontynuuj, proszę. Chciałam ci powiedzieć coś na jej temat.

- Tylko tyle, że wydaje mi się, nie, wiem na pewno, że kochała mnie równie mocno, jak ja ją. Rozmawialiśmy nawet o tym, że kiedy będziemy już dorosły, to wyjedziemy i pobierzemy się. Tak by się też stało, gdyby nie... Gdyby nie on.

Zacisnął pięści i obrócił się plecami do Irene.

- Christopher? Wszystko w porządku, Christopher, już wszystko w porządku - powiedziała miękko, uspokajającym

tonem.

- Weź teraz głęboki oddech, powoli, spokojnie... Właśnie tak.

Widzę, że to dla ciebie drażliwy temat. Może jednak odczekamy do jutra rana? Dwie sesje w ciągu jednego dnia mogą naprawdę wyczerpać człowieka.

- Nie, jedźmy dalej. Dam radę. Zresztą i tak teraz będziesz rozmawiać z Maxem.

- Dobrze. Pamiętaj tylko o oddychaniu, i że to przeszłość.

Ktokolwiek to był, teraz już nie może cię skrzywdzić.

- tu masz, kurwa, zupełną rację, pomyślał Max. Zmiana miejsc już się dokonała.

On nazywał się Kronk i był nauczycielem ze szkoły średniej, wyjaśnił Max. Pan Kronk i panna Miller kiedyś ze sobą trochę flirtowali, jeszcze nim poznała Maxwella. Ale była o wiele od niego młodsza. Jego rozmiary, aura męskości, zapach trocin i oleju do maszyn, jaki roztaczał, wszystko to przypominało jej o zmarłym ojcu, który molestował ją po śmierci matki.

Tak więc Kronk ożenił się z sekretarką ze szkoły, a panna Miller zwróciła się ku swojemu nowemu podopiecznemu, który różnił się tak bardzo od Kronka i jej ojca, jak tylko mężczyzna może się różnić, pozostając przy tym mężczyzną. (Czasami, kiedy dla niej gotował albo sprzątał dom, naprawdę przypominał dziewczynkę. Ale panna Miller nigdy nie dowiedziała się o istnieniu Alicei ani innych alter ego. Podobnie, jak większość osobowości wielokrotnych, Maxwell był geniuszem w ukrywaniu

swojej przypadłości). Pannie Miller nigdy nie zaświtało w głowie, że jest oprawcą w tym samym stopniu, co jej ojciec. Chłopcy byli inni, chłopcy mieli potrzeby. Przecież nigdy nie zmusiła Ulyssesa (jak go zawsze nazywała) do niczego. Jeśli już, to on ją.

Dopiero po siedmiu latach panna Miller zrozumiała, że ma potrzeby, których nie zaspokoi o połowę od niej młodszy i z każdym rokiem dziwniejszy chłopiec. Coraz trudniej było go kontrolować. Już wtedy był zastraszająco silny jak na tak niedużego chłopaka, uczestniczył w zawodach zapaśniczych i miał brązowy pas w karate. Misiowaty, świeżo rozwiedziony Kronk wydawał się przy nim kaszką z mleczkiem.

Dlatego powiedziała chłopcu, że chociaż nie zamierza nigdy go opuścić, to ta część ich związku będzie musiała się skończyć.

Wkrótce odkrył, że zaczęła zamykać przed nim drzwi do sypialni. Był to ten sam typ zamka, który otwierał jako pięciolatek.

Jednak oparł się pokusie, mówiąc sobie, że nie musi jej mieć - pod warunkiem, że nie będzie miał jej też nikt inny. A później zaczęła umawiać się z Kronkiem, nie wracać na noc, a nawet - co gorsza - sprowadzać go do swojej sypialni.

Dla Christophera było to prawdziwe piekło. Leżał w łóżku w swym pokoju po drugiej stronie korytarza, przyciskał do policzka skradzioną pannie Miller poduszkę, wdychał zapach jej włosów i wsłuchiwał się w łózkową serenadę, pochrapywania i parsknięcia starego tłustego Kronka, przeciągłe okrzyki panny Miller. Leżał

**tak i słuchał, na wpół oszalały z tęsknoty, strachu i zazdrości. W końcu dotarł do punktu, w którym w ogóle nie chciał już przejmować kontroli nad ciałem, wołał kryć się w mroku.**

**Tak więc to Maxa pan Kronk i panna Miller zabrali na kolację tamtej strasznej nocy, wiosną 1987 roku.**

**- Julia zaszczyciła mnie zgodą na ślub - wyjaśniał, gdy panna Miller mizdrzyła się doń i podziwiała swój nowy pierścionek.**

**Kronk chciał być dla Maxa jak ojciec. Namalował piękny obraz - mieli chodzić razem na ryby i mecze. Kronk chciał też nauczyć go stolarki.**

**Jakież to cudowne, pomyślał Max. Dokładnie to, czego pragnąłby Lyssy - kiedy miał pięć lat, a jego prawdziwy ojciec ruchał go w tyłek. Ale teraz już było za późno. Teraz system potrzebował już tylko tego, czego nauczył się oczekiwać od panny Miller.**

**Max, chociaż czuł się skrzywdzony, ponizony i zły, przez resztę wieczoru robił dobrą minę do złej gry. Kiedy wrócili do domu, został nawet z nimi w salonie. Panna Miller nastawiła muzykę, stare nagranie Dennisa Daya, przy którym w dawnych czasach nieraz tańczyła z ojcem. Teraz tańczyli z nią na zmianę, pan Kronk i Max.**

**Ale kiedy dorośli udali się wcześniej do sypialni, nad ciałem Maxwella przejęło kontrolę zupełnie nowe alter ego. Na imię miał Kinch. I chociaż był to jego pierwszy raz w fotelu kierowcy, musiał istnieć od samego początku, a przynajmniej od**

dzieciństwa, ponieważ, kiedy zabrał z kuchni szpikulec do lodu, a później zakradł się na górę i otworzył nim zamek w drzwiach pokoju panny Miller, miał wrażenie de ja vu tak silne, że powietrze zdawało się być naładowane elektrycznością.

Jednak Kinch nie był Lyssym - i zdecydowanie nie był pięciolatkiem. Miał szesnaście lat, tyle samo, co ciało, którym teraz sterował. Był silny, sprytny i cichy, jak kot na polowaniu. Jedynym źródłem światła w pomieszczeniu były świece. Były ich tuziny, ustawione wszędzie: na biurku, toaletce, szafce nocnej.

Być może dla kochanków oświetlenie to wydawało się romantyczne, ale Kinchowi kojarzyło się z blaskiem ogni piekielnych.

- Max?

- Tak?

- Mogłabym porozmawiać z...

- Zaufaj mi, Irene, to nie jest dobry pomysł. Już raz go spotkałaś, to on zastrzelił tego policjanta. Kiedy pojawia się Kinch, to zaraz ktoś oberwie. A nie ma tu nikogo oprócz ciebie.

- Chyba muszę ci zaufać. Ale wiesz, jeśli Kinch ma wziąć udział w fuzji, prędzej czy później będę musiała z nim porozmawiać.

- Coś się wymyśli.

- Mam nadzieję.

Kinch podszedł do łóżka na palcach. Przez kilka sekund obserwował beznamiętnie, jak włochaty tyłek Kronka podnosi się

**i opada, podnosi się i opada. W ogóle nie widział panny Miller.**

**Po chwili jednak zmieniła pozycję i prześcieradło opadło, ukazując jej zgrabne nogi. Owijały się wokół Kronka, z rozrzuconymi obscenicznie, bladymi udami i małymi stopkami, które bębniły o pękaty, owłosiony zad przy każdym pchnięciu. Unosił się i opadał, unosił się i opadał, aż w końcu Kinch nie mógł już tego znieść. Skoczył na odpychające włochate plecy Kronka - chociaż nos aż wykrzywił się mu od fetoru męskiego potu - i wbił mu szpikulec pomiędzy łopatki.**

**Ogromny mężczyzna ryknął i próbował zrzucić go na ziemię. Kinch raz za razem wbijał szpikulec w otłuszczone plecy z siłą wystarczającą do przebicia się przez mięso, żebra i kręgosłup, docierając do serca i płuc. Nie przerywał nawet już długo po tym, gdy Kronk przestał się ruszać. Nie przerywał do czasu aż osiągnął najslabszą erekcję, przy której możliwy był orgazm.**

**Kiedy doszedł, zmienił się na powrót w Maxa. Dopiero teraz do jego uszu dotarły ciche jęki panny Miller - zrozumiał, że kobieta miażdżona była wspólnym ciężarem ich ciał.**

**Max odciągnął cielsko Kronka na bok, wyrwał z rany szpikulec.**

**- Już dobrze, panno Miller - powiedział. - Zaopiekuję się panią. Zawsze będę się panią opiekował. Nie potrzebuje pani Kronka, nigdy go pani nie potrzebowała.**

**Ale kobieta nie słuchała. Odepchnęła go i rzuciła się na ciało swojego narzeczonego, histerycznie płacząc. Próbowała**

reanimować go metodą ustausta, jej twarz szybko umazała się w krwawej pianie, którą wytoczył z ust razem z ostatnimi oddechami. Max, zde gustowany i zły, zwałókl ją z ciała i rzucił na podłogę. Poderwała się na nogi i znów przycisnęła się do nieboszczyka. Zaczęła całować trupa po ustach, nie udając już nawet, że go reanimuje.

Tym razem Max rzucił ją na środek pokoju z taką siłą, że na chwilę ją zamroczył. Kobieta jednak nie zamierzała się poddawać. Zaczęła pełznąć w stronę łóżka. Rozwścieczony Max porwał jedną ze świec i podpałił pościel. Panna Miller chwyciła go za kostki i próbowała odciągnąć.

Kiedy wokół ciała Kronka zaczęły tańczyć płomienie, Max chwycił pannę Miller za nadgarstki i przemocą wyciągnął na korytarz. W kobiecie jednak zbudziła się desperacka siła. Wyrwała się i wbiegła z powrotem do pokoju, po czym chwyciła z podłogi poliestrowy chodnik. Próbowała stłumić ogień. Sekundę później chodnik stał się jedną ognistą płachtą, owinał się dookoła jej głowy, przykleił się do skóry.

Zatoczyła się do tyłu, wymachując rękami. Max przewrócił ją na ziemię i próbował zedrzeć płonący materiał, ale poliestr przykleił się już do jej ciała. Od głowy do kolan, stopił się w jedną masę ze skórą. Max zdusił płomienie gołymi rękoma.

Do lasu zakradł się fioletowy zmrok. Irene nie mogła wydusić z siebie słowa. Nachyliła się i położyła dłoń na lewym ramieniu Maxwella. Uniósł rękę, by ją poklepać. Ujęła jego dłoń,

obróciła, przyjrzała się bliznom. Po raz kolejny poczuła zdumienie gładkością tych dłoni. Ani linii życia, ani linii miłości - nic, z czego chiromanta mógłby odczytać liczbę jego przyszłego potomstwa.

- To musiało boleć.

- Cieszyłem się z bólu. Pozwalał mi nie myśleć o poczuciu winy.

- Ciągle czujesz się winny?

- Rzadko. Czyli każdego, kurwa, dnia mojego życia.

- Ta kobieta, którą spotkałam dziś rano... Czy to panna Miller?

Max skinął głową.

- Co za świat, co za świat - powiedział ciekawym skrzekliwym głosem.

Słowa Złej Czarownicy z Zachodu zawisły w nieruchomym leśnym powietrzu.

- To brzmi jak dobry moment na przerwę - powiedziała Irene ciepło. - Zaczniemy od tego następną sesję.

- Ty tu rządzisz, doktorku - odparł Max, uśmiechając się słabo.

59

Aby móc przeczytać faks od Daviesa, Pender musiał założyć swoje połówkowe okulary do czytania. Nie było tam żadnych objaśnień, żadnego tła - tylko nazwiska, daty, rysopisy, wyroki i odsiadki. Davies zaznaczył nazwiska pięciu bandytów, którzy akurat znajdowali się w więzieniu albo na zwolnieniu



warunkowym. Na wydrukach zaznaczenie przybrało formę szarego paska.

Z tej piątki uwagę Pendera przyciągnął jeden ze zwolnionych warunkowo, może przez nietypowe imię. Cazimir. Cazimir Buckley, znany też jako Bucky albo Caz. Afroamerykanin, metr osiemdziesiąt pięć, dziewięćdziesiąt kilo wagi, urodzony w Los Angeles w 1970 roku. Im dokładniej Pender wczytywał się w drobny druk, tym Cazimir wyglądał bardziej obiecująco. Lista napadów ciągnąca się, odkąd miał dwanaście lat. Trzykrotny pobyt w Zakładzie Poprawczym Hrabstwa Umpqua. Rok w poprawczaku, miesiąc na wolności, rok w poprawczaku, miesiąc na wolności, rok w poprawczaku, przenosiny do więzienia. Pender czytał między wierszami. Malutki problemik z samokontrolą, Caz? Pewnie nie jest łatwo być czarnym w hrabstwie Umpqua.

Gdziekolwiek to jest.

Kiedy Buckley skończył osiemnaście lat, posadzili go z dużymi chłopcami za czynną napaść. Musiała być czynna, jak cholera, bo takie wyroki w Oregonie dawali zwykle za pobicie ze skutkiem śmiertelnym. Może jednak w więzieniu stanowym nauczył się nad sobą panować - Pender zauważył, że Buckleya zwolniono warunkowo już po sześciu latach, zatem gość musiał zmienić się w aniołka.

Cazimir Buckley znajdował się obecnie pod jurysdykcją Biura Dozoru Kuratoryjnego Hrabstwa Umpqua. Wyglądało to

na niezłe miejsce do rozpoczęcia poszukiwań. Kierunkowy do hrabstwa Umpqua Pender uzyskał od centrali, a numer do biura dozoru od miejscowego operatora, po czym postanowił zrobić sobie fajrant na resztę wieczoru. Łyknął dwie tabletki Vicodinu i zszedł do baru, gdzie zamierzał poszukać pomocy u swego starego kumpla, Jimmy'ego Beama. Ból głowy doprowadzał go do szału.

Okazało się, że Jim plus Vicodin to potężna mieszanka. Pod koniec wieczoru wielki łysy mężczyzna w kraciastej marynarce, bandażach na głowie i pomiętym zakrwawionym kapeluszu śpiewał kawałki Everly Brothers w duecie z pianistą, przycupnąwszy na brzeżku siedzenia przy pianinie. Pender robił za Phila Everly; jego urokliwy tenor radził sobie z wysokimi skalami z zadziwiającą łatwością. Bye, Bye Love; Hey Birddog; Wake Up, Little Suzy... nawet udało mu się zadeklamować z pamięci cały recytatyw z Ebony Eyes.

Na koniec zaśpiewali Ali I Have To Do Is Dream, po czym Pender wcisnął dwudziestaka do słoika na napiwki i, zataczając się, wrócił do pokoju. Hrabstwo Umpqua, pomyślał, padając na łóżko. Gdzie, do diabła, leży to całe hrabstwo Umpqua?

60

Irene sądziła, że zje kolację razem z Maxwellem i panną Miller, jednak Max przyniósł przykrytą tacę zjedzeniem do jej pokoju. Był tam malutki kurczak, niewiele większy niż komwalijski, pieczone ziemniaki, młoda fasolka i butelka Jo'berg Riesling.

Wyjaśnił, że chcieliby zostać z panną Miller przez jakiś czas sami. Więc, gdyby Irene mogła nie ruszać się do rana z pokoju...

W kącie pomieszczenia stał zabytkowy sekretarzyk. Irene przyciągnęła go do okna. Jedząc, obserwowała zachód słońca ponad sąsiednim grzbietem. Jako mieszkanka Zatoki Monterey miała co nieco do powiedzenia, jeśli chodzi o zachody słońca. Od tego jednak nie można było oderwać wzroku. Niebo zdawało się żywym ogniem, a trawy przybrały barwę platyny. Serce Irene zabiło żywiej, po czym zmartwiało w przypiływie rozpaczony tak wielkiej, że odbierała oddech. Nigdy wcześniej nie wiedziała, co znaczy tęsknić za domem. Za przyjaciółmi. Modliła się za zdrowie Barbary i starego Billa, i Bernadette. Zastanawiała się, czy kiedyś zobaczy jeszcze ojca i braci. Tęskniła nawet za swoją młodą macochą.

Martwiła się też o pacjentów. Lily DeVries. Nie zdążyła przeprowadzić z nią sesji po ostatnim przełomie. Dziewczyna na pewno odbierze to jako kolejny zawód, kolejną zdradę.

Trzymaj się, Lily, pomyślała, unosząc głowę i spoglądając na ognisty zachód słońca. Po chwili dostrzegła w szybie własne odbicie.

- Ty też - powiedziała doń. - Ty też się trzymaj, Irene.

Chociaż nie była specjalnie głodna, zmusiła się do skończenia posiłku. Co drugi kęs zapijała haustem wina, by zabić smak popiołu, jaki jedzenie przybierało w jej ustach.

W pokoju nie było żadnych książek ani czasopism, nie było

też telewizora. Irene czuła, że chce coś zrobić, nie mogła jednak skoncentrować się na notatkach z dzisiejszych sesji z Maxem.

Postanowiła zatem spróbować swoich sił w haiku. Kiedyś, na studiach, przechodziła przez fazę pisania haiku. Niektóre z nich Frank zilustrował swymi pastelami. Nie do wiary, że te jego wielkie dłonie zdolne były do tak delikatnych, drobnych pociągnięć pędzlem. Mówili sobie z Frankiem, że kiedyś opublikują kolekcję jej haiku ilustrowaną jego pracami, ale oczywiście nigdy nie doszło to do skutku. Na drodze stanęło im życie, a później śmierć.

Irene naląła sobie kolejną lampkę wina, otworzyła notatnik na nowej stronie. Zaczęła rysować zielone zawijasy wzdłuż marginesu. Pierwszy wers, pięć sylab. Gdy wyjrzała przez okno, jej dłoń zaczęła poruszać się sama. Rozszczepiony szczyt. Drugi wers, siedem sylab. Jego czerń skryła słońce. Trzeci wers, pięć sylab. Potok niesie chłód.

Romantyczny wieczór z panną Miller. Wyszukane srebra i porcelana, świecznik na białym obrusie. Panna Miller z trudem dzieli kurczaka nożem i widelcem. Nalega, by Ulysses robił to samo.

By móc jeść, rozwiązuje dolny sznureczek przy swej zielonej chirurgicznej masce. Wkłada jedzenie pod spód. Ubiera się tylko w jedwab. Poraniona skóra nie zniosłaby mniej delikatnego materiału. Po kolacji dzielą się obowiązkami, panna Miller myje naczynia, Ulysses wyciera. Następnie udają się do kurnika na

skraju lasu, splatając poranione dłonie.

**Freddie Mercury** zdążył już zgonić swój harem do wnętrza.

**Panna Miller** zamyka bramkę, **Max** w tym czasie sprawdza, czy ogrodzenia z siatki nie przerywają żadne dziury ani podkopy.

Upewniwszy się, że kury są bezpieczne przed szopami i lisami, pani i pan **Wzgardliwej Grani** wracają do domu. **Panna Miller** wybiera kasetę wideo ze swojej bogatej kolekcji. Dziś to **Casablanca**, oglądają ją przynajmniej raz do roku. Wersja oryginalna, nie kolorowana. Podczas ostatniej sceny **panna Miller** mówi kwestie lisy razem z aktorką. **Max** odgrywa **Ricka**, a później, na samym końcu, również **Renauda**.

Pójście do łóżka wymaga niezwykle skomplikowanej choreografii. Jest to też robota dla trzech, o czym jednak **panna Miller** się nie dowie, jeśli **Maxowi** uda się i tym razem sprawnie przeprowadzić zmianę osobowości w sposób, jaki to robił od lat.

Idą razem na górę i rozchodzą się do swoich pokoi. **Max** bierze prysznic, daje **pannie Miller** czas na umycie się, po czym wkracza do jej sypialni. Kobieta leży już na brzuchu, z koszulą nocną podwiniętą do nerek. **Max** siada na łóżku i daje jej w lewy pośladek zastrzyk z siarczanu morfiny. Po chwili ponawia procedurę z prawym.

W oczekiwaniu aż środek zacznie działać, **Max** opuszcza żaluzje, zamyka okiennice, zasłania szczelnie kotary i wciska rącznik pod drzwi, by ani promień światła nie dostał się tu z korytarza. **Panna Miller** nie życzy sobie tego.

Nadchodzi najtrudniejszy moment. Stojąc przy drzwiach, Max upewnia się, że na podłodze nie leżą żadne przeszkody, po czym odwraca się tyłem do pokoju i precyzyjnie orientuje się, trzymając prawą dłoń na gałce od drzwi, a lewą na włączniku światła. Następnie zmienia osobowość. Max odchodzi w ciemność swego umysłu; w jego miejsce pojawia się Peter, który nie zna niczego poza ciemnością.

Peter został stworzony jako jedno z ostatnich alter ego. Jego narodziny były trudne, zawdzięczał je niemal wyłącznie sile woli Maxa. Niewiele jest wspomnień, które Peter dzieli z innymi alter ego; żadne z nich nie jest wizualne. Bowiem Peter, urodzony jako w pełni rozwinięty osiemnastolatek, którym miał pozostać na zawsze, był od urodzenia ślepy. Nigdy nie widział kobiety - nigdy nie widział żadnej istoty ludzkiej - i tylko jedną zna z dotyku. Tylko jedną spotkał w życiu. Pannę Miller. Ten pokój Peter zna jak własną kieszeń. Kiedy już wie, gdzie jest, potrafi się po nim poruszać, jakby go widział.

Ślepy Peter znajduje drogę do łóżka, pomaga pannie Miller przewrócić się na plecy, po czym rozbiera ją, bardzo ostrożnie, by nie sprawić jej bólu. Kobieta nadal jest oszołomiona, lekko euforyczna po podwójnej dawce morfiny. Jej zmysły są przytłumione do tego stopnia, że jest w stanie znieść jego delikatne pieszczoty, a nawet odbiera je jako przyjemne, przynoszące ukojenie, podniecające.

Po długiej grze wstępnej, panna Miller obraca się na bok,

plecami do Petera. Ten wchodzi w nią od tyłu. Morfina często uniemożliwia pannie Miller osiągnięcie orgazmu, ale dziś jedynie go opóźnia i wydłuża. Gdy jest już po wszystkim, Peter głaszcze jej długie miękkie włosy. Ostrożnie, by ich nie przesunąć, aż kobieta zaśnie.

Potem on też zasypia. W przypadku Petera nie jest to jednak sen, jaki wszyscy znamy, raczej zejście w cieplejszą, zapraszającą ciemność. Gdy Peter powoli odpływa, budzi się Max, bez żadnych widocznych oznak przejścia. Czuje się przyjemnie nabuzowany poorgazmowymi endorfinami w równym stopniu, jakby to on sam przed chwilą uprawiał miłość. Słyszy równy, chrapliwy oddech panny Miller i wyslizguje się z łóżka. Jest już w połowie pokoju, kiedy osadza go w miejscu jej głos.

- Było ci dobrze, słodki promyczku?

Max krzywi się w ciemności.

- Oczywiście.

„Słodki promyczek”. Panna Miller używa tego komplementu jedynie sarkastycznie. Max już teraz czuje wzbierające poczucie winy, nie wie tylko zupełnie, z jakiego powodu. Może panna Miller chce usłyszeć coś miłego?

- Było cudownie.

Ale to nie to, jej ton jest nadal zgryźliwy.

- Zrobimy to jeszcze kiedyś? Kiedykolwiek?

- Oczywiście.

Przejdź wreszcie do rzeczy, cholera. Nie mogę znieść tego

napięcia.

- A jak tam sesje z twoją terapeutką?

Więc o to chodzi.

- Są bardzo pomocne.

- Tak bardzo, że zapomniałeś, iż jesteś pięć tygodni do tyłu z obowiązkami domowymi?

Och.

- Nie, proszę pani.

- Dlaczego to zawsze ja odwałam czarną robotę? - mruzczała Alicea pod nosem, taszcząc ciężki odkurzacz z powrotem do piwnicy.

Pytanie było retoryczne. Alicea doskonale zdawała sobie sprawę, dlaczego dostaje czarną robotę. Nie licząc tej starej baby, była jedyną kobietą w domu. Na całe szczęście była silna, jak na dziewczynę - potrafiła unieść odkurzacz jedną ręką. I niezmordowana - zdążyła już wstawić pierwsze pranie, odkurzyć parter i pierwsze piętro oraz wyczyścić łazienkę na dole. Teraz wzięła się za nowe prace. Przerzuciła mokre rzeczy z pralki do suszarki, obróciła po kolei wszystkie butelki na stojaku z winem i odkurzyła miotką szklaną gablotę oraz jej zawartość.

Kiedy zajmowała się tą ostatnią czynnością, dojrzała w szkle własne odbicie. Z uznaniem obejrzała swe piersi, obciśnięte zbyt małą koszulką i z żalem pomyślała, że nie ma tu nikogo, kto mógłby to docenić.

Na to jednak nie było szans. Po zadymie z Cortesem, Max



pewnie nigdy nie pozwoli jej wyjść z ukrycia w obecności mężczyzny. Ciekawe, czy doktor Cogan interesowała się kobietami.

**Każdy sposób dobry, jak to mawiał Max.**

Po skończeniu z gablotką, Alicea zdecydowała, że zasłużyła na przerwę. Wspięła się po schodach na górę, do kuchni, i nastawiła wodę na herbatę ziołową. Kiedy jednak czekała, aż napój się zaparzy, opuściła głowę na stół, by odpocząć i już po chwili poczuła, jak ześlizguje się w ciemność.

Doświadczenie to wyglądało podobnie, jak u większości alter ego. Ześlizgiwanie się w ciemność przypominało zasypianie. Nie było prawdziwych snów, ale kiedy znowu się budziłeś (ponieważ wezwał cię Max, albo gdy system był w stanie ekstremalnego stresu), pamiętałeś wszystko, co się działo, kiedy cię nie było - jakby to był sen. Czasami budziłeś się w ciele, ale przeważnie jednak nadal byłeś w mroku. W tym ostatnim przypadku zawsze mogłeś próbować przejąć kontrolę siłą, jednak Max przeważnie był na to zbyt mocny.

**Dla samego Maxa wszystko to wyglądało zgoła inaczej.**

Schodził w ciemność jedynie z własnej woli lub w rzadkich przypadkach, kiedy komuś udało się przejąć władzę. Nigdy też nie zapadał tam w sen. Nie było takiej potrzeby. Max to alter ego, które spało naprawdę, w łóżku. I śniło.

Jeszcze jedna różnica - Max potrafił z ciemności monitorować inne alter ego. Rzadko jednak korzystał z tej mocy,

ponieważ doświadczenie było nieprzyjemne i dezorientujące, niczym obserwowanie świata przez monitorkę ręcznej kamery albo jechanie samochodem, który z dużą prędkością prowadzi ktoś, komu nie do końca ufasz.

Wreszcie, kiedy Max podniósł głowę i zobaczył, że siedzi przy kuchennym stole, a przed nim stoi kubek herbaty rumiankowej

(której nie znosił), od razu przypomniał sobie wszystko, co się działo, kiedy ciałem sterowała Alicea. Nie tak, jakby to mu się przyśniło; nie tak, jakby sam to przeżył, ale jakby zobaczył to niedawno w filmie.

Sypialnia Maxa mieściła się dokładnie pod sypialnią Irene.

Gdy się rozbierał, słyszał, jak psychiatra chodzi po swoim pokoju. Zaczął wyobrażać sobie, jak Irene zdejmuje ubranie, bierze prysznic, wchodzi do łóżka. Poczul, że robi się podniecony - miał nawet bardzo nietypową dla siebie erekcję.

- Więc teraz to jej pragniesz? - powiedział zde gustowany, wymierzając swojemu penisowi cios otwartą dłonią i patrząc później, jak się kołysze. - Gdzie, do diabła, byłeś wczoraj, kiedy cię potrzebowalem?

61

W dawnych czasach agenci FBI musieli przekazywać do Biura co najmniej trzy numery telefonów, żeby dało się ich złapać w każdej chwili. Odkąd jednak pojawiły się pagery i telefony komórkowe, procedury zostały nieco złagodzone. Tylko Thom

**Davies wiedział, że Pender zatrzymał się w Holiday Inn w Piano.**

**Dzwonek telefonu, który odezwał się w poniedziałek rano, gdy tylko Pender wyszedł spod prysznic - nadal w foliowym worku na głowie dla ochrony swej poharatanej czaszki - był zatem dlań zaskoczeniem.**

**- Tu Pender.**

**- Pender, tu Steve Maheu. Dzwonię w sprawie McDougala.**

**- Nie ma go tu - odparł Pender, tylko po to, by zażartować sobie z Maheu, który był niepijącym, niepalącym, stuprocentowym mormonem. Fakt, że Pender znał McDougala od czasów akademii miał swoje zalety - między innymi takie, że nie musiał rozmawiać z Drugim Stevem, jeśli miał jakąś sprawę do Pierwszego.**

**- Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Dzwonię w sprawie, którą mi zlecił, w jego imieniu. Tym razem naprawdę przegiąłeś, Pender. Steve kazał mi przekazać, że nie ma zamiaru wyciągać cię z szamba, dokładnie tymi słowy.**

**- Jakiego szamba?**

**- Rozmawiałeś wczoraj z panem Hortonem Hughesem?**

**- Tak, odbyliśmy miłą pogawędkę przy basenie.**

**- Ewidentnie panu Hughesowi nie było zbyt miło. I pan Hughes ewidentnie jest również bliskim przyjacielem - nie wspominając już, że donatorem - pewnego senatora z Teksasu, którego nie będziemy wymieniać z nazwiska. Widzisz już do czego zmierzam, Ed?**

- Nie mam pojęcia. Przeprowadziłem wywiad, przesłuchiwany nie chciał współpracować, więc...

- Przesłuchiwany? Rozmawiałeś z krewnym ofiary.

- Kierując się rozumowaniem na podstawie zebranej wiedzy, musiałem uznać go za współpodejrzanego. Zanim znikła, posuwał jej przyjaciółkę, a po zniknięciu - córkę tej przyjaciółki.

Musiałem wyeliminować...

- Nie obchodzi mnie, kogo posuwał, i nie zamierzam wdawać się z tobą w dyskusje. Od tego momentu zabieramy ci śledztwo.

Wracaj do domu i oddaj odznakę albo pożegnasz się z emeryturą.

- A czy McDougal rozmawiał już z Thomem Daviesem?

Wie, co tu odkryłem?

- Masz na myśli ten twój wydruk z nazwiskami czterdziestu trzech zawodowych kryminalistów, z których ktoś hipotetycznie mógł przelotnie znać podejznanego ponad dekadę temu? Tak, nie możemy spać po nocach, Ed. To na pewno totalny przełom w śledztwie. A teraz zabieraj swoją dupę w troki najbliższym samolotem do Waszyngtonu. A tak w ogóle jesteś zawieszony. Od tej chwili, jeśli choćby zapytasz kogoś o godzinę w imieniu Biura, to wystawię ci taką rekomendację, że gacie zgubisz.

- Ups, co jest? - powiedział Pender. - Nie słyszę cię. Chyba są problemy z połączeniem...

Wydał z siebie odgłos, który miał to potwierdzać i przerwał połączenie, po czym policzył do dziesięciu i zdjął słuchawkę z

aparatu. Wrócił do łazienki. Zdjął foliowy worek i pochylił głowę, by przyjrzeć się ranie. Zaokrąglona krawędź kajdanek rozcięła skórę w trzech miejscach. Dwie rany wymagały po sześć szwów, trzecia aż ośmiu. Jeden z nich poluzował się. Opatrunek, który umieściła tam Anh Trinh jednak ciągle się trzymał, a chiński specyfik, który mu dała chyba nie był oszustwem - poszarpane brzegi rany zdążyły już się połączyć.

Pender wziął słoik specyfiku, pudełko kompresów gazowych i rolkę plastra z torebki na przybory toaletowe. Uciął cztery długie kawałki plastra i położył je na chromowanej półce przed lustrem, warstwą przyklepną do góry, po czym położył na nich cztery kompresy, jak zrobiła to Anh. Palcem wskazującym wtarł nieco maści bezpośrednio w rany, a następnie wsunął dłonie pod konstrukcję z taśmy i kompresów. Uniósł ją, niczym celebrujący mszę kapłan, nałożył sobie na głowę gazą do dołu i dokładnie docisnął końce plastra.

Poszedł do pokoju po kapelusz, wrócił i przymierzył go przed lustrem. Zamierzał przyciąć plaster tak, by nie było go widać.

Ale kapelusz okazał się zbyt mały. W dodatku wydawało się, że nie da się go już odprostować. Pender zdjął go z głowy i obrócił w palcach.

- Kapeluszu, byłeś mi podporą w potrzebie i dobrym kompanem - powiedział. - Przez prawie dziesięć lat wiernie towarzyszyłeś mi w słońcu i w deszczu, choć tego deszczu było o

wiele więcej niż słońca. A teraz, kiedy jesteś już zużyty, a twoja służba dobiegła końca, chciałbym ci dać oficjalnie pożegnanie w stylu FBI. Tum ti tum, tum ti tum...

Kiedy wybrzmiały ostatnie takty Tapsa [\* Znana amerykańska melodia wojskowa, grana zawsze na pogrzebach żołnierzy i przedstawicieli władz oraz na uroczystościach upamiętniających ofiary wojen, np. takich jak Dzień Kombatanta (przyp. tłum.)], Pender wrzucił kapelusz do kosza pod zlewem i, dla lepszego efektu, spuścił wodę w toalecie.

- I jeszcze jedno - rzekł, wychodząc z łazienki. - Na twoim miejscu nie liczyłbym na tę emeryturę.

62

W nowej łazience Irene nie brakowało kosmetyków ani przyborów toaletowych. Mogła sobie wybrać pomiędzy trzema szczoteczkami do zębów. Kiedyś byłaby to bardzo trudna decyzja, Irene nigdy w życiu nie umyła zębów cudzą szczoteczką.

Trzy dni temu nie potrafiłaby sobie nawet wyobrazić, że użyje szczoteczki Franka. Jednak teraz, drugiego poranka na Wzgardliwej Grani, chwyciła pierwszą z brzegu, w ogóle się nie zastanawiając, że mogła jej kiedyś używać martwa kobieta.

Umysł Irene był jasny i skupiony. Wczoraj, przed zaśnięciem, ułożyła w głowie plan. Kiedy alter ego skończą opowiadać swoją wspólną historię, należy zacząć pracować z samym Maxem. Jeśli fuzja miała dojść do skutku, to on musi zostać wiodącym alter ego.

Ale zanim rozpocznie fuzję, musi się więcej o nim dowiedzieć.

Ulysses - gospodarz - uważał Maxa za demona. Czy mogło tak być, że Max, choć zaprzeczał, również podzielał to zdanie? Nie wyglądał na paranoidalnego schizofrenika, ale mógł jak najbardziej być socjopatą typu B z tendencjami do narcyzmu.

A jeśli tak, to zarówno z moralnego, jak i zawodowego punktu widzenia (o bezpieczeństwie Irene nie wspominając) niewłaściwym byłoby go wspierać. Nie była jednak pewna, jakie są inne opcje. Spróbować wzmocnić inne alter ego? Christopher wydawał się całkiem stabilną osobowością. Nie musiała jednak podejmować tej decyzji przed lepszym zrozumieniem psychologicznej konstrukcji Maxa.

Po wyjściu spod prysznic Irene założyła różową koszul'ę Versace, za którą jakaś kobieta musiała kiedyś zapłacić trzydzieści lub czterdzieści dolarów, oraz białe bermudy. Kiedy tylko otworzyła drzwi od sypialni, aromat świeżej kawy, unoszący się od schodów, przyciągnął ją do kuchni.

Przy piecu, tyłem do wejścia, stała panna Miller. Wyglądała jak esencja domowości, ubrana w kapcie i jedwabny szlafrok narzucony na zieloną suknię. Jedynym szczegółem, który burzył sielskość tego obrazka, były jej włosy w kolorze truskawkowego blond. Ostatnim razem, gdy Irene je widziała, były proste, eleganckie i sięgały ramion. Dzisiaj spadały kaskadą do połowy jej pleców, gęste, puszyste i kręcone.

**Zachowuj się normalnie, upomniała się Irene. Normalnie...  
co to właściwie znaczy, normalnie?**

**- Dzień dobry, Julio.**

**Panna Miller odwróciła się.**

**- Dzień dobry, doktor Cogan.**

**Ręcznej roboty maska chirurgiczna wydymała się przy każdym słowie. W świetle dnia Irene wyraźnie zobaczyła, że mrugające nad nią powieki składały się z nie do końca zręcznie przeszczepionych kawałków skóry.**

**- Dobrze spałaś?**

**- Ja nigdy nie śpię dobrze.**

**- Przykro mi to słyszeć. Może przepiszę ci coś?**

**- Nie lubię spać. W snach widzę siebie taką, jak kiedyś.**

**- Rozumiem.**

**- Bardzo wątpliwe.**

**Otworzyły się tylne drzwi. Do kuchni wszedł Max w swojej hawajskiej koszuli i skaterskich spodniach. Miał ze sobą wiklinowy koszyk.**

**Irene zauważyła, że skryta pod materiałem koścista klatka piersiowa panny Miller zaczęła unosić się i opadać w przyspieszonym tempie. Miłość czy strach?**

**- Dobry, Irene. Pomacaj - powiedział, stawiając koszyk na stole. W środku, na posłaniu z wiórów, spoczywały świeże jaja.**

**Irene dotknęła jednego z nich.**

**- Jeszcze ciepłe.**



**- Kurwa, czad, nie?**

**- Nie wyrażaj się! - ostrzegła panna Miller, obracając się w stronę pieca.**

**- W nocy jakoś nie narzekałaś - odparł Max i klepnął ją w tyłek.**

**- Ulysses! - skarciła go ciepło.**

**Irene zastanawiała się, czy Julia zarumieniła się pod maską.**

**Jeśli oczywiście było to fizycznie możliwe.**

**Poranna sesja. Max wręczył Irene kontrakt, który napisał.**

**Zgadzał się co do litery. Irene formalnie zapytała, czy żadne z alter ego, znanych lub nieznanych, nie zgłasza sprzeciwu. Nie było obiekcji, więc włożyła kontrakt do notatnika.**

**- Chciałbyś podjąć od chwili, w której ostatnio skończyliśmy, czy też masz jakieś nowe uwagi, które chciałbyś przedyskutować?**

**- Nawet już nie pamiętam, na czym skończyliśmy - odparł Max, uśmiechając się niepewnie.**

**- Mogłabym w to uwierzyć, gdyby powiedział to ktoś inny.**

**- No dobra.**

**Oczy Maxa uciekły w bok, powieki zatrzepotały. Zaczął mówić monotonnym głosem.**

**- Ciągłe czujesz się winny. Rzadko. Czyli każdego, kurwa, dnia mojego życia. Ta kobieta, którą spotkałam dziś rano.**

**To panna Miller. Co za świat, co za świat. To brzmi jak dobry moment na przerwę. Zacznijmy od tego następną sesję. Ty tu rządzisz, doktoru.**

Irene otworzyła usta, by zapytać te nowe alter ego o imię, ale przypomniała sobie ostrzeżenie Maxa. Szybko przekartkowała notatnik.

- Witaj, Mosze. Jestem doktor Cogan.

- Irene Cogan, doktor medycyny. Zaburzenia derealiz u dorosłych mężczyzn, „Journal of Abnormal Psychology”.

Mówiąc językami: trans dysocjacyjny i chrześcijaństwo zielonoświątkowe, „Psychology Today”. Dysocjacyjne zaburzenia osobowości, prawdziwe czy udawane, „Journal of Nervous and Mental Diseases”.

- Co myślisz o tym, co się dzieje?

- Co się dzieje. Marvin Gaye. Pierwsze miejsce na liście amerykańskiego R&B, od tygodnia kończącego się dwudziestego siódmego marca tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt jeden, do tygodnia kończącego się dwudziestego czwartego kwietnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt jeden.

Irene dopisała przy jego imieniu słowa „sawant” i „autyzm”.

- Dziękuję, Mosze. Mogę znów rozmawiać z Maxem?

Gładkie przejście.

- Ognisty temperament ma ten nasz Mosze, co?

- Prawa i godność wszystkich alter ego - ostrzegła go Irene.

- Przepraszam. W porządku. Ogień. Parę miesięcy spędziłem w szpitalu, zrobili mi trzy operacje przeszczepiania skóry, po czym...

- Przepraszam, Max. Wiem, że poparzenia są bardzo

**bolesne.**

**Czy w systemie jest jakieś analgetyczne alter ego?**

**- Tak się nieszczęśliwie składa, że nie. Morfina bardzo pomagała. Podobnie jak częste zmienianie się. A kiedy wszystko zawiodło, zawsze mieliśmy Lyssy'ego Ciotę.**

**- Mogłabym porozmawiać z Lyssym?**

**- Nie jest w tej chwili dostępny. Nieźle się wystraszył tamtej nocy, kiedy ukrywaliśmy się w więzieniu. Od tamtego czasu nie miałem od niego żadnych wieści.**

**- Może innym razem.**

**- Mosze - odparł, przedrzeźniając jej seplenienie. - Dobra... ogień, ból, operacje - dodał szybko własnym głosem. - Parę miesięcy w szpitalu, później prawie rok w Zakładzie Poprawczym Hrabstwa Umpqua w oczekiwaniu na proces o morderstwo, podpalenie i usiłowanie zabójstwa. Żadnej kaucji, ale dokąd bym zresztą poszedł. Ranczo nie było takie złe, to tam nauczyłem się hodować kury. Po zmroku chłopcy robili ustawki, jakje nazywali. Żadnych ograniczeń, każdy mógł wyzwać każdego. Jak ktoś nie chciał walczyć, wszyscy mogli się na nim wyżyć. A później, jednego letniego poranka na ranczu pojawia się mój prawnik i mówi, że oczyszczono mnie z zarzutów. Powiedział, że panna Miller zmieniła zeznania. Powiedziała prokuratorowi, że to Kronk ją zaatakował, a ja przyszedłem z pomocą, pożar za to był dziełem przypadku. Nie byłem pewny, jak to odczytać. Czy próbowała mnie chronić, pogodzić się ze mną, czy po prostu się bała, że**

opowiem o naszym współzyciu. Nigdy nikomu o tym nie wspominałem. Następnie prawnik powiedział, że panna Miller chce, żebym znowu z nią zamieszkał, i co ja na to? Pobiegłem po swoje rzeczy do szafki, wsiałem z nim do samochodu i odjechałem, nie oglądając się za siebie. Pożegnałem się tylko z Buckleyem, moim przyjacielem. Czarnym z Compton. Wszystko robiliśmy razem. Byłem już wtedy dobry w sztukach walki i zapasach, a właściwie, to nie ja, tylko Lee...

- Czy mogłabym... - zaczęła Irene.

Zmiana osobowości.

- ...porozmawiać z Lee.

Już tam był. Pewna siebie poza, w jakiś sposób jednocześnie napięta i zrelaksowana. Wysunął do przodu klatkę piersiową.

Bezwiednie zaciskał i rozluźniał pięści, aż żyły wystąpiły mu na przedramiona.

- Gównu wtedy wiedziałem o walce ulicznej.

Każde słowo było dokładnie wyważone, nim opuściło usta, zaciśnięte tak mocno, że pełne, wydęte wargi Maxa zmieniły się w dwie kreski, nadając twarzy wyraz okrucieństwa.

- W pierwszej walce Bucky naciukał mi, aż się osrałem. Jak się zakumplowaliśmy, przekazał mi swój tajny cios. Uratowało mi to nieraz życie.

Lee zamilkł, by napić się wody z kubeczka, który stał na trójnożnym stoliku. Leśnie zwierzęta przyzwyczyły się już do sesji. Po suchym igliwiu przebiegła wiewiórka, w koronach jodeł

**gaworzyły sójki, gdzieś z wysoka dobiegało głośnie stukanie niewidzialnego dziecięcia.**

**- To wszystko, co mam do powiedzenia.**

**Kolejne słowa wypowiedział już Christopher. Irene nauczyła się już rozpoznawać jego melodyjny miękki głos.**

**- Pamiętam, że na początku poczułem się zdezorientowany.**

**Zamiast do miasteczka, prawnik powiózł mnie na wschód, w kierunku gór. Powiedział, że panna Miller kupiła Wzgardliwą Grań, byśmy mogli tam razem zamieszkać. Wydało mi się to wszystko dziwne. Wiesz, wysadził mnie koło tych... tych ruin, kompletny obraz dewastacji, rozpadające się budynki, rozplenione chwasty.**

**Nawet nie wysiadł z wozu. Podał mi tylko mój worek, zawołał: „Powodzenia, chłopcze!” i z rykiem motoru pomknął w dół wzgórza.**

**Christopher zamknął oczy. Irene zrozumiała, że wrócił tam myślami. Stoi teraz na asfaltowej drodze sprzed wielu lat.**

**- Zarzucam worek na ramię i ruszam w stronę domu. Zewnętrzne drzwi kołyszają się na jednym zawiasie. Skrzyyyyp, skrzyyyyp. Frontowe drzwi są zabite deskami. Słyszę jej głos, jak woła mnie z tyłu domu. Jej głos jest tak zmieniony, ale... ale ciągle brzmi tak bardzo w jej stylu. Znajduję ją w kuchni, gotuje wodę na herbatę. Ma na sobie staromodną czarną suknię. Obraca się. O Jezu, o Boże...**

**Irene położyła dłoń na ramieniu Christophera. Ten otworzył**

oczy i rozejrzał się dziko. Gdy dostrzegł, że to ona, wyraźnie się rozluźnił. Próbował nawet obrócić sytuację w żart.

- Mamusiu, nie każ mi znowu tam wracać!

W odpowiedzi powiedziała mu to, co powiedziałaby każdemu innemu pacjentowi.

- Ale musisz, Christopher. Musisz zmierzyć się z przeszłością, by zrozumieć, że to przeszłość. Musisz przeżyć to jeszcze raz, by znaleźć dla tego wszystkiego miejsce w pamięci, by stało się to wspomnieniem, a nie czymś, co podświadomie ciągle przeżywasz, jakby się nigdy nie skończyło.

- Ale to wcale się nie skończyło - jęknął. - Nic nigdy się nie kończy. Może nigdy niczego nie zapomina.

Chwycił się obiema rękoma za głowę, przyciskając mocno swe dziwne gładkie dłonie do skroni.

- Tu nie chodzi o zapomnienie, lecz o przebaczenie - powiedziała Irene. - Musisz zrozumieć siebie i sobie wybaczyć. Cięży na tobie straszliwe poczucie winy.

Mężczyzna na leżance nadal trzymał głowę w dłoniach, ale spojrzał na Irene już oczami Maxa.

- To ty jeszcze NIC nie wiesz, siostrzyczko.

- Opowiedz mi.

- Pierwsza nazywała się Mary Malloy.

63

Panna Miller mogła zlecić renowację posiadłości specjalistom, ojciec zostawił jej w spadku okazałą fortunę. Nie

lubiła jednak, jak w okolicy kręcili się obcy ludzie, nie chciała być oglądana. Zatem, kiedy tylko się dało, Maxwell (by użyć wspólnego imienia) pracował sam.

Na tyle przynajmniej sam, na ile można tak powiedzieć o osobowości wielokrotnej. Mosze przyswoił sobie dwie encyklopedie dla majsterkowiczów i niezliczone tuziny poradników z serii ZróbToSam. Inne alter ego przeobraziły się w stolarzy, hydraulików, elektryków, malarzy i kogokolwiek jeszcze, kto był potrzebny - na miarę swoich talentów i zainteresowań. Kiedy wynajęcie pomocników z zewnątrz okazywało się mimo wszystko konieczne, Maxwell pracował z nimi ręka w rękę - a nigdy nie trzeba było mu dwa razy pokazywać, jak coś zrobić.

Do tego był niezwykle zmotywowany. Całą energię, którą wcześniej wkładał w sztuki walki, zapasy, bijatyki w poprawczaku i seks z panną Miller, poświęcił teraz remontowi, pracując od świtu do zmierzchu przez siedem dni w tygodniu. Kiedy nadeszła pierwsza zima, w domu dało się już zamieszkać. Nic wcześniej w jego życiu nie przepelniło go taką dumą.

Była akurat połowa marca, gdy Max zaszedł do Starego Sklepu Farmera w Umpqua, by zasięgnąć rady w sprawie hodowli kur, zamierzał bowiem takową założyć. Za kontuarem zastał

Mary Malloy. Bardziej obiektywny obserwator zauważyłby, że była ona młodszą wersją panny Miller - identyczne włosy w kolorze truskawkowego blond, delikatne kości policzkowe, alabastrowa skóra, filigranowa sylwetka. Christopher wiedział

tylko, że przepadł, gdy ją zobaczył.

Zacząli rozmawiać. Powiedziała, że uwielbia kury i zajmowała się nimi jako dziecko, kiedy mieszkała na farmie. Im dłużej rozmawiali, tym więcej wydawało się ich łączyć. Gdy rodzice dziewczyny zmarli, zajęli się nią świadkowie Jehowy. Spora ich grupa zamieszkiwała na skraju miasta, nad rzeką, w starych domach z początku XX wieku.

Odtąd Christopher zaczął pojawiać się w sklepie regularnie.

Przy trzeciej wizycie zebrał się na odwagę, by zaprosić ją na randkę. Miał osiemnaście lat, ale był nieśmiały wobec dziewczyn w swoim wieku. Nigdy wcześniej z żadną nie chodził. Mary zgodziła się pod warunkiem, że nie będą tego rozgłaszać. Gdyby świadkowie dowiedzieli się, że chodzi z innowiercą, odwróciliby się od niej. Wyrzuciliby ją z mieszkania, nie chcieliby nawet na nią spojrzeć na ulicy. Zostałaby wyrzutkiem, za jednym zamachem straciłaby dom, rodzinę i przyjaciół.

Tak więc, nawet kiedy zaczęli już regularnie się umawiać, trzymali to w tajemnicy. Kiedy na przykład szli do kina, wymykała się z domu i spotykała z Christopherem dopiero przy kasie.

W tamtym okresie ich związek był ciągle niewinny. Czując straszne wyrzuty sumienia z powodu swoich przeżyć jako dziecko, a następnie śmierci rodziców (molestowane dzieci zawsze miały wyrzuty sumienia, jakby ponosiły za to osobistą winę), Maxwell był pełen sprzecznych uczuć w sprawie seksu.



Sama myśl o nim przerażała Aliceę, choć z drugiej strony czuła przymus prowokującego zachowania wobec mężczyzn. Max, jak Irene przeczuwała wcześniej, internalizował upodobania Carniveana, miał też w sobie ogromne pokłady wściekłości. Christopher czuł się odpowiedzialny za uwiedzenie panny Miller.

A historia Kincha zaczęła się od żądz, zazdrości, śmierci Kronka i pożaru.

Jeśli zaś chodzi o Mary, to nawet pocałunek z języczkiem był dla niej czymś niebagatelnym. Więc nie spieszyli się. Christopher zaczął synchronizować swoje wypadki do miasteczka z jej wolnymi dniami. Spotykali się w umówionym miejscu, po czym wspólnie udawali się na grań. Karmili wspólnie kurczęta pływali w strumieniu, czasem trochę się całowali - nic poważniejszego.

Przez pierwszych kilka wizyt Mary, panna Miller nie wychodziła z sypialni. Ale Christopher opowiedział swojej dziewczynie o wszystkim. No, z wyjątkiem seksu. Uzgodniona wersja wydarzeń, w której Maxwell uratował swoją przybraną matkę przed atakiem gwałciciela, stawiała go w raczej romantycznym świetle.

Tak więc Christopher i Mary doszli wspólnie do wniosku, że panna Miller po prostu wstydzi się swojego kalectwa. Mary z pewnością nie miała podstaw do podejrzeń, że przybrana matka Chrissy'ego żywi do niej gorzką, gwałtowną zazdrość. Christopher też zresztą niczego nie podejrzewał. W końcu skończyli ze sobą sypiać jeszcze na długo przed pożarem. Nigdy

nie wpadłby na to, że panna Miller chciałaby wrócić do tego związku w swoim obecnym stanie.

Ze wszystkich alter ego jedynie nadnaturalnie dojrzały Max dostrzegał, przez co kobieta przechodzi i co z tego może wyniknąć. Ale bynajmniej nie zależało mu na Mary, ponieważ odkrył, że kiedy Christopher jest zakochany, jego osobowość rośnie w siłę dość, by zagrażać hegemonii Maxa. Trzymał więc gębę na kłódkę.

A do tego zdawało się, że panna Miller zaczyna akceptować Mary. Kto mógłby się w końcu oprzeć tej dziewczynie? Była taka słodka. Nie drgnęła nawet, kiedy zobaczyła pannę Miller po raz pierwszy, co oznaczało, że albo posiada żelazną samodyscyplinę, albo patrzy na świat oczami anioła.

Były to najszczęśliwsze czasy w życiu Christophera, lepsze nawet od dni, kiedy panna Miller uratowała go od rodziców i wpuściła do swego łóżka. A w miarę pogłębiania się jego związku z Mary, Christopher zaczął doznawać spontanicznych remisji choroby. Irene wiedziała, że tego rodzaju remisje były dość częste, kiedy osobowość wielokrotna wkraczała w dorosłość.

Czasami wyzdrowienie okazywało się trwałe. Częściej jednak symptomy wracały po trzydziestce. Ale Christopher nic nie wiedział na ten temat. Wiedział jedynie, że potrafi teraz utrzymywać kontrolę nad ciałem przez wiele dni pod rząd.

W tamtym okresie dotarli już z Mary do fazy poważnego pettingu. Dziewczyna nie zamierzała jednak posuwać się dalej.

Dlatego Christopher zrobił to, co każdy normalny, zdrowy,

**nierozsądny młody mężczyzna robił w takim wypadku od wieków: oświadczył się.**

**Mary się zgodziła. Oznaczało to, że wkrótce miała porzucić swą wiarę, przyjaciół i ludzi, których uważała za rodzinę. Ale w zamian miała Chrissy'ego, to on dawał jej odwagę do opuszczenia domu.**

**Młodzi kochankowie poinformowali o tym pannę Miller tego samego wieczoru. Christopher nie kupił Mary pierścionka - nie miał własnych pieniędzy - więc panna Miller zdjęła z palca obrączkę, którą dał jej Kronk i założyła ją na palec Mary. Christopher był w szoku. Nigdy nie podejrzewał, że dostąpi takiego szczęścia.**

**Tej nocy spali ze sobą po raz pierwszy. Chrissy nie był z kobietą, odkąd panna Miller zaczęła zamykać drzwi. Kochał się z Mary przy świetle księżyca. Było mu dobrze. Był delikatny.**

**Chociaż Mary była dziewicą, nie poczuła bólu, nie było też wiele krwi. Po tym pierwszym razie zaczęli płakać, dosłownie płakali ze szczęścia, tuląc się do siebie. Następnie zaczęli od nowa.**

**Mary wspięła się nań i zaczęła go ujeżdżać, jakby całe życie o niczym innym nie marzyła, z głową odrzuconą do tyłu i małymi jasnymi piersiami o truskawkowych sutkach wypiętymi ku górze. Jej włosy lśniły jasno w świetle księżyca.**

**Jeśli życia układają się w parabole, dla Maxwella nadszedł zenit. Chwilę później, w ciemności i zamieszaniu, rozpoczął się upadek. Podmuch od otwartych drzwi. Kroki, szelest jedwabiu.**

**Głuchy odgłos uderzenia. Zdziwiony okrzyk. Ciało Mary opada na pierś Christophera. Chłopak wyczołguje się spod niej.**

**- No i co, jak ci się to podoba, młody człowieku? - mówi panna Miller. Stoi u nóg łóżka. Christopher jest na wpół świadom, że Mary klęczy obok, przytrzymując się go jedną ręką, a drugą gorączkowo macając po swoich plecach, jakby usiłowała odpędzić pszczołę, która wspina się po jej kręgosłupie.**

**Przez moment Christopher niczego nie rozumie. Następnie włącza nocną lampkę i dostrzega rączkę szpikulca do lodu, sterczącą z krzyża Mary, i nagle rozumie już wszystko.**

**64**

**- Dzień dobry? - powiedział Alvin Ralphs, nie wiedząc za bardzo, co myśleć o wielkim łysym facecie z obandażowaną głową, który przed chwilą wtoczył się przez drzwi jego sklepu z kapeluszami i galanterią w Dallas. Przybysz miał na sobie pomiętą marynarkę sportową, narzuconą na szelki z kaburą, pomarszczone spodnie Sansabelt i wypaczone półbuty. Kombinacja ta niejednego krawca przyprawiłaby o łzy.**

**- Dzień dobry - odparł Pender, którego przyciągnął tu napis „Wielkie Kapelusze dla Wielkich Ludzi”. On też nie wiedział za bardzo, co myśleć o AMnie Raplhsie. Mężczyzna mierzył niecałe metr sześćdziesiąt, wliczając w to pięciocentymetrowe obcasy kowbojskich butów i dziesięciocentymetrowej wysokości Stetsona, którego nosił na głowie. Ubrany był w błękitnopozielaty garnitur w zachodnim stylu, z haftowanymi wyłogami - tak z**

przodu, jak i z tyłu. Kombinacja bystrych oczu i oklapniętych policzków nasunęła Penderowi myśl, że ma oto przed sobą nieślubne dziecko Little Jimmy'ego Dickensa\*[\* Amerykański gwiazdor muzyki country, znany z bardzo niskiego wzrostu (Przyp. tłum.)] („Czy guma do żucia przyklejona do latarni zachowa swój smak do rana?”) i piosenki Droopy'ego ze starych kreskówek Warner Brothers.

- W czym mogę panu pomóc? - zapytał Pendera. Jego dykcja była staranna, a głos melodyjny, niemal bez śladu teksańskiego zaciągania.

- Potrzebuję kapelusza.

- To widać.

- Więc pomyślałem sobie, że skoro już jestem w Dallas...

- Nie musi pan już nic więcej mówić.

Ralphs podniósł do góry kciuk i zmierzył nim na odległość głowę Pendera, niczym malarz, sprawdzający perspektywę.

- Osiem i jedna czwarta?

- Bingo.

Bystre małe oczka zwęziły się w szparki. Ralphs jeszcze raz zmierzył klienta swoim kciukiem, po czym potarł się po policzkach.

- J.B. Stetson El Patron, Silver Belly White - zabrzmiał w końcu werdykt, z nieodwracalnością papieskiej bulli.

Mężczyzna zniknął na zapleczu i wrócił z pudełkiem, po

czym ustawił Pendera przed trójdzielnyim lustrem, wspiął się na trzystopniową drabinkę i z aurą wielkiej ceremonii opuścił El Patrona na głowę agenta, upewniając się, że dokładnie zasłoni on bandażem.

- Mam do pana pytanie: czy Alvin Ralphs zna się na kapeluszach?

- Bez cienia wątpliwości - odparł Pender, podziwiając swoje odbicie. A przynajmniej odbicie kapelusza. - Jednak od ronda w dół wyglądam gówniano, he?

- Powiedzmy, że od szyi w dół, proszę pana.

- Kiedyś mi powiedziano, że jestem najgorzej ubranym agentem w historii FBI.

- Oby to była prawda - odparł Alvin Ralphs.

65

- Masz zamiar ją dobić, czy pozwolimy jej cierpieć? - pyta panna Miller, podczas gdy dziewczyna, którą Christopher kocha, upada twarzą na łóżko. Ciągłe podejmuje słabe próby wyciągnięcia szpikulca do lodu, który sterczy z dolnej części jej pleców.

Pręt ześlizgnął się po jej kręgosłupie lędźwiowym i przebił prawą nerkę, powodując tym samym wewnętrzne krwawienie. To była kwestia czasu. - Zapewniam cię, mi to nie robi żadnej różnicy.

Brak odpowiedzi. Christopher obejmuje swoje kolana, opierając się o wezglowie łóżka.

- Wiem, co się teraz dzieje w tym twoim małym zdradzieckim umyśle - dodaje panna Miller, podciągając eleganckim gestem suknię i siadając na rogu posłania. - Wydaje ci się, że ciągle zdążysz ją uratować. Porwać w ramiona, pojechać do szpitala. Zostać bohaterem.

Mary zaczyna tymczasem wzywać jego imię.

- Chrissiii, Chrissiii.

Panna Miller podnosi swój słaby głos, by nie zagłuszyły go jęki.

- Ale zanim to zrobisz, Ulysses, zastanów się, co będzie, jeśli ci się nie uda. Jeśli umrze po drodze. Co im powiesz? Że niby ja to zrobiłam? A jeśli ja powiem, że to ty, że zgwałciłeś ją i zadźgałeś?

- Chrissiii, Chrissiii, pomóż miii...

- Jak ci się zdaje, przepraszam, jak ci się wydaje, Ulysses, komu uwierzą?

Głos Mary zaczyna słabnąć.

- Chrissy, to boli, Chrissy, o Boże, co się dzieje...

- Mnie czy tobie? Biednej, słabej kalekiej nauczycielce, czy chłopakowi, którego nasienie znajdą w ofierze. Chłopcowi, który raz już zabił kogoś szpikulcem do lodu?

Christopher przyciska dłonie do uszu, próbując odciąć się nie tylko od głosów obu kobiet, ale też od kakofonii we własnej głowie.

- ...to boli, Chrissy, tak bardzo boli, pomóż mi, Chrissy...

- Dobij ją, Ulysses. Nie ma innego wyjścia.

- ...proszę, Chrissy, o Boże, Chrissy, boli, bardzo boli...

Ulysses... Chrissy... Ulysses... Chrissy...

- **ZAMKNIJCIE SIĘ! ZAMKNIJCIE SIĘ WSZYSCY!**

Cisza. Cisza w sypialni, cisza w lesie. Jest niemal południe, co sprawia, że efekt światłocienia jest wyraźniejszy niż kiedykolwiek. Tam, gdzie promienie słońca przebiły płataninę gałęzi, widać białe kolumny światła. W innych miejscach zalega gęsty czarny cień.

Irene Cogan zamknęła notatnik i nachyliła się do przodu.

- Chciałbyś zrobić przerwę? - zapytała szeptem, niemal wprost do ucha odwróconego tyłem Maxa.

Jego głowa poruszyła się powoli w lewo, następnie w prawo.

Nie.

- Na pewno?

Skinięcie.

- Więc, co dalej?

Powoli odwrócił się do niej. Jego oczy były puste, twarz bez wyrazu.

- Kinch - odpowiedział. - Dalej jest Kinch.

Panna Miller obserwuje wszystko z progu drzwi. Nie chce zostać ochlapana. Czeką, aż Kinch skończy, po czym podchodzi do łóżka. Pochyla się, ostrożnie, by nie ubrudzić sukienki krwią. Podnosi lewą dłoń Mary, zsuwa z niej pierścione, który dała dziewczynie podczas kolacji. Wyciera o pościel i zakłada na własny palec. Dopiero wtedy odzywa się do Ulyssesa.

- Posprzątaj to - mówi. Bezwiednie dotyka taniej



syntetycznej peruki, którą dali jej w szpitalu. Zamyśla się na chwilę. - Aha - dodaje w końcu. - Chcę jej włosy. Chyba powinnam poćwiczyć robienie peruk.

66

Osobowość wielokrotna przypomina nieco zespół sportowy z długą ławką rezerwowych. Christopher ukrywał się, Max był zmęczony, zatem atrakcyjna misja udania się do miasta po zapasy przypadła w udziale Ulyssesowi, zdetronizowanemu gospodarzowi systemu.

Zanim wyruszył, przyniósł Irene na tacy obiad i z przepaszającym wyrazem twarzy zamknął za sobą drzwi na klucz.

- Ttto dla tttwojego własnego dddobra - powiedział. Nie była to kolejna odgrywana postać, ale prawdziwa wada wymowy. - Ją ttteż zamykam.

Irene nie tknęła jedzenia. Wciąż próbowała przetrwać wiadomość, że na grani zamieszkiwało co najmniej dwoje psychopatycznych morderców - Kinch i panna Miller. Zamiast jeść, usiadła przy stoliku z widokiem na zieloną łąkę i zaczęła pisać testament.

Ja, Irene Cogan, będąc zdrowa na ciele i umyśle, niniejszym deklaram swoją ostatnią wolę. Wszystkie moje dobra doczesne mają zostać równo podzielone pomiędzy mego ojca, Edwarda McMullena z Sebastopola, oraz moich braci, Thomasa McMullena z San Jose i Edwarda McMullena juniora z Campbell.

Jedynym wyjątkiem jest moja biżuteria, która ma zostać przekazana mej drogiej przyjaciółce, Barbarze Klopffman z Pacific Grove.

Coś jeszcze? Niewiele tego wyszło, jak na całe życie. Nie, żeby miało to jakieś znaczenie - szanse były niewielkie, że ktoś znajdzie ten dokument. Może po latach, jeśli dobrze go ukryje. Albo nigdy, jeśli ukryje go za dobrze lub nie dość dobrze.

Wyrwała zapisaną kartkę z notatnika i wsunęła ją pod dzielony blat stolika, po czym podniosła z łóżka prześcieradło i związała jego końce. Nie było sensu dłużej ludzić się, że ktoś ją uratuje, albo że uda jej się dokonać za pomocą terapii jakiejś cudownej fuzji Maxwella, która nawróci go na dobrą drogę. Wiedziała, że nadszedł czas na ucieczkę, a przynajmniej na aktywne przygotowania do niej. Wiedziała to od momentu, kiedy w połowie porannej sesji Maxwell wypowiedział tamte mrozące krew w żyłach słowa: „Pierwsza nazywała się Mary Malloy”.

Pierwsza? Święty Jezu, pierwsza? Zrozumiała, że Maxwell nigdy nie wypuści jej z własnej woli. Wszystko, co miało po niej pozostać, to majtki i sportowy stanik w górnej szufladzie komody, top w środkowej, szorty w dolnej oraz Reeboki na dnie szafy. No i oczywiście jej włosy w kolorze truskawkowego blond na głowie panny Miller.

Dach werandy od parapetu okna dzielił pięciometrowy spadek. Dwa koce i dwa prześcieradła związane ze sobą rogami i zaczepione o nogę ciężkiej komody dały razem zbliżoną długość.

**Irene nie schodziła po linie od czasów szkoły średniej, ale nadal słyszała w głowie głos panny Hatton: Używajcie nóg, dziewczęta! Używajcie nóg! Po to Pan Bóg zrobił je silniejsze od waszych rąk!**

**Irene, ubrana teraz w dżinsy marki Guess? i zielony dżersej z długimi rękawami, wysunęła nogi za okno, szorując brzuchem po parapecie. Musiała przewrócić się na bok, by precyzyjnie przycisnąć ramiona przez wąski otwór. Wisząc na rękach, dwukrotnie owinęła nogę wokół zwisającego prześcieradła. Przyciskając drugim obcasem linę do górnej części owiniętej stopy, puściła się parapetu i zaczęła powoli zsuwać.**

**Dziękuję, panno Hatton, powiedziała do siebie, gdy jej nogi dotknęły pochylego daszku. Dopiero wtedy zorientowała się, że od ziemi nadal dzieli ją trzy metry. Podeszła do narożnika, położyła się na brzuchu i zsunęła w dół, czepiając się aluminiowej rynny. Po chwili objęła ją nogami i zjechała po niej aż do końca. Kiedy jej stopy uderzyły w ziemię, cofnęła się parę kroków i spojrzała wysoko, wysoko w górę, na okno swojej sypialni.**

**Nagle pomyślała, cokolwiek późno, że jeśli nie znajdzie drogi ucieczki przed powrotem Maxwella, to może jej nie wystarczy sił, by wspiąć się z powrotem do pokoju.**

**Czas bujać tyłki, drogie panie. Bujać tyłki, pomyślała - było to kolejne powiedzenie panny Hatton.**

**Po półgodzinnym równym truchcie, Irene doszła do wniosku, że jej pierwsza hipoteza była prawidłowa - ze Wzgardliwej Grani nie było łatwo się wydostać. Ogrodzenie pod napięciem otaczało**

całą posiadłość, a o jego skuteczności zaświadczały świeżo zwęglone zwłoki królika, które leżały tuż za płotem, w północnozachodnim skraju łąki. Brama w południowozachodnim rogu posesji, która prowadziła w stronę strumienia, nosiła trójkątny, żółty znak wysokiego napięcia, a obie bramy tunelu w rogu południowowschodnim były zamknięte na kłódki i zabezpieczone od góry potrójną linią drutu kolczastego pod napięciem, zawieszzonego na ceramicznych izolatorach.

A kiedy Irene zajrzała przez siatkę w zielony półmrok tunelu, rottweilery już tam czekały. Sześć psów weszło przez boczną bramkę tunelu i chodziło po jego obwodzie niczym lwy w klatce, nie spuszczając z Irene spojrzeń bursztynowych oczu, nawet kiedy ta się wycofała.

Nie znalazłszy żadnego wyjścia z posesji, Irene postanowiła zbadać zabudowania gospodarskie. Pobiegła asfaltową drogą, która przecinała las i zakręcała ku północy, podążając wzdłuż szczytu Wzgardliwej Grani. Minęła dom i kurnik, po czym za wybrzuszeniem terenu odkryła starą czerwoną stodołę z suwanymi wieżkami i cementową podłogą.

W stodole nie było żadnych zwierząt. Zamiast tego boksy zajęte były przez pojazdy. Ford Taurus, Volkswagen garbus, niebieski Nissan, Geo Metro, Lexus coupe za czterdzieści tysięcy dolarów, oraz, w pierwszym boksie po prawej, stara Maybelline, szarobłękitne Coupe de Ville. Jedynie Maybelline oraz Lexus zaopatrzone były w tablice rejestracyjne. Teksaska rejestracja

**Lexusa była nieważna od pół roku. Po bezowocnych poszukiwaniach kluczyków do któregoś z samochodów, Irene wspięła się po drabinie do antresoli na siano, wypełnionej po brzegi tysiącami książek, czasopism i magazynów z różnych okresów i na każdy możliwy temat, ułożonych w stosy i rozrzuconych po podłodze w kompletnym na pierwszy rzut oka chaosie.**

**Ma to sens, pomyślała Irene, badając antresolę. Z MTP, takim jak Mosze, Maxwell nigdy nie musiał czytać książki dwa razy ani szukać którejś z już przeczytanych, żeby coś sprawdzić. W pewnym sensie antresola ta była niczym model umysłu Maxwella: zabalaganiony magazyn wypełniony niezliczonymi informacjami.**

**Encyklopedie. Książki historyczne. Stare numery „Scientific American” i „Poultry Journal”[\* Czasopismo poświęcone hodowli drobiu.]. Fikcja: dużo Joyce’a - co najmniej trzy różne wydania Ulissesa. Horrory: King, Koontz, Card. Kryminały w miękkich, ociekających rysunkową grozą okładkach. Książki kryminalistyczne, głównie biografie seryjnych morderców: Bundy, Gacy, Kuba Rozpruwacz, Thomas**

**Piper, Bela Kiss, dr Thomas Neill Cream. Czerwony Smok i Milczenie owiec. Stosy „National Geographic”, wyróżniające się z daleka żółtymi grzbietami. Książki podróżnicze. Powieści szpiegowskie. Literatura medyczna, w tym ksero pierwszego**

wydania Anatomii Graya. Całe sterty magazynów pornograficznych, z nieproporcjonalnie dużą ilością sadomasochizmu. Literatura erotyczna, w większości skupiająca się na tematyce gwałtu lub kazirodztwa, jeśli sędzić po okładkach. Tuż obok podręczniki stolarstwa, ciesielstwa, łowiectwa, perukarstwa, rzeźnictwa, elektryki, ogrodnictwa.

A wzdłuż tylnej ściany - pod drzwiami, które kiedyś zapewne prowadziły do rampy na siano - leżały rozrzucone w nieładzie wydawnictwa psychologiczne. Nawet Irene nie mogła się pochwalić równie bogatą kolekcją. Były tam wszystkie najważniejsze książki o tej tematyce, w tym kosztowne pierwsze wydanie Psychodiagnostyki Rorschacha oraz spory zestaw podręczników do testów MMPI i skojarzeniowych - nic dziwnego, że Maxwell nie miał z nimi żadnych problemów.

Była tam również eklektyczna kolekcja czasopism i magazynów. Powodowana ciekawością, Irene zaczęła je przeglądać.

Szukała numerów, które zawierały jej artykuły - tych, które cytował Mosze. Jeden znalazła od razu: numer czasopisma

„Journal of Consulting and Clinical Psychology” z jej porównaniem pomiędzy definicjami dysocjacyjnych zaburzeń osobowości a osobowości wielokrotnej. Zaraz obok oparty o ścianę stał numer „Journal of Nervous and Mental Diseases” z 1997 roku.

A tam, w rogu, wydanie „Psychology Today” z jej artykułem

o transie dysocjacyjnym w chrześcijaństwie zielonoświątkowym. Irene przekartkowała magazyn i znalazła swoje zdjęcie na stronie ze spisem autorów.

- Dobranoc, Irene, stara idiotko - wymamrotała pod nosem.

Maxwell, z pomocą Mosze, zapewne rozpoznał ją, kiedy tylko ją zobaczył.

Schodząc po drabinie, Irene przyszło do głowy, że przegapiła mało prawdopodobną, ale niezwykle ważną możliwość. Maybelline! Telefon samochodowy! Wielki Boże, jeśli Max zostawił telefon w wozie...

Zeskoczyła w połowie drabiny i pobiegła wzdłuż boksów w kierunku Cadillaca. Nie znalazła kluczyków, ale telefon komórkowy nadal tkwił w środku, podłączony do gniazda zapalniczki. Czerwone oczko ładowarki lśniło w półmroku stodoły.

Irene wstrzymała oddech, podniosła słuchawkę i spojrzała na zielony wyświetlacz. BRAK ZASIĘGU.

Po chwili przypomniała sobie jednak, jak Max mówił wczoraj, że musiał wyjść na dach, by złapać sygnał. Pospieszenie wspięła się z powrotem na górę i sprawdziła wyświetlacz ponownie. BRAK ZASIĘGU. Przeszła pod jedną ścianę, później pod przeciwną, nawet wychyliła się przez okno i uniosła telefon wysoko nad głowę. BRAK ZASIĘGU.

Ale przecież Maxwell zapewniał ją, że dzwonił w sprawie Bernadette. Irene przypomniała sobie ostatni moment, kiedy

widziała czarnowłosą dziewczynę w bocznym lusterku samochodu, leżącą na boku, nieruchomą, z zamkniętymi oczami. Z przyprawiającym o mdłości przekonaniem Irene zrozumiała, że Maxwell ją okłamał. Zabił Bernadette albo zostawił ją tam na śmierć. Po chwili Irene przypomniała sobie też jego tajemnicze słowa, gdy wyszedł z przyczepy starego Billa z Bel Sur. Tak się składa, że staruszek właśnie rzucił palenie.

Rzucił jak diabli, pomyślała Irene. A Barbara? Czy Maxwell okłamał ją też w sprawie Barbary? Czy znalazł jakiś sposób, żeby ją też zabić, nie wzbudzając podejrzeń? Irene jęknęła, opadła na kolana i zaczęła zwracać te parę kęsów, które zdołała uszczknąć ze znakomitego wiejskiego śniadania, przyrządzonego pięć godzin temu przez pannę Miller.

67

Maxwell nie czuł się komfortowo z myślą o tym, że zostawił Irene na farmie sam na sam z panną Miller - nawet mimo tego, że były zamknięte w pokojach - dlatego nie tracił ani chwili czasu przy załatwianiu spraw w mieście. W Starej Aptece Umpqua Ulysses zrealizował recepty panny Miller i zakupił butelkę „Zawsze truskawkowy blond”, następnie udał się do sklepu Costco, gdzie wydał dwieście dolarów z pozostałych funduszy Donny Hughes na uzupełnienie zapasów żywności, niemal wyczerpanych na skutek jego długiej nieobecności, a na koniec zahaczył jeszcze o Stary Sklep Farmera na obrzeżach miasteczka. Ale to Christopher wyszedł stamtąd, niosąc świeże



zapasy ziarna, dodatków do paszy, psich smakołyków oraz cztery dwudziestopięciokilowe torby psiej karmy. Znajome wnętrze, wspaniały zapach siana i lucerny, drobinki kurzu wirujące w snopach światła, które wpadały przez wysokie okna - wszystko to przyczyniło się do przełączenia osobowości.

Powrót na Wzgardliwą Grań, po ostrych zakrętach i serpentynach Charbonneau Road, załadowanym pod dach Grand Cherokee zajął prawie godzinę, ale Christopher cieszył się każdą chwilą. Po długiej porannej sesji i krótkim odpoczynku w ciemnościach czuł się zaskakująco dobrze, był rześki i pełen wigoru.

Najwyraźniej książki Isha z antresoli w stodole nie kłamały, opowiadanie o swoich najgłębszych ranach rzeczywiście przyniosło efekt w postaci katharsis.

Po raz pierwszy rozmawiał o Mary z kimś innym niż nienawidząca jej panna Miller. Wedle ksiązek, co prawda, było o wiele za wcześnie, by spodziewać się pełnego wyleczenia, jednak Christopher zaczynał się czuć, jakby najgorsze było już za nim. W końcu, co te książki mogły wiedzieć o zasobach i możliwościach najsprawniejszej osobowości wielokrotnej na świecie?

Ale nawet w pełni świadoma osobowość wielokrotna nowej generacji nie była w stanie poradzić sobie z tym sama. Christopher zrozumiał, iż zawdzięcza swój spokój ducha Irene. Nagle zdał sobie sprawę, że jeszcze trochę, a zakocha się w niej po uszy.

Wiedział wprawdzie, co na ten temat miały do powiedzenia książki - transferencja - ale wiedział też, że łapiduchy, które pisały te książki nie miały pojęcia o tym, jak to jest być osobowością wielokrotną. Zakochiwanie się było funkcją Christophera.

Wzmacniało to system i przydawało ciału energii życiowej.

Oraz niesamowicie wkurzało Maxa. Ale to jego problem. Powinien był to przewidzieć, a takie przeoczenie wskazywało na to, że słabnie, a jego długa tyrania być może wreszcie dobiegała końca.

Christopher wprowadził Grand Cherokee w chłodny zielony półmrok tunelu i zamknął za sobą zewnętrzną bramę. Psy wybiegły, by go przywitać. Bawił się z nimi przez parę minut, po czym nagrodził każdego smakołykiem z niewyprawionej skóry i wyładował z wozu worki z karmą.

Kiedy dotarł do domu, wypakował resztę zakupów, pozbył się siwej peruki, którą zawsze nosił podczas wypadów do miasteczka, po czym odprowadził samochód do stodoły. Wychodząc z budynku, wyczuł dziwny, nietypowy zapach - zapewne martwego gryzonia - ale za bardzo się spieszył na spotkanie ze swoją nową ukochaną, by to od razu sprawdzić.

Teraz - kiedy już wiedział, że kocha Irene - nie mógł się doczekać, by ją zobaczyć. W drodze na górę przeskakiwał schody po dwa stopnie, udając przy okazji, że nie słyszy wezwań panny Miller. Zapukał do drzwi Irene. Bez odpowiedzi. Zapukał głośniejsze, po czym przekręcił klucz w zamku i cicho otworzył drzwi.

**Pokój był pusty. Po chwili paniki i zerkania w stronę wąskiego okna, usłyszał odgłos lejącej się wody. Na palcach wszedł do łazienki i zobaczył kształt smukłego ciała za matową kurtyną prysznicową. Poczuł, jak robi mu się ciasno w spodniach.**

**Musiał użyć całej siły woli, by wycofać się z pokoju. W końcu zagwarantował jej prywatność, jednak czterdzieści osiem godzin w mroku, z dala od ukochanej, było dla Christophera stanowczo zbyt długim czasem.**

**Kiedy Irene - ciągle wyczerpana psychicznie i fizycznie, swoimi odkryciami w stodole i desperacką wspinaczką do okna - wyłączyła wodę i wyszła spod prysznic, usłyszała, jak z korytarza wołają Maxwell.**

**- Zaraz - odkrzyknęła, po czym owinęła jeden ręcznik wokół swoich piersi, a drugi wokół włosów. Przechodząc przez pokój, upewniła się jeszcze, czy wszystko jest na miejscu - okno zamknięte, łóżko zasłane - i dopiero wtedy otworzyła drzwi.**

**- Mam dla ciebie prezent - powiedział Maxwell, przechodząc obok niej do pokoju. Wręczył jej butelkę „Zawsze truskawkowy blond”. - Do czasu, aż same odrosną.**

**Umysł Irene spróbował przetrwać implikacje tego gestu.**

**Przygotowywał ją na ofiarę? Zakochał się? Jednak następne słowa Maxwella przerwały jej myśli jak cios noża.**

**- Widzę, że byłaś niegrzeczną dziewczynką.**

**Irene zbladła i obróciła się do niego.**

**- Co... co masz na myśli? - zapytała, z trudem kontrolując**

swój głos.

**Wskazał w kierunku stolika pod oknem.**

**- Jedzenie. Nie tknęłaś go.**

**63**

**Wielki lysis mężczyzna w eleganckiej sportowej marynarce w zachodnim stylu, z haftowanymi wyłogami z tyłu i z przodu, w nowiutkich kowbojskich dżinsach Wranglera i lśniących butach Tony Lama ze srebrnymi czubkami, uchylił swego białego Stetsona stewardessie, wysiadając z odrzutowca na lotnisku w Eugene w stanie Oregon.**

**Nowy styl Pendera nie był pomyślany jako przebranie. Sądził, że FBI nie zniży się do wysyłania BOLO za własnym agentem.**

**Ale, jak podkreślił Alvin Ralphs, posiadacz nowego El Patrona powinien trzymać się określonych standardów. Czemu nie pozwolić dla odmiany komuś innemu, by był najgorzej ubranym agentem FBI?**

**Wychodząc ze sklepu, Pender jeszcze raz obejrzał swoje zmienione odbicie w lustrze - od wysokich obcasów butów do szczytu wielkiego kapelusza mierzył teraz ponad dwa metry.**

**- Po ubraniu widzę, że jesteś kowbojem - powiedział do siebie niskim głosem. Niełatwo jednak było się przyzwyczać do nowego wzrostu - wychodząc przez drzwi terminalu, strącił sobie z głowy kapelusz.**

**Pender zapłacił za lot z własnego konta. Przybył do Eugene**

w poniedziałkowe popołudnie po tym, jak umyte po weekendowych klientach samochody do wynajęcia wróciły już na parking, mógł więc w nich przebierać jak w ulęgalkach. Ponownie płacąc własną kartą, wziął Dodge'a Interpid o sportowej sylwetce. Było tam akurat dość miejsca, by zmieściły się jego nogi i kapelusz.

Zaopatrzony w świeżo kupione mapy, wyruszył w kierunku hrabstwa Umpqua.

Kiedy dotarł do stolicy hrabstwa, było już zupełnie ciemno.

Umpqua City zostało założone w czasie gorączki złota w latach pięćdziesiątych XIX wieku. Na początku, zanim nie skończyło się złoto, było miasteczkiem górniczym, po czym zmieniło się w osiedle drwali. Odkąd lasy zostały zdziesiątkowane, desperacko próbowało znaleźć nową tożsamość jako miejscowość turystyczna. Pender wynajął pokój w Starym Hotelu Umpqua, dwupiętrowym, żółtym ceglany budynku, który stał naprzeciwko sądu okręgowego i położonej zaraz obok Starej Apteki Umpqua. Po długim prysznicu Pender uraczył się łososiem w Sali Umpqua - drewniane panele, białe obrusy i kelnerzy z podwiązkami na rękawach koszul.

Przed pójściem do łóżka, wyłączył telefon i pager. Dla kogoś innego nie byłoby to zapewne nic takiego, ale dla Pendera oznaczało to, że po raz pierwszy od ponad ćwierćwiecza znalazł się poza zasięgiem Biura.

Irene jadła kolację w samotności. Wieczorem znowu została zamknięta w pokoju. Christopher wolalby jej towarzyszyć, ale wiedział bardziej niż ktokolwiek, jak niebezpieczna potrafi być panna Miller, jeśli zbyt długo się ją ignoruje. Teraz przynajmniej mógł odpowiedzieć na jej narzekania, że siedziała w zamknięciu krócej niż Irene.

Jednak szanse na to, żeby tej nocy pannę Miller odwiedził

Peter były zerowe. Christopher miał inne plany. Zjedli razem kolację, umyli naczynia, odwiedzili Freddiego Mercury'ego i jego gromadę, siedli na ganku i obserwowali wspólnie zachód słońca nad Rogatą Granią, rozdwojonym szczytem na zachodzie.

Ale kiedy czerwone światło rozplynęło się w mroku nocy, Christopher odszedł razem z nim. Gdy Irene siedziała nad swoim drugim haiku, usłyszała pukanie do drzwi. Szybko zerknęła na swoje dzieło:

Wzgardliwa Grań.

Wieczór. Truskawkowy blond.

Nie chcę umierać.

Zamknęła notatnik i schowała go pod blatem.

- Tak?

- To ja, Christopher. Mogę wejść?

- Możemy z tym poczekać do rana?

Nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

- Chciałem tylko powiedzieć dobranoc.

Irene zdecydowała, że to równie dobry moment na

sprawdzenie go, jak każdy inny.

- Zatem, dobranoc.

- Chcę wejść.

- Christopher, mamy kontrakt. Zgodziłeś się uszanować moje prawa. Na pewno zdajesz sobie sprawę, że leczenie zaburzeń dysocjacyjnych może być w równym stopniu męczące dla terapeuty, co dla pacjenta. Naprawdę chciałabym dziś wieczór zostać sama. Zobaczymy się rano, kiedy będę świeża, wypoczęta i gotowa do działania.

Po drugiej stronie drzwi Christopher był w rozterce. Czuł przemożną chęć, by pozwolić ją wziąć Maxowi lub któremukolwiek z innych - jeśli nie byłby to Lyssy, Christopher przynajmniej zobaczyłby to we wspomnieniach. Po chwili jednak zorientował się, że całe to poczucie było zapewne dziełem Maxa.

Irene przyłożyła ucho do drzwi. Słyszała jego oddech.

- Dobranoc, Christopher - powiedziała, starając się nadać swoim słowom miły i troskliwy wydźwięk.

- Dobranoc, Irene - odparł po chwili, po czym zniżył głos do szeptu. - Zobaczę cię w moich snach.

Panna Miller jest pogrążona w półśnie. Drzwi od jej pokoju otwierają się, po czym zamykają cicho.

- Ulysses? - pyta, wrywając się z narkotycznego otumanienia, kiedy mężczyzna wsuwa się do jej łóżka.

- Ciii.

Christopher, w przeciwieństwie do Maxa i Petera, nie kochał

się z panną Miller od czasu, kiedy był chłopcem, jednak Irene nie dała mu wyboru, biorąc pod uwagę fakt, że po dzisiejszych wydarzeniach wizyta w suszarni nie wydaje mu się już atrakcyjną opcją.

Panna Miller leży na plecach. Christopher widzi jej odsłoniętą twarz lepiej niż by chciał. Jego erekcja gwałtownie słabnie.

Pospiesznie zamyka oczy, odwracają na bok, plecami do siebie, i podciąga jej koszulę nocną aż do łopatek. Plecy kobiety nie są okaleczone. Kiedy przesuwa dłońmi po jej kręgosłupie i miętoski pośladki, niemal jest w stanie sobie wmówić, że to smukły, gładki tyłek Irene. Erekcja powraca. Christopher nie chce jednak psuć iluzji, próbując wejść w nią od tyłu. Zamiast tego podnosi członka w górę, więżąc go pomiędzy jej tyłkiem a swoim brzuchem, po czym zaczyna gwałtownie się ocierać.

- Och, Ulysses - mruczy kokieteryjnie. Jest lekko podniecona, naćpana i rozbawiona. - Jak za dawnych lat - dodaje. Ma na myśli froteryzm.

- Ciii - ucisza ją ponownie. Ten głos wszystko zepsuje.

Zaciska powieki jeszcze mocniej, jakby miało mu to pomóc w odcięciu dźwięku. - Nic nie mów. Proszę, nic nie mów.

W pokoju zapada cisza, nie licząc rytmicznego szelestu jedwabnych prześcieradeł. Pięć minut, dziesięć minut - szszsz, szszsz, szszsz, szszsz. Następnie słychać jęk i wszystko się kończy.

- Dziękuję - odzywa się Christopher.



Nie ma żadnej odpowiedzi, jedynie równy, chrapliwy oddech panny Miller. Wygląda na to, że zasnęła.

- Nie, to ja ciękuję. Plosę kiedyś jescce wpaść - odpowiada za nią głosem Irene, by przedłużyć fantazję. Następnie chichocze cicho, wyciera się skrajem jedwabnej koszuli i ostrożnie wysuwa z łóżka, starając się za wszelką cenę uniknąć dalszego kontaktu z tym okropnym ciałem.

70

Kiedy jako dziecko Irene mieszkała w słonecznym San Jose, nie wiedziała, czym jest mgła. Gdy dorosła, odkryła, że ją lubi.

Ktoś, kto nie lubi, nie powinien zresztą przeprowadzać się do Pacific Grove. Niewiele rzeczy sprawiało im z Frankiem większą przyjemność niż leżenie w łóżku ich sypialni na piętrze i zapijanie kawą ciasteczek z cynamonem w mglisty niedzielny poranek. Na kołdrze leżały dwie gazety - „Monterey Herald” i „San Jose Mercury News” - w sypialnianym telewizorze z wyłączonym dźwiękiem nadawano mecz futbolu amerykańskiego lub koszykówki (Frank lubił oglądać sport), z radia sączyła się muzyka klasyczna (którą lubiła Irene), a za oknem srebrzyste opary leniwie płynęły przez gałęzie wielkiego dębu, który rósł na podwórku.

Jednak mgła na Wzgardliwej Grani była zupełnie innym zjawiskiem - przybijająca, wilgotna, zimna i ciężka. Kiedy Irene otworzyła oczy we wtorkowy poranek, zaraz po wschodzie słońca, wydało jej się, że mgła napiera na okno sypialni, jakby usiłowała

znaleźć szparę, przez którą mogłaby wcisnąć się do pokoju.

Zaciągnęła kołdrę na głowę i spróbowała ponownie zasnąć.

Po jakimś czasie - jak długim, nie potrafiła stwierdzić - Irene odkryła, że siedzi na ubikacji z podwiniętą sukienką i nie pamięta, żeby wchodziła do łazienki. Próbowała sobie wmówić, że to zabawne, a przynajmniej ironiczne - specjalistka od zaburzeń - dysocjacyjnych w stresowej sytuacji sama zaczyna przejawiać symptomy tego rodzaju zaburzeń - jednak nie było to zabawne.

Ani trochę.

Był to znak, że czas się wziąć w garść. Następną godzinę spędziła przy stoliku, przeglądając swój notatnik i szukając słabego punktu w systemie Maxa; czegoś, co mogłaby wykorzystać do własnych celów pod pozorem terapii. Według notatek jedynym alter ego, które nie dzieliło pamięci z Maxem i pozostałymi, był mały Lyssy.

Max jednak powiedział, że z Lyssym nie było kontaktu.

Nawet jeśli kłamał, dotarcie do Lyssy'ego wymagało hipnozy, a ta - współpracy Maxa. Nawet gdyby udało się jej dotrzeć do Lyssy'ego, była to słaba, infantylna osobowość, która nie potrafiłaby jej w żaden sposób pomóc, chyba że znała sposób na wyłączenie prądu w ogrodzeniu, co nie wydawało się prawdopodobne.

Co innego Mosze. Mosze na pewno wiedział, jak to zrobić.

Na pewno też powiedziałby jej. Jednak w przeciwieństwie do Lyssy'ego, Mosze dzielił wspomnienia z Maxem - być może nawet

potrafili w jakiś sposób dzielić świadomość albo wypracowali sobie inny sposób na jednoczesną manifestację. Jeśli tak było, Max przejrzałby jej plany w tym samym momencie, w którym Mosze podałby odpowiedź.

Inną opcją była Alicea. Być może udałoby się nawiązać z nią nie siostrzanego porozumienia. Ale nawet gdyby zgodziła się pomóc Irene, Max mógł z łatwością ją wyłączyć.

Ale za to Christopher... Co on dokładnie wczoraj powiedział?

Że kiedy był zakochany, jego osobowość była dość silna, by zagrozić władzy Maxa? Dlatego Max nie ostrzegł go przed panną Miller.

Kiedy był zakochany. Zakochany. Zakochany...

Irene znów obudziła się w łazience. Tym razem jednak nie siedziała na ubikacji, lecz stała przed zlewem, wpatrując się na przemian w butelkę „Zawsze truskawkowy blond” na metalowej półce oraz własne odbicie w lustrze.

Po raz pierwszy od lat Christopher zachował kontrolę nad ciałem w trakcie zasypiania i utrzymał ją na tyle długo, że dotarł do fazy REM. Na początku snu był z Mary na dzikiej plaży. Zanurzona po szyję w ciemnozielonej wodzie, zsunęła górną część swego stroju. Jej sutki, stwardniałe od zimna, wyraźnie sterczały.

Kiedy jednak sen się kończył, nie była to już Mary. Dziewczyna tajemniczo zmieniła się w Irene. Christopher nie miał nic przeciwko. Wrócił do drugiej fazy snu z błogim uśmiechem na

twarży i erekcją na tyle dużą, że jeszcze przez kilka minut nie odwracał się na brzuch.

Jednak gdy nadszedł ranek i ciało zbudziło się, nie było tam już Christophera. Pojawił się Max. Jak zwykle, jakby oglądał to w filmie, przypomniał sobie wszystko, co się działo, gdy ciałem zawiadywały inne alter ego. Od razu pojął, co się święci. Nie dość, że terapia dodawała sił i wpływów Christopherowi, inne alter ego też wydawały się wzmocnione. Dokładnie odwrotnie niż zamierzał. Postanowił położyć temu kres.

- Nie... ma... szans - powiedział na głos. - Nie byłoby to właściwe - dodał, imitując po amatorsku George'a Busha, o wiele poniżej swoich normalnych standardów.

Kiedy około dziesiątej rozległo się pukanie do drzwi Irene, mgły już nie było. Zaczynał się kolejny piękny dzień w Górach Kaskadowych.

- Chwileczkę.

Irene spojrzała w lustro, poprawiła swoje ciągle wilgotne włosy w kolorze truskawkowego blond i otworzyła drzwi. Z początku nie potrafiła ocenić, z którym alter ego ma do czynienia, ale ktokolwiek to był, ewidentnie nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Więc, jak wyglądam? - zachęciła go.

Zagwizdał cicho, nie mogąc oderwać od niej oczu.

- Moje sny właśnie stały się jawą.

To Christopher, zdecydowała. Dzięki Bogu.

- Są trochę ciemne, ale pewnie rozjaśnią się, jak tylko wyschną.

- Są idealne.

- Dziękuję. A tak przy okazji, chciałabym przeprosić za wczorajszy wieczór, że nie wpuściłam cię do pokoju, kiedy chciałeś powiedzieć dobranoc. Prawdę mówiąc, odniosłam wrażenie, że możesz doświadczać transferencji, a tak już naprawdę szczerze, ja sama doświadczyłam kontrtransferencji.

- Teraz to naprawdę śnię na jawie.

- Nie możemy jednak się temu poddać. Na pewno rozumiesz, że nam nie wolno.

- Oczywiście.

Dostrzegła w jego oczach ból.

- Przynajmniej nie teraz - dodała pośpiesznie. - Mamy przed sobą jeszcze mnóstwo pracy.

- Rozumiem - odparł słodko.

Choć jego głos był głosem Christophera, Irene mogłaby przysiąc, że przez chwilę widziała sardoniczny wyraz twarzy Maxa, prześwitujący spod tego ciepłego uśmiechu i nakrapianych złotem brązowych oczu.

- Czy od czasu ostatniej sesji zdarzyło się coś, o czym chciałbyś mi powiedzieć?

Tego przedpołudnia w lesie było chłodniej niż w poprzednie dni. Max narzucił na swoją hawajską koszulę ciężki sweter z Oaxaca w białobrązowe wzory. Irene ubrana była w zapinany na

guziki sweter w kolorze żurawiny, nałożony na bluzkę z krótkim rękawem, oraz spodnie z grubej białej bawełny.

- Poza tym, że zakochałem się w mojej terapeutce?

Spojrzał ponad ramieniem i rozciągnął usta w charakterystycznym Christopherowym uśmiechu.

Irene zmusiła się, by odpowiedzieć mu uśmiechem.

- Możemy zacząć i od tego, jeśli chcesz. Ale będę musiała wygłosić ci moje standardowe kazanie na temat transferencji.

- Więc, coś się zdarzyło, kiedy byłem w miasteczku.

- Tak?

- Musiało nastąpić spontaniczne przełączenie osobowości.

Obudziłem się w Starym Sklepie Farmera.

- Tam, gdzie poznałeś Mary.

- Dokładnie. Ale chciałbym ci powiedzieć, że wtedy po raz pierwszy, odkąd, cóż, hmm, odkąd zmarła, nie prześladowało mnie nieznośne poczucie winy.

- A więc, co czuleś?

- Smutek. Ale i spokój. Jakbym w końcu zaczął się z tym godzić.

- To brzmi jak postęp. Coś jeszcze?

- W tej chwili nie.

- Dobrze więc, idźmy dalej. Wczoraj, zanim zacząłeś opowiadać o Mary, powiedziałeś coś, o co muszę cię zapytać.

- Co to takiego?

- Powiedziałeś, że Mary była pierwsza.

- Nie, nie mówiłem nic takiego.
- Pamiętam dokładnie...
- Max to powiedział.
- Rozumiem. Jak sądzisz, co miał na myśli?
- Powiem ci potem. Najpierw mam dla ciebie prezent.

Z głębokiej kieszeni swetra wyciągnął mały prostokątny pakunek, zrobiony z papieru do pakowania prezentów i zaklejony przezroczystą taśmą.

- Szczęścia z okazji rocznicy.
- Przepraszam?
- Nie mów, że zapomniałaś?

W jego głosie brzmiał autentyczny zawód, a nawet, być może, gniew.

Irene zaczęła desperacko myśleć. W końcu znalazła odpowiedź.

- To nasza rocznica. Poznaliśmy się dokładnie tydzień temu.
- Wiedziałem, że nie mogłabyś zapomnieć - powiedział, podając jej prezent. - No dalej, rozpakuj. Kupiłem to w mieście.

Rozdarła papier. Na jej dłoń spadła para szmaragdowych kolczyków w kształcie łez. Były przepiękne i, jeśli znała się choć trochę na biżuterii, przerażająco kosztowne. Od razu zrozumiała, że nie mógł ich kupić wczoraj, ponieważ byłyby zapakowane w wyscielane pudełeczko. Próbowwała wymyślić, jak zareagować.

Gdyby to była normalna terapia, Irene musiałaby teraz: 1. Poinformować go, że tak kosztowny prezent był niewłaściwy na

tym etapie ich związku, i że nie może go przyjąć.

2. Delikatnie dać mu do zrozumienia, że przejrzała jego kłamstwo o tym, że kupił te kolczyki wczoraj, a następnie zapytać, dlaczego uznał za konieczne, aby skłamać.

3. Przypomnieć mu, że zmienił temat, gdy zapytała go, dlaczego Max nazwał Mary „pierwszą”.

Jednak tu nie chodziło o terapię. Tu chodziło o przetrwanie.

Zatem Irene podziękowała mu tak wylewnie, jak tylko umiała.

Założyła kolczyki, wcisnęła ich zapięcia we własne ciało, chociaż przeczuwała tak mocno, że zakrawało to na telepatię, iż Max zdjął je z ciała poprzedniej właścicielki, po tym jak ją zgwałcił i zamordował.

71

Jeśli wierzyć tablicy zawieszanej obok drzwi z matowego szkła, prowadzących do biura kuratora hrabstwa Umpqua, żółte cegły, z których zbudowany był cały budynek, wypalono w pierwszej cegielni w stanie Oregon. W ciągu czasu, który Penderowi zajęło wyciągnięcie aktualnego adresu Cazimira Buckleya od Penelopy Frye - miejscowej recepcjonistki/sekretarki/urzędniczki, jedynej osoby w budynku, która akurat nie była na wakacjach ani chorobowym - agent zdążył zawrzeć ze wzmiankowaną tablicą bardzo dobrą znajomość.

Problem, jak wyjaśniała panna Frye, polegał na tym, że



jedynie kurator Buckleya, niejaki pan Harris, mógł wydać oficjalną zgodę na ujawnienie jego danych osobowych. Pender wymachiwał odznaką, wyjaśniał swoje racje, błagał i nie ustępował, aż w końcu urzędniczka zgodziła się wykonać kilka telefonów - pod warunkiem, że agent poczeka na zewnątrz. Kobietę bolał już kark od ciągłego podnoszenia głowy.

Tak więc Pender chodził po korytarzu i raz za razem odczytywał treść tablicy pamiątkowej. W końcu panna Frye wychyliła się zza drzwi, by poinformować go, że według tego, co powiedziała pani Harris, pan Harris znajdował się obecnie gdzieś pośrodku jeziora Crater, z wędką w jednej ręce i pierwszą puszką zimnego Buda w drugiej.

Nastąpiła kolejna runda przekonywania i błagania. Później ponowne oczekiwanie, aż kobieta dodzwoni się do kogoś z odpowiednimi uprawnieniami. Ostatecznie jednak, całe to zawracanie głowy i spacerowanie po korytarzu opłaciło się. Pender opuścił budynek z adresem (304 Britt Street, Umpqua) oraz dogłębnym przekonaniem, że gdyby panna Frye zarządzała ochroną w Departamencie Energii, Chińczykom nigdy nie udałooby się wykraść żadnych atomowych tajemnic.

Był piękny poranek. Mgła nie zeszła w dolinę, w której leżało miasteczko. Bezchmurne niebo, chłodne powietrze i malownicza górską panoramę ponad zabytkowymi dachami tworzyły obrazek jak z pocztówki. Miejsce, do którego zdążał Pender, leżało trzynaście przecznic dalej. Zanim tam dotarł, jego nowiuteńkie

buty zdążyły mu nieźle dać w kość. Wreszcie przed agentem pojawił się błękitny budynek w wiktoriańskim stylu. Mężczyzna jeszcze raz sprawdził adres. Albo budynek został podzielony na tanie apartamenty (lub przerobiony na klinikę odwykową), albo Caz Buckley był naprawdę bogatym więźniem. Mając na uwadze, że Buckley siedział za czynną napaść, Pender, wchodząc na schodki, odpiął napę przy kaburze. Zanim jednak zdążył zadzwonić, drzwi otworzyły się same. Stała w nich atrakcyjna Murzynka w białym stroju. Jej siwiejące włosy zebrane były w okazałych rozmiarów kok przykryty pielęgniarskim czepkiem.

- Słucham? - zapytała.

- Chciałbym zobaczyć się z Cazem Buckleyem.

- Och, Bogu niech będą dzięki - powiedziała pielęgniarka, ujmując dłoń Pendera. Jej twarz złagodniała. - Niech pana Bóg błogosławi. Nikt nigdy do niego nie przychodził. Proszę, niech pan wejdzie.

Pender pomyślał, że to dobry znak, ale był też zdziwiony, przez co zapomniał pochylić się, przechodząc przez drzwi, i znów niemal stracił sobie kapelusz. Wyrzucił rękę do góry, by go złapać i podziękował Alwinowi Ralphsowi za jego krawiecki geniusz - stara marynarka bez wątpienia odsłoniłaby kaburę.

Widok holu wejściowego wszystko wyjaśnił. Na stoliku pod ścianą leżały broszury: „Twoje hospicjum i Ty”, „Karta Praw Pacjenta”, „Nie jesteś sam”, a na ścianie wisiała tablica informacyjna z danymi przeróżnych grup wsparcia i telefonów

**zaufania.**

**Pender szybko rozważył opcje i zdecydował, że kiedy bogowie stróżów prawa wciskają ci w ręce taki prezent, to lepiej nie narażać się na klątwę i go przyjąć.**

**- Cieszę się, że zdążyłem. Ile mu zostało?**

**Pielęgniarka wzruszyła ramionami, jak to zwykle robiła w odpowiedzi na tego typu pytania.**

**- Może zaczeka pan tutaj? - spytała, wskazując w stronę poczekalni po jego lewej ręce. - Sprawdzę, czy jeszcze nie śpi.**

**- Wolalbym zrobić mu niespodziankę - odparł Pender. - Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć minę starego Caza, kiedy mnie zobaczy.**

**- Naprawdę, nie powinnam, panie...?**

**- Pender. Proszę posłuchać, daję pani słowo honoru, że jeśli śpi, to od razu wyjdę stamtąd na paluszkach - powiedział, po czym spojrzał na swoje buty. - Hm, no cóż, może nie do końca na paluszkach. Kupiłem je wczoraj i jeszcze ich nie rozchodziłem.**

**Zwierzenie to miało podwójny cel. Po pierwsze, było po prostu zwierzeniem, a zwierzenia wzbudzają zaufanie. Po drugie, miało na celu zyskanie jej sympatii. Pielęgniarki, podobnie jak stróże prawa, doskonale znały problemy bólu stóp.**

**- No cóż, chyba nie będzie w tym nic złego, jeśli obieca pan go nie budzić...**

**- Słowo honoru. Jeśli śpi, posiedzę w ciszy przy łóżku.**

**- Jest w pokoju 302. Odprowadzę pana do windy.**

Pender pochylił się, przechodząc przez niskie drzwi, i delikatnie zamknął je za sobą. Jego oczom ukazał się mały pokój na poddaszu, z pochyłym sufitem. Według tego, co widniało na wydruku, Buckley był Afroamerykaninem i ważył dziewięćdziesiąt kilogramów. Jednak mężczyzna, który leżał na łóżku, miał skórę w żółtawym odcieniu szarości i nie mógł ważyć wiele więcej niż pięćdziesiąt.

Pacjent miał zamknięte oczy i oddychał płytko. Wyglądało na to, że śpi, ale Pender nawet przez moment nie miał zamiaru dotrzymać słowa, które dał pielęgniarce. Przy łóżku stało drewniane krzesło. Agent przysiadł na nim i pochylił się nad leżącym mężczyzną.

- Czymirze Buckleyu, czy wierzy pan w życie pozagrobowe?

- wyszeptał do lekko oklapłego ucha.

- A kto chce wiedzieć? - odparł szeptem Buckley, nie otwierając oczu.

- Pender, FBI.

Lewa ręka mężczyzny - ta, która nie była podpięta do kroplówki - ruszyła w stronę przycisku alarmowego. Pender schwycił byłego więźnia za nadgarstek.

- Potrzebuję informacji o kimś, z kim być może siedziałś w poprawczaku.

- Chuj ci w dupę - odparł z pewnym wysiłkiem Buckley.

- Umierasz, Caz. Kiedy staniesz przed obliczem Pana, przyda ci się każdy dobry uczynek na swoją obronę.

**Buckley nie miał dość sił na kolejne bluźnierstwo, więc jedynie uniósł powoli środkowy palec prawej dłoni.**

**- Gość morduje średnio dwie osoby dziennie.**

**Palec nie opadł.**

**- Czarne kobiety.**

**A przynajmniej jedną. Jednak palec pozostał na swoim miejscu. To tyle, jeśli chodzi o apelowanie do uczuć religijnych, sumienia i solidarności rasowej. Czas przejść do pragmatyzmu, od którego Pender zaczynał rozmowę z każdym kryminalistą, który akurat nie był umierający.**

**- Słuchaj no, Caz. Przedstawię ci teraz propozycję. I zrobię to tylko raz. Nieźle się tu urządziłeś. Nie wiem, jak ci się to udało, ale to mi wygląda na cholernie dobre miejsce na śmierć. Ale może wcale nie zasługujesz na dobrą śmierć. Rozmawiałem już z Harrisem i, jeśli nie będziesz ze mną współpracował, to mogę do jutra unieważnić twoje zwolnienie warunkowe.**

**Wzniesiony palec zawahał się nieco. Nozdrza mężczyzny zafalowały, wydawał się mieć kłopoty z oddychaniem. Pender naciskał dalej.**

**- Wybór należy do ciebie, Caz. Czy chcesz umrzeć tutaj, czy w więziennym szpitalu. Rozumiemy się?**

**Wychudzony szary mężczyzna powoli otworzył oczy. Ich białka przypominały kolorem rozbite jajko.**

**- Mówiłeś, że zabija czarne kobiety?**

**- Ostatnia nazywała się Aletha Winkle. Znalazłem ciało.**

Rozbił jej głowę, zgwałcił wielokrotnie, kiedy umierała i pociął na kawałki nożem rzeźnickim.

- Masz jego fotkę?

Pender pokazał mu zdjęcie gęby Caseya.

- Nie wiem. Poprawczak, tak? To cholernie dawno było, chłopie.

- Gość mówił, że nauczyłeś go jakiejś tajnej sztuczki karate, jak kogoś załatwić z zaskoczenia.

Buckley znów spojrzał na zdjęcie. Zaczął się uśmiechać, ale przeszkodził mu w tym spazm bólu.

- Puść rękę - powiedział.

Pender odpiął przycisk alarmowy i zabrał go z zasięgu Buckleya, ale mężczyzna szukał czegoś innego. Znalazł panel kontrolny dozownika morfiny i kciukiem wdusił guzik.

Pender odczekał pełną minutę. Mógł sobie pozwolić na hojność. Znał w końcu teraz jeszcze lepszy sposób na zapewnienie sobie współpracy byłego więźnia. Wystarczyło zabrać mu ten guzik od morfiny. Cel i środki.

- Lepiej?

- Mniej boli. To gówno nie daje mi już kopa.

- Przykro mi. Masz dla mnie nazwisko?

- Może.

- W takim razie, ja może oddam ci ten magiczny przycisk, kiedy będziesz go znów potrzebował. Więc, o kim mówimy?

- O Maxie. Mówimy o małym Maxie. I wiesz, co jest w tym najbardziej pojebane?

- No co?

- Tą całą bzdurę o liczeniu od tyłu wzięłem z dupy. Zwyczajnie to sobie wydumałem.

72

Irene zaczynała tracić zimną krew. Flirtowała z Christopherem i wysłuchiwała jego komplementów odnośnie do włosów i kolczyków. Jakże kuszące byłoby, jakże łatwe, po prostu siedzieć tu i go słuchać. Później pójść z nim na obiad, może trochę popływać i przeprowadzić kolejną trawestację sesji terapeutycznej. Następnie przyjemna kolacja we dwoje i może jakiś film; w domu była niezła kolekcja. Pokój Irene był wygodny. A nawet, gdyby trzeba było z nim pójść do łóżka, nie byłoby to takie straszne, przynajmniej z Christopherem. Był wrażliwy i ładnie pachniał. Przecież tu nie chodziło o to, żeby się nie poddać, tylko żeby przeżyć i doczekać ratunku.

Ale jak długo to mogło trwać? Ten człowiek miał wysoce niestabilną osobowość wielokrotną i żył w wysoce niestabilnym związku z... Irene pobieżnie zdiagnozowała pannę Miller: skłonności pedofilskie, zaburzenia narcystyczne, eskapistyczne lub/i uzależnieniowe, pogłębione na skutek stresu posttraumatycznego do poziomu psychozy.

Więc, co to za leczenie w kulki, Irene? To było kolejne z powiedzonek Barbary. I ta myśl o Barbarze (Jezu, spraw, aby

**żyła!) dała Irene siłę do dalszego działania.**

**- Co ty na to, żebyśmy wrócili do pracy, Christopher? Myślę, że najlepiej odwdzięczę ci się za kolczyki, ruszając do przodu z terapią.**

**- Może być.**

**- Wczoraj powiedziałeś coś, co mnie zaniepokoiło. Powiedziałeś, że gdy byłeś zakochany w Mary, potrafiłeś oprzeć się woli Maxa.**

**- Tak.**

**- Ale w niedzielę mówiłeś, że co jest dobre dla Maxa, jest też dobre dla systemu. Rzeczywiście w to wierzysz?**

**- Nie, ale on tak.**

**Nagle Maxwell podniósł się, postawił nogi na ziemi, zabrał Irene długopis i odłożył na poręcz jej krzesła. Następnie ujął jej dłoń.**

**- Powiedz mi, że mnie kochasz, Irene. Powiedz to, jeśli chcesz, żebym tu został.**

**Czy to jakaś sztuczka? Czy to ciągle Christopher? Irene poczuła niezmiernie znużenie, jak ktoś, kto zgubił się w burzy śnieżnej i marzy tylko o tym, by zasnąć, choć wie, że sen oznacza śmierć. Myśl o wypowiedzeniu tych dwóch małych słów do tego człowieka odrzucała Irene - zarówno jako terapeutkę, jak i kobietę. Ale jeśli to Christopher, musiała zrobić wszystko, by zachował dominację nad systemem, by nie poddał się woli Maxa.**

**- Kocham cię - powiedziała. Głos zabrzmiał dziwnie w jej**



uszach.

- Pocałuj mnie, jeśli to prawda.

Jeśli powiedziało się „A”... Pozwoliła, by lekko przycisnął usta do jej warg.

- Dziękuję - powiedział. - Teraz opowiem ci historię. Ale musisz cały czas trzymać mnie za rękę i patrzeć mi w oczy.

- W porządku.

- Kiedy miałem czternaście lat, zacząłem pisać pamiętnik.

Robiłem wpis każdego dnia, kiedy miałem kontrolę nad ciałem.

Jeśli między mną a panną Miller dobrze się układało, czasem były to trzy lub cztery wpisy po kolei. Jeśli byliśmy skłóceni, powstawał może jeden wpis na tydzień. Pewnej nocy zauważyłem, że skończyły mi się puste strony. Zacząłem szukać po pokoju czegoś innego, w czym mógłbym pisać. W głębi szafy znalazłem stary zeszyt szkolny, wiesz, taki w linie, z czarnobiałymi marmurkowymi okładkami.

- Ale kiedy go otworzyłem, zobaczyłem, że ktoś już w nim pisał pamiętnik. Jakiś chłopak imieniem Martin. Chłopak, który mieszkał w tym samym pokoju i chodził do tego samego gimnazjum, co ja. Miał tych samych nauczycieli. Spał z panną Miller.

Byłem tak zazdrosny, że prawie mi piana pociekła.

- Więc nie byłeś pierwszy?

- Sam tak z początku pomyślałem. Ale później zerknąłem na

daty. Od lutego osiemdziesiątego drugiego do czerwca osiemdziesiątego trzeciego.

- Był alter ego?

- Jednym z nas. Ale nigdy o nim nie słyszałem. Więc zacząłem czytać jego pamiętnik. Był z nami niemal od samego początku, był jednym z pierwszych. I nienawidził Maxa, nie mógł go ścierpieć. Nazywał go obcym. Napisał, że ten pamiętnik jest dla reszty, żebyśmy wiedzieli. Napisał też, że Max jest wcieleniem diabła, że próbuje go zniszczyć. Że w końcu zniszczy nas wszystkich, chyba że wszyscy mu się wspólnie przeciwstawimy, odbierzemy mu władzę nad systemem.

- Na dziesiątej stronie tekst nagle urywał się w połowie zdania. Poniżej, innym charakterem pisma, charakterem pisma Maxa, ktoś napisał słowa: Sic Semper Traditor.

- Tak zawsze...? - spróbowała Irene, na ile pozwoliła jej medyczna znajomość łaciny.

- ...zdrajcom. Czyli: „Taki los czeka zdrajców”. Jeśli alter ego może umrzeć, Martin był martwy. Gorzej niż martwy, zmarli przynajmniej pozostawiają po sobie wspomnienia. Po Martinie nie pozostało nic poza tym zeszytem.

Umilkł, ale jego oczy, oddalone o kilka centymetrów od oczu Irene, mówiły bardzo dużo. Spozierał z nich strach. Błagały o pomoc.

- Rozumiem, co usiłujesz mi powiedzieć. Boisz się, że jeśli spróbujesz przeciwstawić się Maxowi, czeka cię taki sam los, co

**Martina. Dlatego się wahasz, choć wiesz, że Max nie jest dobry dla systemu. Ale musisz wiedzieć, że jest jedna wielka różnica pomiędzy tobą a Martinem.**

**Jaka? - zapytał bezgłośnie.**

**- Ty masz mnie - powiedziała. Jednak w głębi duszy była równie przerażona, jak wydawał się być przerażony Christopher.**

**73**

**- Zanim jeszcze przeprowadziłem się w te okolice, do cioci w Compton, zdążyłem zaliczyć poprawczak na Południu.**

**Żółte oczy Cazimira Buckleya były wilgotne, rozmarzone.**

**Jego dłoń spoczywała na przycisku dozownika morfiny. Pender pomyślał, że interakcja społeczna dodała choremu sił, a może po prostu nie był tak obojętny na perspektywę Sądu Ostatecznego, jak mogłoby się wydawać.**

**- Więc ten tutaj, chłopie, był dla mnie jak wakacje. Mieli tam taką wielką farmę. Chłopie, konie to ja widywałem wcześniej tylko w konnej policji i telewizji. A o świniach ani krowach nie miałem, kurwa, bladego pojęcia. I dobrze nas karmili. Nigdy w życiu tak dobrze nie jadłem. Nawet nie przeszkadzało mi przerzucanie krowiego gówna, jasne, to gówno, ale, wiesz, czyste. Nocą zamykali nas wszystkich razem w wielkim baraku, pod nadzorem kapusiów. Te wsiowe chłopaki nie widywały tam często Czarnych. Paru naciukałem, paru naciukało mi. Ocaliła mnie zasada, którą wprowadzili kapusie: można się bić tylko jeden na jednego. Masz coś do kogoś, to idziesz z nim na solo po**

**zamknięciu baraku. To nam zastępowało telewizję.**

**Buckley zamknął oczy i wbił kciuk w przycisk dozownika.**

**W czasie, którego morfina potrzebowała, by zacząć działać, Pender musiał podjąć delikatną decyzję. Jego techniki wywiadowcze zwyczajowo dopuszczały dygresje. Czasami na bocznych drogach znajdowało się rzeczy, które przegapiło by się na autostradzie. Ale Buckley zaczynał już słabnąć. Chyba nie zostało mu wiele sił w rezerwie.**

**- Max - ponaglił Pender. - Opowiedz mi o Maxie.**

**Oczy Buckleya otworzyły się.**

**- Zara, chłopie, już. Przysłali go do zakładu prosto ze szpitala. Miał w chuj spalone dłonie. Przez przeszczepy musiał nosić rękawiczki. Za diabła ten mikrus nie pasował do poprawczaka, nawet nie powinno go tam w ogóle być, ale nie miał dokąd pójść, żadni zastępczy rodzice by go nie przyjęli, bo poprzednim spalił chałupę. Powiedziałbyś, że takie słodkie ciacho to go od razu ktoś zrobi swoim chłoptasiem. Ale niech mnie szlag, jeśli ten mały skurwiel nie umiał walczyć jak mężczyzna. Karate! Sam Jackie Chan mógłby się od niego czegoś nauczyć. Pierwszego gościa, który z nim zaczął, skopał, trzymając ręce w kieszeniach.**

**A później, kiedy zdjęli mu bandażę i mógł już używać rąk, to już nikt mu nie podskoczył, nikt nie chciał się z nim bić. Więc sam zaczął wyzywać gości na solo. Chłopie, w tamtych czasach Cz lubił czasem dać komuś w mordę. Niektórzy chłopacy lubili to nawet bardziej. Ale ten mały Max, on po prostu nie mógł bez tego**

żyć. W końcu jednej nocy wyzywa i mnie. Odwiedziła mnie ciocia, przyniosła domowe ciasteczka. Max mówi: „Jak to jest, że nie dałeś mi żadnych ciasteczek? Jezus kazał się dzielić”.

Udaję zesranego, mówię: „Stary, bierz se, ile chcesz”. Jak ma już obie ręce zajęte ciasteczkami, przypierdalam mu. Rozkrwawiam mu nos, kopię go jeszcze, kiedy leży, ile wlezie, bo, kurwa, nie chcę mieć z nim do czynienia, jak wstanie. Powiedziałbyś, że po czymś takim koleś będzie szukał zemsty. Ale nie Max. Przyczepił się do mnie jak smród do dupy. Wszędzie za mną laził, jak mały piesek. „Jak to zrobiłeś, Caz, jak to zrobiłeś?”. I co ja miałem mu powiedzieć, że ma poczekać, aż przeciwnik zapcha sobie gębę ciasteczkami? Jakby to pojął, to spuściłby mi wpierdol, aż bym się osrał. Więc zmyślam mu trzy po trzy, że liczysz od dziesięciu w dół i nagle atakujesz, zanim dojdiesz do jednego. W dowolnej chwili, tylko nie wolno ci z góry decydować kiedy.

- Muszę ci powiedzieć, Caz, że może i z tym liczeniem to było wcale niegłupie - powiedział Pender, przypominając sobie, jak szybko Casey - to znaczy Max - zaatakował go w celi.

- Niech mnie szlag, jeśli on w to nie wierzył. Trenował cały czas. Karmi sobie kurczaki - chłopie, on uwielbiał kurczaki - aż tu nagle - jeb! - wychodzi z piachy. Stoi w kolejce do paszalni - jeb! - wychodzi z kopa. Zrobił się w tym tak dobry, że nikt na całej farmie nie chciał z nim zadzierać. Więc skierowali go do drużyny bokserskiej. Zero, kurwa, porażek. Jakby go nie wypuścili, to by

**zdobył Złote Rękawice w lekkiej juniorów, może nawet wzięliby go na olimpiadę. Nie zalewam, chłopie.**

**Buckley wcisnął guzik, ale minęło zbyt mało czasu od ostatniej dawki.**

**- Kurwa - mruknął.**

**- Mówiłeś, że go puścili? - zapytał szybko Pender. - Jak to się stało?**

**- No, jak ci mówiłem, w ogóle nie powinno było go tam być. Czekał tam na proces. Na jego szczęście starsza pani, którą podpalili, wyzdrowiała i zeznała, że ją ratował. Mówiła, że gość, którego Max zabił, ją gwałcił. Mówiła, że zawołała pomocy, a wtedy Max skoczył na gościa ze szpikulcem do lodu. Mówiła, że pożar powstał przez przypadek.**

**Ponownie wdusił kciukiem przycisk. Tym razem rozległo się kliknięcie. Buckley zamknął oczy i westchnął z ulgą.**

**Pender odczekał pełne dziesięć sekund, po czym zaczął przeć dalej.**

**- Pamiętasz, jak się nazywała?**

**- Nie. Pamiętam tylko, że pewnego dnia pojawił się kurator Maxa i zabrał go do niej. Mieli znów razem mieszkać.**

**- Widziałeś go od czasów poprawczaka?**

**- Dobre pytanie.**

**Oho.**

**- Co masz na myśli?**

**- Rok temu wypuścili mnie z powodu raka wątroby. Mówili,**

że to humanitarne, ale prawda jest taka, że jak człowiek jest chory, to już nikomu nie zrobi krzywdy, a oni nie mają ochoty się nim zajmować. Masz rację z tym szpitalem więziennym, to cholerne piekło. Jakbym był kimś innym, to może dostałbym nową wątrobę, ale skazańców nawet nie wpisują na listę. Więc pobylem na wolności z miesiąc. Załatwiłem sobie pokój i wyżywienie w takiej chacie, tu, nad rzeką, bo ciocia zmarła. Myślę, że był wtedy lipiec. Wychodzę sobie z apteki, tej starej, na Jackson Street, niedaleko sądu, i widzę jak mija mnie jakiś koleś. Przyjrzałem mu się dobrze, bo se pomyślałem, kurde, wygląda zupełnie jak mały Max. Tyle że był za stary na Maxa, cały siwy. I niech mnie szlag, jeśli on też mnie dobrze nie obczaił. Może sobie pomyślał, ten koleś wygląda zupełnie jak Caz Buckley z poprawczaka, tyle że jest o wiele za stary. Bo ważyłem wtedy już tylko z sześćdziesiąt kilo, byłem całkiem łysy i miałem skórę brunatną jak mundur jebanego strażnika parku krajobrazowego. Ale nie powiedział nic, i ja też nie. Ale jak teraz mi mówisz, że szukają go gliny, to myślę, że to naprawdę był on, tyle że w przebraniu.

Buckley dotarł do kresu sił. Zamknął oczy, a jego szept ledwo dało się słyszeć.

- Słucham? - zapytał Pender, nachylając się, by dosłyszeć ostatnie słowa. Jego twarz była oddalona ledwie o kilka centymetrów od żółtych oczu, kiedy te otworzyły się ponownie.

- Spytałem, czy między nami kwita?

**Pender skinął głową.**

**- Nie będziesz robił mi żadnych kłopotów z tym zwolnieniem? - spytał, wciskając ponownie przycisk od morfiny.**

**- Nie.**

**- Coś to pomogło, co ci powiedziałem?**

**- Pomogło. Pomogło bardziej niż sądzisz - odparł Pender, czując ucisk w gardle. Nie był pewny, skąd wzięły się te emocje.**

**Musiało to mieć jakiś związek z tym, że ten człowiek umierał - to na pewno, ale było coś więcej. Wiedział, że to jego ostatnie śledztwo. Wiedział też, że z informacjami, które przekazał mu Buckley, może je wreszcie doprowadzi do końca. I to już wkrótce. Coś się kończyło, satysfakcja mieszała się ze smutkiem i nostalgią.**

**- To dobrze - powiedział Buckley, gdy morfina ponownie złagodziła jego cierpienie. - Jak to się mówi, trzeba umieć dobrze wybrać.**

**- Wybrałeś dobrze, Caz - rzekł Pender i poklepał go po ramieniu. - Czy jeszcze mogę coś dla ciebie zrobić, zanim pójdę?**

**- Tak - odparł Buckley. - Oddaj mi przycisk przyzywający pielęgniarkę.**

**- Uch, przepraszam. Proszę.**

**- I daj mi znać, jak to się skończyło. Wiesz, jeśli go złapiesz.**

**Pender obiecał, że tak zrobi, po czym pospiesznie opuścił pokój. Drzwi windy otworzyły się, zanim do nich dotarł. Z wnętrza wyłoniła się siwa pielęgniarka, pchając wózek z lekami.**

**- Wszystko w porządku? - spytała go.**



Pender skinął głową, wchodząc do windy i poprawiając Stetsona.

- Wróci tu pan?

Ponowne skinięcie.

- Proszę nie czekać zbyt długo - zawołała, kiedy drzwi windy się zamykały. Miała nadzieję, że zrozumiał, o co jej chodziło.

Buckleyowi nie zostało już wiele czasu. Ten wielki łysy kowboj nie wyglądał na kogoś, kto mógłby chcieć odwiedzić biednego Caza, ale fakty temu przeczyły. Bowiem siostra mogłaby przysiąc, że widziała w jego oku łzę.

74

Aktorstwo było nieodzowną częścią sztuki psychiatrii. W pewnym sensie sesja terapeutyczna przypominała długą improwizację. Problem leżał w tym, że Irene nie była pewna, czy jej umiejętności dorastają do roli, którą chciała odegrać.

Ponieważ w ciągu porannej sesji stawało się stopniowo jasne, jak wysoką cenę będzie musiała zapłacić za utrzymanie dominacji Christophera nad Maxem i innymi alter ego. Nie dość, że musiała aktywnie wspierać jego transferencję, to musiała odgrywać też własną kontrtransferencję. Nie wystarczyło, że Christopher był w niej zakochany. Musiała udawać, że podziela to uczucie.

- O rany, to straszne. Musiało być ci trudno mieszkać z panną Miller po tym, co zrobiła Mary.

- Niezupełnie. Zniknąłem na parę miesięcy.

- Gdzie byłeś?

- Ciężko to opisać komuś, kto tam nie był. To jak miejsce, gdzie się jest, kiedy się śpi snem bez snów. Czas tam nie istnieje.

- A kiedy się zbudziłeś, kiedy wróciłeś?

- Pewnego poranka otworzyłem oczy i poczułem, że ja to ja.

- Jak myślisz, zrobiłeś to z własnej woli?

- Nie. Potrzebowali mnie.

- Kto cię potrzebował?

- Max i panna Miller.

- Opowiedz mi o tym.

- Uczestniczyłem w tym tylko częściowo.

- Ale wiesz, co się stało? Dzielisz z innymi wspomnienia, prawda?

- Nie są to bezpośrednie wspomnienia. Trochę, jakby to był sen. No i oczywiście, jeśli chce się poznać szczegóły, zawsze można spytać Mosze. Jak tu mawiamy, „Mosze wie”.

- Potrafisz się bezpośrednio komunikować z Mosze?

- Tak.

- A z innymi?

- Z Ishem. Czasem też z Maxem.

- Teraz też?

- Nie.

- Powiedz mi zatem, co się stało, kiedy się zbudziłeś. Do czego potrzebowali cię Max i panna Miller?

- Znienawidzisz mnie.

- Nigdy. Nie potrafiłabym.

Zsunął się z leżanki na dywan z igliwia, po czym wyciągnął dłoń. Irene usiadła przed nim po turecku.

- Trzymaj mnie za rękę - powiedział. - Trzymaj mnie za rękę i patrz mi w oczy. A jak zobaczysz, że zaczynam się przelącać, pocałuj i powiedz, że mnie kochasz.

- Zrobię tak - obiecała Irene, próbując nie okazywać tonem głosu, jak podle się czuła. - Kocham cię.

- Druga nazywała się Sandy Faircloth. To wszystko było pomysłem panny Miller. Od śmierci Mary minęły trzy miesiące.

Z początku Max bał się, że ktoś przyjdzie i zacznie zadawać pytania, ale - sądząc przynajmniej po lokalnej gazecie - nikt nawet nie zgłosił zaginięcia dziewczyny. Kto wie, może świadkowie Jehowy po prostu uznali, że uciekła?

- Oboje wrócili do normalnej rutyny. On poświęcał całą energię majstrowaniu przy domu, zajmowaniu się ogrodem, hodowli kurcząt i stawianiu elektrycznego płotu dla ochrony przed drapieżnikami.

- Aż nadszedł pewien sierpniowy poranek. Max pielł ogródek, a panna Miller przyglądała się mu w swojej nowej peruce.

Było gorąco, więc miał na sobie tylko bokserki. Miał też wzwód i nie obchodziło go, czy to zobaczy.

- Ale zobaczyła. Stwierdziła, że może powinien poszukać sobie dziewczyny. Powiedziała, że zdrowy chłopiec w jego wieku ma swoje potrzeby. Z początku myślał, że panna Miller tylko się z

nim droczy, ale mówiła poważnie. Myślę, iż rozumiała, że nie może go trzymać w zamknięciu przez całe życie. Powiedziała, że jeśli jakąś sobie sprowadzi, to będzie mógł ją zatrzymać - pod warunkiem, że będzie to truskawkowa blondynka i Max nie przywiąże się do niej za bardzo.

- Z dzisiejszej perspektywy nie jestem w stanie stwierdzić, czy rozumiałem już wtedy, co zamierzają. Tak naprawdę. Jeśli rozumiałem, to wmawiałem sobie, że to nieprawda, przynajmniej na poziomie świadomości. Ale podświadomie musiałem wiedzieć, że jeśli przywiozę jakąś dziewczynę na grań, to zostanie tu na wieki. W końcu nie próbowałem nawet podrywać nikogo w Umpqua City ani w Medford, ani nawet w Roseburgu. Nie.

Napełniłem lodówkę po brzegi tak, by panna Miller miała co jeść przez tydzień lub dwa, po czym pojechałem aż do Eugene.

- Zatrzymałem się w tanim motelu, zacząłem kręcić się w okolicy uniwerku. Nieźle tam się wpasowałem, zaliczyłem kilka wykładów. Akurat trwała letnia sesja. Sandy Faircloth pracowała jako sekretarka od zasobów ludzkich. Nie była szczególnie ładna, nie licząc włosów. Ale to mi nie przeszkadzało. Uznałem, że to zwiększy moje szanse. Im dziewczyna jest ładniejsza, tym bardziej prawdopodobne, że ma już chłopaka.

- Uwiedzenie jej było banalnie proste. Dopóki nie spróbowałem, nawet nie wiedziałem, jaki mam do tego talent. Zaczynam od udawania, że zakochuję się w dziewczynie. Po jakimś czasie rzeczywiście tak się dzieje. To znaczy, naprawdę się

w niej zakochuję. Choć na jakimś poziomie wiem, że to nieprawda. Rozumiesz coś z tego?

- A ty? - Irene odbiła piłeczkę.

- Sam nie wiem. Ale tak się dzieje za każdym razem. A one zakochują się we mnie. Najtrudniejsze to działać po kryjomu, unikać ich przyjaciół i rodzin. Jeśli można coś powiedzieć o zakochanych dziewczynach, to, że chcą pochwalić się swoją miłością całemu światu. Z czasem nabrałem wprawy. Mówiłem, że ktoś mnie prześladowa, albo że jestem tajnym agentem. To kolejna cecha zakochanych dziewczyn - uwierzą we wszystko.

- Ale w przypadku Sandy nawet nie trudziłem się z wymyślaniem historyjki. Miała właśnie iść na tygodniowy urlop.

Powiedziałem, że może pojechać do mnie. Zobaczyć, jak mieszkam, ale musi to pozostać naszą tajemnicą, niech mi po prostu zaufa.

- I tak się stało. Nie była najbystrzej sza, ta moja Sandy. Sprowadziłem ją tutaj, umieściłem w pokoju dla gości i dymałem jak królik przez okrągły tydzień. Ja, albo któreś z innych alter ego.

Panna Miller trzymała się na uboczu.

- W końcu przyszedł czas, gdy Sandy musiała wracać do Eugene. Ale wtedy byliśmy już uzależnieni. Nie od Sandy, od seksu.

Osobiście nie potrafiłbym sobie wyobrazić powrotu do wcześniejszej sytuacji. Powiedziałem, że jestem w niej szaleńczo

zakochany, że zabiję się, jeśli pojedzie. Nawet się jej oświadczyłem.

Wszystko na nic, była już wystraszona i chyba nieco ochłonęła z pierwszego zauroczenia. Powiedziała, że to koniec. Koniec z seksem. Sandy musi wracać do domu.

- Nie wiedziałem, co robić. Jak poradzić sobie z tą sytuacją.

Więc Max przejął kontrolę. Zaczęła na niego krzyczeć, on ją pobił. Dlaczego? Dlatego, że to lubił. Podniecało go to. Kiedy skończył, zamknął ją w suszarni. Kości zostały rzucone. Nie mogliśmy już jej za bardzo wypuścić, prawda?

- Rozumiem - powiedziała Irene. Przysięgła w duchu przed Bogiem, że jeśli wyjdzie z tego żywa, nigdy już nie powie do pacjenta „rozumiam”.

- Skracając, trzymaliśmy tam Sandy jeszcze parę miesięcy.

Braliśmy ją na zmiany, nawet ja, wstyd się przyznać. Czasami panna Miller patrzyła. Sandy nie była zachwycona. W końcu przestała o siebie dbać, mówić, nawet już nie błagała o litość.

Musieliśmy myć ją, karmić siłą. Tylko tam leżała, to było jak ruchanie dziury w materacu. Muszę ci powiedzieć, że nie napawało mnie to specjalną dumą. W końcu dałem jej spokój, ale Maxowi i innym chyba jej stan w niczym nie przeszkadzał.

- Jednego wieczoru panna Miller i Max grali w szachy. Max spytał, co panna Miller chce na gwiazdkę. Nową perukę, odparła.

Włosy Mary zaczynały blaknąć, a ona chciała mieć

wspaniałe włosy w kolorze truskawkowego blond, jak ta dziewczyna w suszarni.

- Oczywiście Max rozumiał, że nie chodzi jej o perukę ze sklepu. Więc w Wigilię Max umył włosy Sandy i obciął je maszynką elektryczną. Tak oto panna Miller dostała swój prezent, jak również Kinch.

Tak niewiele żalu, nawet za własne czyny, pomyślała Irene.

Było to niemal, jakby próbował przedstawić się w jak najgorszym świetle. Być może ją sprawdzał. Jeśli tak, to nie zamierzała oblać egzaminu. Rozpostarła szeroko ramiona. Christopher nachylił się i w odpowiedzi objął ją. Kołysali się przez chwilę w niezręcznej ciszy, po czym mężczyzna położył się na ziemi, z głową na jej udzie. Poglaskała go po czole.

- Trzecia nazywała się Ann Marie Peterson - zaczął.

Dam radę, mówiła sobie Irene. Dam radę.

75

Wchodząc do Starej Apteki Umpqua, Pender znowu omalże nie stracił sobie kapelusza. Miał wrażenie, że cofnął się w czasie do lat pięćdziesiątych, do apteki na rogu Głównej i Clintona w Cortland. Drewniane podłogi i kontuar ozdobiony antycznymi słoikami na medykamenty, za którym stał człowiek w białym kitlu. Pender był skłonny postawić miesięczną pensję, że miejscowi zwracali się do starego aptekarza per „Doktoru”. Brakowało jedynie dozownika napojów, gdzie można by sobie kupić kubeczek syropu wiśniowego za dziesięć centów.

**- Dzień dobry - powiedział aptekarz. - Czym mogę służyć?**

**Pender przedstawił się, błysnął odznaką i puścił po blacie zdjęcie facjaty Maxwella.**

**- Widział pan może ostatnio tego gościa?**

**- Niestety, nie.**

**- Czy imię Max coś panu mówi?**

**- Obawiam się, że nie.**

**- Christopher? Lee? Lyssy?**

**- Nie, nie i nie.**

**- Było o nim w wiadomościach jakieś dziesięć, dwanaście lat temu, pożar, skandal?**

**- Przykro mi. Przeprowadziłem się tu pięć lat temu z Portland. Zawsze chciałem prowadzić taką aptekę.**

**Pender zmienił ton z oficjalnego na konwersacyjny.**

**- Więc, jak panu idzie?**

**- Szło całkiem nieźle, dopóki nie zbudowali nam tu RiteAid\*[\* Jedna z największych sieci aptek w USA.].**

**- Z tego co słyszałem, dzieje się tak w całym kraju. Nieprzyjemna sprawa. Proszę posłuchać, Doktoru - mówią tu tak do pana, prawda?**

**- Niektórzy.**

**- Więc, Doktoru... Wiem, że ten koleś na zdjęciu odwiedził tu pana około roku temu. Świadek twierdzi, że był przebrany, aby wyglądać starzej. Mógł mieć na sobie siwą perukę.**



- A, on...

Oho! Dwa małe słowa i zmienia się cały paradygmat wszechświata.

- To Ulysses Maxwell. Opiekun niejakiej Julii Miller. Mieszkają za miastem, na Wzgardliwej Grani. Pierwszy raz przyszedł tu z receptą na morfinę niedługo po tym, jak kupiłem aptekę.

Oczywiście odmówiłem, nie można przecież dawać siarczemu morfiny ot tak, przypadkowemu człowiekowi. To narkotyk klasy drugiej. Powiedziałem, że musi najpierw wypełnić szereg formularzy. O rany, gdyby tylko wzrok mógł zabijać! Ale wrócił nazajutrz ze wszystkimi niezbędnymi papierami. Odtąd wpada tu regularnie, mniej więcej co miesiąc.

- Kiedy widział go pan po raz ostatni?

- Wczoraj, około czternastej. Wziął morfinę dla panny Miller oraz buteleczkę Lady Clairol - „Zawsze truskawkowy blond”, jeśli dobrze pamiętam.

Oho. Oho, kurwa.

- Ma pan może jego adres w aktach?

- Pewno. Proszę poczekać, poszukam.

Gdy tylko aptekarz zniknął na zapleczu, zadźwięczał dzwonek i do apteki weszła starsza kobieta. Pender uchylił jej kapelusza.

Nigdy wcześniej nie nosił kowbojskiego kapelusza i odkrył, że uchylenie go ludziom sprawia mu przyjemność. Zwłaszcza

teraz, gdy był po uszy napompowany adrenaliną i poczuciem, że stąpa po ścieżce przeznaczenia.

Bo chociaż nadzwyczajne ciągi szczęśliwych przypadków - podobne do tego, jaki utrzymywał się przez ostatnie trzy dni (Od Anh Tranh do Nigra, od Nigra do Caza, od Caza do Doktorka, od Doktorka do aktualnego adresu) - zdarzały się już Penderowi w ciągu jego długiej kariery (a na ten z pewnością dawno już sobie zasłużył, latami bezowocnie rozpracowując sprawę Caseya), to sposób, w jaki wszystko do siebie idealnie pasowało sprawiał, że Pender byłby teraz naprawdę skłonny uwierzyć, że Bóg, los, czy jakkolwiek to nazwać, powołał go specjalnie do rozwikłania tej sprawy.

Ponownie błysnął mu przed oczami obraz truskawkowych blondynek, które oczekiwały na niego w ciemnościach. I chociaż do tej pory Pender nie znalazł zbyt wielu dowodów na to, że we wszechświecie panuje jakikolwiek porządek (wykonywany zawód mu w tym bynajmniej nie pomagał), a tym bardziej, że istnieje jakiś majstrujący ciągle przy wszystkim Bóg, to teraz pomyślał sobie, że być może jego całe dotychczasowe życie było przygotowywaniem się na ten właśnie dzień.

76

Poranna wtorkowa sesja przeciągnęła się do wczesnego popołudnia. Gdy Maxwell zasugerował, by w ramach przerwy zrobili sobie piknik nad wodą, Irene nabrała podejrzeń, ale nie protestowała. Jej strój kąpielowy (a raczej, jak już wiedziała, strój

kąpielowy Mary Malloy, Sandy Faircloth, Anny Marie Peterson, Victorii Martin, Susan Schlade, Zizi Alain, Glorii Whitworth, Ellen Rubenstein, Dolores Moon, Tammy Brown lub Donny Hughes) od czasu sobotniej kąpeli wisiał na sznurze. Zabrała go do pokoju, by się przebrać, podczas gdy Max pakował jedzenie.

Kanapki z białym mięsem i musztardą Gray Poupon, butelka białego wina oraz biszkopty w czekoladzie na deser. Maxwell spakował kanapki i biszkopty w folię aluminiową i plastikowe torebki. Nie zapomniał też zabrać serwetek, kubeczków ani korkociągu. Następnie ruszył do piwnicy, by wybrać butelkę wina, które będzie się chłodziło w strumieniu, gdy będą z Irene pływać.

Włączył światło i zszedł luźnym krokiem po schodach. Minał gablotę z perukami w kolorze truskawkowego blond, umieszczonymi na głowach manekinów. Przechowywali je w piwnicy, by włosy nie blakły zbyt szybko. Jedynie niewielka część z nich była wciąż do przyjęcia dla panny Miller, ale z sentymentu trzymali je tu wszystkie.

Za gablotą znajdowały się stojaki na wino. Maxwell zdecydował się na całkiem niezłe Yentana Chablis. Pochodziło z hrabstwa Monterey, Irene z pewnością to doceni. Wsunął butelkę do plecaka i ruszył w kierunku szafki z bezpiecznikami. Otworzył ją kluczem i wyłączył napięcie w ogrodzeniu.

Gdy wracał na górę, był w świetnym nastroju. Trochę terapii, odświeżająca kąpiel, piknik, trochę seksu na łonie natury -

no dobrze, w cholerę dużo seksu na łonie natury - z kobietą wciąż zakochaną w jego imitacji Christophera. Któż mógłby chcieć więcej?

Orzeźwiająca kąpiel, pyszny lunch, krótka drzemka na porośniętym mchem brzegu i jeszcze chwila pływania na koniec.

Kiedy w końcu zaczął działać, Irene nie była zaskoczona. Wiedziała przecież, że tak się stanie, nie wiedziała tylko kiedy, jak i czy - wbrew temu, co cały czas sobie mówiła - będzie w stanie to wytrzymać.

„Kiedy” nadeszło w czasie ostatniej kąpeli. „Jak” - podpłynął do niej od tyłu, położył dłonie na ramionach i zaczął całować po karku. Z początku wydawało się jej też, że jednak wytrzyma, nawet gdy zsunął jej kostium do bioder i zaczął miętosić piersi.

To tylko film, mówiła sobie, próbując świadomie wywołać dysocjację. Jej sutki stwardniały już wcześniej od zimnej wody.

On gra tu główną rolę, a ja jestem jego kobietą. To tylko film.

Zaczęła się do niego odwracać, ale powstrzymał ją. Do tej chwili nie wiedziała tak naprawdę, jaki jest silny. Chwycił ją za nadgarstek i pociągnął w dół i do tyłu, do swego krocza. Jego członek był sflaczały i skurczony - z początku myślała, że od zimna.

Chciał, by zaczęła go pieścić. Sięganie za siebie w ten sposób nie było zbyt wygodne, Irene zaczęła czuć ból w ramieniu.

Ponownie spróbowała się odwrócić, brodząc w wodzie. I ponownie jej nie pozwolił.

I wtedy zrozumiała. To nie był Christopher, ale Max. Od samego początku. Jego kolejna mistrzowska imitacja, tym razem Christophera. To rękę Maxa trzymała w swoich dłoniach, to w jego oczy patrzyła, to jego czerwone usta całowała, i, co najgorsze, to z nim omawiała plany zdradzenia go.

Zaraz zginę, pomyślała, czując jak członek twardnieje w jej dłoni.

Wcale nie, odparł cichy głosik w jej głowie. Cichy, zdysocjowany głosik. Tak, jak Max oczekiwał, Irene wsunęła kciuki pod swój kostium i zsunęła go aż do ziemi, po czym odrzuciła kopnięciem. Pochyliła się do przodu, jakby chciała ułatwić mu dostęp.

- No chodź tu, kochanie - wyszeptała, po czym gwałtownie odrzuciła głowę do tyłu. Usłyszała chrzęst i zobaczyła jasne światło. Ręka trzymająca ją zwiotczała. Rzuciła się do przodu.

Kopnięciem z obu nóg odbiła się od jego żołądka, po czym z całych sił popłynęła ku przeciwległemu brzegowi rzeki.

77

Przed wyjściem z apteki Pender kupił jeszcze opakowanie dziesięciocentymetrowych plastrów i nożyczki do paznokci. Po powrocie do pokoju zdjął stare bandażę i dokładnie przyjrzał się rozbitej głowie w lustrze. Maść Wonga spełniła swoje zadanie.

Wszystkie trzy rany zamknęły się, bez śladów obrzęku ani

**zaczerwienienia. Pender powyciągał szwy, wtarł w rany jeszcze nieco maści i zakleił je trzema zachodzącymi na siebie plastrami.**

**Następną rzeczą, którą musiał załatwić, było napisanie długiego listu do Steve'a McDougala. Opisał w nim dokładnie swoje działania w ciągu ostatnich kilku dni, po raz pierwszy w historii określając Caseya prawdziwym nazwiskiem - Ulysses Maxwell.**

**Pender wsunął list do koperty, zakleił ją, wypisał na niej nazwisko McDougala i numer faksu, po czym na odchodnym wręczył recepcjoniście.**

**- Macie tu faks?**

**- Pewno.**

**- Jeśli nie wrócę do jutra rana, niech pan otworzy tę kopertę i wyśle zawartość faksem na ten numer.**

**- Jasna sprawa - odparł recepcjonista, chowając do kieszeni dwudziestaka, którego otrzymał razem z kopertą.**

**- Jeśli otworzy pan to wcześniej, będzie pan miał do czynienia z federalnym wymiarem sprawiedliwości.**

**- Nawet mi to przez myśl nie przeszło.**

**- Dobra odpowiedź. A wie pan może, jak znaleźć Charbonneau Road?**

**- Nie, ale jest tu ktoś, kto wie. Hej, Tom - zawołał do kogoś, kto znajdował się za Penderem. - Nie wiesz może, gdzie jest Charbonneau Road?**

**- W hektary, na kompletnym zadupiu.**

**Gdy Pender odwrócił się, zobaczył mężczyznę w mundurze listonosza, który akurat wchodził przez drzwi do hotelu.**

**- Pe Zet, Pieprzona Zamiejska. Zrobi pan tak. Najpierw trzeba wyjechać na autostradę, później autostradą na wschód, jakieś trzydzieści kilometrów, aż zobaczy pan po prawej znak „Zajazd Pod Rogatą Granią”. Zajazd zamknięto jakieś dziesięć, piętnaście lat temu, ale znak ciągle stoi, jeśli dobrze wiem. To właśnie będzie pańska Charbonneau Road. Ma tylko jeden pas. Zawraca z powrotem na autostradę za południową granicą hrabstwa. Jaki ma pan samochód?**

**- Dodge Interpid.**

**- Więc lepiej niech pan nie szaleje - powiedział listonosz.**

**- Jeśli nie zrobili tam jakichś napraw, odkąd tamtędy jeździłem, to nie znajdzie pan na całej tej drodze prostego i równego odcinka dłuższego, niż pański samochód.**

**Listonosz Tom szczególnie nie przesadził. Po zjechaniu z autostrady Pender posuwał się ze średnią prędkością piętnastu kilometrów na godzinę - i nawet wtedy czuł, że szarżuje. Zatem było już późne popołudnie, kiedy po lewej zobaczył wreszcie skrzynkę pocztową u stóp asfaltowej drogi, która prowadziła w górę zbocza.**

**Przejechał powoli obok. Drewniany płot, wysoki na sześć bali, zamknięta na kłódkę brama, za nią wijący się wśród drzew asfalt. Nie widział stąd domu, nie był w stanie nawet dostrzec**

szczytu grani. Co oznaczało, że oni zapewne też go nie widzieli.

Jednak oznaczało to też, niestety, że czeka go skakanie przez płot i długa, stroma wspinaczka. Na całe szczęście nie wyrzucił swoich starych butów Hush Puppies.

Po minięciu bramy Pender zaczął poszukiwać miejsca, gdzie mógłby zaparkować. Na liczniku stuknął kolejny kilometr. Zanim odnalazł wystraszająco równy i rozległy kawałek pobocza, by wcisnąć tam samochód.

Zaparkował wóz, zmienił buty, załadował do SIGSauera piętnastonabojowy magazynek (do jakich mieli dostęp jedynie stróże prawa, przynajmniej w teorii), po czym wprowadził nabój do komory (SIGa skonstruowano w taki sposób, by strzelać z opuszczonego kurka; wynikająca stąd duża siła, potrzebna do naciągnięcia spustu, pełniła funkcję bezpiecznika).

Pender zamknął bagażnik i ruszył wzdłuż drogi, lecz już po chwili zawrócił. Ponownie otworzył bagażnik i wrzucił tam swój nowy kapelusz. Pomyślał sobie, że białego Stetsona trudno raczej uznać za dobry kamuflaż. Podobnie zresztą, jak jego łysą, obandażowaną czaszkę, ale na to akurat niewiele mógł poradzić.

78

Naga Irene usiłowała pokonać stromy skalisty brzeg kąpieliska. Za sobą, w wodzie, słyszała gwałtowne ruchy Maxwella.

Mulista plaża nie dawała dobrego oparcia, a skały były śliskie.



Gdy sięgnęła ku zwisającej w pobliżu wierzbowej gałęzi, straciła grunt pod nogami i upadła całym ciałem na najwyższą, niemal pionową część skarpy. Maxwell z pluskiem wyskoczył z wody i schwycił ją za kostkę. Uwolniła się kopnięciem, wczepiła palce w skały i desperacko pokonała resztę podejścia, podpierając się dłońmi i kolanami.

Wreszcie dotarła na górę i rozejrzała się dziko. Każdy kierunek wyglądał tak samo - jasne chude drzewa w szaleńczo roztańczonej grze światłocienia. Zanim zdążyła postanowić, w którą stronę uciekać, Maxwell przywalił ją całym swoim ciężarem, odbierając jej oddech. Próbując się wyslizgnąć, przewróciła się na plecy.

Mężczyzna jednak nieubłaganie wpełzał na nią coraz bardziej, aż wreszcie siedział już na jej piersiach, przyciskając ramiona kolanami do ziemi. Miał rozciętą dolną wargę, ale jego krwawy uśmiech był pełen radości. We wzniesionej do ciosu ręce trzymał odlupany kawałek skały.

- Mie... mieliśmy umowę.

To było wszystko, co potrafiła teraz wymyślić. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w krew, która ciekła na jego bezwłosą pierś. Jeśli pochyliłby się bardziej do przodu, pociekłaby bezpośrednio na jej twarz. Z jakiegoś powodu przejmowała się tym bardziej niż kamieniem w jego wzniesionej dłoni.

- Co ty, kurwa, pierdolisz? - powiedział, mrugając powoli jak krokodyl. Odwrócił głowę na bok i splunął obficie krwią.

- JA - powiedział to słowo z naciskiem - nie podpisywałem żadnej kurewskiej umowy.

Nie był to głos Maxa. Ani Christophera, ani Ulyssesa, ani Lee, ani Alicei. Ale Irene już go kiedyś słyszała. Jednak jakim sposobem? Kiedy? Wtedy nagle sobie przypomniała. To było alter ego, które zabiło gliniarza z drogówki.

Kinch.

Zaraz zginę.

Wcale nie.

Pod wpływem tego głosu Irene przedłużyła swoje istnienie, zadając proste pytanie.

- Kim jesteś? - krzyknęła. - Jak się nazywasz?

Zanim Kinch zdążył sformułować odpowiedź, jego oczy uciekły do góry i na prawo, powieki zatrzepotały, a wewnątrz ciała obudził się Max. Opuścił kamień, potarł nim o udo w geście gruntującym, po czym wyrzucił go w krzaki. Ponieważ - choć z pewnością był socjopatą typu B, a być może też demonem zrodzonym z demona, jeśli wierzyć w takie rzeczy - na pewno nie był kimś, kto zepsułby mało zużytą truskawkową blondynkę, rozwalając jej głowę kamieniem. Wypadałoby najpierw przynajmniej raz ściąć jej włosy. Gdyby pozwolił Kinchowi działać, panna Miller nie puściłaby mu tego płazem. Oj, nie.

79

Nie potrafił określić, czy majestatyczne drzewa, które ocieniały jego wspinaczkę, to sekwoje, sosny czy jodły. Po

wszystkich zakrętach i serpentynach Charbonneau Road nie był też w stanie stwierdzić, czy znajdował się teraz po północnej, południowej, wschodniej czy zachodniej stronie grani. Wiedział tylko, że było gorąco, a kupione wczoraj w Dallas dzinsy zaczynają mu obcierać uda, i że bolą go żebra, po tym, jak przeszorował nimi po górnej belce bramy, próbując przeciągnąć na drugą stronę swój tłusty tyłek.

Pender zaczynał wątpić w słuszność swojej decyzji, by spróbować złapać Maxwella na własną rękę. Zaczynał rozumieć, że kiedy dotrze na szczyt tej cholernej góry, to pewnie nie będzie miał nawet siły pociągnąć za spust. Innymi słowy, mówiąc językiem Buckleya, do tego czasu się osra. Ale Pender ani przez chwilę nie rozważał na poważnie powrotu. Miał zamiar przynajmniej się rozejrzeć.

Ponieważ, jeśli zrobi porządne rozpoznanie terenu, to goście z HRT\*[\* Hostage Rescue Team - oddział odbijania zakładników (przyp. tłum.)] nie będą mieli wyjścia - będą musieli się z nim skonsultować. Będzie mógł przypomnieć im, że Max zabił już jedną zakładniczkę przy próbie aresztowania, i skryte podejście jest niezwykle istotne.

A właśnie, skryte podejście... Pender zszedł z asfaltu i zagłębił się w las. Wspinał się teraz pod osłoną drzew, stąpając ostrożnie po suchym igliwiu, patrząc często pod nogi, by nie nadepnąć na jakąś gałązkę. Pot perlił mu się na łysej głowie i

zalewał oczy. Poklepał się po ciemieniu. Plastry zniknęły, splukane słonymi strumieniami. Sięgnął do kieszeni po granatową kowbojską apaszkę, którą Alvin Ralphs dorzucił mu za friko. Złożył ją w trójkąt i zawiązał sobie na czole.

Kiedy przed jego oczami ukazał się tunel z podwójną bramą oraz ogrodzenie z żółtymi tabliczkami ostrzegawczymi, wewnętrzny głos, ten rozsądny, kazał mu zawrócić i wezwać kawalerię.

Tylko rzucę okiem na to zamknięcie, powiedział sobie w myślach, przechodząc skulony (jakby mogło mu to w czymś pomóc, gdyby ktoś patrzył) przez asfaltową drogę i ujmując tanią tandetną kłódkę zabezpieczającą zewnętrzną bramę. Jakim idiotą trzeba być, myślał, sięgając po portfel, by wydać kupę kasy na zabezpieczenia i zostawić frontowe wrota otwarte dla każdego, kto ma przy sobie wytrych?

Po minucie otworzył kłódkę, wszedł do środka i poznał odpowiedź na swoje pytanie. Była to pułapka. Pender dostrzegł kątem oka jakiś ruch. Siedemdziesięciokilogramowy rottweiler trafił go w górną część ciała i przewrócił na ziemię. Portfel i wytrych poleciały na bok. Przewracając się, Pender usiłował chwycić za broń, przez co upadł niezgrabnie na bok, boleśnie odbijając sobie żebra łokciem. Pozbawiony oddechu, oszołomiony, przez chwilę nie był w stanie się poruszać.

Paradoksalnie, chwilowy paraliż ocalił mu życie. Gdyby walczył albo próbował uciekać, rozwścieczona sfora rozerwałaby

go na strzepy. Jednak w tej sytuacji psy jedynie otoczyły intruza, jeżąc sierść i powarkując głębokimi głosami (nie szczekały; panna Miller nie znosiła szczekania). Czekwały na rozkaz swego pana lub pani, by odstąpić lub zaatakować.

Fakt, że ani pana, ani pani akurat nie było w okolicy, nie zaprzętał psich umysłów. Jeśli ich nie było, to zaczekają. Będą czekać do czasu, aż piekło zamarźnie, a później będą czekać zamrożone. Bo, wiecie, to były dobre psy. Były to dobre psy i żyły tylko po to, by służyć.

80

- Max! Max, mieliśmy umowę.

Zszedł z niej, oddychając ciężko, i usiadł gołym tyłkiem na ciepłej skale. Ociekał wodą, a jego skóra lśniła w przebijającym spomiędzy gałęzi snopie światła.

- Terapia skończona, doktor Cogan - powiedział, spluwając krwią. - Będziemy jakoś dalej radzić sobie sami.

- Christopher - spróbowała desperacko. - Christopher, muszę z tobą porozmawiać.

Max przycisnął rozciętą wargę grzbietem dłoni aż krwawienie zaczęło się zmniejszać.

- Nie martw się o Christophera. Obiecałem mu już, że i na niego przyjdzie pora, jak będzie grzeczny. Ale nie w najbliższych miesiącach. Dopiero, kiedy staniesz się zbyt odrażająca, by biedaczek mógł na ciebie patrzeć i myśleć o miłości.

- Więc to byłeś cały czas ty?

**- Dopiero od dziś rana.**

**Znów dotknął wargi. Nadal krwawiła. Ból był interesujący, ale nie na tyle silny, by mu przeszkadzać.**

**- Chodźmy, Irene. Chyba już czas przedstawić cię twoim nowym przyjaciółkom z suszarni.**

**- Idź do diabła.**

**- To ja jestem diabłem - odparł, przyciskając ciągle wargę.**

**Ze swojego okna Julia Miller obserwowała, jak Ulysses prowadzi nową dziewczynę, panią psychiatrę, przez łąkę. Oboje byli kompletnie nagi. Kobieta szła niepewnie, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Ulysses kroczył za nią, trzymając dolną wargę między kciukiem a palcem wskazującym, a drugą ręką popychając kobietę, kiedy ta zwalniała kroku. Wyglądało na to, że miesiąc miodowy dobiegł już raczej końca.**

**Wyglądało też na to, że nowa przywróciła swoje włosy do naturalnego koloru truskawkowego blond.**

**Czekajcie, a będzie wam dane, pomyślała panna Miller, po raz pierwszy tego dnia opuszczając swoją sypialnię. Ulysses będzie potrzebował swojej maszynki. Panna Miller postanowiła też zanieść mu przy okazji jeden z jego nowych pistoletów. Ten duży.**

**Poziome drzwi wpuszczone w ziemię. Tonące w półmroku schody w dół. Kolejne drzwi, tym razem pionowe. Jasne rozproszone światło dochodzące z góry; duszne i gorące powietrze.**

**Dwie kobiety, które wyglądały jakby wyszły prosto z obozu**

zagłady. Stały na środku pomieszczenia z kocami zarzuconymi na ramiona i obejmowały się nawzajem w talii. Przez skórę twarzy tej mniejszej wyraźnie przebijały kości policzkowe, wargi miała cofnięte, odsłaniające zęby. Obciągnięta skórą czaszka mumii z nimbem króciutkich czerwonozłotych włosów. Większa z kobiet nie była aż tak wychudzona, a jej włosy były dłuższe. Miały jednak identyczny kolor, nie licząc siwych pasemek na skroniach.

- Czas strzyżenia - powiedział Maxwell, popychając Irene w ich stronę. - Umyjcie ją.

Gdy Max zamknął za sobą drzwi do suszarni i wstąpił na schody, kłapa nad jego głową otworzyła się. Panna Miller ruszyła w dół z koszykiem w ręce. Dźwiękoszczelny właz zamknął się za nią automatycznie. Nie zwracając najmniejszej uwagi na nagość Maxwella, kobieta wręczyła mu koszyk. W środku znajdowała się jego maszynka Panasonic na baterie oraz Glock.

- Panno Miller, jest pani cudowna.

Dolna warga Maxa przestała już krwawić, jednak czuł, że jest sztywna. Na rozcięciu uformował się strup.

- Właśnie miałem po to pójść.

- Nie jestem zbyt zachwycona włosami tej nowej - powiedziała. - Zrobię, co będę mogła, ale wiesz, że wolę naturalny kolor. Co mi przypomina, Ulysses: zwróciłeś uwagę, że ta starsza zaczyna siwieć?

- Zwróciłem. Miałem zamiar się dziś nią zająć - odparł. Była to prawda. Kinch był bardzo zawiedziony, że odebrano mu

najpierw Barbarę, później Bernadette, a co najgorsze Irene, gdy już niemal wymierzał cios. A zawiedzony Kinch, to zły Kinch, to Kinch, którego nie dało się kontrolować. Maxwell doskonale wiedział, że musi rzucić temu krwiożerczemu alter ego jakiś ochłap.

A kto się lepiej spełni w tej roli od Donny Hughes, niegdyś atrakcyjnej Teksanki, obecnie jedynie kolejnej gęby do wyżywienia?

- Och, cudownie.

Panna Miller była naprawdę zadowolona. Dlaczego w końcu miałyby nie być? Po przedłużonej nieobecności Ulyssesa i tym całym zamieszaniu z doktor psychiatrii, życie na Wzgardliwej Grani wracało wreszcie do normy.

- A tak przy okazji, skarbie, pomyślałam sobie, żeby zrobić dziś na kolację warzywa z ryżem na parze, co o tym sądzisz?

- Dorzuci pani parę tych kielbasek, które wczoraj kupiłem, a dopiero zrobi pani dla mnie przyjemność.

- Spraw mi przyjemność - poprawiła go, po czym odwróciła się i ruszyła w górę schodów.

- A co do dzisiejszego wieczoru - zawołał za nią Maxwell.

- Chciałaby pani popatrzeć?

- Dziękuję, że pytasz - odparła, wciskając guzik otwarcia wjazdu. - To wszystko nieco mnie zmęczyło. Zdrzemnę się troszkę i zobaczę, jak będę się czuła.

- Jak pani uważa. To pani tu rządzi.



- Oczywiście, że tak, mój słodki promyczku. Oczywiście, że tak.

81

Pender lubił psy. Towarzyszyły mu przez większość życia.

Ostatniego pięknego owczarka o imieniu Cassidy stracił przy okazji sprawy rozwodowej. Pender nie żałował nawet aż tak bardzo utraty domu, ale nie mógł się pogodzić z brakiem swojego czworonoga i uparcie odmawiał przygarnięcia innego, choć doskonale rozumiał, że robi to jedynie po to, by wymierzyć sobie karę.

Zatem zastrzelenie rottweilerów nie przedstawiało sobą łatwego zadania - zarówno emocjonalnie, jak i fizycznie. Agent leżał na lewym boku, nadal trzymając prawą rękę pod połą marynarki. Gdy wreszcie złapał oddech, zaczął wyciągać SIGSauera z kabury, milimetr po cholernym milimetrze, aż wreszcie pistolet był wolny, chociaż nadal schowany pod marynarką. Większość tak dobrze wytresowanych psów potrafiła rozpoznać kształt broni palnej i rozbroić posługującego się nią człowieka. Choć wszelkie instynkty Pendera nakazywały mu zwinąć się do pozycji płodowej, by chronić podbrzusze i męskość, agent powolutku przewrócił się na plecy.

Psy zaczęły się niepokoić, marszcząc pyski i pokazując kły.

- Dobre psy. Dobrze z was psy, prawda? - mruczał Pender swoim dzwięcznym tenorem. Chociaż lufa SIGa mierzyła teraz w lewo, musiał strzelać od prawej do lewej; od psa, który miał

najbliżej do jego uzbrojonej ręki. Zakładał, że drugą ręką zdąży przez chwilę powstrzymać psy po lewej. - Spokojnie, tylko spokojnie. Grzeczne pieski. Widzicie, nic się nie...

**BANG! BANG! BANG!** Położył trzy psy strzałami w głowę. Pozostała trójka podkulila ogony i umknęła, skowycząc, w kierunku psiarni. Jednak nie były aż tak dobrze wyszkolone, pomyślał Pender, wstając i dziękując w duchu SIGSauerowi za jego mechanizm samonapinający. Wtedy poczuł swąd dymu.

Spojrzał w dół i w swojej nowej, zbryzganej krwią marynarce dostrzegł tłące się dziury. Tkanina zajęła się od ognia z lufy.

Pender szybko ugasił płomienie dłońmi, po czym pospiesznie zaczął zbierać z ziemi dokumenty, rachunki, karty kredytowe, zapisane skrawki papieru, zużyte bilety lotnicze i wizytówki, które wypadły z portfela podczas ataku psów. Jednocześnie zastanawiał się nad następnym ruchem.

**Z jednej strony, otwarta brama wiodąca ku bezpieczeństwu.**

**Z drugiej, zamknięta, wiodąca ku Maxwellowi. Pender wiedział, jak brzmiało rozsądne rozwiązanie tego dylematu, ale ponownie zaślepiła go wizja truskawkowych blondynek, oczekujących nań w mroku. Nawet zresztą, jeśli była to tylko fantazja, pozostawała jeszcze całkowicie realna doktor Cogan. Gdyby teraz sobie stąd pójść, co mogłoby powstrzymać Maxwella przed zabiciem jej i zwinięciem interesu? Był sprytny i miał kasę. Kto wie, ile kobiet jeszcze zdążyłby zabić, zanim ponownie**

udałoby się go odnaleźć?

Choć nie było czasu do stracenia, Pender zmarnował właśnie kilka bezcennych sekund. Podbiegł do wewnętrznej bramy i wpakował czwartą kulę w kłódkę. Doszedł do wniosku, że i tak już stracił przewagę zaskoczenia. Staranował bramę barkiem, wpadł na teren posesji i od razu skręcił w prawo, kryjąc się pod względną osłoną drzew.

Pierwszą budowlą, którą zauważył, była niewielka kwadratowa szopa o boku dwóch metrów. Po odgłosach pracy pompy i zapachu głębinowej wody stwierdził, że mieści się tam studnia.

Pender schronił się do środka i odczekał chwilę, nasłuchując.

Nic. Żadnego szczekania ani pokrzykiwania, żadnych strzałów ani kroków. Gdzie, do diabła, jest Maxwell? Przecież nie jest głuchy, może go tu nie ma? Chłodny mrok szopy zachęcał, by odpocząć tu przez parę minut. Pender jednak zamknął cicho drzwi za sobą i ruszył dalej wzdłuż szczytu grani.

W pierwszym momencie prawie przegapił dom. Jego uwagę przykuł dopiero ciemny trójkątny kształt dachu, unoszący się pomiędzy kołyszącymi gałęziami jodeł. Konkretny, nieruchomy geometryczny kształt pomiędzy roztańczoną grą światłocieni, jedyne skupisko prostych linii, nie licząc strzelistych pionowych pni drzew.

Zaczął skradać się w kierunku domu, nie czyniąc żadnego hałasu w swych podgumowanych butach i korzystając z drzew

jako osłony. Po chwili jego oczom ukazał się niezwykle widok. Rustykalne krzesło ustawione pod kątem czterdziestu pięciu stopni do wyściełanej leżanki, a pomiędzy nimi trójnożny stolik, na którym stały dwa plastikowe kubeczki, dzbanek z wodą, popielniczka pełna pozbawionych filtra niedopałków oraz opakowanie liliowych chusteczek higienicznych.

Pomimo niezwyklej okoliczności, Pender od razu rozpoznał w tym wszystkim imitację gabinetu psychiatry. Dobry znak, wspaniały wręcz. Oznaczało to bowiem, że doktor Cogan niemal na pewno wciąż żyła. Przynajmniej jeszcze niedawno tak było.

Pender podniósł jeden z niedopałków. Stwierdził, że to Camel, po czym odłożył go z powrotem i ruszył dalej w stronę strzelistego domostwa z ciemnych, zmurszałych powykręcanych desek.

Do środka dostał się tylnymi drzwiami. Znalazł się w kuchni.

Na blacie dostrzegł chleb, torebki, nóż pokryty ciągle wilgotnymi resztkami majonezu i musztardy. Wyglądało na to, że ktoś tu robił kanapki, a później je zapakował. I to całkiem niedawno.

Piknik, a może jakiś wypad? Czy to dlatego nikt nie słyszał strzałów?

Przed Penderem znajdowało się teraz dwoje drzwi - jedne otwarte, które prowadziły na korytarz, i drugie, zamknięte, obok tych pierwszych. Przed oczami agenta ponownie zamigła wizja

zamkniętych w piwnicy truskawkowych blondynek. Ewidentnie jego podświadomość ustaliła już z góry, dokąd prowadzą te drzwi, zanim świadomość zdołała odrzucić ten pomysł jako bezsensowny.

Pender przelożył broń do lewej ręki, otworzył drzwi, wymacał włącznik światła i ruszył w dół schodów. Na dole, bezpośrednio po lewej, znalazł pralnię. Ruszył dalej, skręcając w prawo za róg korytarza, i stanął oko w oko z przeszkloną gablotą. Były w niej cztery półki, na każdej po trzy pozbawione szczegółów białe głowy manekinów. Tylko dwie z nich nie miały na sobie peruk z ludzkich włosów.

Pender jęknął cicho, gdy zobaczył tę surrealistyczną parodię, tę kpinę z jego najskrytszych marzeń i nadziei. Oto jego truskawkowe blondynki. Kilka z nich nawet rozpoznał. Ta z grzywką, na drugiej półce od dołu, to Gloria Whitworth. Dokładnie taką fryzurę miała na zdjęciu, które współlokatorka zrobiła tydzień przed zniknięciem Glorii z Reeford. Ta ciemniejsza z rudymi pasemkami na górnej półce to Donna Hughes. A tu, na dolnej półce, stała Sandra Faircloth. Jej długie proste włosy tragicznie zmatowiały od chwili, gdy dziesięć lat temu uciekła z Eugene w Oregonie z mężczyzną swoich marzeń.

To tyle, jeśli chodzi o wizje i nadzieje. Przez lata swojej kariery w tropieniu seryjnych morderców, z których wielu należało do typu znanego jako „kolekcjonerzy”, Pender widział niejedną o wiele bardziej upiorną i obsceniczną wystawę. Ta w porównaniu była stosunkowo grzeczna. Dlaczego więc aż tak nim

wstrząsnęła? Czyżby naprawdę uwierzył w swoje pobożne życzenia?

Niech to będzie dla ciebie lekcją, Edgarze Lee, powiedział sobie. A teraz zabieraj swoją tłustą dupę w troki z tej chałupy, zleź z tego cholernego wzgórza i wezwij prawdziwych gliniarzy - młodych, bystrych, roztropnych, słowem takich, którzy najpierw strzelają, a dopiero później mają wizje.

Po czym przypomniał sobie, że doktor Cogan mogła jednak wciąż żyć. Na palcach wrócił na górę, zgasił światło, zamknął za sobą drzwi i prześliznął się do korytarza. Jego Hush Puppies nie wydawały żadnego dźwięku, kiedy zaczął wspinać się na piętro.

Gdy dotarł na podest pierwszego piętra, usłyszał czyjeś ruchy w jednym z pokoiów. Na palcach podszedł do otwartych drzwi i wyjrzał zza framugi dokładnie w tym samym momencie, kiedy do pokoju weszła jakaś kobieta w długiej zielonej sukni i ruszyła w stronę łóżka, cały czas odwrócona do Pendera tyłem. Jej rudoblond włosy były krótkie i kręcone. Dolores Moon, pomyślał, robiąc krok w przód.

Panna Miller obróciła się w jego stronę. Jej zielone oczy zaczęły się rozszerzać, ale chirurgicznie zrekonstruowane powieki nie były zdolne podnieść się zbyt wysoko. Chciała krzyknąć, ale Pender pokonał dzielącą ich odległość w dwóch krokach i zamknął jej usta dłonią. Nieprzyjemne uczucie - wyglądało na to, że pod tą maską nie było żadnego nosa.

- Wszystko w porządku, jestem z FBI - wyszeptał. - Proszę

być cicho. Rozumie mnie pani?

Skinęła głową. Poluzował uchwyt. Wtedy znów spróbowała krzyknąć. Ponownie zacisnął dłoń, tym razem zakrywając nie tylko usta, ale i dziurę w miejscu, w którym powinien być nos, odbierając jej powietrze. Zaczęła drapać go po dłoni, próbowała kopać. Odchylił się do tyłu na tyle, by unieść ją w powietrze.

Wisiała tak, machając rękami i nogami, aż wreszcie straciła przytomność. Pender zrzucił bezwładne ciało na łóżko i przewrócił je na plecy.

Oby tylko oddychała, mówił sobie w duchu. Nie miał najmniejszej ochoty przeprowadzać oddychania ustausta, biorąc pod uwagę, co mogło kryć się pod maską. Jednak zielona suknia unosiła się miarowo, a jedwabna maska trzepotała leciutko. Gdy Pender zaczął rozglądać się za czymś, co mogłoby posłużyć za knebel, dotarło doń, że nie wiedział - właśnie uratował ofiarę, czy też schwytał współniczkę Maxwella?

82

To koniec, stwierdziła Irene. Uciekała, została schwyтана, widziała własną śmierć we wzniesionym kawałku skały, później ciągnięto ją i popychano w górę skalnego rumowiska, prowadzono przez łąkę, by wreszcie zepchnąć tu, pod ziemię, do tego białego świetlistego piekła, które miała dzielić z dwiema innymi potępionymi duszami. Nie była już nawet wycieńczona, nie czuła już nadziei ani strachu. Tak przynajmniej jej się wydawało.

Pomieszczenie było wysokie na trzy metry, szerokie na

dwanaście kroków, a długie na trzydzieści. Ściany i sufit zrobiono z nagiego betonu, a za dach służyła podłużna, płaska bańka matowego pleksiglasu. Pod sufitem, w przeciwległych kątach pomieszczenia, w ściany wbudowano dwa wentylatory. Jeden zasysał z wnętrza powietrze, drugi wtłaczał w jego miejsce nowe.

Pojedynczy kran pół metra nad ziemią służył jako źródło wody do picia oraz, ewidentnie, mycia włosów, ponieważ obok pod ścianą ustawiono co najmniej tuzin różnych szamponów i odżywek. Ani śladu mydła, tylko mnóstwo butelek z szamponem. Poza tym pomieszczenie było całkowicie puste, nie licząc toalety - osłoniętej trzema ściankami udającej drewno plastikowej płyty, zamocowanej na prostym rusztowaniu nad głęboką dziurą w podłodze.

- Chodź tutaj - wyszeptała wyższa z kobiet, chwytając ją za ramię i próbując ciągnąć w stronę kranu. - Proszę, lepiej się go słuchać.

- Po co?

- Żeby uniknąć kary - wyjaśniła cierpliwie mniejsza kobieta, ujmując Irene za drugi łokieć. - On potrafi zrobić, żeby bardzo bolało.

To, co Irene zobaczyła w oczach tych kobiet, spoglądając raz na jedną, raz na drugą, gdy prowadziły ją do kąta, na nowo wzbudziło w niej przerażenie. Ponieważ w ich oczach dostrzegła litość. Z jakiegoś przerażającego powodu, te dwa chodzące trupy litowały się nad jej losem.



Gdy Irene zrozumiała, że ma uklęknąć nago na stalowej kratce pod kranem, coś w niej pękło. Nawet wspólnie dwie kobiety nie miały dość siły, by ją do tego zmusić. Cały czas nerwowo spoglądały w kierunku drzwi. Kiedy te się otworzyły, puściły Irene i odsunęły się od niej.

- Klękaj - powiedział Maxwell, idąc nagi przez pomieszczenie z koszykiem w ręku i wskazując lufą pistoletu kran.

Uklękła.

- Wy dwie stańcie tam.

Machnął pistoletem w kierunku drzwi. Kobiety posłuchały, ale zamiast pójść w tamtą stronę najkrótszą drogą, przemknęły, kuląc się przy ścianie, trzymając jak najdalej od Maxa i nie odwracając się do niego plecami.

- Włóż głowę pod kran, zamknij oczy.

Gdy minął strach, a później szok spowodowany zimną wodą, przyszło uczucie ponizenia. Klęcząc nago i nie mogąc nic zrobić, Irene nie czuła się nawet zła, ani zrozpaczona, tylko pokonana. Koniec z modlitwami, koniec z targowaniem się, koniec z afirmacjami i planami. Zamknęła oczy i pozwoliła swej głowie opaść. Max, ruchami równie pewnymi i delikatnymi jak fryzjerka Irene, zaczął unosić i rozczesywać w palcach pasma jej włosów, czyszcząc je z mułu, liści i bladozielonych kleistych nasion trawy.

Kiedy tak klęczała pod strumieniem wody, na Irene opadł swoisty spokój. Chociaż jej wewnętrzny psychiatra od razu nadał temu nazwę - dysocjacja traumatyczna - Irene wiedziała, że tego

doświadczenia nie dało się zanalizować ani sklasyfikować.

Jak mogła tak nalegać, by jej pacjenci wrócili do rzeczywistości? Ponieważ w tym dziwnym nieczasy i niemiejsku znalazła w końcu sposób, by oddalić od siebie ból i niemożliwy do zniesienia strach. Emocje, które jeszcze niedawno ją przytłaczały, nadal były obecne, ale - choć należały do niej - nie były nią.

I nawet delikatne szarpanie za skórę głowy, gdy Max ujął jej dwukrotnie umyte i odżywione włosy w dłoń, ani też irytujące bzyczenie maszynki, które nadeszło później, gdy zaczął golić jej głowę, nie były w stanie dotrzeć do niemiejsca, do którego Irene się schowała.

83

Maxwell zszedł do piwnicy, by z powrotem włączyć zasilanie płotu, po czym ruszył pędem na górę, by dostarczyć pannie Miller swój cenny ładunek w postaci koszyka pełnego ludzkich włosów. Drzwi do jej sypialni były zamknięte. Zapukał delikatnie.

- Chodź tu, pani mego domu! - John Wayne do Maureen O'Hary w Spokojnym człowieku, jednym z ich ulubionych filmów.

Sam chodź, panie mego domu, miała odpowiedzieć panna Miller. Jednak zza drzwi dobiegała jedynie cisza. Max otworzył je i zobaczył, że w środku jest pusto, a na łóżku na pewno nikt nie spał. Wycofał się do swojego pokoju po drugiej stronie korytarza, założył świeże szorty i hawajską koszulę, po czym udał się na poszukiwania.

Nie znalazł jej jednak przy kurniku. Może zatem należało

udać się do psiarni, gdzie chadzała odebrać swoją niezbędną do życia codzienną dawkę uścisków. Czulości, jak mówiła. Jakże uwielbiała czulości ze swoimi pieskami. Apsy ją kochały. Wjakiś sposób rozumiały, że muszą być wobec niej cierpliwe i delikatne.

Nigdy nie rzucały się na nią tak, jak na Maxa, lecz przyjmowały jej niekończące się karesy, merdając tylko z zachwyty ogonami.

Na długo przed tym, zanim Max dotarł na miejsce, wiedział już, że nie znajdzie tam panny Miller. Coś tu mocno nie grało. Żaden pies nie wybiegł mu na spotkanie, merdając ogonem, nawet Lizzie. Max otworzył bramkę do psiarni, zobaczył trzy kulące się po budach psy, przeszedł na drugą stronę psiarni, wszedł do tunelu z bramami przez boczne wejście i stanął jak wmurowany.

Jego trzy najstarsze psy - Jack, Lizzie i dr Cream - leżały na asfalcie w kałużach krwi. Potylicą każdego z nich została wyrwana z ogromną siłą, jakby eksplodowała od środka. Max przycupnął przy ciele Lizzie, pogłaskał ją po krótkim natłuszczonym futrze. Gdy podniósł dłoń, zobaczył na niej ślady krwi i białe kawałki kości oraz tkanki mózgowej. Wytarł rękę o ogon suki, który już nigdy nie miał zamerdać, po czym uniósł to, co zostało z jej głowy i pod pyskiem zobaczył ranę postrzałową.

Tył głowy psiny został rozniesiony na strzępy, praktycznie zanihilowany przez trafienie czymś, co musiało być wydrążonym pociskiem, wystrzelonym z bardzo bliskiej odległości.

Ale jaki potwór byłby zdolny zrobić coś takiego? Zabić trzy

psy z zimną krwią? Co prawda Maxwell wiedział, że stróże prawa często używali wydrażonych pocisków, takich jak Black Talons czy Gold Dots, by móc położyć człowieka jednym strzałem, nie sądził jednak, aby to była robota glin. Gliniarze nie włamują się na teren czyjejś posesji, by zastrzelić psy gospodarza i porwać jego nauczycielkę.

Po raz pierwszy, odkąd zobaczył we wstecznym lusterku wirujące koguty radiowozu funkcjonariuszki Terry Jervis, Max doświadczył czystej, odbierającej rozum paniki. Odezwała się wrzawa tłumu, powstało zamieszanie.

**- ZAMKNAĆ SIĘ, WSZYSCY!**

Krzyk Maxa zadudnił w tunelu. Wrzawa ucichła.

**- Zajmę się tym.**

Czas zabawić się w detektywa. Max sprawdził klódkę przy zewnętrznej bramie. Była otwarta, ale nieuszkodzona. Gość - to musiał być mężczyzna, żadna kobieta nie zrobiłaby czegoś takiego psu - otworzył klódkę wytrychem i wśliznął się do środka.

Psy zaatakowały go z zaskoczenia, jak były wyszkolone, przewróciły go na ziemię i przytrzymały. Zastrzelił trzy z nich, po czym przestrzelił klódkę przy wewnętrznej bramie i wszedł na teren posiadłości.

Musiało to się stać, kiedy Max był zajęty w suszarni. Obiekt był dźwiękoszczelny - co prawda nie po to, by odcinać odgłosy z zewnątrz, ale z wewnątrz.

Tak czy siak, panna Miller musiała jakoś zaskoczyć

**intruza...**

**Ale w tym momencie scenariusz Maxa zaczął tracić sens. Jeśli panna Miller zaskoczyła włamywacza, to gdzie się podziała?**

**Włamywacze nie porywają starych kobiet. Gwałciciele może, ale nawet najbardziej zdesperowany gwałciciel nie skusiłby się na pannę Miller. Może zabił ją i ukrył ciało. Albo...**

**Kątem oka Max zauważył coś białego. Obrócił głowę i skupił wzrok na kawałku kartki, który wczepił się w gęsty bluszcz porastający siatkowe ściany tunelu. Był to rachunek z operacji kartą MasterCard, wydany na - wyteżył wzrok w półmroku - stacji benzynowej Shella, tuż za Umpqua City. A klient nazywał się E.L. Pender.**

**Pender. Niech go, kurwa, jasny chuj podwójnie strzeli, razem z tym jego pieprzonym twardym łbem. Teraz to już naprawdę trzeba było się pospieszyć. Max musiał się dowiedzieć, czy Pender porwał pannę Miller i poleciał po pomoc, czy też oboje ciągle byli na terenie posesji. Nie mógł jednak pozostawić za sobą otwartej niestrzeżonej bramy, dlatego wyciągnął z psiarni sześciometrowy kawał łańcucha, kilkakrotnie owinał nim złączenie wierzei ze słupem, po czym zamknął całość na starą zardzewiałą kłódkę, do której klucz zaginął już wieki temu. Następnie pobiegł do psiarni, wyciągnął trzy psy do tunelu i tam je zamknął.**

**Jeśli Pender ciągle tu jest, myślał Max, tunel to jego jedyna droga ucieczki. Jeśli zastrzeli pozostałe psy, Max przynajmniej to**

usłyszy i będzie mógł się doń zakraść od tyłu, gdy agent będzie mocował się z łańcuchem. A wtedy to niech lepiej Bóg się nad nim zlituje, bo Max nie zamierzał.

A jeśli Pendera już tu nie było? To brać forszę i w nogi.

Max jednak był człowiekiem, który w każdej sytuacji szukał jasnych stron. W tej na pewno były, myślał sobie, zamykając wewnętrzne wrota tunelu kłódką zabraną z zewnętrznych i ruszając truchtem w stronę domu z Glockiem w ręku. Wiedział, że będzie tęsknił za swoim trzecim domem i panną Miller, ale niemal potrafił sam siebie przekonać, że to mogła być najlepsza rzecz, jaka zdarzyła się w jego życiu.

Ponieważ jeśli zniknie panna Miller, system nie będzie musiał się już troszczyć o jej potrzeby, ani ograniczać się do dziewczyn o włosach koloru truskawkowego blond, ani zapewniać im komfortu, wlokąc je przez pół kraju na Wzgardliwą Grań. Koniec z ruchaniem sterroryzowanych, na wpół martwych szkieletów.

System będzie mógł wreszcie zacząć - jak to ujął Jules w Pulp Fiction? - chodzić po ziemi. Wybierać sobie dowolną dziewczynę, która mu się spodoba, i robić z nią, co zechce i kiedy zechce.

Nie brzmiało to źle. Jednak najpierw Max musiał się dowiedzieć, czy Pender ciągle tu gościł, i musiał dowiedzieć się tego szybko. Ale jak? Wzgardliwa Grań była rozległa, można tu się schronić w setkach miejsc. Wtedy go olśniło. Zbiegł z asfaltu

między drzewa, po czym przeciął skosem łąkę, kierując się ku suszarni.

84

- Halo, tu Ziemia. Jesteście tam jeszcze, Apollo?

Irene leżała na boku, na wilgotnej wykładzinie. Przejechała dłonią po swej ogolonej niemal do skóry głowie, po czym otworzyła oczy. Powitał ją ten sam koszmar, w ucieczce przed którym je zamknęła. Na białym tle sufitu dostrzegła sylwetkę wychudzonej gnomicy, owiniętej wojskowym kocem, która kuciała przy niej, klepała po dłoni i bełkotała jakieś bzdury. W poczuciu rezygnacji Irene doszła do wniosku, że wygodna posttraumatyczna ucieczka w głąb umysłu nie była jej pisana. Umysł psychiatry był przerażająco jasny.

Irene usiadła.

- Którą z nich jesteś?

- Dolores. A to Donna.

- Dolores Moon i Donna Hughes.

- Powiedział ci?

- Jestem jego terapeutką - odparła Irene. Rozejrzała się po pomieszczeniu i spróbowała wziąć się w garść. Nie było to jednak łatwe. - Byłam jego terapeutką. Zamordował pewną dziewczynę w Monterey. Miałam za zadanie zbadać go, ale uciekł z więzienia i mnie porwał.

- A teraz jesteś tylko kolejną truskawkową blondynką - wtrąciła się Donna. - Witaj w suszarni.

**Dolores uciszyła ją.**

**- Nic nie rozumiesz, Donna? Jeśli go złapali i zamknęli w więzieniu, to przynajmniej wiedzą, że istnieje. Na pewno go szukają - powiedziała, po czym znów zwróciła się do Irene. - Prawda?**

**- spytała z nadzieją w głosie.**

**- Oczywiście. Co prawda nie wiedzą jeszcze, kim jest...**

**- Och - w głosie Dolores zabrzmiał zawód.**

**- ...ale na pewno wkrótce to odkryją - dodała szybko Irene.**

**- W nocy z piątku na sobotę zabił policjanta z drogówki w północnej Kalifornii.**

**- Jaki mamy dziś dzień? - spytała Dolores.**

**- Wtorek, trzynastego.**

**- Jakiego miesiąca?**

**- Czerwca.**

**Dopiero po dłuższej chwili Dolores z wahaniem zadała ostatnie pytanie.**

**- A jakiego roku?**

**- Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego.**

**W ciszy, która zapadła w suszarni, echa tych słów długo jeszcze brzmiały w uszach wszystkich trzech kobiet. Dolores zdała sobie sprawę, że mijał już trzeci rok jej niewoli - w tę czy w drugą stronę, na pewno ostatni. Donna zrozumiała, że pierwsza rocznica jej porwania minęła bez echa. Zastanawiała się, czy ciągle jej szukają. Czy w ogóle ktoś za nią tęskni. Bo na pewno nie Horton.**



**Ani ta zdradziecka złodziejka mężów, Edwina Comb.**

**Irene natomiast próbowała trzymać się resztek panowania nad sobą. Rano Max, w trakcie wymieniania niekończącej się litanii swoich zbrodni, ani słowem nie zająknął się, że któraś z jego ofiar ciągle żyje, ani tym bardziej, że były zamknięte pod ziemią zaledwie kilkaset metrów dalej. Ona pyta, który mamy rok? Boże święty, który rok?**

**Ciszę przerwała Dolores.**

**- Jadłaś dziś coś? Mamy jeszcze trochę zupy.**

**- Dzięki, nie trzeba - odparła Irene. - Byliśmy na pikniku przy strumieniu. Wino. Biszkopty.**

**- Christopher zabrał mnie tam zaraz po przyjeździe - westchnęła Donna. - Nakarmił, a później zerznął w każdy możliwy sposób. Byłam taka szczęśliwa. Nareszcie, myślałam, nareszcie odnalazłam prawdziwą miłość. A następnego dnia poznałam Maxa.**

**- Więc wiecie o jego dysocjacji? - spytała Irene, lekko zaskoczonym tonem. W końcu Maxwell mógł to przed nimi łatwo ukryć, gdyby tylko chciał.**

**- Dyso... cjacji? Że co?**

**- Jego dysocjacyjnych zaburzeniach osobowości. Kiedyś nazywano to osobowością wielokrotną.**

**- A, to - odparła Donna. - Pewno. Nie wiedziałam, że zmienili nazwę. Nie wiedziałam nawet, że to ma w ogóle jakąś nazwę.**

**Wiemy tyle, że jest kompletnie pojebany.**

- No cóż, to też - odparła Irene. Po czym z zaskoczeniem stwierdziła, że chichocze. Był to znak powrotu do zdrowia lub nadciągającej hysterii. Kiedy zastanawiała się, która opcja jest bardziej prawdopodobna, nagle otworzyły się drzwi.

85

- PENDER! - odezwał się głos Maxwella. Dobiegał gdzieś od strony domu. - PENDER!

Panna Miller bezsilnie kopała w deski antresoli w stodole.

Pender związał jej ręce i nogi zabranymi z łazienki ręcznikami, a w skryte pod maską usta wepchnął skarpetę. Kilka razy próbował z nią rozmawiać, ale nie wydawała się zainteresowana niczym, poza podnoszeniem rabanu. Postanowił ją na razie zignorować. Zignorował też Maxwella; miał robotę do dokończenia. Układał książki na krawędzi antresoli zajeżdżającej odorem kurzu i wymiocin, aż wreszcie zbudował barykadę - wysoką na pół metra i grubą prawie na metr. Zza niej miał doskonały widok na wejście do stodoły i znajdował się w dogodniejszej pozycji niż Maxwell.

Ale i tak nie będzie to łatwy strzał, pomyślał. Odległość do wrót wynosiła niemal dwadzieścia metrów, będzie musiał wziąć poprawkę na opadanie pocisku. Będzie też musiał trafić w witalną część ciała. Nie było gwarancji, że dziewięćmilimetrowy pocisk, nawet wydrążony, położy człowieka z tej odległości.

Przynajmniej cel będzie doskonale widoczny na tle światła, które wpadało przez wrota. A nawet gdyby Maxwellowi udało

się odpowiedzieć ogniem, Pender będzie bezpieczny za metrowej grubości ścianą z książek. Oczywiście pod warunkiem, że Maxwell nie miał do swojej dyspozycji Magnum kaliber.357 czy czegoś podobnego.

Pender pospiesznie dodał do swojej barykady jeszcze jedną warstwę książek - oprawioną w skórę kolekcję dzieł zebranych Joyce'a, Psychologię biologiczną Kalata, Psychologię anormalną Barlowa i Duranda oraz dwanaście tomów Encyklopedii złotej rączki - po czym nastawił się psychicznie na długie oczekiwanie.

Jeśli Maxwell wejdzie do stodoły przed zapadnięciem zmroku, Pender będzie mógł go zastrzelić. Jeśli nie, to pod osłoną ciemności będzie mógł ruszyć do ponownej ofensywy, korzystając z faktu, że Maxwell jest zajęty jego szukaniem. A jeśli nie udałooby się im nawzajem znaleźć przed świtem, agent zamierzał wrócić do swojej zaimprovizowanej fortecy i poczekać na oddział HRT, który McDougal bez wątplenia tu przyśle, kiedy tylko odbierze faks od Pendera.

Niezależnie od tego, który scenariusz miałby się spełnić, Pender oceniał swoje szanse wysoko. Przynajmniej do momentu, w którym usłyszał kobiecy krzyk, dochodzący z tego samego kierunku co wcześniejsze nawoływania Maxwella.

**- AGENCIE PENDER! TU Irene COGAN. MAX MÓWI, ŻE MNIE ZABIJE, JEŚLI PAN NIE WYJDZIE Z UKRYCIA.**

Pender nie chciał w to wierzyć. Maxwell z pewnością musiał rozumieć prosty fakt, że martwy zakładnik, to żaden zakładnik.

**Agent postanowił go przeczekać.**

**- PENDER! - znów głos Maxwella. - CHYBA PO RAZ  
KOLEJNY CIĘ NIE DOCENIŁEM. OCZYWIŚCIE, ŻE  
NIE  
ZABIJĘ ZAKŁADNICZKI.**

**Oczywiście, pomyślał Pender.**

**- ZAMIAST TEGO ZAMIERZAM JĄ PRZYPALAĆ  
ZAPALNICZKĄ, DOPÓKI NIE WYJDZIESZ.**

**O kurwa. Pender poczuł, jak znów zaczyna się pocić. Nie  
może być nigdy za łatwo, co?**

**Zdjął z głowy bandanę i wyjął ją, po czym zawiązał  
ponownie. Pojawiło się kolejne pytanie: czy doktor Cogan nadal  
była prawdziwą zakładniczką, czy tylko udawała, by pomóc  
Maxowi?**

**Znajdowała się w niewoli już od ponad tygodnia - to aż nadto  
czasu, by pojawił się syndrom sztokholmski. Szczególnie biorąc  
pod uwagę, jakim czarującym uwodzicielem potrafił być Maxwell.  
Z akt sprawy wynikało, że większość - jeśli nie wszystkie -  
truskawkowe blondynki poszły za Caseyem z własnej woli,  
przynajmniej na początku.**

**Przed Penderem stała teraz być może najtrudniejsza  
decyzja w całej jego karierze. Postanowił poczekać jeszcze chwilę,  
by po brzmieniu krzyków doktor Cogan stwierdzić, czy Maxwell  
rzeczywiście ją torturuje.**

**I faktycznie. Mimo że pierwszy krzyk był donośny i nie na**

pół gwizdka, to Pender uznał, iż powinien go zignorować. Maxwell mógł po prostu ją zastraszyć, przynajmniej agent sam zrobiłby tak na jego miejscu.

Po czym nad posiadłością przetoczył się drugi krzyk - wznosił się i opadał, i znów się wznosił, bulgocząc jej w gardle i kończąc się pełnym bólu skowytem:

**- O BOŻE, O BOŻE, NIE, POMOCY, PROSZE, POMOCY!**

Tym razem w umyśle Pendera nie pozostało zbyt wiele wątpliwości co do jego autentyzmu. Trochę niepokoju i wstydu, ale wątpliwości niewiele.

**- ZOSTAW JĄ W SPOKOJU! JESTEM W STODOLE!**

**- TAK SĄDZIŁEM!** - zawołał Maxwell.

**- Patrz, bo uwierzę - mruknął Pender pod nosem.**

**- GDZIE JEST PANNA MILLER? JEŚLI COŚ JEJ ZROBIŁEŚ, TO MI ZA TO ZAPŁACISZ!**

Oho.

**- NA RAZIE NIC JEJ NIE GROZI, ALE JEST WYSTRASZONA I ZA TOBĄ TĘSKNI. PODDAJ SIĘ!**

**- DOBRZE WIEDZIEĆ, ŻE MASZ POCZUCIE HUMORU, PENDER!**

**- Próbuję dobrze się bawić.**

Agent usadowił się za swoją barykadą, opierając lufę pistoletu o Finnegan 's Wake i wymierzając w punkt metr nad cementową podłogą, dokładnie w miejscu, w którym stykały się drzwi stodoły.

- Przepraszam, że musiałem to zrobić, Irene - powiedział Max, prowadząc ją asfaltową drogą w kierunku stodoły. - Nie dał mi żadnego wyboru.

Irene nie była w stanie mu w tym momencie odpowiedzieć.

Po raz pierwszy zrozumiała medyczne konotacje słowa „obraza”, które wiązało się bezpośrednio z obrażeniami cielesnymi i niosło ze sobą podtekst szoku oraz cierpienia. Opisowało to w pełni jej stan ducha po tym, jak Max wyciągnął ją z suszarni, poprowadził nagą przez łąkę do kurnika, który mieścił się mniej więcej na środku, wykręcił ręce do tyłu i przypalał przedramię przez całą wieczność, aż wreszcie jej krzyki spełniły kryteria szczerości, które postawił sobie agent Pender. W tym momencie nienawidziła ich obu z równą pasją.

Kiedy dotarli do stodoły, Max zmusił ją do otwarcia rozsuwanych wrót, tylko na tyle, by dało się przejść, po czym popchnął do środka, sam kucając z tyłu z bronią w ręku. Wrota stodoły wychodziły na zachód. Wiszące nisko słońce rzucało na zakurzoną, cementową podłogę długi cień kobiety o czterech nogach.

Irene spojrzała w kierunku antresoli w drugim końcu pomieszczenia i ujrzała tam barykadę z książek, czarny wylot mierzącej w nią lufy oraz wystające powyżej dwie trzecie wielkiej łysej głowy Pendera, z niebieską bandaną zawiązaną wokół czoła. Zupełnie nie tak go sobie wyobrażała.

Maxwell też zobaczył to wszystko. Uniósł pistolet i strzelił

ponad głową Irene. Huk był ogłuszający. Kobieta instynktownie rzuciła się na cementową podłogę. Przez chwilę Max nie miał żadnej osłony. Pender zdołał skryć się za swoją barykadą. Kiedy ponownie wyjrzał, Maxwell zdążył chwycić Irene za ramię, zaciągnąć ją za błękitnego Cadillaca, który stał zaparkowany w kącie stodoły i ponownie wystrzelić w kierunku antresoli.

Pender odpowiedział strzałem ponad dachem wozu. Zostało mu dziesięć pocisków - jeden w komorze i dziewięć w magazynku. Nie miał pojęcia, ile naboji miał Maxwell. Ani ile mógł mieć sztuk broni.

- Zejdiesz na dół, czy mam ją przypalić jeszcze raz? - zawołał Maxwell.

Irene leżała na ziemi, czując pod nagimi plecami chropowatość podłogi, słysząc dzwonięcie w uszach i wpatrując się w krokiew sufitu. Ponownie dopadło ją poczucie klęski i beznadziei. Jeśli Pender zejdzie, Max zabije ich oboje. Jeśli nie...

Ale nie mogła sobie pozwolić na takie myśli. Ponieważ wiedziała, że gdyby dano jej wybór, wolałaby śmierć od przypalania.

Nie była w stanie sobie wyobrazić, jak mogłaby ponownie znieść ten ból.

86

- Nic nie zyskasz, robiąc jej krzywdę, Maxwell - zawołał

Pender zza barykady. - Może i mam miękkie serce, ale jeszcze mi życie mile. I nie zapominaj o pannie Miller.

- W takim razie, chyba tu sobie posiedzimy przez jakiś czas.
- Nie aż tak długo.
- Co masz na myśli?
- Jak daleko w przyszłość to sobie zaplanowałaś?
- Wystarczająco.

Prowizoryczny plan Maxa przewidywał odczekanie do zapadnięcia zmroku, zakradnięcie się pod drabinę, użycia swojego talentu do imitacji głosów i zmylenia czujności Pendera głosem Irene: Agencie Pender, to ja, doktor Cogan. Wchodzę na górę.

Dałoby to Maxowi przewagę zaskoczenia. Później, cóż, był w stanie zaryzykować walkę ze starszym, powolniejszym i grubszym od siebie agentem FBI.

Kiedy już go załatwi, trzeba będzie szybko spływać. Jeśli Pender znalazł to miejsce, reszta FBI nie mogła być zbyt daleko.

Zatem odpowiedź brzmiała „tak”, Max zaplanował sobie wszystko wystarczająco daleko w przyszłość.

- Dlaczego pytasz?

- Po prostu zastanawiam się, jak sobie poradzisz z oddziałem HRT, który przybędzie tu za jakąś godzinę. Tyle mi dali czasu.

Max poczuł, jak jego żołądek robi się ciężki. W głowie ponownie podniosło się larum. Zamknąć się, wszyscy, rozkazał.

Muszę pomyśleć.

To, co mówił Pender, wydawało się szczere i pasowało do znanych faktów. Agenci FBI nigdy nie pracowali sami. Oczywiście, że kawaleria jest już w drodze. Z jakiego innego



**powodu Pender zadowoliliby się ufortyfikowaniem na antresoli?**

**- Pender?**

**- Jestem.**

**- Zakładając, że nie wciskasz mi kitu, dlaczego mi to w ogóle mówisz?**

**- Bo mam dla ciebie propozycję. Kiedy przyjedzie HRT, będzie już za późno, nie będę miał nic do powiedzenia. Ty zabijesz doktor Cogan, oni zabiją ciebie. Ty mnie nie obchodzisz, ale ona - to co innego. Więc układ jest taki: jeśli zostawisz ją tu całą i zdrową, pozwolę ci sobie pójść. Pannę Miller możesz zabrać albo zostawić, jak wolisz.**

**- I jak to niby sobie wyobrażasz?**

**- Prosto jak drut. Wychodzisz przez te wrota. Będziesz miał trochę czasu na ucieczkę. To wszystko, co mogę ci obiecać.**

**- A skąd mam wiedzieć, czy nie strzelisz mi w plecy, w chwili gdy będę wychodził?**

**- Bo jestem agentem FBI, nie płatnym zabójcą.**

**- Powiedz to Randy'emu Weaverowi i pozostałym usmażonym biedakom z Waco.**

**- Dokładnie o to mi chodziło. Tak to się kończy, kiedy przyjeżdżają ninja. Te wszystkie spluwy, pancerze, granaty błyskowe, testosteron i zamieszanie. Niech to szlag, sam mogę przy okazji zginąć, a to na pewno nie należy do moich planów.**

**- To wszystko nie daje mi ciągle odpowiedzi na moje pierwsze pytanie. Dlaczego mam ci uwierzyć, że nie strzelisz mi w**

plecy?

- Bowiem, biorąc pod uwagę obecny klimat - sprawa Waco znów dała znać o sobie, gdy okazało się, że FBI kłamało w kwestii użycia granatów zapalających - to stare dobre czasy strzelania podejrzanym w plecy mamy już za sobą. A jeśli zostawisz tu pannę Miller, co zapewne i tak zamierzasz zrobić, w końcu nie nadaje się za bardzo do dalekich podróży, to będzie świadek. Jest tu przy mnie, wszystko słyszy.

- Pozwól mi z nią pogadać.

- Nie jest mi to w tej chwili na rękę. Nie zamierzam ruszać się z tego miejsca.

- Co mnie powstrzymuje przed ucieczką, korzystając z doktor Cogan jako żywej tarczy?

- Jasne, droga wolna, stary. Jeśli ci się wydaje, że możesz daleko uciec na piechotę, ciągnąc za sobą kobietę i unikając moich kul, to śmigaj. Ale jeśli nie, to umowa brzmi następująco: jeżeli zgodzisz się zostawić tu całą i zdrową doktor Cogan, możesz sobie iść. Przynajmniej, dopóki nie zapadnie zmrok. Wówczas koniec zabawy.

- Nie jestem do końca przekonany. Muszę pomyśleć.

- Tylko nie myśl za długo - zawołał Pender. - Chyba zostało nam około godziny do zachodu słońca.

Godzina, pomyślał Maxwell. Niewiele czasu - dla nudnego przeciętniaczka. Ale dla osobowości wielokrotnej nowej generacji było to aż nadto. Wiedział już, co robi. Zastosuje stary trik, który

**pomagał mu od czasów poprawczaka. Już raz dzięki niemu załatwił Pendera. Nie było powodu sądzić, że drugi raz się nie uda.**

**Nie zaszkodzi jednak poczekać do czasu aż się trochę ściemni.**

**Byle nie za bardzo. Maxwell potrzebował światła, by celnie strzelać.**

**- Pender!**

**Agent spojrział na zegarek. Minęło pół godziny. We wnętrzu stodoły zaczynał zalegać mrok.**

**- Co?**

**- Nie zgadzam się! Nie ufam ci. Ale mam kontrpropozycję.**

**- Słucham.**

**Penderowi zaburczało w brzuchu. Dopiero teraz przypomniał sobie, że nie jadł nic od śniadania. Dziwne, że tego nie zauważył wcześniej. Nie był przyzwyczajony do nieregularnego jedzenia.**

**- Ty i ja - odpowiedział Maxwell. - Mano a mano. Pojedynek na O.K. Corral[\* Najsłynniejsza strzelanina na Dzikim Zachodzie, która miała miejsce 26 października 1881 roku w miasteczku Tombstone. Stoczona pomiędzy przedstawicielami prawa w osobach braci Aerp i Doca Holidaya a lokalnym gangiem „The Cowboys” (przyp. tłum.).].**

**- Jak to sobie wyobrażasz?**

**- Zejdiesz tu na dół, policzymy do dziesięciu i strzelamy.**

**Oho, pomyślał Pender. Lata temu, jeszcze przed porażką w**

Reeford, czasami zapraszano go do Akademii FBI w Quantico, by dawał wykłady ze sztuki wywiadu współczującego dla młodych rekrutów. Podkreślał tam fakt, że czasami dla rozwiązania sprawy nie było ważne, co się wie, ani czego się nie wie, ale to, o czym twój przeciwnik nie wie, że ty wiesz.

Nie można było jednak za łatwo się zgodzić.

- Skąd mam wiedzieć, że nie zastrzelisz mnie, kiedy będę schodził na dół?

- Obaj wstaniemy w tym samym momencie, z bronią przy boku i wycelowaną w ziemię. Jeśli któryś z nas zrobi coś przed czasem, ten drugi to zobaczy.

- Ale ja będę w gorszej sytuacji, musząc jedną ręką trzymać się drabiny - marudził dalej Pender, udając, że nie jest przekonany. - Wiesz co, dopóki nie znajdę się na ziemi, trzymaj spluwę za plecami. Stoi?

- Załatwione - odparł Maxwell.

Załatwione, pomyślał Pender.

Irene nie wiedziała, co myśleć - poza tym, że niedługo będzie po wszystkim, w tę czy w drugą stronę, a jej szanse przeżycia wzrosły właśnie z zera do pięćdziesięciu procent. Jeszcze tydzień temu nie oceniałaby takich rokowań zbyt wysoko. Ewidentnie jednak punkt widzenia zależy od miejsca siedzenia, w tym i we wszystkim innym w życiu.

- Doktor Cogan? - zawołał Pender.

**- Tak?**

**- Czy może pani policzyć do trzech, powoli?**

**- Teraz?**

**- Tak, teraz.**

**Irene spojrzała na Maxwella. Ten skinął głową.**

**- Raz. Dwa. Trzy.**

**Przy trzech Max podniósł się do pionu, trzymając spluwę lewą ręką za plecami. Irene niepewnie wstała na nogi i wyjrzała ponad dachem Maybelline. Nie prostowała się jednak całkiem, by zasłonić swoją nagość bryłą pojazdu. Zobaczyła, jak zza barykady na antresoli wylania się Pender. Trzymał pistolet przy boku. Powoli ruszył w kierunku drabiny.**

**Irene nie spuszczała wzroku z dłoni Maxwella. Gdyby zamierzał coś zrobić, była gotowa krzyknąć, może nawet spróbować go za nią złapać. Pender zaczął schodzić po drabinie, trzymając się lewą ręką i szukając butami szczebli, jako że w prawej dłoni dzierżył broń, a wzrok miał cały czas utkwiony w Maxwellu, boleśnie wykręcając głowę.**

**- Na razie idzie dobrze - zawołał Maxwell, przenosząc powoli broń zza pleców do biodra, gdy tylko Pender dotarł na ziemię.**

**- Irene, policzysz od dziesięciu do jednego? - zapytał, nie spuszczając wzroku z Pendera. - Tak samo szybko, jak wcześniej.**

**- Sekundę - zaproponował Pender spokojnym głosem. - Chciałbym tylko coś wyjaśnić. Strzelamy na jeden, czy dopiero po jedyńce?**

**- A jak wolisz? - równie spokojnie zapytał Maxwell.**

**- W obu przypadkach można się pomylić. Może zrobimy tak: trzy, dwa, jeden, już, i strzelamy na Już”.**

**- Może być. Słyszałaś, Irene?**

**- Tak.**

**- No to jazda - powiedział Maxwell cienkim głosem przez ściśniętą krtani.**

**Irene nie rozpoznała postaci, ale wiedziała, że znów kogoś odgrywał. Robi to, kiedy się denerwuje, przypominała sobie.**

**Pierwszego dnia też się denerwował.**

**- Dziesięć - powiedziała głośno i wyraźnie, aż odezwało się w stodole wyraźne echo.**

**Kiedy zaczęła liczyć, Pender nadal próbował się zdecydować, przy którym numerze strzelać. Myślał o tym, odkąd zaczął schodzić po drabinie. Strzelanie przed rozpoczęciem odliczania było ryzykowne, Maxwell uważnie go obserwował. Ale Maxwell wierzył też niezachwianie w sztuczkę Buckleya. Kiedy zaczną się odliczanie, poczuje się, jak u siebie i trochę się rozluźni.**

**- Dziewięć.**

**Za wcześnie.**

**- Osiem.**

**Jeszcze nie. Nerwy ze stali!**

**- Siedem.**

**Pender obrócił nadgarstek i strzelił z biodra. „Siedem” zabrzmiało dla niego w sam raz.**

Wydrażony pocisk trafił Maxwella w bark i zawinął nim dookoła. Refleks i koordynacja mężczyzny były wyśmienite; zdążył odpowiedzieć ogniem. Kula zrykoszetowała po podłodze i wbiła się w jedną ze ścian oddzielających od siebie boksy, wyzwalając eksplozję drzazg.

Pender oddał drugi strzał w ciągu ułamka sekundy, ale chybił.

Szkolny błąd - pierwszy strzał podbija broń do góry, przez co drugi jest często niecelny.

To do ciebie niepodobne, powiedział sobie Pender. Wszystko, poza jego myślami, poruszało się, jak na zwolnionym filmie.

Stwierdził, że ma tyle czasu, ile tylko potrzebuje. Pomimo to, przy trzecim strzale nadmiernie skompensował w dół. Pocisk trafił Maxwella w kolano, gdy ten akurat próbował przelożyć Glocka z bezużytecznej lewej dłoni do prawej. Pistolet odleciał na bok, jednak jakimś cudem Maxwell niemal zdołał wykuśtykać na zewnątrz, choć jego kolano przed chwilą praktycznie uległo anihilacji.

Maxwell leżał na plecach - nogami w stodole, resztą ciała na zewnątrz. Wpatrywał się w różowe wieczorne niebo. Pender zbliżył się do niego ostrożnie, trzymając broń przed sobą i nie rozluźniając uścisku palca na cynglu. Gdy dotarł do ciała, stwierdził, że mężczyzna jest ciągle przytomny, a żadna z jego ran nie wygląda na stuprocentowo śmiertelną. Cholerna szkoda.

**Uklęknął przy Maxwellu, po czym przystawił mu lufę SIGa do czoła, tak żeby ten ją poczuł i zobaczył.**

**- Caz Buckley przesyła pozdrowienia - powiedział Pender cicho. - Atak przy okazji, powiedział, że nigdy cię nie lubił.**

**Kiedy zaczęła się strzelanina, Irene padła na ziemię i wczółgała się pod Maybelline. Nie wiedziała, kto zaczął. Była zdumiona, jak spokojnie to przyjmuje. Tydzień temu, była tego pewna, wpadłaby w histerię albo katatonię. Jednak teraz po prostu odczekała aż strzelanina ucichnie i nie wyszła spod samochodu do czasu, kiedy w jej polu widzenia nie pojawiły się Hush Puppies Pendera.**

**Wstała i zobaczyła, że agent klęczy w wejściu do stodoły, przystawiając pistolet do czoła Maxwella.**

**- Nie! - krzyknęła. - Co pan robi?**

**- Tylko zabezpieczam więźnia - odparł, pospiesznie zaczynając obmacywać talię oraz kieszenie szortów leżącego, szukając broni i jednocześnie starając się uniknąć ochlapania krwią, która tryskała z przestrzelnego kolana. Pender nie był pewny, czy rzeczywiście zamierzał wpakować trzecią kulę z bliskiej odległości w łeb Maxwella. Zapewne nie. Może i kotłowało mu się w głowie, ale pamiętał jeszcze, że krwawe rozbryzgi na jego ubraniu i ślady prochu na czole Maxwella nie umknęłyby uwadze nawet ślepego prokuratora.**

**Irene podeszła do mężczyzn z pewną dozą lęku, ale gdy tylko zobaczyła rany Maxwella, zadziałał jej trening medyczny.**



- Niech pan mi da tę bandanę - powiedziała, klękając przy Maxwellu i przyciskając dłonią jego rozerwaną arterię udową.

Pender spojrział na nią, po czym spojrział jeszcze raz, choć przecież musiał już wcześniej dostrzec, że jest naga. Pospiesznie zdjął swoją podartą, przepoconą, podziurawioną kulami, zakrwawioną i popaloną marynarkę za trzysta dolarów i zarzucił

Irene na ramiona. Zwisiała aż do samej ziemi.

- Pańska bandana - powiedziała ponownie.

- Po co?

- Muszę zrobić opaskę.

- Po co?

- By powstrzymać krwawienie.

- Och. Racja.

Niechętnie, niemal z wyrzutem, Pender zdjął bandanę i podał

Irene. Przez chwilę nie mógł pojąć, dlaczego chciała uratować Maxwellowi życie. Ale tak, oczywiście, że musieli utrzymać go przy życiu. W końcu, jak inaczej mogliby dowiedzieć się, co się stało z resztą truskawkowych blondynek? No chyba, że...

- Pani doktor, czy kiedy byliście razem, Maxwell powiedział pani coś na temat pozostałych dziewczyn?

- Opowiedział mi wszystko.

- Nazwiska i tak dalej?

- Nazwiska i tak dalej. Wszystko mam zapisane w notesie.

Niech pan tu przyciśnie - powiedziała, wskazując mu rozerwaną arterię, po czym zawiązała opaskę. Dopiero gdy krwawienie ustało, Irene wsunęła ręce w rękawy marynarki Pendera i pozapinała guziki.

- Ile ich w sumie było?

- Dwanaście - odparła Irene.

- Łącznie z Wiśniewski?

- Łącznie z Wiśniewski.

Irene przestąpiła nieruchome ciało Maxwella; przyklęła, by obejrzeć ranę w ramieniu. Nie wyglądała tak źle. Ale kiedy przycisnęła do niej kawałek sztucznego jedwabiu, oddartego z zakrwawionej koszuli mężczyzny, przypomniały jej się dyżury w szpitalu w Pało Alto. Rany wylotowe zawsze były poważniejsze. Kazała Penderowi podnieść Maxwella, by mogła obejrzeć plecy rannego. Rany wylotowej jednak nie było. Kula musiała nadal tkwić gdzieś w ciele.

Max jęknął, gdy układali go z powrotem na ziemi. Jego niezwykle umysł nadal pracował, lecz mężczyzna czuł, jak jego wola ulatnia się, dryfuje ku spokojnemu różowemu niebu.

- Tylko spokojnie - powiedziała Irene. - Wszystko w porządku, rozluźnij się.

Na oczy Maxwella spadł loczek blond włosów. Delikatnie szesała go na bok.

- Musimy go zabrać do szpitala - powiedziała do Pendera.

- Jest pani tego pewna? - zapytał szeptem. - Ocalić mu życie i

**ryzykować, że któregoś dnia odzyska wolność?**

**Spojrzała na Pendera bez wyrazu.**

**- Wie pani, jak miała pani zginąć? - kontynuował szeptem.**

**- Numer trzynaście.**

**- A jaką... - Irene chciała spytać, jaką to robiło różnicę.**

**Jednak coś w wyrazie twarzy agenta kazało jej zamknąć usta. -**

**Nie, nie wiem.**

**Pender poczuł, jak ogrania go smutek z powodu tego, co miał zamiar zrobić. Przez lata jego zwyczajem - niemal religią - stało się, by oszczędzać innym potworności, które sam widział, a przynajmniej cywilom, w tym bylej żonie. Prawda, postawa ta przyczyniła się do rozpadu ich małżeństwa, ale większość ludzi nie potrafiłaby wytrzymać w świecie, który on zamieszkiwał.**

**A teraz zamierzał wziąć tę biedną doktor Cogan, tę ogoloną na lyso sierotę, ubraną jedynie w jego za dużą marynarkę, i wciągnąć ją w całe to gówno. Wetrzeć jej w twarz.**

**- Na początek zgwałciłby panią, wielokrotnie, w każdy dający się do tego wykorzystać otwór pani ciała i w każdej pozycji, jaką zdołałby wymyślić. Związałby panią, pozował, przebierał, torturował, penetrował i wkładał w panią różne przedmioty, raz za razem, w narastającym szale, który skończyłby się jedynie pani śmiercią. Jeśli miałaby pani szczęście, szybko straciłaby pani przytomność - nie, żeby go to powstrzymało przed czymkolwiek - albo zginęła przedwcześnie, na przykład od pęknięcia czaszki, krwawienia wewnętrznego lub przez uduszenie.**

Jeśli to ma być szczęście, pomyślała Irene, to nie chcę wiedzieć, co to pech. Ale nie próbowała powstrzymać Pendera.

Podobało jej się, że był tak blisko. Gwarantował schronienie, bezpieczeństwo. Wiedziała, że nic, co mógłby powiedzieć, nie może wpłynąć na jej wierność przysiędze Hipokratesa. Wiedziała też, że musi go wysłuchać do końca.

- Ale jeśli natura pechowo obdarzyła panią ponadprzeciętną wytrzymałością lub wolą przetrwania, na końcu czekałby na panią nóż.

Umysł Pendera podryfował do sypialni domku na małej farmie w Prunedale. Harriet Weldon zsuwa prześcieradło, którym Maxwell przykrył do pasa ciała kobiet. Jeden z detektywów wydaje z siebie westchnienie, inny jęknięcie. Fotograf robi zdjęcie.

Flesz lampy błyskowej na stałe wypala obraz w pamięci Pendera. Agent zastanawia się, ile ciosów nożem potrzeba było, by całkowicie zmasakrować kobiece łono, zmienić je w nierozpoznawalną masę. Sto? Tysiąc?

- Agencie Pender?

Z lekkim szokiem Pender odkrył, że stoi nad ciałem Maxwella.

- Przepraszam. Odpłynąłem na chwilę. Chyba jestem bardziej zmęczony niż mi się zdawało. Na czym to stanąłem?

- Na nożu.

- A, tak. Nóż. Porządny mocny nóż rzeźnicki. Dość wytrzymały, by przetrwać uderzenie w kość, kość miednicy. Raz,

drugi, dziesiąty, setny raz, aż zostanie tylko krwawa...

- Już wystarczy. Proszę.

Irene kręciło się w głowie. Poczula, że przewraca się na ciało Maxwella. Pender podtrzymał ją ramieniem.

- Kinch - powiedziała, gdy posadził ją w wygodnej pozycji parę metrów dalej.

- Co?

- Kinch. Tak się nazywa alter ego, które patroszy kobiety.

- Zatem, pozwoli mi pani to zrobić?

- Co takiego?

- Poluzować opaskę.

Irene zastanowiła się. Zastanawiała się nad tym dłużej i bardziej poważnie niż potrafiłaby się przyznać, nawet przed samą sobą. Na jej ostatecznej decyzji zaważyła jednak nie tyle przysięga Hipokratesa, co unikatowość człowieka, który przed nią leżał.

Przez ponad dziesięć lat kariery w badaniu i leczeniu zaburzeń dysocjacyjnych Irene nigdy nie słyszała o kimś nawet w przybliżeniu podobnym do Maxwella. Był *sui generis*. Zachowanie szansy na zbadanie go, na dowiedzenie się o nim więcej, w dalszej perspektywie mogło doprowadzić do przełomu w wiedzy na temat osobowości wielokrotnych i pomóc osobom takim, jak Lily DeVries. W porównaniu z tym, strach Irene i jej niejasno zdefiniowane pragnienie zemsty znaczyły niewiele. Pokręciła przecząco głową.

Pender wstał powoli, wyglądał na bardzo zmęczonego.

- Jest tu telefon? Moja komórka nie ma zasięgu.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- W takim razie zepnę na krótko któryś z tych wozów.

Mogłaby pani tu poczekać aż wezwę pomoc, czy woli pani pojechać ze mną?

- Nie, chyba powinnam zostać z Donna i Dolores.

Pender w pierwszej chwili nie zrozumiał. Po czym paradygmat jego wszechświata zmienił się po raz drugi tego dnia.

- Słucham?

- Donna i Dolores. Powinnam z nimi poczekać do przyjazdu karetki.

- Donna Hughes i Dolores Moon? To one żyją?

- Nie wiedział pan?

Pender otworzył usta, by zaprzeczyć. Po chwili jednak zrozumiał, że wiedział, że w jakiś sposób wiedział to od samego początku. Po prostu nie zawsze w to wierzył.

88

Donna i Dolores trzymały się za ręce. Siedziały skulone niedaleko kranu, pod wentylatorem, od momentu, gdy Maxwell wyciągnął stąd psychiatrę. Wydawało się, że minęła już cała wieczność.

- Już niedługo - powiedziała Dolores.

- Tak czy inaczej - odparła Donna.

Dokładnie te same słowa przemykały wciąż przez umysł Dolores, ale nie chciała ich wypowiadać.

- Wiesz o czym myślę? - spytała.

- Tammy? - padła odpowiedź. Okazało się, że znów myślały o tym samym. W trakcie ostatniej nieobecności Maxwella, po pięciu dniach bez jedzenia, w czasie gdy spały, Tammy utopiła się pod kranem. Na pewno nie było to łatwe. Następnego ranka znalazły ją leżącą na plecach. Jej ciało było zimne, skóra śliska i stężała, jak u delfina, a wargi przybrały siny kolor. Gdy Donna zakręciła kran, zobaczyły, że otwarte usta Tammy wypełnione są po brzegi czystą, ciemną wodą, niczym bezdenne jezioro.

- Gdyby tylko wytrzymała jeszcze trochę.

Maxwell przybył jeszcze tej samej nocy. Wrzucił jej ciało do wychodka i przysypał wiadrem wapna.

Minęła kolejna wieczność. Ściemniało się. Wreszcie zapadła całkowita ciemność. Puściły swoje dłonie. Dolores opierała się plecami o ścianę, zwrócona twarzą w stronę drzwi. Usłyszały, że otwiera się zewnętrzny właz. Pomiędzy tym momentem a chwilą, gdy otwarto wewnętrzne drzwi, znów minęła wieczność - i choć składała się jedynie z odgłosów kilku kroków i dzwonienia kluczami, okazała się najdłuższa ze wszystkich. Dolores czuła, jak serce wali jej tak mocno, że omal nie wyrywa się z piersi.

Po czym drzwi rozwarły się i stanął w nich ogromny okrwawiony mężczyzna z wielką latarką. Obok niego stała psychiatra z naręczem ubrań.

Alter ego, czy też istota znana jako Max, nigdy nie była całkowicie pewna swojej natury ani pochodzenia. Oczywiście fakt,

że pozostałe alter ego postrzegały go jako coś w rodzaju demona, był bardzo wygodny i oddał mu wielkie usługi w przejęciu władzy nad systemem z rąk Ulyssesa i Christophera. Jednak dla niego samego myśl, że mógł być inkarnacją Carniveana była jedynie przypuszczeniem opartym na okolicznościach, w których po raz pierwszy się pojawił; na perwersyjnej przyjemności, jaką czerpał z tego, co inni zwykle uważali za złe lub haniebane; na niezaprzeczalnej efektywności działania systemu - nie tylko w porównaniu do innych osobowości wielokrotnych, ale i do ludzkiej rasy w ogóle.

Mógł to być przypadek, mogła to być losowa mutacja, lecz możliwości, że ewolucyjny skok naprzód, który Max reprezentował swoją osobą, był skutkiem demonicznego opętania, nie należało z góry skreślać.

Dlatego gdy zaczął ześlizgiwać się w ciemność, po raz kolejny udało mu się sobie wmówić, że nie jest tak źle. Przynajmniej nie musiał martwić się życiem pozagrobowym. Jeśli piekło istniało, to on zasiadał w radzie nadzorczej. Jeśli zaś nie, czekał go niebyt i koniec straszliwego bólu, który teraz odczuwał. Tak czy siak, tajemnica jego pochodzenia miała się wkrótce wyjaśnić.

Jednak gdy tylko Max odnalazł wewnętrzny spokój, zakłócił go dźwięk głosu panny Miller. Pomimo ścisłych i bolesnych więzów, jakimś cudem udało jej się doczołgać na zdrowych plecach na krawędź antresoli i pozbyć się knebla.

- Ulysses? - wołała.



**Max otworzył oczy i stwierdził, że zapadła noc. Co za niebo, co za niebo!**

**- Tu jestem. Trafił mnie.**

**- Słyszałam.**

**- Chyba umieram.**

**- Oj, oj, wydaje ci się, że umierasz za każdym razem, gdy uderzysz się w palec. Pamiętasz jak miałeś dwanaście lat i chorowałeś na grypę? Z moją pomocą wychodziłeś już z gorszych tarapatów. A teraz się pospiesz i mnie rozwiąż.**

**- Jesteście już bezpieczne - powiedziała Irene, choć nie była pewna, czy któraś z nich, łącznie z nią samą, będzie mogła się jeszcze kiedykolwiek poczuć naprawdę bezpieczna. Wiedziała, że teraz wszystkie cierpią na szok pourazowy, poprzedzający zespół stresu pourazowego, który zawiera wszystkie jego objawy, plus poważne symptomy dysocjacyjne, takie jak selektywna amnezja, niezdolność do odczuwania emocji i derealizacja. Ale Irene otrząsnęła się z własnych problemów - w końcu przeszła o wiele mniej od nich. I była, do cholery, psychiatrą! - Już po wszystkim. Jesteście wolne. On już nie może zrobić wam krzywdy.**

**Powtarzała wariacje tego zdania, pomagając Donnie Hughes wstać na nogi, przeciągając jej ręce przez rękawy pomarańczowej bluzki i pomagając utrzymać równowagę, gdy ta wsuwała na siebie szorty. Razem wyszły na oświetloną blaskiem księżycą łąkę. Po chwili we włazie pojawił się też Pender, niosąc na rękach Dolores. Choć Irene przyniosła jej sporo ubrań, które sądząc po**

rozmiarze wyglądały na jej własność, dziewczyna nie chciała pozbyć się koca, który przyciskała do swego ciała.

Sama Irene przebrała się w żurawinowy sweterek zapinany na guziki, bluzkę z krótkimi rękawami i białe spodnie. To samo ubranie, które miała na sobie - dziś rano? Czas zupełnie stracił sens. Rozpoznała to jako kolejny syndrom dysocjacyjny.

Pender postawił małą Dolores na nogi i otoczył ramieniem, by pomóc jej utrzymać równowagę. Oparła się o niego i z trudem obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, zostawiając za sobą rogaty szczyt na zachodzie i spoglądając w stronę domu na skraju łąki oraz księżyc w pełni, który wschodził ponad lasem.

- To dopiero widok, prawda? - spytała.

Pender spojrział na nią, następnie na księżyc, wreszcie na Irene i Dolores, które stały obok, objęte w talii, podtrzymując się wzajemnie.

- Bez dwóch zdań - zgodził się. Być może sam cierpiał na coś w rodzaju szoku pourazowego, nie był bowiem w stanie dotrzeć do swoich emocji. Były zbyt wielkie i zbyt głębokie. Czuł się, jakby nigdy wcześniej nie widział księżyc, jakby dopiero co wylądował na innej planecie, pod zupełnie obcym niebem.

Człowiek mniejszego formatu, pojedynczy człowiek, nigdy nie zdołałby nawet przeczołgać się przez stodołę, nie mówiąc już o wciągnięciu się na drabinę za pomocą jednej ręki i jednej nogi, w stanie niemal śmiertelnego wykrwawienia. Wymagało to wspólnego wysiłku wszystkich alter ego poza Lyssym i

autystycznym Mosze. Pracowali na zmianę, ześlizgując się z powrotem w ciemność, gdy zabrakło im sił. Wreszcie pozostał już tylko ślepy Peter.

- Gdzie jest drabina? - zawołał. Do tej chwili znał tylko wnętrze sypialni panny Miller. - Nic nie widzę.

Co on znowu sobie wydumał, pomyślała panna Miller z narastającą irytacją. W stodole z pewnością było wystarczająco jasno, blask księżyca wpadał przez otwarte drzwiczki na siano.

Nadal leżąc na plecach, oparła ramiona o barykadę z książek, którą zbudował Pender, i zaczęła pchać, próbując dostać się na skraj antresoli, by pomóc chłopakowi odnaleźć drabinę.

Tom w miękkiej oprawie uderzył Petera w potylicę. Lekko oszołomiony i dezorientowany zasłonił się zdrową ręką przed deszczem książek i wpełzł pod antresolę, gdzie było bezpiecznie.

- Wszystko w porządku? - zawołała, słysząc jęki bólu. Nie było odpowiedzi. Zmartwiona, że mogła mu przypadkiem zrobić krzywdę, ponownie oparła się łopatkami o barykadę, podkułiła nogi i rozprostowała je, pchając z całych sił.

Pierwotny plan Pendera zakładał umieszczenie kobiet w domu Maxwella, znalezienie kluczyków do Cherokee (lub spięcie go na krótko), zastrzelenie pozostałych psów, gdyby sprawiały kłopoty, podjechanie w stronę miasta, aż komórka znalazłaby zasięg, po czym powrót na Wzgardliwą Grań w oczekiwaniu na karetki lub śmigłowce pogotowia ratunkowego oraz ekipę techniczną.

**Interwencja oddziału HRT nie była już potrzebna. Jednak, znając Biuro, i tak pewnie go wyślą, razem z operatorami kamery, by zrobić dobry materiał filmowy pod publiczność.**

**Ale plan ten nie przewidywał, że byłe ofiary Maxwella nie będą chciały go wypuścić poza zasięg wzroku. Dla nich doktor Cogan się nie liczyła, była tylko kolejną z parady truskawkowych blondynek. Tak więc Pender, choć czuł się wykończony, ponownie wziął małą Moon na ręce i ruszył asfaltową drogą w stronę stodoły. Donna i Irene ruszyły za nim, nadal obejmując się w talii.**

**Gdy Irene szła tak za zwalistym kształtem Pendera, czasami podtrzymując Donnę, czasami sama będąc podtrzymywaną, nie mogła pozbyć się myśli, że kiedy dotrą do stodoły, Maxwella już tam nie będzie. Było to tak dziwne, przemożne wrażenie, tak dojmujące, że kiedy Pender dotarł na szczyt wzniesienia, wymamrotał przekleństwo, postawił Dolores na nogi, dobył pistolet, krzyknął do kobiet, by tu czekały, po czym puścił się biegiem ku stodole, Irene wiedziała już, co zobaczy.**

**A raczej, czego nie zobaczy. Ciało Maxwella bowiem zniknęło z progu stodoły, gdzie zostawili go nieprzytomnego zaledwie piętnaście lub dwadzieścia minut temu. Teraz dostrzegła tam tylko kałużę krwi, czarną w świetle księżyca, oraz sylwetkę Pendera, który wślizgiwał się bokiem do wnętrza budynku, trzymając pistolet przy piersi.**

**Kilka sekund później agent pojawił się ponownie. Pomachał na Irene, by do niego zeszła. Donna Hughes, w swej**

**pomarańczowej bluzie i szortach, oraz Dolores, owinięta kocem, pospieszyły za nią w dół asfaltowej drogi.**

**Pender czekał z latarką u podnóża antresoli. Obok niego na stercie książek spoczywała panna Miller. Jej głowa wykręcona była pod nienaturalnym kątem. Irene odkopnęła na bok oprawione w skórę wydanie Dublińczyków i kilka tomów Encyklopedii złotej rączki, po czym przykucnęła obok leżącej kobiety. Ujęła jej pokryty bliznami nadgarstek. Sprawdziła puls. Po chwili uniosła wzrok na Pendera i pokręciła przecząco głową.**

**Agent skinął na potwierdzenie. Następnie uniósł latarkę wyżej, by oświetlić Maxwella, który leżał na plecach w najciemniejszym kącie stodoły, pod antresolą.**

**Irene podbiegła do leżącego, sprawdziła opaskę na jego udzie i zacisnęła ją nieco mocniej.**

**- Mamo - powiedział płaczliwie, unosząc dłoń do jej policzka.**

**Irene otworzyła usta, by zapytać go, jak się nazywa, ale przypomniała sobie, czym to groziło. Poza tym, ten dziecinny głos, rozluźniona szczeka, owalna twarz i szeroko otwarte oczy nie pozostawiały żadnych wątpliwości.**

**- Cześć, Lyssy - powiedziała miękko.**

**- Mamo, boli mnie - rzekł, spoglądając ponad nią na Pendera, który stał nad nimi i świecił latarką. - Ten pan zrobił mi krzywdę.**

**- To było niechcący - odparła Irene. - Więcej tego nie robi.**

**- Przysięgasz? Jak Bożę kochasz?**

**- Jak Bożę kocham.**

**89**

**Razem z pierwszym brzaskiem nad Wzgardliwą Granią pojawił się z łoskotem helikopter Biura, by po chwili wylądować na górskiej łące. Ze środka wytoczyła się w komplecie ekipa od zabezpieczania śladów razem z psami wyszkolonymi do szukania zwłok. Pender już na nich czekał. Po tym jak każdy, łącznie z zastępcą prowadzącego śledztwo z Portland, bacznie słuchał każdego jego słowa, poznał, że wszystko zostało mu wybaczone.**

**E.L. Pender w ciągu jednej nocy przedzierzgnął się z wyrzutka w bohatera.**

**Agent rozumiał obowiązki, które się z tym wiązały. Nie zapomniał założyć niebieskiej wiatrówki z wielkimi literami „FBI” ani z poważnym wyrazem twarzy podziękować na konferencji prasowej biurom szeryfa z Umpqua i Monterey za współpracę.**

**Wiedział jednak też, że jego nowy status agentabohatera wiąże się z określonymi profitami. Każdy chciał położyć łapę na doktor Cogan - FBI, kalifornijska drogówka, trzy biura szeryfów oraz gwałtownie rosnący w liczbie przedstawiciele mediów - jednak po zakończeniu konferencji prasowej Pender użył swego heroicznego miru, by ją chronić: obwieścił, iż zamierza przesłuchać ją osobiście w szpitalu.**

**Postanowił jednak, że obowiązek powiadomienia rodzin ofiar pozostawi jakiemuś innemu pechowcowi. To, podobnie jak reszta**

spraw związanych z dokończeniem śledztwa, nie musiało agenta już obchodzić. Teraz czekał go powrót do Waszyngtonu, gdzie miał oddać McDougalowi swoją odznakę i przejść na emeryturę jako bohater. Miał również oddać swój pistolet. W związku z coraz bardziej nieprzyjemnym pokłosiem strzelaniny w Waco, Biuro chciało maksymalnie nagłośnić swój jedyny medialny sukces. Dyrektor zamierzał umieścić SIGSauera P266 Pendera na wystawie w muzeum FBI.

Co do dalszych planów agenta Pendera, to zakładały one pobieranie emerytury, rozważenie zatrudnienia się jako konsultant w prywatnej firmie ochroniarskiej (kolejny profit ze statusu agenta-bohatera) oraz, zdecydowanie, nauczenie się w końcu w golfie, jak zejść poniżej dwudziestu dodatkowych uderzeń.

Zanim to jednak miało nastąpić, Pender miał jeszcze jedną sprawę do załatwienia w Umpqua City.

Gdy Pender maszerował w stronę hospicjum, czuł w udach nieprzyjemne mrowienie, pozostałość po wczorajszym wysiłku.

Po naciśnięciu dzwonka w drzwiach pojawiła się ta sama, promieniująca godnością osobistą, siwa czarnoskóra pielęgniarzka, co poprzedniego dnia. Powitała go uniesieniem brwi. Każdy obywatel stanu Oregon znał już jego twarz.

- Powinien mi pan być powiedzieć, że jest z FBI - powiedziała oskarżycielskim tonem.

- A pozwoliłaby mi pani spotkać się z Cazem?

**- Za diabła - odparła, podnosząc głos.**

**- Wiele osób zapłaciłoby za to życiem. Proszę posłuchać, obiecałem Cazowi, że do niego wpadnę i powiem, jak to się wszystko skończyło. Jest przytomny?**

**Pielęgniarka spuściła wzrok i pokręciła głową. Pender od razu zrozumiał ten gest.**

**- Tak mi przykro.**

**Gdy kobieta podniosła głowę, Pender dostrzegł płynące z jej oczu łzy. Sądził, że pracując w hospicjum człowiek powinien przywyknąć do widoku śmierci. Może przywykało się jedynie do płaczu.**

**- Parę godzin temu - odparła. - Właśnie skończyłam go oporządzać. Chciałby pan go zobaczyć?**

**- Wolałbym zapamiętać go takim, jaki był za życia.**

**Kłamał w żywe oczy. Jednak po obejrzeniu częściowo rozłożonego ciała Tammy Brawn, które wydobyto rano z wychodka razem z kilkoma szkieletami, Pender uznał, że ma dość oglądania trupów na resztę miesiąca. Roku. Tysiąclecia.**

**- Mam nadzieję, że moja wizyta nie zadała mu cierpienia.**

**- Wręcz przeciwnie - odparła pielęgniarka. - Nigdy nie widziałam w nim takiego spokoju ducha, jak po pana odejściu.**

**Nie chciał powiedzieć, o czym rozmawialiście, ale cokolwiek to było, pomogło mu się pogodzić ze śmiercią. To tutaj dobra rzecz.**

**- Cieszę się zatem - powiedział Pender, uchylając kapelusz.**



Ten Stetson naprawdę dobrze się do tego nadawał. - Niech się pani trzyma.

- Oczywiście - odparła. - To należy do moich obowiązków.

Pender zastanowił się nad tym zdaniem, schodząc po stopniach.

Podobnie jak do moich, pomyślał. Przynajmniej do wczoraj.

Kiedy Pender wrócił do szpitala, trafił w sam środek rozpasanego zerowiska mediów. Furgonetki serwisów informacyjnych zajmowały połowę szpitalnego parkingu. Na trawniku wyrosły anteny satelitarne. Recepcja znajdowała się pod masowym oblężeniem dziennikarzy, a ekipa z kamerą wideo robiła wywiad z wolontariuszem, który zaniósł śniadanie Donnie i Dolores.

Pender skinieniem pozdrowił funkcjonariusza przy drzwiach pokoju. Irene stała przy oknie, ubrana w zieloną szpitalną koszulę, i przyglądała się zbiegowisku na dole. Agent podał jej wiatrówkę FBI i niebieską czapkę do kompletu.

- Na pewno jest pani na to gotowa? Możemy z tym chwilę poczekać. Wystarczy jedno słowo.

- Nie, chciałabym już mieć to za sobą - odparła, zakładając czapkę na ogoloną głowę. - Nie mogę znieść myśli, że ona ciągle tam leży.

Pender przeszmurował Irene przez szpitalną kuchnię. Jakiś przedsiębiorczy dziennikarz dopadł ich, kiedy wsiadali do Interpida zaparkowanego pod rampą załadunkową, i próbował

wepchnąć Irene mikrofon w twarz. Pender zagroził mu drogę tak, że mężczyzna odbił się od niego jak piłeczka pingpongowa.

Gdy dojechali w pobliże szkoły, dostrzegli zbliżający się od wschodu helikopter Biura. Pender objechał budynek i zaparkował na skraju boiska. Maszyna przyziemiała na jego środku.

Agent obiegł samochód i otworzył drzwi od strony pasażera.

- Madame, helikopter oczekuje - powiedział, przekrzykując huk rotom i podając jej dłoń.

- Dziękuję, miły panie - odparła, przyjmując ją. Zastanawiała się, czy flirtują - a jeśli tak, to czy robi to dobrze.

Kiedy podbiegali do helikoptera, trzymając się za ręce, Irene stwierdziła, że mimowolnie się pochyła, przytrzymując prawą ręką bejsbolówkę. Zawsze zastanawiała się, dlaczego ludzie schylają się, podbiegając do helikoptera, którego rotor znajduje się przecież dobre trzy czy cztery metry nad ziemią. Teraz już wiedziała - po prostu nie dało się inaczej.

Kiedy dotarli do maszyny, Irene - pod wpływem nagłego impulsu - wspięła się na palce i cmoknęła Pendera w policzek.

- Zawdzięczam panu życie - krzyknęła mu do ucha.

- Cholernie dobrze, jak na mój łabędzi śpiew, co? - odkrzyknął, pomagając jej wsiąść. - Niech pani odtąd uważa na siebie.

- Pan też.

Przez wypukłą szybę obserwowała, jak Pender odwraca się i odbiega, teatralnie pochyłony. Uśmiechnęła się, gdy jego wielka

łysa czaszka zaślśniła w słońcu. Irene była zbyt dobrym psychiatrą, by nie wiedzieć, że jej zainteresowanie podstarzałym otyłym agentem FBI było zapewne wynikiem transferencji.

On był Frankiem, on był jej ojcem, ostoją bezpieczeństwa, skałą, na której można budować... Mimo to, nie mogła się już doczekać, by opowiedzieć Barbarze Klopffman o swoim małym zauroczeniu.

Myśl o Barbarze, którą Irene zdążyła już w umyśle pochować, zadziałała jak naciśnięcie guzika windy nastrojów. W jej głowie weszło biochemiczne słońce. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że jej modlitwy zostały wysłuchane. Udało mi się, pomyślała. Przetrwałam. Wtedy przypomniała sobie ostatnie haiku. Truskawkowy blond, pomyślała, zdejmując czapkę z daszkiem i machając nią mocno w stronę oddalającej się figurki na jasnozielonym polu daleko w dole.

Irene oczywiście wiedziała, że to uczucie uniesienia nie potrwa długo. Prędzej czy później to wszystko znowu ją dopadnie.

Zapewne prędzej niż później. Helikopter Biura kierował się w kierunku hrabstwa Trinity, gdzie Irene miała pomóc zebrany siłom policjantów i strażników parku w odnalezieniu ciała Bernadette Sandoval.

Ale póki co czuła, że żyje, że naprawdę żyje i świat stoi przed nią otworem, czego nie mogła powiedzieć o sobie jeszcze osiem dni wcześniej, gdy po raz pierwszy zobaczyła osadzonego w pomarańczowym kombinezonie, który wchodził do pokoju

przesłuchań więzienia okręgowego Monterey przy Natividad Road, zakuty w łańcuchy i z chłopięcym loczkiem orzechowych włosów opadającym mu na czoło.

### **Epilog**

Minął nieco ponad rok. Irene Cogan spędzała poranek w pokoju hotelowym, jedząc śniadanie kontynentalne i przełączając kanały telewizora. Nagle z zaskoczeniem zauważyła na ekranie twarz Dolores Moon, która akurat udzielała wywiadu dla programu Dzień dobry, Portland.

Nie było nic niezwykłego w samym fakcie, że Dolores pojawia się w telewizji - już kilka tygodni po uwolnieniu udzielała się w Dateline, a trasa promocyjna jej książki rozpoczęła się od długiego występu w Today Show. Ale fakt, że znalazły się tego samego dnia w tym samym mieście był nie lada zbiegiem okoliczności. Irene zadzwoniła do stacji telewizyjnej i zostawiła swoje dane. Kilka minut później odezwał się dzwonek telefonu.

- Halo?

- Irene Cogan, co ty, u diabła, robisz w Portland?

- Cześć, Dolores. Jeszcze pięć minut temu oglądałam, jak wciskasz swoją książkę.

- Jak wypadłam?

- Ja bym ją kupiła, a wiem przecież, jak się kończy. Zjemy dziś razem kolację?

- Chciałabym, ale za jakąś godzinę wyjeżdżam do Seattle.

Czekaj, nie, San Francisco. Seattle było wczoraj - ze

śmiechem poprawiła się Dolores. Przyjemnie było słyszeć jej śmiech.

- A kiedy skończy się trasa promocyjna, jestem zaproszona na przesłuchanie do roli Eponiny w Nędznikach. To będzie kolejna trasa, też po Zachodnim Wybrzeżu. Ewidentnie to, że dałam się porwać, świetnie pomogło w mojej karierze.

- Strasznie się cieszę. Jak sypiasz?

Dolores nie odpowiadała przez dłuższą chwilę.

- Z włączonymi światłami i nafaszerowana Valium. Wiesz, jak to jest...

- Poprawi ci się.

- Wiem. A jak tam twoja książka? - Dolores szybko zmieniła temat. Nie lubiła dzielić włosa na czworo.

- Właśnie w tej sprawie jestem w Portland. Muszę zrobić z nim ostatni wywiad. To będzie prawdziwe zakończenie tej całej sprawy... tak dla książki, jak i dla mnie.

- On tu jest? - spytała Dolores, nie próbując ukryć zaniepokojenia.

- Panna Miller zostawiła mu niezły spadek. Po tym, jak tylko uznano go za niezdolnego do odpowiadania przed sądem, trafił do prywatnego szpitala. Z tego co wiem, niezłe wypasionego.

- Gdybym wiedziała, nigdy nie pozwoliłabym na włączenie Portland do mojej trasy. Wystarczająco stresowało mnie bycie z nim w tej samej części kraju.

- Nie masz się czym martwić. Jest na oddziale zamkniętym o

**maksymalnym poziomie zabezpieczeń.**

**- Jeśli mnie spytasz, to śmierć byłaby maksymalnym poziomem zabezpieczeń. Reszta to tylko pieprzenie w bambus.**

**- Rozumiem, wierz mi, rozumiem cię dobrze. Sama mam pewne opory, żeby go odwiedzić. Prawdę mówiąc, wielkie opory, dlatego muszę to zrobić.**

**- Na szczęście ja nie muszę. Słuchaj, Irene, muszę lecieć. Teraz to już na pewno nie chcę się spóźnić na samolot.**

**- Dobrze, kotuś. Cieszę się, że przepelnia cię chęć życia.**

**Zadzwoń kiedyś, jak będziesz mieć czas. I powodzenia z Nędznikami. Chciałam powiedzieć, połamania nóg.**

**- I nawzajem. Na razie.**

**- Na razie.**

**Irene odłożyła słuchawkę na widelki. Pomysł, by wsiąść w odlatujący samolot nagle wydał się jej bardzo atrakcyjny. Ale załatwienie sobie widzenia z Maxem kosztowało ją wiele wysiłku. Musiała zdobyć pozwolenie od jego prawników, którzy byli jednocześnie opiekunami, od lekarza oraz administracji Instytutu ReedChase. Wiedziała, że jeśli teraz stchórzy, a później zmieni zdanie, mogą jej nie dać drugiej szansy.**

**Po szybkim spojrzeniu w lustro - włosy Irene znów były utlenione - spakowała bagaż. Na wewnętrznej stronie drzwi wisiał jeden z tych znaków z serii „Proszę się upewnić, że niczego państwo nie zostawili”. Irene nie mogła się powstrzymać, by posłusznie się rozejrzeć ponownie po pokoju, i stwierdziła, że w**

nogach łóżka leży jej portfel. Nie przypominała sobie nawet, by wyjmowała go z torebki. Wygląda na to, że jej podświadomość była naprawdę mocno przeciwna pomysłowi odwiedzenia Maxa.

Od czasu gdy na brzegu strumienia Irene usłyszała ten mały głosik, który kazał jej zapytać Kincha o imię, zwracała o wiele większą uwagę na swoją podświadomość. Ale nie miała zamiaru stać się jej niewolnicą. Wygłosiła sobie jeszcze jedno kazanie: **Musisz wiedzieć. Poczujesz się lepiej, kiedy zobaczysz go na własne oczy.**

Zgarnęła portfel i pospiesznie opuściła pokój, by nie dać sobie szans na zmianę zdania.

Instytut ReedChase mieścił się w beżowym piętrowym budynku, który stał przy milej dla oka, wysadzonej drzewami alei.

W lobby oczekiwał na Irene doktor Alan Corder - przystojny atletyczny mężczyzna o sprężystym kroku i bez śladów łysiny.

Choć nie był od niej ani trochę młodszy, to okazywał jej wielki szacunek i sypał pochlebstwami jak z rękawa. Pochwalił się, że przeczytał wszystkie publikacje Irene na temat dysocjacyjnych zaburzeń osobowości, wliczając w to najnowszy artykuł w „Journal of Abnormal Psychology”, opisujący sprawę Maxa.

Wystarczy już tej wazeliny, pomyślała Irene, ale nie protestowała. Corder poprowadził ją do zamkniętych na klucz drzwi na końcu długiego korytarza. Po krótkiej podróży windą stanęli przed kolejnymi drzwiami. Te z kolei otworzyły się

dopiero, gdy doktor wprowadził kod za pomocą przymocowanej obok klawiatury.

Jak wyjaśnił, oddział zamknięty umieszczono na tyłach budynku celowo, by z ulicy nie dało się dostrzec zakratowanych okien.

- Mniej kłopotów z miejscowymi - powiedział.

- Rozumiem - odparła Irene. Dobrze wiedziała, co mężczyzna miał na myśli. Istnieli ludzie, którzy z całego serca popierali budowę nowoczesnych więzień i zakładów psychiatrycznych - byle tylko jak najdalej od nich.

Corder zaprowadził Irene do pokoju dyżurnego ochrony i dał do podpisania listę rzeczy, do których zobowiązywała się na czas pobytu w placówce.

- Czy, odkąd ostatnio rozmawialiśmy, zaszły jakieś zmiany w jego stanie? - zapytała, kiedy szli korytarzem pomalowanym w łagodny lososiowy kolor.

- Żadnych. To pacjent idealny. Gdyby nie jego przeszłość, oraz nakaz sądowy, już dawno wypuścilibyśmy go z oddziału zamkniętego.

Irene położyła dłoń na ramieniu doktora Cordera, zatrzymując go w miejscu.

- Nigdy - powiedziała, patrząc mu w oczy dla podkreślenia wagi swoich słów. - Nigdy, przenigdy nie możecie go wypuścić.

- Rozumiem pani emocje.

- Tu nie chodzi o mnie!



- Oczywiście, że nie. Ale niech spróbuje się pani powstrzymać z osądem, zanim go nie zobaczy. Myślę, że będzie pani pozytywnie zaskoczona. I proszę się nie bać - ja lub któryś z pielęgniarzy będziemy was cały czas obserwować przez okienko.

Ostatnie drzwi po prawej miały pastelową niebieską barwę karoserii Maybelline. Na wysokości oczu znajdowało się w nich okienko ze spolaryzowanego szkła. Chociaż Irene wiedziała, że lokator pokoju nie mógłby jej zobaczyć, powstrzymała się przed zerknięciem do środka. Bała się, że na jego widok może spanikować. Corder wstukał kolejny kod i zaskakująco ciężkie drzwi rozwarły się bezgłośnie.

Na pierwszy rzut oka pokój mógł znajdować się w jakimś eleganckim akademiku. Biurko, komoda, łóżko, ściany pomalowane w blady błękit. Jednak wprawne oko Irene szybko dostrzegło anomalie. Nie było drzwi do łazienki, mieściła się ona we wnęce. Czwórdzielne okno - wychodzące na ogród i alejki Instytutu - przeszklone było podwójnymi antywłamaniowymi szybami.

Klamkę wstawiono tylko na pokaz - nikt nigdy nie planował, że to okno będzie można otwierać. Komoda miała obity miękkim materiałem blat, zaokrąglone kanty i płytkie półeczki zamiast szuflad. Podobnie obito łóżko, a wszystkie meble zostały na stałe przytwierdzone do podłogi. Nie było też żadnych lamp - światło zapewniały mleczne panele w suficie.

Maxwell siedział za biurkiem, tyłem do drzwi, ubrany w

**błękitną piżamę z białymi wypustkami. Rysował coś.**

**- Dzień dobry, panie doktorze - zaćwierkał cienkim radosnym głosem, obracając się.**

**- Dzień dobry, Lyssy. Pamiętasz doktor Cogan?**

**- Chyba tak - odparł, ale w jego nakrapianych złotem oczach nie pojawił się błysk rozpoznania, jedynie ostrożność. Takiej właśnie reakcji należałoby oczekiwać po grzecznym pięciolatku, który nie ma pojęcia, kim jest Irene, ale jest wystarczająco inteligentny, by rozumieć, że gdyby rzeczywiście nigdy jej nie spotkał, nie pytano by go, czy „pamięta”.**

**- Cześć, Lyssy. Co tam rysujesz? Mogę spojrzeć?**

**- To obrazek pani Missy\*[\* Ang. „panienka”. Może być to zarówno imię własne, jak i określenie pospolite (przyp. tłum.)] - powiedział i uniósł w górę beżową kartkę. Widniał na niej schematyczny, złożony z kilku kresek obrazek kobiety, co dało się poznać po symbolizującym sukienkę trójkącie i długich włosach. Ku uldze Irene, włosy były czarne.**

**- Bardzo ładne - stwierdziła Irene, oddając mu rysunek.**

**- Kim jest pani Missy?**

**- Moją przyjaciółką.**

**Terapeutka zajęciowa, wyjaśnił Corder, poruszając bezgłośnie ustami.**

**- Lyssy, doktor Cogan chciałaby z tobą chwilę porozmawiać**

**- zwrócił się do Maxwella. - Nie miałbyś nic przeciwko?**

**- Chyba nie... Ale... - Nieśmiało przywołał Cordera gestem,**

po czym zaczął mu szeptać do ucha.

- Oczywiście - odparł Corder. - Doktor Cogan, czy mogłaby pani poczekać na zewnątrz?

Irene wycofała się z pokoju, zamknęła za sobą drzwi i obserwowała przez okienko, jak Maxwell wstaje, przytrzymuje się doktora i, podskakując na jednej nodze, przenosi się na łóżko.

Jego druga noga kończyła się w kolanie; niżej zwisała tylko luźna nogawka spodni od piżamy.

Irene zupełnie zapomniała o amputacji. Czując się nagle jak podglądaczka, odwróciła się ze wstydem. Po kilku minutach w drzwiach stanął doktor Corder.

- Pacjent należy do pani.

Maxwell czekał za nią tuż za drzwiami. Irene nie spodziewała się, że z miejsca znajdzie się tak blisko niego. Postanowiła od razu przejąć kontrolę nad sytuacją.

- Co tak stoisz? - zapytała żartobliwie - Nie masz na czym usiąść?

- Ależ mam - odparł tym samym tonem, klepiąc się po tyłku.

- Jesteś zabawny. Łóżko czy krzesło? Wybieraj.

Kulejąc, podszedł do łóżka. Chodzenie szło mu całkiem niezłe, pociągał tylko trochę nogą i dość zamaszyście zarzucał biodrem.

- Brawo, świetnie nauczyłeś się chodzić - powiedziała Irene.

Zasiadła za biurkiem, odsunęła blok i kredki na bok, a na ich

miejsce położyła swój notatnik oraz dyktafon.

- Najpierw to musiałem chodzić o kulach. Później o lasce.

Teraz nie potrzebuję nawet tego! Mają też nogi, na których można biegać. Kiedyś taką dostanę, a jak będę dobry, to nawet mogę startować w igrzyskach dla ludzi z jedną nogą. Jak będę dobry, no i jak ludzie przestaną się mnie bać.

- Tak? Ludzie się ciebie boją?

- Niektórzy, jak sądzę. W starym szpitalu trzymali mnie związanego.

- A wiesz dlaczego?

- Chyba tak.

- Więc dlaczego?

- Niech pani spyta doktora Ala, on wie.

- Chciałabym to usłyszeć od ciebie. Dowiedzieć się, co ty sam o tym myślisz.

- Bo kiedyś był taki zły człowiek, który wchodził w moje ciało i robił ludziom złe rzeczy.

- Rozumiem. I gdzie on teraz jest?

- Poszedł sobie. Zastrzelił go policjant.

- Pamiętasz coś na temat tego złego człowieka?

- Uch, tylko tyle, że byłem w takim ciemnym pokoju w więzieniu, a na podłodze był martwy ptak. Na tym będzie mój głos?

Irene wcisnęła stop.

- Tak. Chciałbyś posłuchać?

**Wcisnęła przewijanie do tyłu, po czym puściła nagranie.**

**- ...był martwy ptak. Na tym będzie mój głos?**

**- To nie ja - powiedział Maxwell. - To ja mówię?**

**- To ty. Każdy tak ma, że nie potrafi rozpoznać swego głosu na nagraniu.**

**- Jak to się dzieje?**

**- Bo wtedy słyszy swój głos z zewnątrz, a nie z wewnątrz - odparła Irene, dziękując mu w duchu, że ułatwił jej przejście do następnego tematu. - A tak przy okazji, Lyssy, nadal słyszysz głosy w głowie?**

**- Takie, jak tego złego człowieka?**

**- Tak, jak jego.**

**- NIE, znaczy nie - odparł z naciskiem, opuszczając głowę. - A jeśli tak się zdarzy, muszę od razu powiedzieć doktorowi Alowi albo pielęgniarce, jak Bożę kocham - powiedział nieszczerym tonem. Była to jednak zabawowa, psotna nieszczerość.**

**- Dobrze mówię?**

**- Absolutnie - odparła Irene. - Chciałbyś zagrać ze mną w grę?**

**- Absolutnie! - odparł swoim pełnym energii głosikiem.**

**Chyba spodobało mu się brzmienie tego słowa. - Absolutnie!**

**- Dobrze, zasady są takie. Zadam ci trzy pytania, a ty masz na nie szczerze odpowiedzieć. Czy wiesz, co to znaczy „szczerze”?**

**- Nie jestem dzieckiem!**

**- Wiem, muszę po prostu się upewnić. Ale teraz, na czym**

**polega gra: musisz cały czas patrzeć mi prosto w oczy. Nie wolno ci się obracać, zakrywać twarzy, ani nic takiego. Myślisz, że ci się uda?**

**- To zbyt łatwe - powiedział pogardliwym tonem.**

**- Zatem na pewno sobie poradzisz. Dobra, a teraz pierwsze pytanie. - Irene wskazała palcem na swoje oko. - Patrz tutaj!**

**Ich spojrzenia skrzyżowały się.**

**- Ile masz lat? - spytała.**

**- Pięć. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć.**

**- Bardzo dobrze. Drugie pytanie: jaki jest twój ulubiony smak lodów?**

**- Ciekoladowe.**

**- Znakomicie. Pytanie trzecie: jak się nazywasz?**

**Oczywiście, jedynie to pytanie miało znaczenie.**

**- Lyssy. LYSSY - oznajmił dumnie, patrząc jej prosto w oczy. - Wygrałem?**

**- Pewnie, że tak.**

**Jego oczy nie poruszyły się, powieki nie zatrzepotały, żadnych zachowań gruntujących, zmiany głosu, żadnych oznak stresu czy wewnętrznej walki.**

**- A co wygrałem?**

**Irene wyłączyła dyktafon i schowała go do torebki, podobnie postąpiła z notesem. Pogrzebała tam jeszcze chwilę i wydobyła na światło dzienne opakowanie gumy do żucia.**

**- Pierwszą nagrodą jest paczka gumy do żucia Trident**

**Original Flavour bez cukru - powiedziała, czując się nieco dziwnie.**

**- Coraz więcej dentystów poleca Trident bez cukru swoim pacjentom.**

**- Suuuper - powiedział Lyssy. - Czy to już wszystko?**

**Skończyliśmy?**

**- Wiesz, chyba tak - odparła, wstając. - Długo to zajęło, ale myślę, że wreszcie skończyliśmy.**

**Zarzuciła torebkę na ramię, podeszła do łóżka i wręczyła Lyssy'emu nagrodę. Ten pospiesznie rozerwał opakowanie, odwinął dwa listki z folii i wsunął je sobie w usta.**

**- Odwiedzi mnie pani jeszcze kiedyś? - spytał ją niewyraźnie.**

**- Może kiedyś, Lyssy - odparła, podchodząc do drzwi, które otworzyły się, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.**

**- Mieszkam dość daleko stąd.**

**- Szkoda - powiedział. - Jest pani miła.**

**Irene obróciła się w progu.**

**- Och, dziękuję, Lyssy. Ty też jesteś miły.**

**Cofnęła się o krok. Drzwi zamknęły się.**

**- I jak? - zapytał doktor Corder, nachylając się do niej.**

**- Jestem pod wrażeniem - odparła, zaglądając przez okienko.**

**Maxwell siedział na łóżku, zupełnie nieruchomo, jeśli nie liczyć miarowo poruszającej się szczęki.**

**- Ale nie została pani całkowicie przekonana?**

**- Dać się nabrać raz, to pomyłka. Dać się nabrać dwa razy, to**

głupota. On już raz mnie nabrał, doktorze Corder.

- Och, doktor Cogan, proszę mówić do mnie Al.

- W takim razie, niech pan mówi mi Irene.

- Z przyjemnością - odparł Corder, oferując jej swoje przedramię. - To co z tym lunchem?

- Świetny pomysł.

Irene położyła dłoń na jego przedramieniu i razem ruszyli niespiesznie lososiovym korytarzem do windy. Zastanawiała się, czy flirtują. Zdecydowanie miała nadzieję, że tak.

Ulysses Maxwell przesiedział nieruchomo następne dziesięć minut. Kiedy był już pewny, że sobie poszli, wypluł gumę na podłogę. Jego poza zmieniła się diametralnie. Opuścił ramiona, wygiął szyję i lekko przekrzywił głowę.

- Och, ciękuje, Lyssy - powiedział na głos, z pietyzmem, niemal afektacją, samymi wargami, leciutko sepleniąc. Jak kiedyś Irene. - Ty też jesteś miły.

Wstał i przeszedł przez pokój. Tym razem niemal nie dałoby się stwierdzić, że kuleje. Nie musiał już niczego udawać przed Irene. Usiadł przy biurku i czarną kredką szybko nakreślił na kartce kształt kobiety. Nie był to jednak tym razem schematyczny rysunek, lecz realistyczna naga postać, wygięta w zmodyfikowanej pozie odaliski, z dłońmi splecionymi za głową i dumnie sterczącymi małymi piersiami. Następnie odłożył czarną kredkę do pudełka i wydobyl stamtąd kilka innych: brzoskwiniową, melonową, czerwonepomarańczową, pomarańczowoczerwoną, -



**morelową i cielistą. Nad trójkątną przestrzenią u zbiegu ud kobiety naszkicował szybko włoski łonowe, a następnie stworzył na jej głowie sięgającą ramion fryzurę w soczystym kolorze truskawkowego blond.**

**- Tak jest o wiele lepiej - powiedział, podziwiając ją przez chwilę, po czym podarł rysunek na paski, a te z kolei na drobne kawałeczki i wyrzucił wszystko do kosza. - Ten odcień Lady Diany zupełnie nie pasuje do twojej karnacji. Panna Miller na pewno by tego nie pochwaliła.**